

Brawurowa opowieść o szajce, którą od perfekcji *Ocean's Eleven*
i od śmieszności *Gangu Olsena* oddziela bardzo cienka granica!

GRZEGORZ
KALINOWSKI



NIEWIDZIALNA
REŃKA

LIRA
WYDAWNICTWO

**GRZEGORZ
KALINOWSKI**

**NIEWIDZIALNA
RĘKA**

L  R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2023
ISBN 978-83-67915-00-7

Spis treści

Prolog

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

Epilog

O Autorze

Przypisy

*Maciejowi Skupowi,
Panu Subiektowi od książek.
Niech Moc będzie z Tobą!*

PROLOG

*DRUGA POŁOWA KWIETNIA, WARSZAWA,
PAŁAC MOSTOWSKICH,
KOMENDA STOŁECZNA POLICJI,
GODZINA PRZEDURZĘDOWA, MOCNO PORANNA.*

Komisarz Jaskulski widział nagranie po raz pierwszy, ale szef ochrony Jakołcewicz, tak jak większość Polaków, oglądał „Misia” Barei. Znał je na pamięć, doskonale wiedział, co się za chwilę wydarzy, że pierwsza kamera pokaże człowieka lekko przy kości, a może po prostu dobrze zbudowanego, który z zadziwiającą lekkością wskoczy na ogrodzenie, po czym znajdzie się po jego drugiej stronie, lądując pewnie, jakby był zawodowym gimnastykiem. Nawet ręce rozłożył szeroko, lekko ugiął nogi, po czym się wyprostował, niczym przed jury, które przyznawało noty. Można to było uznać za przypadek, ale Jakołcewicz wiedział, że to nie był przypadek. Czekał na reakcję Jaskulskiego, który oglądał film w ciszy i w skupieniu, niczego nie komentując.

Później silnego gimnastyka — tak go sobie nazwał Jakołcewicz — przejęła kamera z ogrodu, a następnie ta przy drzwiach. Przy wejściowych i przy kolejnych, już wewnątrz domu. Facet przechodził przez nie, jakby to były zamykane na haczyk wejścia do komórek, a nie drzwi do luksusowej willei, zabezpieczone najlepszymi szyfrowymi zamkami.

Komisarz odezwał się dopiero po sforsowaniu kolejnej przeszkody, która miała podwójne elektroniczne blokady.

— Wyłączyli wszystkie zabezpieczenia, zamki, system alarmowy, a zostawili kamery. — W jego głosie pobrzmiwał entuzjazm. — Popełnili błąd!

Jakołcewicz, emerytowany policjant, co zdążył odsłużyć swoje także w milicji, wysłuchał tego z kpiącym uśmieszkiem, którego komisarz nie mógł widzieć, bo stał za jego plecami. Wiedział też, że twarz nie odbija się w monitorze, mógł więc sobie pozwolić na strojenie min, ale zachowywał kamienną twarz, bo czekał na ten naprawdę interesujący moment.

Jaskulski patrzył, jak mężczyzna w czarnym ubraniu i kominiarce wchodzi do gabinetu, po czym zdejmuje mały plecak i odwraca się w kierunku kamery. Patrzy w nią, ale czy możliwe było, by robił to świadomie? Obiektów ukryto w ramie obrazu, więc może patrzył na kolorowe płótno Dwurnika, kolejne z serii miast, ale chyba jedyne poświęcone Kraśnikowi. Gdy Dwurnik malował tę serię, to Kraśnik jeszcze nie był popularny, przynajmniej nie od tej strony. Ale nie chodziło o obraz, o zgadywanie, co się na nim znajduje ani o zachwyt nad sztuką. Facet może i był koneserem malarstwa, bo dlaczego odbierać wrażliwość złodziejowi, jednak nie chodziło o obraz, ale o kamerę. Są różne sposoby wyrażania zainteresowania sztuką, także podziwu lub rozczarowania, ale entuzjazmi malarstwa nie stają przed dziełem wyprostowani na baczność i nie podnoszą w górę rozcapierzonej dłoni, jak jakiś wódz Indian na westernie.

— Co to, kurwa, jest? — Na ten moment czekał Jakołcewicz i się nie pomylił.

— Mano Negra! — wykrzyczał Jaskulski.

Komisarz odwrócił się w kierunku Jakołcewicza i patrzył na niego triumfująco. On, śledczy z nowej, lepszej policji, patrzył na starego eksmilicjanta z wyższością, z jaką patrzy na dzikusa biały podróżnik.

— Sądzi pan? — uśmiechnął się Jakołcewicz. — A ja panu mówię: niewidzialna ręka to nasz znak, niewidzialna ręka to także ty!

Teraz on, śledczy z nowej, lepszej policji, patrzył niejako prosząco, szukając u starego milicjanta oznak oświecenia.

Wiedział, że dopiero teraz nastąpi kulminacja, bo skąd trzydziestoparolatek może o tym wiedzieć? O niewidzialnej ręce, o znaku, o misji. Nie dość, że dupek, to jeszcze gówniarz.

— Co to znaczy, o co chodzi?! — gorączkował się komisarz Jaskulski.

— Znaczy to, że ten, który zrobił skok, albo ktoś, kto tym skokiem kieruje, musi być pięćdziesiąt plus, a może i sześćdziesiąt. Ktoś bliżej mojego niż twojego wieku.

Wyraz twarzy komisarza wskazywał, że wołał on o pomoc, nadal nic nie rozumiał, nadal myślał, że to jakiś żart. A to był dopiero początek. Było grubiej, niż można było przypuszczać. Nawet Jakołcewicz, który miał z niego polewkę, za chwilę sam nie będzie w stanie uwierzyć w to, co się wydarzy, choć widział ten materiał dziesiątki razy.

I

1.

*WARSZAWA, ŚRÓDMIEŚCIE W CZASACH
UMIARKOWANEGO COVID-U, A JESZCZE PRZED
WOJNĄ W UKRAINIE, A CO DO SZCZEGÓŁU
WIOSNĄ ZARAZ PO WIELKANOCY.
DOCHODZI DZIESIĄTA PRZED POŁUDNIEM.*

Mecenas Jakub Hamerski był ekscentrykiem, jeździł skrajnie niepraktycznymi, ale rzucającymi się w oczy samochodami, ubierał się jak dandys i miał blond grzywę w stylu Dawida Bowiego. Na stopy w kolorowych skarpetkach wkładał lakierki, które zawsze wyglądały, jakby właśnie zdjął je ze sklepowej półki, a jeśli zakładał mokasyny, to wyłącznie na gołe nogi. Był arbitrem elegancji, któremu nikt nie mógł zarzuć, że źle dobrał krawat albo fular. Świetnie prezentowały się na nim jednobarwne jedwabne szaliki od Hermès, a po wakacjach pod żaglami rozpiął dwa guziki w koszuli i w oprawie śnieżnobiałego materiału prezentował opalony tors zdobiony przez egzotyczne koraliki.

Ktoś inny by się ośmieszył, ale Hamerski budził entuzjazm, nawet gdy zdarzyło mu się zawiązać pod szyją damską apaszkę, to i tak wyglądał niezwykle męsko. Od dawna nikt owej męskości i elegancji nie kwestionował, przynajmniej głośno i publicznie. Ostatni był mecenas Edward Wilk, który prychnął na jego widok: „Pajac, pedał i bezguście, się wystroił”.

Jakub Hamerski tego nie usłyszał, dowiedział się jednak o tym od swojej kochanki Marzeny Wilk, zbieżność nazwisk nieprzypadkowa, i nie chodziło o siostrę mecenas Wilka, bo ta już nie nosiła

nazwiska panińskiego, po tym jak z góra dziesięć lat wcześniej wyszła za mąż, tylko o jego żonę. Tak, zgadza się, mecenas Hamerski przyprawił mecenasowi Wilkowi okazałe rogi, co później wyszło podczas sprawy rozwodowej, bo Marzenę trochę poniosło i opowiedziała sporo z wielką swadą, dopóki nie przerwała jej sędzia. Ta z początku słuchała Wilkowej z wielkim zaciekawieniem, ale opanowała się i zareagowała, bądźmy uczciwi, przede wszystkim dlatego, że adwokatka mecenasa Wilka głośno oprotestowała opowiadania o łózkowych przewagach Hamerskiego nad Wilkiem.

Marzena mogła sobie na to wszystko pozwolić, bo mieli z mężem rozdzielność majątkową. Mieli też dzieci i był to powód, dla którego po rozwodzie Marzena już nie Wilk, ale znów Popławska, nie stanęła na ślubnym kobiercu z Jakubem Hamerskim. Dzieci nie polubiły wujka Kuby, a ten nawet się ucieszył, że wkrótce wręcz pokochały wujka Rogera, sympatycznego Amerykanina, który rok później został ich ojczymem.

Hamerski przyjął to z ulgą, bo jego specjalnością były liczne związki, które jeden z jego przyjaciół, bankowiec Roland Szulc, określił z zawodową wprawą jako krótkoterminowe. Każdy inny znający mecenasa, w tym jego były kochanki, mógł dodać, że owe związki kończyły się w sposób wzorcowy, bo Hamerski miał niezwykle wręcz umiejętności negocjacyjne, co niezmiennie prowadziło do kulturalnych, wyraźnie przyjacielskich rozstań. Ta forma zakończenia relacji z czasem odbijała się na kolejnych partnerach jego kochanek, którzy szczerze go nienawidzili, bo kto chciałby wysłuchiwać superlatyw wypowiedzianych o byłym facecie swojej obecnej dziewczyny?

Taki był mecenas Jakub Hamerski: czarujący, ekstrawagancki i goszczący na plotkarskich stronach, utalentowany, zamożny prawnik w średnim wieku, który wygrywał procesy, pomagał w skomplikowanych sytuacjach biznesowych i prywatnych. Krótko mówiąc, gwiazda palestry warta stawki godzinowej, która zwykłych zjadaczy chleba mogła wprawić w osłupienie, bo nawet po upustach nie była niższa niż trzysta euro. Wściekle drogo, ale każdy z wydanych na niego eurocentów się zwracał, zatem wybaczano mu drobne spóźnienia. Nie, nie kreował się w ten sposób na człowieka,

którego wszędzie potrzebują, był naprawdę zajęty i nie zawsze nadjeżdżał równo z rozkładem dnia wpisanym do biznesowych kalendarzy. Kto by o tym pamiętał, miał pretensje, skoro po pierwsze, liczył się efekt końcowy, a po drugie, mecenas zawsze informował o spóźnieniu, uprzedzał, przeproszał?

Tym razem jednak złoty chłopiec warszawskiej palestry, jeśli można było tak mówić o mężczyźnie czterdziestoletnim, kazał na siebie czekać i nie dawał znaku życia. Adam Bielak, prezes VNI — Varsovia Nova Investment, był zdenerwowany, bo minęło ponad dwadzieścia minut, a przecież czekali nie tylko on, ale także zaproszeni dziennikarze, notariusz i przedstawiciel miasta. Ci z ratusza wysłali, co było niezwykle lekceważące, kogoś z niższego szczebla, Bielakowi to uwłaczało, ale był ponad to i przywitał naburmuszonego urzędnika bez niepotrzebnych komentarzy, oschle, ale dość miło.

— Proszę państwa — ogłosił w końcu. — Nie możemy się dodzwonić do pana mecenasa Hamerskiego, to dość niespotykana sytuacja, ale poradzimy sobie. — Zawiesił głos i uśmiechnął się, jeśli zaciśnięte usta z lekko podniesionymi kącikami można było nazwać uśmiechem, prędzej grymasem wymuszonego zadowolenia.

Wszyscy to chyba zrozumieli, to miała być dla Bielaka ważna chwila, tymczasem jeden z architektów tego wzniesłego momentu nie pojawił się na ceremonii. Prezes Bielak odchrząknął i zakończył myśl:

— Tak, poradzimy sobie bez pana mecenasa, można powiedzieć, że przejmę jego obowiązki, bo do tej pory był moim pełnomocnikiem, który negocjował z rodziną Rozłuckich i, chwała Bogu, wywiązał się znakomicie. Wszyscy są zadowoleni, pan Wacław i pani Elwira mają cudowną jesień życia, a Warszawa będzie się mogła zmieniać na państwa oczach!

Rozległy się oklaski, Marta Stępień, niezwyklej urody asystentka prezesa Bielaka, i współpracownicy prezesa zrobili dyskretną, ale bardzo skuteczną klakę.

— Panie rejencie... — zwrócił się do czuwającego z dokumentami notariusza.

Rozpoczęła się ceremonia, długa, bo rejent Ignacy Kuch musiał odczytać wszystkie punkty umowy, kolejno Bielak i młodszy prawnik od Hamerskiego, który musiał zastąpić pryncypała, jeszcze raz wszystko przeczytali, a później złożono podpisy.

Strzeliły korki szampana, były też catering, bardzo dobry, prezentacja planów, jeszcze więcej szampana i wina, wybornego, nie bankietowo-konferencyjnego chłamu. Nawet sztywny, wyglądający na lekko wycofanego wysłannik ratusza, o którym szeptano, że sympatyzuje z ruchami miejskimi, odprężył się, a nawet rozgadał, kiedy ludzie Bielaka prezentowali ambitny plan związany z kulturotwórczą i społeczną rolą jego inwestycji, używając słów wytrychów, otwierających jego serce dla Varsovia Nova Building: klubokawiarnia, stojaki na rowery, ścieżki rowerowe, plenerowe siłownie i targ śniadaniowy.

Poranek był szary, ale w południe zza chmur wyszło słońce, więc szampan pity na tarasie biurowca, w którym mieściły się firmy Bielaka, smakował wyjątkowo. Tylko piętnaście pięter, a wydawało się, że szef VN Investment i nowo powstałej VN Building oraz jego goście mają Warszawę u swoich stóp.

Trwało to wszystko dwie godziny, od dziesiątej do południa, a jednak mecenas Jakub Hamerski nie przybył. Nie było go pod komórką, nie dawał znaku swoim współpracownikom, którzy powoli wpadali w panikę, bo właśnie u nich w kancelarii już za moment miało się zacząć spotkanie z udziałem pryncypała, który ogłosił wcześniej, że będzie potrzebował przynajmniej kwadransa, by ogarnąć dokumenty.

Nikt nie mógł przypuszczać, że mecenas Hamerski jest poza Warszawą, że leży sobie na materacu z mchu i porostów gdzieś na skraju Puszczy Kampinoskiej, a jego jasna marynarka garniturowa upstrzona jest zielonymi smugami. Ślady po trawie i mchu, zwłaszcza te na łokciach, wyglądały źle, ale jeszcze gorzej prezentowały się spodnie, bo tracąc przytomność, Jakub Hamerski niefortunnie wylądował w kałuży. Pewnie dlatego twarz wykrzywił mu nieprzyjemny uśmiech, bo być może w ostatniej chwili cała ta sprawa ubawiła go i jednocześnie zmartwiła. Eleganckie spodnie były z pewnością do wyrzucenia.

Po podejściu bliżej było jeszcze gorzej. Zapach, który się unosił w powietrzu, wyjaśniał, że mecenas nie usiadł w błotnistej kałuży. Problem był o wiele poważniejszy, doszło do niewiarygodnej, zenującej wręcz katastrofy. Inna składowa odoru wskazywała na przedawkowanie alkoholu, poświadczyłoby to badanie krwi, które dostarczyłoby również zaskakujących wniosków: mecenas nie tylko był pijany jak bela, ale znajdował się także pod wpływem środków odurzających.

Człowiek tak naszprycowany nie powinien nawet dopuszczać myśli o siadaniu za kierownicą, tymczasem mecenas Hamerski przyjechał do lasu autem. I to nie było jakim, swoim nowym nabytkiem, którym był land rover defender z ostatniej, klasycznej serii, którą wypuściła fabryka w angielskim Solihull. Trudno było w to uwierzyć, nie tylko kierując się przerażającą kondycją, w jakiej znajdował się prawnik, ale przede wszystkim, że nie było w pobliżu żadnego samochodu. O tym, że na skraju lasu stało auto, za które kolekcjonerzy płacili sto tysięcy euro, świadczyły tylko ślady opon.

Słońce osiągało powoli swój najwyższy punkt na niebie i jego promienie zaczęły się przebijać przez gałęzie. Za minutę, dwie miały dotrzeć do zamkniętych oczu mecenasa.

2.

Te same promienie słońca, ale już po drugiej stronie Wisły, na warszawskim Grochowie, wdzierały się przez zabrudzoną szybę i padały na twarz mężczyzny w nieokreślonym wieku, z pewnością nie mniej niż czterdziestoletniego i nie starszego niż lat sześćdziesiąt. Znajomi, których miał zresztą niewielu, nazywali go Zoltarem, choć w dowodzie osobistym tak starym, że już dawno nieaktualnym, wpisane było imię Zdzisław. Człowiek ów chciał spać do oporu, ale znów się nie udało, słoneczne światło wybudziło go w samo południe, czyli o co najmniej dwie godziny za wcześnie.

Nie był chory ani poważnie skacowany, po prostu w nocy oddawał się ulubionemu zajęciu, pochłanianiu serialu od pierwszego do

ostatniego odcinka. Tym razem był to najnowszy sezon serii „Ozark”, której bohaterem był księgowy mafii.

Zoltar spojrział spod lekko uchylonej powieki i przez wiązkę promieni słonecznych spostrzegł Jezusa. Potężnego, ale przyjaznego, choć Syn Boży nie miał powodów, by być przyjazny.

Z niezliczonych memów Zbawiciel głosił przecież: „Nadchodzi Wielkanoc, umyj dla mnie okna”, „Przyjdę i sprawdzę, czy umyłeś dla mnie okna”, „Nic mnie nie wkurwia jak to, że gdy myjecie dla mnie okna, to zostawiacie smugi”. Na szybach tych okien nie było smug, były tylko wydrapane palcami dziury, bo nikt tu nie pomyślał o dokładnym myciu szyb. To znaczy myśleli o tym, ale niezbyt nachalnie i mało konstruktywnie. A jak już pomyśleli konstruktywnie, to doszli do wniosku, że to nie ma sensu.

To nie były zwykłe okna, bo to nie był zwykły dom. To była stara fabryka, a teraz artystyczny loft z wielkimi szybami, a niedaleko zasuwała pełną parą budowa, z której straszliwie syfio. Z wykopów tak głębokich, by pomieścić silos na atomowe rakiety albo trzypoziomowy parking, unosiły się tumany kurzu i pyłu. Ich Radykalna Manufaktura Sztuki mogła równie dobrze się znajdować na skraju Sahary albo być dodatkiem do mongolskiego osiedla na pustyni Gobi. Żeby szyby były czyste, to trzeba by było je myć codziennie i zmienić się tym samym w jakiegoś cholernego Syzyfa.

Chyba się Syn Boży nie obrazi, bo w końcu to tylko szyby, a nie jakiś kolejny nieudany posąg. Bo w kraju nad Wisłą, gdzie był królem, miał ich od metra. I wcale na ich widok nie grzmiał, choć powinien, w słusznym gniewie, bo jako Syn Boży z pewnością miał dobry gust. Gromy z jasnego nieba nie leciały, szarańcza nie obsiadała pól uprawnych, może dlatego, że w kraju nad Wisłą było mnóstwo pomników papieży i poległych prezydentów. Tak czy owak, razem z nimi i marszałkiem Piłsudskim Jezus Chrystus bił się o podium w spartakiadzie rzeźbiarskich pomyłek.

Na szczęście posąg stojący w pracowni Pabla, który spoglądał życzliwym okiem na budzącego się Zoltara, był jak należy. Stosownych rozmiarów — na pięć metrów wysoki, a do tego bardzo zachowawczy, klasyczna szata i bez eksperymentów. Farba nałożona na wygładzony beton była zgodna z kościelną klasyką — róż twarzy,

ciemnokasztanowy odcień włosów, błękit oczu, biel i czerwień szaty, naturalny kolor sandałów także pozbawiony jakichkolwiek ekstrawagancji.

Był to bez dwóch zdań piękny aryjski Jezus, ale z matki Polki, którego serce emanowało niebiesko-czerwoną poświatą pochodzącą z ledowych lampek. *Dzieło nawiązujące do klasycznych przykładów ludowej sztuki sakralnej, zdradzające przy tym silną inspirację obrazami Jezusa Miłosiernego, namalowanymi przez Kazimirowskiego i Hyłę na podstawie wskazówek świętej Faustyny*, tak napisała w „Szumie” czy innym „Pogłosie” krytyczka Dorota Mankiewicz, a kuratorka Hanna Wróblewska w katalogu do wystawy. Tyle pisania, a można prościej, bo dla Zoltara była to, ni mniej, ni więcej, powiększona wersja figurki, którą można kupić w internetowym sklepie z dewocjonaliami.

Zbawiciel Pabla był po prostu ładny, w końcu model, czyli piłkarz Krychowiak, okazał się przystojnym białym mężczyzną, a nie Afrokimś, czy nie daj Boże — Żydem. Polakiem był, czyli wszystko było w należyтым porządku.

Pablo uparł się, żeby umyć kawałek jednego okna — tak, żeby zza „Chrystua-Krychowiaka” przebijały słoneczne promienie, żeby światło wokół głowy tworzyło aureolę. I właśnie ta aureola oświetliła w końcu twarz Zoltara. Załamująca się przez krzywizny starej szyby i zakamarki rzeźby wiązka światła trafiła w powiekę lewego oka niczym promień z ledowej latarki służącej jako przystawka do karabinka automatycznego. Poranek pochylił się nad Zoltarem niczym laryngolog, który najpierw oślepia cię światłem, a później zadławia szpatułką, którą chce przeliczyć migdałki.

— Jezu Krycha Chryste, umyję kiedyś te szyby, ale daj pospać.

Narzucił na głowę koc i momentalnie zachrapał. Nie minęło pół godziny i obudził go natchniony głos.

— Nie sądźcie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, ale miecz. Bo przyszedłem poróżnić syna z jego ojcem, córkę z matką, synową z teściową; i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy. Kto kocha ojca lub matkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien. I kto kocha syna lub córkę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien! — dźwięczał

liturgiczny falset. — Rzeźba będzie uzupełniona o zestaw audio, słyhać będzie te wersy z głośnika, w różnych językach, chcę, żeby cytaty z Mateusza dziesięć, trzydzieści cztery wybrzmiały jak najpełniej. — Te ostatnie słowa zadudniły doskonale znanym Zoltarowi bas-barytonem.

— Z Mateusza? — Padło pytanie zadane egzaltowanym, damskim głosem.

— Z Ewangelii według Świętego Mateusza, rozdział dziesiąty, werset trzydziesty czwarty.

— Ach tak, można więc powiedzieć, że stał się pan badaczem Pisma Świętego? — Głos wszedł na wysokie rejestry będące oznaką uznania.

— Jezu Krycha Chryste — szepnął Zoltar. — To ta siksa z portalu, Jezu Krycha Chryste, zasnęłam, a tam, kurwa, wywiad — wysapał.

Zsunął się z kanapy, która stała na antresoli pracowni, podpełzł na skraj i spojrział w dół, a potem na zegarek. Dziesiąta dziesięć! Tak, to był wywiad dla portalu 48.pl. Pamiętał, ale zasnęł. Pablo siedział na tle swojej pracy, a naprzeciwko tkwiła jakaś atrakcyjna dziewczyna. Towarzyszyło im dwóch operatorów kamer.

Będzie afera, bo ten wywiad to pomysł Wandy. Czyżby jeszcze nie dojechała? Dziwne, ale skoro tak, to trzeba zmniejszyć rozmiary porażki albo zremisować ten mecz, bo wygrać się z nią nie da, już się z tym pogodził.

Wanda wpakowała się w ich prawie czterdziestoletnią przyjaźń z butami, lekkimi i eleganckimi. Weszła na szpilkach, które skutecznie rozdeptywały ich kumpelski układ, zrodzony jeszcze w pradawnych czasach, w epoce nie tylko analogowej i przedinternetowej, ale za to czerwonej, bo w latach osiemdziesiątych.

Zimą 1986 roku w drugiej klasie liceum po feriach zimowych pojawił się nowy, niejaki Paweł Pisarski. Dryblas o stłuczonych kostkach i nastroszonych włosach, których kołtuny powoli układały się w rudawe dredy, i w swetrze poplamionym farbą. Zoltar, klasowy elegancik z fryzurą na Limahla, siedział sam, bo go rozsadzili za gadanie na lekcjach, i skoro było obok niego wolne miejsce, to mu dołożyli nowego.

Paweł Pisarski był dziwnym typem. Mrukliwy, spadochroniarz, którego nie dawało się uratować. Bo były szkoły, te lepsze i najlepsze, w których mówiono: „Hej ty, nie zdasz, no chyba że... Chyba że damy ci trójczyny, przepchniemy, a ty przeniesiesz się do innej szkoły, bo tej nie skończysz”. Ale dryblas był na tyle słaby, że nie tylko nie zdał z klasy do klasy w marnej szkole, to jeszcze kazali mu się z niej wynosić. Trafił do nich, na Żoliborz, ale ani do Lelewela, ani do Sempołowskiej. Ich buda znajdowała się nie tylko na dole rankingu dzielnicy, ale i blisko dna całej Warszawy.

Typ był mało rozmowny, dużo czytał, co było wyjątkiem, bo chociaż klasa była humanistyczna, to jednak nie skupiała miłośników literatury, sztuki oraz lingwistyki. Większość uczniów została humanistami, bo nie ogarniali ścisłych i biol-chemu, a pójście do zwykłego technikum było obciachem, a do takich lepszych, jak elektronik, architektoniczne i kreślarskie, dostanie się było niemożliwością, bo trzeba było mieć superświadectwo, prawie jak do czołowego warszawskiego ogólniaka.

W klasie, w której nawet orły zbyt wysoko nie latały, nowy plasował się na poziomie strefy lądowań awaryjnych. Nauki nie ogarniał, ale za to czytał, a jak czytał, to nie gadał, zresztą pochłaniały go poezja, filozofia i powieści niewyróbki, przez które Zoltar nie przeszedł, bo były dla niego nudne, żeby nie powiedzieć — pojebane. Nowy żył w swoim pokręconym świecie, był artystą i karateką. Stąd ten poplamiony sweter i sklepane kostki. No i grał na perkusji. Wszystko, co się dało, grał, od punka do funky, chociaż funky było dla wszystkich obciachem.

Niezły freak by się dzisiaj o nim powiedziało, ale wtedy mówiło się po prostu pojeb. W teorii nie było szans na to, żeby byli kumplami, ale w praktyce okazało się, że zasada przeciwieństw plus pewne punkty styczne — piłka, dziewczyny i imprezy oraz niechęć do nauki — zrobiły z nich przyjaciół. Była to szorstka, pełna konfliktów i wyzwisk męska przyjaźń, której nie zabiły żony i kochanki, a którą chciała rozpirzyć Wanda dwojga nazwisk Nałęcka-Ludwig.

Zoltar uwijał się jak w ukropie, wziął prysznic, założył mniej wymięty T-shirt, taki odpowiedni na tę okazję, bo z rozświeconym łabędziem, słynną Elektryczną Ledą, instalacją Pabla, w której

zakochała się hollywoodzka gwiazda. Z czesaniem się nie miał kłopotów, bo nie należał do klubu pożyczki i nastroszonego ażura. Po okresie modnych fryzur: na poppersa, Limahla, z wąsem i na czeskiego piłkarza (on wolał mówić, że wyglądał wtedy jak chłopaki z Miami Vice), z godnością przyjął proces łysienia i odpowiedział mu po męsku: goląc się maszynką na pałę. Miał za to brodę, niezbyt długą, ale dość szczególną, bo do barbera nie chodził, a mistrzem nożyczek nie był. Nie znosił się golić, zawsze nosił wąsy, które kiedyś były symbolem męskiej powagi, a potem stały się synonimem obciachu. Ale nie tylko ze względów estetycznych i modowych zmienił image, lecz wizerunkowych. Kilka wydarzeń z jego życia sprawiło, że miał palącą potrzebę, żeby nie być podobnym do siebie sprzed lat, by nie dopadły go demony przeszłości.

Nosił się praktycznie: trampki, dżinsy, dresowa bluza, a na głowie wełniana czapka, bo bez włosów zimno. Ci, co go pamiętali z dawnych lat, nie byli w stanie rozpoznać w podstarzałym grandżowcu eleganta, który poruszał się kiedyś po warszawskich salonach, a dzisiaj na drodze modowego postępu i biologicznego zużycia wyglądałby jak brodaty brat bywalców ławeczki z serialu „Ranczo”.

Biegnąc na palcach, zerknął w dół, wywiad trwał w najlepsze, redaktorka przyjęła pozę zasłuchaną i skupioną, a Pablo nawijał. Zszedł więc po cichu, uruchomił ekspres do kawy, wyjął z lodówki mleko, wodę mineralną oraz lód i był gotowy do działania. Przysiadł przy barku w kuchni i przysłuchiwał się wywiadowi, tak jakby siedział tam od samego początku.

— Przed prezentacją pańskiej nowej pracy krążyły plotki, że będzie to kolejny skandal, internauci pisali, że miał to być Czarny Jezus — ekscytowała się dziennikarka.

— Nie miał być — zakończył ekscytację Pablo. — Ludzie nie szukają już pocieszenia w sztuce. Ale wyrafinowani bogacze, próżniacy chcą nowości, niezwykłości, ekstrawagancji, skandalu. Wie pani, kto to powiedział?

Skąd miała wiedzieć?

— Picasso. — Pablo odpowiedział sam sobie.

— Ale pisali, że miał być czarny... — Redaktor Paula Sobótka broniła skandalu jak niepodległości. — To znaczy miał być Afropolakiem, prawda?

— Nieprawda. Madonna jest czarna, a minister jest Czernik, zatem wystarczy — uciął Pablo.

— Ale Jezus... — Reporterka nie ustępowała. — No i dlaczego Krychowiak?

— Ja kocham czarnych i sam jestem trochę czarny, byłem kiedyś bardziej, jak grałem w koszykówkę i funky trochę. Ale już nie gram, nie za często w każdym razie. — Wskazał ręką na stojącą w rogu pracowni perkusję. — Ale jakiś pierwiastek pozostał, niedoskonały, ale szczerzy. Mimo to uważam, że Jezus i Bond są i będą biali — powiedział Pablo. — Tomek Beksiński oddał za to życie. I za to, żeby raperzy nie pieprzyli kawałków Led Zeppelin! Tak przynajmniej interpretuję jego list pożegnalny i akt pozbawienia się życia. Chyba każdy rozumie. — Wbił wzrok w reporterkę, która udawała, że rozumie, choć nie miała pojęcia, co ma rozumieć, tymczasem Pablo ciągnął: — Rozumiem, że nie ma białego Jordana i nie ma czarnego Bonda, nie ma białego Earth, Wind & Fire i nie ma czarnej nowej fali, choć jest japońska i jest brazylijski trash metal. A że Krychowiak? Bo dlaczego nie Krychowiak? Nie podoba się pani, że Krychowiak? A podobałyby się Lewandowski? Z długimi włosami Lewandowski albo Szczęsny, a może Martyniuk z lokami?

Mającą zwykle wiele do powiedzenia gwiazdka wielkiego ogólnopolskiego portalu nie wiedziała, o co chodzi, co ma wspólnego bohater filmu „Ostatnia rodzina”, ten świr Beksiński, z Jezusem, Bondem i Krychowiakiem, ale podczas wywiadu kiwała głową jak dziecko, bo skąd mogła wiedzieć, skoro nie zajmowała się sztuką, tylko lajfstajlem, a temat dostała dlatego, że Jezus wyglądał jak znany piłkarz, a wyrzeźbił to facet, który sprzedawał swoje prace po sto tysięcy euro i więcej, czyli ktoś, kto kwalifikuje się już do poważnego działu Lajfstajl, a nie do rubryczki Kultura, której bohaterowie sprzedają swoje książki i rzeźby za drobne.

— Ale może mimo wszystko będzie skandal? — spytała z nadzieją, nie bardzo wiedząc, o co jeszcze zapytać.

— Skandal to by był, jakbym namalował Europie złotą cipę! — wypalił nagle Pablo. — Tak odpowiedział redaktor z TVP mistrz Starowieyski, kiedy go zapytała, czy obraz, który namalował dla polskiego przedstawicielstwa przy Unii Europejskiej, nie jest skandalizujący. *Divina Polonia rapta per Europa profana* się ten obraz nazywał i nawiązywał do mitycznego porwania Europy, zatem boska Polska, którą porwała bezbożna, świecka Europa, musiała być naga! Wszystko może być skandalem i każdy skandal może się okazać czymś zwyczajnym, pospolitym i niegroźnym. Skandal to by był, gdybym nazwał rzeźbę „Pękła mi gumka”, bo mnie zainspirował moment, w którym Krychowiakowi w trakcie meczu pękła gumka do włosów, które mu się rozsypały, i pomyślałem, że to piękny obraz, metafora. — Słowo „metafora” nieco zatrwożyło redaktorę, ale kolejne już znała. — Memy z tego powstały... — kontynuował Pablo, a Paula Sobótka odetchnęła w duchu, ale tylko na chwilę, bo wszystko zaczęło się komplikować. — Memy... — powtórzył i zamyślił się. — Ale ja podszedłem do tematu poważnie, spodobała mi się wizja przystojnego Jezusa — reprezentanta Polski, jednego z nas, wybrańca. W pewnym sensie to zwieńczenie procesu rozpoczętego w 1937 wizją Rozalii Celakówny, w której Jezus poinformował służebnicę Bożą, że chce być ogłoszony Królem Polski. No i u mnie się to materializuje, można powiedzieć.

Reporterka nie miała pojęcia, czy Pisarski się z niej nabija, mówi serio, czy może zwariował i za chwilę zaprosi ją do wspólnej modlitwy.

— I nie chodzi mi o skandal — powiedział niby spokojnie, ale z błyskiem w oczach, jaki widziała tylko raz, u byłego ministra obrony narodowej. Tak, to te same oczy i podobny stan ekscytacji! — Chodzi o zderzenie postaci pięknego Zbawiciela — ciągnął artysta. — Bo Bóg w ujęciu Platona jest Bogiem dzięki zespoleniu *nous* i dobra, dlatego powierzchowności użył mu przystojny Polak. Dla Platona Bóg jest Bogiem, bo to istota, która zawiera w sobie dobro i umysł, tymczasem ja zderzam tego dobrego Boga z brutalnym przekazem zapisanym w Ewangelii, stąd dół szaty jest skąpany we krwi. Istotą boskości jest dobro, ale...

Wydawało się, że Pablo jeszcze coś powie, ale on zamilkł i zaczął grzebać po kieszeniach spodni, z których wyciągnął scyzoryk, a chwilę później podniósł z podłogi kawałek drewna. Zupełnie nieskrępowany obecnością dziennikarki obejrzał go, zamruczał coś z wyraźnym zadowoleniem i zaczął pracowicie strugać, jakby nie miał wywiadu, jakby nie nagrywały go kamery.

Od początku Paula Sobótka czuła pewien niepokój, bo nie znała się na sztuce współczesnej, a ten rzeźbiarz to nie był ktoś przewidywalny jak Zanussi, Mróz czy Rodowicz, to był freak, jak ten Althamer, który wyrzeźbił prezydenta Kaczyńskiego w brzozie. Ale dali jej to, bo robiła kiedyś materiał o tym, że Grzegorz Krychowiak stworzył w Warszawie, przy Mokotowskiej, salon krawiecki Balamonte, i rozmawiała z gwiazdą programu „Żona dla farmera”, która tknęła gobeliny, no i przecież sama zdawała kiedyś na design, ale okazało się, że trzeba mieć jakąś taczkę. Tak czy owak, tematy się zazębiały, a ona, można powiedzieć, jako ekspertka łącząca światy mody, celebrities i sztuki została wysłana na rozmowę z successful rzeźbiarzem.

Chciało się jej krzyżeć, bo nagrała parę minut tego gładzenia, i czuła, że każde kolejne pytanie będzie wtopą, że to on przejmie inicjatywę, że ten potężny facet wykończy ją jak Sigourney Weaver Wędzikowską. Aktorka zapytała dziewczynę ze śniadaniówki o jakiegoś Grotowskiego, a ona biedna nie wiedziała, kto to, i zrobiła się gównoburza, jakby było o co!

— Niech mnie pani o filozofię zapyta. — Artysta potwierdził jej najgorsze obawy. — Bo ja od lat studiuje filozofię — uśmiechnął się jak jakiś sadysta, który zadał ranę, wsadził w nią palec i kręcił w niej zapamiętale.

— Studiuje pan filozofię? — Paula zatrzepotała rzęsami, modląc się o to, by z oczu nie popłynęły jej łzy, ale zdołała pogłębić swe pytanie. — Dlaczego?

— Bo lubię — odpowiedział Pablo, nie przerywając strugania.

— Bardzo pan lubi?

— Bardzo, bardzo — odpowiedział, jakby wcale go to nie interesowało, dalej strugając scyzorykiem, po czym nagle z dziecięcym ożywieniem powiedział: — Ten konflikt między

Antystenesem i Platonem to takie niezwykle! — Znow nie chwyciła, czy mówi to serio, czy nie wciąga jej w pułapkę, przecież nie miała pojęcia, czy to prawdziwe postacie, Platon tak, a ten Anty...? Tymczasem artysta ciągnął, nie przerywając strugania: — Przecież obaj byli uczniami Sokratesa. Antystenes uważał, że Sokrates był blisko praktyki życia, a Platon w gigantyczny sposób rozbudował Teorię, która go pochłonięła bez reszty i jakby oderwała od tego pierwszego impulsu, jaki wniósł do filozofii Sokrates, z Rysiem Grzybem, kolegą malarzem, o tym teraz dużo rozmawiamy, w przerwach treningu karate, bo on jest moim senseiem. Bardzo ciekawy jest ten ich konflikt, prawda?

Była ugotowana, mogła się tylko głupio uśmiechać i udawać, że wszystko jest OK. Nie było. Siedziała na bombie, nie miała nic, nie potrafiła do niego dotrzeć, bała się zadać jakiegokolwiek pytanie.

— Pawle! — Z czeluści pracowni odezwał się dźwięczny, kobiecy głos. — To nie wywiad na żywo, więc mogę przerwać. Filozofią będziesz panią redaktor zanudzać, gdy opowiesz o swoich pracach i planach. Zrobimy krótką przerwę, uporządkujemy ten chaos. — Przemowie towarzyszyło coraz mocniejsze motywująco-poganiające klaskanie w dłonie. Ta hekza, hetera, cholera już tu była. — Panie Zdzisławie, czy może pan podać kawy!

Stała nad nim Wanda Nałęcka-Ludwig, mająca bojowo założone ręce i jak zwykle nadmiar energii i rezerwuar niebezpiecznych pomysłów.

— Dla mnie cortado, a dla państwa? — zapytała.

Dla gości było to pytanie, dla niego — rozkaz. Każde wypowiedziane przez nią słowo przewiercało go na wylot, a każde kolejne, którego się spodziewał, budziło trwogę. Wanda dwojga nazwisk Nałęcka-Ludwig była osobą, która spędzała Zoltarowi sen z powiek. Irytowała go. Zamęczała. Groziła mu. Końcem świata, jaki znał, mu groziła. Chciała zdewastować życie, które z takim trudem sobie ułożył. Zrozumiał to bardzo szybko, gdy tylko pojawiła się w pracowni, z miejsca zapaliła mu się lampka ostrzegawcza.

Pamiętał, kiedy pierwszy raz przyjechała do pracowni. Dobrą furą zajechała, audi ósemką, i z szoferem! Koło czterdziestki albo tuż po niej, a może i sporo po niej, cholera wie. W wieku nieokreślonym, niebezpiecznie zgrabna i zadbana, ubrana oficjalnie, w ciemny kostium, pantofle na wysokim obcasie, te z czerwonymi podeszwami. Na nosie miała czarne okulary, była perfekcyjnie uczesana, wyglądała jak bizneswoman albo prawniczka z amerykańskiego filmu. Pojawienie się takiej kobiety w filmie to pewne kłopoty, jak się okazało — w życiu też.

Przedstawiła się i od razu zaczęła wchodzić na wysokie obroty. Że jest umówiona, czy Paweł jest i tak dalej. Niby wszystko grzecznie, ale z jakimś nerwem, który budził jego niepokój. Kiedy się dowiedziała, że będzie za kwadrans, to rozglądała się, chodziła, chciała zwiedzać pracownię, jakby przyszła kupować. Pablo uprzedzał go, że przyjdzie kolekcjonerka, ale ta wyglądała na kogoś, kto chce kupić wszystko, włącznie ze ścianami.

— Co jest na górze? — zapytała, zbliżając się do schodów na antresolę.

— Tam jest moja sypialnia — wyjaśnił Zoltar.

— Sypialnia? — Zmarszczyła czoło ze zdziwienia.

— Tak, sypialnia. — Cholera, powinien powiedzieć pokój, ale tak naprawdę to urzędował w całej Manufakturze, a tam tylko spał, biurko, przy którym pracował, stało na dole.

— Pan tu mieszka? — Jej dociekliwość była wkurzająca.

— Można to tak nazwać, bo tu nocuję — powiedział mniej pewnym niż na początku rozmowy głosem.

— Czyli że — próbowała określić status Zoltara — jest pan... zarządcą pracowni? — Użyła słowa „zarządca”, ale wymówiła je tak, by znaczyło cieć.

— Raczej rezydentem. — Zoltar sam nie potrafił określić, kim tak naprawdę jest i co robi, a skoro on sam miał problem, to jak to wyjaśnić jakiejś obcej kobiecie? Pięknej, sztywnej bizneswoman, która kolekcjonowała sztukę, a może miała swoją galerię? Nieważne, ważne, że nie musiał jej tłumaczyć, kim jest.

— Czy mogę zobaczyć prace?

— Tak, oczywiście. — Zoltar mógł powiedzieć, że to pracownia, a nie galeria, tak by zrobił Pablo, gdyby wszedł tu ktoś wyglądający na poważnego kupca ze środkami. Ale jakby przyszli jacyś studenci, artyści za dychę, jacyś obszarpańcy, toby ich tu wszystkich wpuścił. Za to, kiedy pojawiał się ktoś, kto wyglądał na kupca, to zaraz się usztywniał. Kompletnie bez sensu!

Zdzisław doceniał siłę marketingu, czuł unoszący się od tej kobiety nie tylko zapach perfum, ale i wielkich pieniędzy. Przez tyle lat dawał Pablowi wykłady na ten temat, chciał go czegoś nauczyć, ale gdzie tam, dupa zbita, i tyle! Jestem artystą, marszandzi, kolekcjonerzy i krytycy mnie wkurwiają, sztuka obroni się sama i takie tam pierdolenie. Tworzył, wystawiał, był sławny, zarabiał, ale nie tyle, ile by mógł! To można było od ręki podwoić, a przy pewnych korektach nawet potroić. Ile razy Pablo nabroił, a on ratował sytuację?

Ale nie tamtego dnia. Wtedy wszystko było na opak. Bizneswoman wzbudziła w nim wielką trwogę, gdyby nie to, że była umówiona, toby ją jakoś wypchnął. Ale nie mógł, Pablo dzwonił, że jedzie, i prosił, żeby jej nie zniechęcać, bo to znajoma jego kumpla i generalnie to mu się z nią nie chce spotykać, ale kumpel prosi, a kumple to grunt. Wiadomiks.

Przyjechał Pablo, gadka szmatka, dość kwadratowo to wyglądało, bo kolega artysta był jakiś taki przytłumiony, pewnie by ją zbył, ale kumpel prosił, więc się wzbił na szczyt entuzjazmu, który mógł okazać tym, których mniej lub bardziej lubił, i posmęcił jej o swoich pracach, a ona chyba to wyczuła. Energia uszła z niej jak z akumulatora na mrozie i wydawało się, że alarm był przedwczesny. Coś tam zapisała w notesie, wypila kawę, po czym zwinęła żagle, no i to by było na tyle, kolejna kolekcjonerka odbiła się od ich pracowni.

Ale gdzież tam! Wróciła za tydzień, wparowała nieumówiona i jak zadzwonili z portierni, że jakaś pani, co tu była tydzień temu, chce wjechać samochodem, a on zobaczył, co to za pani, to już czuł, że może być niedobrze. Podwójnie niedobrze. Raz, że się nie zniechęciła, dwa, że zrobiła rzut na taśmę. Pierwszym razem była limuzyną z kierowcą, a za drugim wbiła się kabrioletem. Wtedy ubrana dość formalnie, a tym razem we włoskich dzinsach, których

stylista długo kombinował, jak mają być wytarte i podziurawione, w czarnym, nieco rozciągniętym swetrze i conversach, a całości dopełniała lekko roztrzepana fryzura. To ona się dostosowała do niego, ewident jak w mordę strzelił, ubrana była jak siostra Pabla!

No i tym razem coś zatrybiło, tym razem to nie było srete Nefretete z kawką. Z godzinę rozmawiali, a na koniec Pablo odprowadził ją do kabrio i osobiście otworzył drzwi. Kurwa! Ten dżentelmeński popis wcale się Zoltarowi nie podobał, dzwonek alarmowy przeciągle dawał o sobie znać.

Czy był zazdrosny? No jasne. Co go łączyło z Pablem? Wszystko. A dokładnie? Pablo utrzymywał go przy życiu. Jakiś czas temu Zoltarowi powinęła się noga i teraz kumpel z liceum był jedyną osobą, która się od niego nie odwróciła, a Radykalna Manufaktura Sztuki – ostatnią bezpieczną przystanią.

4.

Manufaktura to było kilkanaście ostatnich lat życia Zoltara, który był podczepiony pod artystę jak wagonik pod lokomotywę. Z historycznego punktu widzenia była to zamiana miejsc. W liceum to Zoltar kręcił karuzelą, miał forszę i inicjatywę. To on z Pawła zrobił Pabla. Wielkim erudyta nie był, ale jak zobaczył go w marynarskiej koszulce, jaką nosił Picasso, to zarządził, że będzie się o nim mówić Pablo albo Pikassiak. On z kolei od dawna był Zoltarem.

Ta ksywka ciągnęła się od podstawówki i z początku była obciachowa, ale on, jak by to napisali komentatorzy ekonomiczni, potrafił odwrócić niekorzystne trendy. Najpierw się spinał, bo być Zoltarem to było, jak zostać sierżantem Garcia z „Zorro”, ale to akurat przytrafiało się grubasom, a on gruby nie był. No i kaliber postaci był inny. Bo Zoltar to gość z katalogu naprawdę czarnych charakterów, krzyżówka Lorda Vadera z „Gwiezdnymi wojen” z Brunnerem z „Klossa”. Przykleił się do niego jesienią osiemdziesiątego roku, zaraz po strajkach i po tym, jak Wałęsa dogadał się z wicepremierem Jagielskim jak Polak z Polakiem.

Dla dorosłych była wtedy Solidarność, a dla uczniów z podstawówek – „Wojna planet”, czyli po prostu „Załoga G”. Japońska kreskówka, w której nie było nudy jak z kosmonautą Hermaszewskim, tylko kolorowe statki kosmiczne, tajemnicze planety, potwory i kosmiczne bitwy. Międzygalaktyczna awantura jak w „Gwiezdnym wojnach”, ale mająca tę przewagę, że Star Warsy wystrzeliły raz i żeby je obejrzeć, trzeba było iść do kina, a „Załoga G” była w „Teleferiach”. Wszyscy darli się „trans-for-mac-jaaa” i biegali jak szaleni, wszyscy chcieli być w załodze, nikt w zespole złych.

Tak jak wcześniej to było z Klossem i Brunnerem, Czterema Pancernymi i szwabami, z pułkownikiem Dowgirdem i kapitanem Knothe. Najczęściej goniło się więc wymyślonego wroga, ale było tak do czasu, kiedy w czasie szalonej gonitwy po tylnej klatce schodowej szkoły tysiąclatki, stojąc na schodach i rozpościerając nonajronowy fartuszek jak płaszcz, Zdzisiek krzyknął: „Jestem Zoltar ze Spektry!”. Zrobił tak, bo Piotrek zarezerwował sobie postać Orła Kena, a jego brat bliźniak Marcin obwołał się Kondorem Joe. Bracia Łabędziewscy jak zwykle ustawili zabawę pod siebie, więc nie pozostało mu nic innego, jak zostać liderem konkurencji. W kreskówce Załoga G wygrywała ze Spektrą, ale w ich podstawówce nie, bo Zdzisiek-Zoltar odwrócił trendy. Tak czy owak, lepiej było być Zoltarem niż Zdziśkiem!

Tak jak teraz rodzice karzą dzieci imionami Dżesika, Alan, Faustyna czy Jan Paweł, tak wtedy robili krzywdę oldskulowymi Jankami, Marynami, Stefaniami i Zdziśkami. Rządziły Beaty, Anki, Baśki, modni byli Zbyszkowie, Adasie i Wojtusie. A on był Zdziśkiem, bo tak na imię miał przedwcześnie zmarły ojciec jego matki. Dokładnie tak – ojciec matki, a nie dziadek, bo dziadka się zna, a on takiej okazji nie miał. Zawsze miał porąbane życie, w końcu był dzieckiem stanu wojennego i pamięta wstrząs, jakim było dnia trzynastego grudnia roku pamiętnego pozbawienie dzieci „Teleranka”.

Często wracał w myślach do zimnego poranka, w którym zamiast kreskówek pokazywali generała w czarnych okularach, miał wtedy dwanaście lat. Stan wojenny go zaskoczył, ale transformacja już nie.

Poszedł na pedagogikę, bo nie był to specjalnie obciążony kierunek, a jego ambicją nie było uczenie dzieci, tylko zabezpieczenie się przed służbą wojskową i wyjazdy handlowe. Uczył się tylko na pierwszym roku, a później wszedł w rajski ciąg dziekanek i urlopów zdrowotnych, co ta za sztuka, załatwić wyjazd do sanatorium, które skutecznie chroniło przed powołaniem do wojska, zapewniało pieczętkę w dowodzie, zniżki na przejazdy i dawało czas na niczym nieskrępowaną działalność biznesową.

Kiedy zaczynał w roku 1988, czyli jeszcze w liceum, jak tylko osiągnął pełnoletność, takich jak on nazywano w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej handlarzami, wkrótce potem w III Rzeczypospolitej ludzie prowadzący wymianę handlową, dobrodziej przywożący kolorowe ubrania, proszki do prania, cytrusy i spirytus zyskali dumne miano biznesmenów.

Zoltar studiował na niby, a zarabiał naprawdę, odwrotnie było z Pablem. Ten do studiowania, czyli tych wszystkich swoich dłubanin, się przykładał, i to podwójnie. Szarpał się między rzeźbą i malarstwem, ubabrany był po pachy, nie miał czasu na żaden porządny zarobek. Zoltar miał już pierwsze auto osobowe, a chwilę później dostawczaka, i oferował Pablowi miejsce w ekipie, która handlową turystykę przekształcała w złoty interes. „Z tego nie będzie pieniędzy, skończysz w nędzy, ogarnij się!” – powtarzał w kółko, ale Pablo żył w swoim świecie.

Z czasem dostawczak urósł i był nowszy, potem były już dwa, dorobił się ciężarówki i hurtowni. Pewnie by przestał to wszystko ogarniać, ale związał się z Anną, atrakcyjną studentką ekonomii, która jednocześnie została jego główną księgową. Od tego czasu szło jak w „Dynastii”, z dnia na dzień stawali się polskimi Carringtonami. Szybki samochód, willa, wycieczki. Wesele jak w amerykańskim filmie.

Nieustannie piął się w górę, a wszystko dzięki sprytowi, kolegom, informacjom i jednemu z pierwszych telefonów komórkowych. Został pionierem giełdy. Leżąc na sopockiej plaży, przez komórkę załatwiał transakcje; Bank Śląski i inne złote strzały... Anna brzęczała za uszami, że czas się wycofać, że jest ekonomistką i że ta hossa stanie się bańką, która pęknie i ogołoci inwestorów.

Pieprzyła, i tyle, zamiast zajmować się dzieckiem. Bo urodziła im się córeczka i liczył na to, że Anka przestanie go strofować. Gadała i gadała, a jego konto pęczniało. Poważnie myślał o zakupie samolotu albo helikoptera, robił kurs lotniczy, latał parolotnią.

I nagle wszystko się zesrało. Obwiniął za to Annę, z którą, gdyby nie pewne kłopoty, które określał mianem organizacyjnych, wzięłby rozwód, a wyszło tak, że to ona go ze sobą rozwiodła, zostawiła na lodzie, kupiła sobie dom za granicą, żyła jak rentierka, kiedy on zaczął ucieczkę przed całym światem.

Ukrywając się przed listą ludzi tak długą, że wyszłaby z tego książka telefoniczna całkiem niemałej miejsciny, Zoltar wylądował w poprzedniej pracowni Pabla. Był już uznanym twórcą, spadły na niego wszystkie zaszczyty i triumfy, wyróżnienia, tytuły, ambasadorstwa, paszporty, a nawet odznaczenie z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Tymczasem pracownia wizytówki polskiej sztuki, jak pisano niemal wszędzie, a Hubert Leszczyński z magazynu „Rzeźba” przebił wszystkich, nadając mu tytuł ambasadora nadzwyczajnego i pełnomocnego rzeźby polskiej, mieściła się, jak napisała Linda J. Rotfeld z „New York Timesa”, w miejscu dalekim od wszystkich skojarzeń z głęboką filozofią, wrażliwością i wysublimowaniem, jakie niosła za sobą sztuka Geniusza z Warszawy.

Linda J. Rotfeld nie rozpisywała się więcej, za to dała zdjęcia z pracowni i jej okolic. Dwadzieścia lat temu warszawska Praga budziła jeszcze u wielu grozę, a sam pobyt niektórzy turyści odhaczali w swych notesach jako *must see*, obok zwiedzenia Harlemu i faveli w Rio. Traf chciał, że zaraz po wizycie recenzentki z „NYT” wizytował pracownię Pabla Angus McMillan z „Guardiana”, który przypadł artyście do gustu bardziej niż pani w eleganckim płaszczu. Linda bała się ubrudzić swoją garderobę i drżała o to, czy schody prowadzące na strych się nie zawałą. Była jak postać z manhattańskich filmów Woody’ego Allena, tymczasem Angus był swojakiem i wyglądał jak uciekinier z planu „Trainspotting”. Był zresztą Szkotem, który czytając wywiady z Pablem, dowiedział się, że podczas wizyty w Glasgow artysta opuścił hotel i poszedł

w kierunku morza, przed siebie, tam, gdzie kierowała go busola jestestwa.

Nastąpiło to po solidnym melanżu, który odbył się po wernisażu. Nie przespał wtedy nocy, ruszył o świcie i po dwóch godzinach marszu wzdłuż brzegu rzeki Clyde dotarł do miasteczka Clydebank, gdzie trafił do pubu. Był zmęczony w każdym tego słowa znaczeniu, a dawali tam, jak na pub przystało, piwo. Bardzo mu się tam spodobało, zawarł znajomość z autochtonami, którzy, kiedy już wędrowiec postanowił wyruszyć w podróż powrotną, tym razem ledwie półgodziną, bo pociągami, postawili mu kolejkę whisky z miejscowej destylarni. „Bardzo mi smakowała, niestety, nie pamiętam, jak się nazywała” — powiedział w wywiadzie, choć tak naprawdę nie chodziło o smak, bo za whisky nie przepadał, ale o sam gest Szkotów.

Angus wiedział, że chodziło o produkt z destylarni Auchentoshan z przedmieść Clydebanku, wparował więc do jego pracowni z butelką tego właśnie trunku. Zaczął dobrze, jak swojak, i miał jeszcze jeden atut. Pablo nie za bardzo tolerował krytyków sztuki, a Angus McMillan nim nie był. Pracował w dziale opinii, pisał o sprawach społecznych, a do Warszawy przyjechał, żeby napisać reportaż o nowej stolicy w Unii Europejskiej. Zbliżał się maj roku 2004 i Polska miała się stać częścią organizmu, do którego należała Wielka Brytania.

Opis Pragi i pracowni artysty zrobił furorę, zwłaszcza wzruszająca historia o bezdomnym, którego przygarnął artysta. Ów człowiek, na zdjęciu zarośnięty jak zbój Rumcajs i w czapce bejsbolówce, odwdzięczał się artyście, wnosząc na górę węgiel do piecyka i wodę w wiadrach, bo na strychu nie było bieżącej wody. Kran i kibelek znajdowały się piętro niżej. Tym bezdomnym był oczywiście Zoltar, który już od roku tkwił w ruderze między Stalową i Strzelecką. Barwny opis okolicy, „która była oddalona o ledwie kilkaset metrów od warszawskiego Kreuzbergu, Montmartre i Brooklynu. To tylko niespełna dziesięć minut spaceru od ulicy Inżynierskiej i słynnej już kamienicy Towarzystwa Akcyjnego Przechowywania Mebli A. Wróblewski, która została zamieniona w prawdziwe centrum nowej polskiej sztuki, a tak naprawdę przejście z odległej planety na

orbitę Warszawy, której jądro stanowi pamiątka po Stalinie, Pałac Kultury i Nauki”.

Wybuchło coś, co dzisiaj z pewnością zdefiniowano by jako typową gównoburzę, a dla starszych było klasycznym przykładem sprawy załatwianej w stylu od Annasza do Kajfasza. Artykuły cytowała krajowa prasa, nadając relacjom Rotfeld i McMillana rangę międzynarodowego skandalu, wielkiego wyrzutu sumienia i symbolu działań krwiożerczego kapitalizmu, który walcem transformacji dojechał nie tylko PGR-y, ale i sztukę, i oświatę. Z kolei liberałowie bronili się, że to prawica sekuje artystów o niezależnych poglądach.

Gorąco zrobiło się w mieście i w Ministerstwie Kultury. Oskarżano się wzajemnie o fatalną politykę lokalową, o brak zainteresowania losami artystów, zrobił się mały skandal i zaczęto szukać miejsca na nową pracownię dla ambasadora-wizytówki-symbolu polskiej sztuki.

Tak po prawdzie Pablo miał to w dupie. Jemu się tam podobało, tak naprawdę problem miał nowy lokator, czyli Zoltar. Jego pojawienie się sprawiło, że Pablo zapomniał o niedogodnościach, jakimi było noszenie wody i węgla, sprzątanie oraz utrzymywanie dobrych relacji z sąsiadami. Coś, co miało być epizodem, stało się wielomiesięczną epopeją, a wszystko za sprawą podwójnego oszustwa. Zoltar oszukiwał siebie i Pabla, że to tylko na moment, a miasto i ministerstwo kłamały, że nową lokalizację załatwią od ręki.

W międzyczasie Pablo zarobił konkretne pieniądze i nawet chciał coś kupić albo zbudować, ale czekał, bo mu obiecywano. Złośliwi mówili, że zwolniło się miejsce na Inżynierskiej, ale Pablo uznał, że ta ulica jest za mała dla niego i Althamera, Żmijewskiego, Kozyry i Górnej. Nie była to prawda, bo się z nimi znał i nadawał na podobnej fali, po prostu nie chciało mu się zmieniać Pragi na Pragę. W końcu pokazano lokalizację, rudere, która była kiedyś Manufakturą Wyrobów Żelaznych Fishermana i Rozłuckiego.

— To miejsce ma duszę — krzyczeli miejscy urzędnicy, którym jak rzadko kiedy towarzyszyli chórem varsavianiści i aktywiści miejscy.

— Jeśli to miejsce ma duszę — powiedział Pablowski Zoltar — to znaczy, że jest to dowód na śmiertelność duszy! — Wzbił się na

wyżyny, a Pablo skwitował to słowami, żeby nie pieprzył, bo to miejsce jest święte. Pogięło go!

— Manufaktura Wyrobów Żelaznych Fishermana i Rozłuckiego to miejsce z tradycją, świetnie skomunikowane z resztą dzielnicy i miastem, i ma ogromne możliwości — pili na przemian przedstawiciele miasta i dzielnicy, w tym baba, która sobie na tym rumowisku urwała obcas.

Owszem, dawała możliwości, ale przede wszystkim urobienia się po pachy i wydania mnóstwa pieniędzy. Miasto nie miało bowiem kasy, a do tego obiekt był pod opieką konserwatora zabytków i był starą, nadającą się, zdaniem Zoltara, ruderą wyłącznie do zburzenia. Wystarczyło spojrzeć na tę ruinę, by zrozumieć, że będą z tego jedynie same problemy, ale Pablo najwyraźniej lubił problemy i bezapelacyjnie kochał Grochów.

I to był problem. Zoltar ostrzegał go, że to tylko dzierżawa, że pakuje się w niezłe gówno, bo nie ma wszystkich papierów w ręku, a nie ma droższych remontów niż te, które odbywają się w budynkach, które ma pod opieką konserwator zabytków, za którego plecami szaleją varsavianiści, ruchy miejskie, cała zgraja ludzi rzucających kłody pod nogi i ze skłonnością do wydawania cudzych pieniędzy.

Nic z tego. Pablo oszalał. Chciał jak swój imiennik Althamer mieć swoją dzielnicę, swoich ziomali. Paweł Althamer osiadł na Bródnie i tam chciał założyć Park Rzeźby, a Pablo miał idée fixe, żeby z ruiny zrobić Radykalną Manufakturę Sztuki. Miejsce, gdzie nie tylko miałyby pracownię, ale także zgromadził wokół siebie interesujących ludzi, których określił mianem Republiki Marzeń.

Studnia bez dna.

Bankructwo.

Zgroza!

Zoltar wiedział, i to bardzo dobrze, o liczeniu pieniędzy, jak sam mówił, lepiej niż kto inny, więc biznesplan Manufaktury budził jego sprzeciw. Nie miał jednak nic do powiedzenia, mógł się tylko przyglądać nadchodzącej katastrofie. Ta jednak nie nadeszła. Pablo miał kilka trafień, zarobił pieniądze, które zamiast korzystnie ulokować, zainwestować, kupić coś realnego i funkcjonalnego,

ładował w Manufakturę. Jedyne pożytkiem dla Zoltara był taki, że od początku był tam rezydentem, miał własny pokój, porządną łazienkę, mógł zaśpiewać jak wesoły Romek, że ma „światło, gaz”, ale wokół trwała rozpiechu. Kiedy pracownia Pabla, bez dwóch zdań jedna z najlepszych w Warszawie, była już gotowa, to w pozostałej części postępował mozolny remont zabytkowej ruiny.

Zoltar zachęcał Pabla do wstrzymania robót, przeciągania wszystkiego ze względów praktycznych w niekończącą się budowę, w czym mistrzami byli przedstawiciele krajów bałkańskich i Turcy, bo i tak to, co najważniejsze – pracownia, na tyle wielka, że można było wydzielić część na galerię, oraz miejsca do spania dla Zoltara oraz dla Pabla, jeśli skończyłby późno pracę, były gotowe. Reszta to było wywalanie pieniędzy! Miał nawet chytry, przebiegły plan wzorowany na licznych doświadczeniach z Zakopanego i Konstancina: mała katastrofa budowlana i sprawa z głowy. Jakby już chciał koniecznie coś tam dłużyć, to mógłby po taniości wywieźć gruz i dobudować coś nowego. Ale nie, uparł się, i już.

Dekada życia na budowie, pieprzenia się z detalami i w końcu, jak napisał wielbiący ruchy miejskie redaktor z ogólnopolskiej gazety, Radykalna Manufaktura Sztuki otwarta, Paweł Pablo Pisarski zaprasza twórców chcących tworzyć Hub Artystyczny. Pierwsze lokale czekają na niezależnych artystów, rzemieślników i innowatorów. Czysze? Rozsądne!

Zoltar mało nie dostał zawału, bo już obliczał, ile można brać za każdy z lokali, a tu jakiś dupek pisze o rozsądnych czynszach! Okazało się, że pismak przyniósł te „znakomite wieści” (kurwa, czy oni wszyscy muszą używać teraz słowa „wieści”?) z Zachęty. Pablo uczestniczył w jakiejś zbiorówce czy innej przekrojówce, zjeździe wariatów takich jak on, których tam zaprosił ze swoimi pracami czubek jeszcze większy od nich, czyli kurator.

Zanim ochłonął po przeczytaniu artykułu, na dziedziniec Manufaktury wbił się jakiś furgon, z którego wysiadła parka płci obojga wytatuowana, jakby wrócili z Papui, gdzie tubylcy zrobili festiwal dziar i udzielali na swoje dzieła korzystnego rabatu, włącznie z wpakowaniem kolczyka w nos. Fryzurę dziewczyny można by określić jako całkiem normalną, dłuższe włosy z grzywką, ale

pokryte kolorowymi pasemkami. Z kolei Hendrix wyglądał tak, jakby jego głowa odbyła podróż we wczesne lata dziewięćdziesiąte: spod czapki truckerki, bejsbolówki ze sztywnym przodem i tyłem z przewiewnej siatki, wystawała pletwa będąca znakiem rozpoznawczym fryzury na czeskiego piłkarza, a pod nosem prezentował się wąsik.

Zoltar uznał, że trzeba im powiedzieć, że tu się nie zwiedza, koniec wycieczki. Nie zdążył jednak zaaplikować kulturalnej wypierdziochy, bo pojawił się Pablo, który z miejsca przywitał się z gośćmi, jakby się znali od lat. Okazało się, że poznali się wczoraj, na tej samej imprezie, z której wstrząsające znakomite wieści przekazał ten cymbał z gazety.

Ala i Hendrix, bo tak się nazywali, faktycznie byli muzykami i wprowadzili się do pomieszczeń, które Zoltar, w swych biznesowych planach, o których opowiadał Pablowi, ale ten najwyraźniej go nie słuchał, chciał przeznaczyć na skład win i knajpę, zrobić tu drugą Burakowską, gdzie w starej fabryce koronek kwitły biznesy gastronomiczne. Zobaczył, jak świnia niebo.

5.

Do tej pory tułali się po studiach i studyjkach, wynajmowali jakieś kąty, próbowali stworzyć coś na dwóch squatach. Po paru latach możliwości się wyczerpały. Żeby się rozwijać, nie przenosić się w kółko z gratami, wreszcie dokupić sprzętu i co najważniejsze, mieć miejsce na to, co najpiękniejsze, granie *live to tape*, na żywo, ale w studiu, potrzebowali przestrzeni. Wydawało się, że bliżej im będzie do zrealizowania planu, absolutnie szalonego i pojechanego, by stworzyć studio w Afryce. Było naprawdę blisko! Należeli do kolektywu muzyków Polska-Africa, Africa-Polska, którzy zbierali instrumenty muzyczne dla dzieciaków z Afryki, a zwieńczeniem miało być zbudowanie tam studia i nagranie płyty z muzykami, którzy swoje pierwsze kroki stawiali na instrumentach z Polski. Utopia, która nabierała realnych kształtów i przewidywalnej daty: wiosna 2024.

Afrykański projekt stawał się ciałem i coraz mocniej, poważniej i bez podśmiejek, rozważali pomysł, by rzucić w cholere nadwiślańską szarugę i wynieść się do Afryki, przynajmniej na jakiś czas. Ale zdarzył się cud, bo poznali Pabla, jak to w życiu, przypadkiem. Poszli do Zachęty, a dokładniej wbili się na wernisaż, na który nie byli zaproszeni, ale jak to powiedziała ich koleżanka, studentka ASP — wyglądali na bywalców, a nie na takich, którzy przyszli opierdolić parę kanapek i wypić nie najwyższych lotów, ale jednak skutecznie działające na jestestwo, wino. Był to wernisaż, podczas którego prezentowano prace Pabla, o którym jeszcze nie wiedzieli, że jest Pablem. Dla nich nie był wtedy kumplem, tylko światowej sławy artystą Pawłem Pisarskim, o którym coś tam słyszeli, ale osobiście nie znali.

Podszedł do nich i sam zagadał:

- Projekt będę robił. Muzyczny.
- Skąd pan wie, że gramy?
- Bo tak wyglądacie, przecież targasz gitarę!

No tak, Hendrix zapomniał, że gitara w pokrowcu, który się nosiło jak plecak, była na jego grzbiecie i że, cholera, przyrosła do niego tak, że nie zauważał jej nie tylko on sam, ale i szatniarz Zachęty, u którego trzeba było deponować wszystkie torby i plecaki. Tego, że stale ma przy sobie gitarę, nie zauważał, bliskość instrumentu, który zrósł się z nim w całość, była czymś tak oczywistym jak to, że się ma rękę, głowę albo nogę, a dopiero jak ich nie ma, to się czuje, że jest coś nie tak.

Pablo jestem!

Przedstawili się i zaczęli opowiadać:

- Mamy studio i gramy różną muzykę, a wyprodukować możemy każdą dobrą...
- A niedobłą?
- Jak niedobłą?
- Zupełnego kasztana, na przykład disco polo albo country?
- Dla żartów?
- Nie, dla jaj.
- Czyli dla żartu — odetchnęła.

— Nie, no kurczę, dla jaj to na poważnie, wiesz, to jak w tym kawale o kogucie i kurze, pieprzymy się dla jaj czy tak dla żartów?

Niezły ekscentryk!

— Wiesz, ja ich szanuję, to trzeba tak umieć. Marek Kondrat to była podróba, tak jak Rodowicz z punk rockiem. — Widząc zdziwienie na twarzach, wyjaśnił: — Miała takie wcielenie, Różowe Czuby i numer „Dentysta sadysta”, napisał to Bielas z Łodzi i było to ogólnie w porządku, bo Jacek „Bielas” Bielański to w porządku gość, cudownie pojechany, ale jednak to był pastisz, tak jak ten Sławomir. Gra disco polo, ale takie dla frajerstwa z wielkich miast, oderwanych od korzeni. Rootsowa publiczność z Sokółki i Żuromina wychwyci fałsz, tak jak starzy rockmani od razu obczajają, że COMA to aktorska kreacja. Ale są wyjątki, na przykład Plastic Bertrand.

— Plastic Bertrand?

— „Ça Plane Pour Moi” — kojarzycie? — Pablo zagwizdał melodię.

— A tak, fajny numer, punkowa klasyka, Sonic Youth zajebiście to zagrali, z polskich bandów to Sexbomba jedzie z tym na koncertach! — powiedział Hendrix. — Serio to był pastisz?

— Serio. — Pokiwał głową Pablo.

— Nie wiedziałam, że on tak... — dodała Ala.

— No tak, on tak dla jaj, ale tak się wcielił, że został klasykiem punk rocka. A ja tak właśnie chcę pojechać z disco polo. Chcę zostać... O kurwa, tak, tak, yes, yes, yes!!! — Nie wiedzieli, o co chodzi, ale Pablo był jak piłkarz, który trafił do bramki w doliczonym czasie gry. — Chcę zostać Zeligiem muzyki! Tak, mam nazwę projektu: Zelig muzyki! Jak ten bohater z filmu Woody’ego Allena, chcę się wcielać, ale tak do spodu, do miazgi, ja chcę być chłopakiem z Podlasia, jak śpiewam disco polo, a jak trzeba, to starym punkiem!

Spojrzała na niego krytycznie.

— I starym Murzynem, który śpiewa funky?

— No mniej więcej. Ale coś ci nie pasuje, prawda?

— Tak, nie pasuje mi disco polo.

— Bo co? Bo chujowo, że obciach?

— Wstyd to kraść i z Kielc spaść — powiedział Hendrix, który był z Radomia i do Kielc czuł zakodowaną w genach niechęć. — Mnie się wydaje, że masz po prostu za niski głos, trzeba by było nad tym

popracować, bo jak wejdiesz w wyższe rejestry, to wyjdzie z tego parodia, a ty chcesz na poważnie, prawda?

— Dokładnie, żadnych żartów, chcę być Martyniukiem i Millerem w jednym, koleś w moim wieku, więc powinienem dać radę.

— A masz na to czas? — zapytała, patrząc na salę pełną obrazów, rzeźb i instalacji.

— Mam, przecież to wystawa o taśmowej produkcji sztuki, wiele rzeczy jest z szablonu, matryc i z seryjnych odbitek. Dlatego chcę zrobić projekt, podczas którego będę się samodoskonalili. Dwadzieścia cztery miesiące, bo teraz wszystko jest dwadzieścia cztery, stacje benzynowe, sklepy, newsy i telewizja.

Część krytyków kwękała, że zalatuje Misterem D. Doroty Masłowskiej, czyli wcieleniem się w piosenkarkę techno, rapu i punka w jednym, które zaproponowała znana pisarka. Zwolennicy Pabla dawali odpór, przypominając, że Masłowska zawiesiła projekt po tym, jak „nie pojechała się jej prawie ani jedna linijka tekstu”, czyli jej wokal brzmiał coraz bardziej profesjonalnie, a przecież Pablo dążył do perfekcji.

I tu pojawiali się zwolennicy Katarzyny Kozyry, którzy uważali, że Pablo jest także wtórny do jej projektu „In Art Dreams Come True”, w którym rzeźbiarka i performerka przyjmuje rolę drag queen i śpiewaczki operowej, jakby zapomnieli, że gościnnie występowała u Pabla, w jego wersji Barcelony, w której stworzyli duet jak Freddie Mercury i Montserrat Caballé. Jakby dupki nie zauważyli, że ona przez sztukę spełniała marzenia, a on drwił z popkultury, tytułując swój zestaw coverów „In Tribute To Milli Vanilli and Others”, bo taki ostatecznie tytuł miała jego praca. Pablo udowodnił, że ze zdolnymi producentami w epoce Autotune można podrobić każdego.

Pablo wystąpił z tournée, bardzo mu się to wszystko podobało, Ala i Hendrix stali się znani, spłynęły zamówienia, chciano z nimi współpracować i zrobił się problem. Za szybko przeskoczyli na wyższą półkę, studio nie było gotowe. I tu do akcji wkroczył Pablo, który został ich inwestorem.

Studio Manufaktura PAB zostało nazwane od pierwszych liter słów Pablo, Ala i Bogdan, bo Hendrix tak właśnie miał na imię, a skrót

PAH zgodnie uznano za słaby, bo byłby plagiatem Polskiej Akcji Humanitarnej.

Minęły nieco ponad dwa lata i na ścianie wisiały zdjęcia znanych muzyków, złote płyty oraz wycinki prasowe. Jeden z nich przedstawiał zadowolonych właścicieli studia na tle konsoly i nosił tytuł „Historia jak z hollywoodzkiego filmu”.

*

Zoltar codziennie czytał słowa „Historia jak z hollywoodzkiego filmu” i zaraz dodawał: „Chyba, kurwa, z horroru”. Wciąż w głowie liczył straty, bo nie tylko nie było tu nowej Burakowskiej, nie tylko studio płaciło mało, to na dodatek Pablo do tego dołożył pieniądze.

Uważał, że Pablo mógł inaczej się zabawić. Owszem, była z tego reklama, stał się popularny, ale nie dało się tego zdyskontować, przecież przez szum w śniadaniówce nie opierdoli ani jednej rzeźby! Ani obrazu. Bo wrócił do malarstwa i zamiast nagłośnić tę sensację, bawił się, a raczej cierpiał, jako wykonawca estradowy, a później jako producent muzyczny.

Lepiej było zorganizować za te pieniądze wystawę za granicą! Do tego cała ta zabawa sprawiła, że tych dwoje wprowadziło się do Manufaktury i stało się pierwszymi członkami kolektywu Republika Marzeń. Największe pomieszczenia i do tego za symboliczny czynsz! Studio, pokoje dla muzyków, żeby mogli kimać, no i bar-stołówka! Niekomercyjny, dla atmosfery oraz koncertów unplugged i nagrań na żywo.

— Chyba jebnę na serce! — powiedział do siebie Zoltar, rozpinając bluzę pod szyją. Zrobiło mu się gorąco, poczerwieniał i faktycznie był bliski, ale nie ataku serca, lecz wylewu.

Ale żył i musiał się pogodzić z tym, że stali się nieusuwalni. Pablo traktował ich jak rodzinę i powiedział, że będą tu tak długo jak on albo i o jeden dzień dłużej. Owsiak się, kurwa, znalazł! A to oni zyskali na tym najbardziej, bo stali się sławni, poznali kupę muzyków, których Pablo ściągnął na sesję, więc spokojnie mógł im podwoić czynsz. Ni chuja, nic takiego nie miało miejsca, dalej byli tu

jak huba na drzewie, a Pablo dokładał jeszcze do ich projektu „Africa”. Nie pieniądze, twarz.

Był twarzą akcji, on, który mógł wystąpić w reklamie banku, który do gaży dorzucał jeszcze korzystny kredyt na remont i chciał być sponsorem Radykalnej Manufaktury Sztuki. Wypiął się na bank! Konrad, Dorociński i Fronczewski żyli z tego, a jaśnie pan Paweł Pablo Pisarski się wypiął, za to z chęcią twarzował akcji zbierania i wysyłki instrumentów muzycznych do afrykańskich szkół. Ala i Hendrix chcieli zbudować w Afryce studio, w którym nagrają płytę z miejscowymi muzykami.

Szaleństwo!

Przynajmniej był ten bar, w którym miał otwarte konto, pił do woli, miał plazmę z meczami i dostawał za friko nie tylko browar i drinki, ale i jedzenie. Wegańskie. Ale przynajmniej w korzystnej cenie, zero, przecinek zero. Pił piwo, jadł chipsy z humusem, zagryzał ciasteczkami z haszem, wgapiał się w telewizor i liczył w myślach, ile Pablo mógłby zarobić, gdyby zracjonalizował swoją politykę wobec najemców, własnych wydatków i planów artystycznych. Czemu się pchał w te wszystkie projekty, instalacje, kosztowne rzeźby, skoro koszty związane z namalowaniem obrazu albo z wykonaniem zdjęcia sygnowanego później przez Pabla były niewspółmiernie niższe, a przebitka była taka, że kręciło się w głowie? Minimalny wysiłek, raz na tydzień fotka, raz na miesiąc obraz, do tego własna galeria, w niej kawiarnia...

Nie, nie i jeszcze raz NIE!

Za to wszystkie wolne lokale rozdał! Tak, rozdał! Mógł urządzać przetarg, przychodzili ludzie, pytali się, proponowali konkretne pieniądze, długoterminowy najem, a on zrobił sobie konkurs piękności i wybrał. Pomieszczenie na parterze, w sam raz na jakiś start-up, dał jakiemuś dziadowi, który był fanatykiem latania na paralotni. Facet nosił skórzane kamizelki i kapelusze, spod których wystawała siwa kitka będąca wspomnieniem po burzy włosów. Ich brak rekompensował nie tylko ogonkiem, ale i białą jak u świętego od prezentów brodą. Nie miał jednak na imię Mikołaj, lecz Jan, ale i tak wszyscy mówili o nim Dziadek Ikar. Kowbojskie gadzety uzupełniała stara, goreteksowa kurtka, tak stara, że wręcz

zabytkowa, bo z czasów, kiedy kupno takiego turystycznego rekwizytu kosztowało majątek. Buty były z jeszcze innej bajki, Dziadek Ikar lubował się w obuwiu bez pięty, nosił schodzone klapki-sandały z weluru, który błyszczał bardziej niż potężne, metalowe klamry do regulacji, albo skórzane kapcie z dziurkami — takie, które kochali kierowcy tirów. Musiał mieć jakieś buty do latania, ale nikt nigdy ich nie widział.

Facet był po siedemdziesiątce i realizował marzenie, latał na paralotni! On, Zoltar, też kiedyś latał, w lepszych czasach, które pewnie już nie wróca. Tym bardziej ścisnęło go w dołku, gdy ten staruch mościł się w Manufakturze ze swoimi gratami, a w weekendy jeździł na zloty i zawody.

— Wdowiec emeryt, a ma jaja i ma marzenia — zachwycał się Pablo.

Ja też jestem prawie wdowcem i w sumie to rencistą, bo mnie życie połamało, miał ochotę powiedzieć Zoltar, ale za każdym razem gryzł się w język.

Ostatni wyremontowany lokal, na piętrze, dostało rodzeństwo, szara, dwudziestoparoletnia mysza imieniem Zuzanna i jej młodszy brat Olek. Prowadzili studio technik komputerowych, ona podobno była zdolną graficzką po ASP, a on — świetnym informatykiem, który rzucił studia, bo tracił tylko na nich czas. Przynajmniej spłynęła z nimi jakaś kasa, bo dostali dopłatę dla niepełnosprawnych. Chłopak był kaleką i jeździł na wózku, trzeba więc było wyremontować starą windę towarową. Dobrze, że wnioskowali o dotację, bo Zoltar bał się, że po sprzedaniu londyńskiej Tate Modern instalacji „Król Życia”, „Król Śmierci” poczuje się bogaty i zafunduje im windę. Na szczęście dostali kasę, ale on i tak przepieprzył pieniądze inaczej, kupił nissana GTR. Bo Dwurnik miał porsche 911!

Ci wszyscy lokatorzy, najemcy, cały ten Hub Artystyczny, przykleili się do Manufaktury jak huby do drzewa. Zoltar lubił grzyby, ale nie lubił pasożytów. Kurki na masełku, rydze z patelni, borowiki w śmietanie, kanie w delikatnej panierce... Nawet muchomory i inne trujące grzyby były po coś. Bez nich nie byłoby Polski! Tak, nie byłoby! Przecież Piast Kołodziej nie zostałby władcą,

gdyby Popiel nie utorował mu drogi do książęcego tronu. Jakim cudem Piast przebiłby się przez tych wszystkich możliwych, przez klan i kumpli Popiela, gdyby nie pamiętna uczta nad jeziorem Gopło? Piast nigdy by się nie dopchał do władzy, nie byłoby Mieszka, Chrobrego i Sobieskiego!

Tak powiedział na wycieczce szkolnej podczas zwiedzania Kruszwicy. Wychowawczynie go zjechała, ale nie za to, że zapisał Sobieskiego do Piastów, a za cały wywód. Oczywiście z tym Sobieskim miała rację, ale po latach nie zmienił zdania o uczcie Popiela. I na pewno wytruł ich grzybami, taka była jego koncepcja. Zatem grzyby były w porządku. Oczywiście nie wszystkie; huby były pasożytami, nie nadawały się ani do jedzenia, ani do trucia. Hubą był każdy z najemców Manufaktury Sztuki. I nie pomogła zmiana nazwy z Hub Artystyczny na Republika Marzeń, oni wszyscy byli hubami, pasożytniczymi naroślami na organizmie Manufaktury.

6.

— Panie Zdzisławie! — Głos Wandy przeszył powietrze i wyrwał Zoltara z zadumy. — Panie Zdzisławie!

— Już idę z kawą — odpowiedział fałszywie przymilnym głosem, chociaż miał ochotę krzyknąć: czy ty, kurwa, nie rozumiesz, że nienawidzę swojego prawdziwego imienia?

Zawsze miał porąbane życie, ale jeśli ta dwojga nazwisk Wanda załęgnie się w pracowni i odetnie od niego Pabla, to skomplikuje się ono jeszcze bardziej.

*

Wanda dwojga nazwisk Nałęcka-Ludwig wbiła się klinem jakieś dwa miesiące temu i jej kariera już powinna zmierzać ku końcowi. Pablo nie był bowiem długodystansowcem, choć zaczynał ambitnie od małżeństwa, które trwało całą dekadę. Później nastąpił geometryczny postęp, a raczej regres. Kolejne dwie żony zajęły mu

w życiorysie mniej miejsca niż ta pierwsza, a dokładnie jedną trzecią. Żona numer dwa była panią Pisarską tylko przez dwa lata, a ta numer trzy przez rok i warto dodać, że były to wartości brutto: od wizyty w urzędzie stanu cywilnego do happy endu w sądzie. Kolejne związki stawały się coraz bardziej przelotne.

Biorąc pod uwagę statystyki swojego przyjaciela, Wanda powinna już być, jeśli nie na wylocie, to na ostatniej prostej końca związku. Tyle że Zoltar stawiał na zupełnie inny przebieg wypadków. Do dwóch miesięcy dobijały młode laski, a to była czterdziestka z pozycją, która powinna zakończyć swoją przygodę z Pablem bardzo szybko. Kiedy przyjaciel oświadczył mu, że się z nią umówił na kolację, to był pewien, że odstawi jakiś numer, po którym ona bez pudła zrozumie, że ma do czynienia ze świrem, który nie nadaje się do życia z kimś takim jak pani E-A, i wszystko skończy się już na starcie. Ale Pablo postanowił walczyć! Zaczęło się od tego, że w końcu pojechał samochodem do myjni! Chciał nie tylko przyszpować superautem, ale i przy okazji się zaszyć, bo samochód był dla niego jak esperal!

Zwykle, kiedy jechał na otwarcie, kolację, spotkanie, wszędzie tam, gdzie miał być jakiś alkohol, to brał taryfę, bo po pijaku nie prowadził. Pablo nie był fenolem, nie pił codziennie, ale jak już była okazja, jak już pił, jak było z kim, to było to hołdowanie skandynawskiemu modelowi konsumpcji alkoholu. Charakteryzowało się to przewagą alkoholi stężonych z dominacją funkcji intoksykacyjnych. Mówiąc po ludzku, Pablo lubił od czasu do czasu napić się wódki, i to z rozmachem, który zwykli śmiertelnicy nie nazywali żadną intoksykacją, tylko zatruciem, a najczęściej nawaleniem się. To gwarantowałyby pokaz, po którym Wanda dwojga nazwisk wymiękłyby, przestałyby odbierać od niego telefony, a jeśli kupiłyby jakąś pracę, to przez pośrednika. Niestety, Pablo pojechał autem i do tego elegancko, jak na niego, ubrany. Wręcz przebrany.

Pablo udał się na randkę samochodem, ale jego powóz wrócił na lawecie, a on sam dał z siebie wszystko, zafundował pani E-A niezłe widowisko. Nie tylko zalał pałę, ale i narozrabiał. To była kolacja-ewakuacja, a jej przebieg przesądzony został w chwili, w której

Wanda E-Ą powiedziała, że skoro zamówione zostało menu degustacyjne, w którym do każdej przystawki, dania oraz deseru był dobrany odpowiedni alkohol, to nalega, żeby w pełni z tego skorzystał. No i skorzystał, z naddatkiem, a po wszystkim, trzymając w ręku kielich koniaku, postanowił sobie zajarać. Wygłosił tyradę na temat wolności i wyciągnął z kieszeni skręta, a ona nie protestowała, nie wieszała mu się na ramieniu, tylko z zachwytem czekała na ciąg dalszy.

Pogięło ich konkretnie, bo już zwykły tytoń wystarczył teraz do zrobienia afery. Kierownik sali był na maksa wkurzony i po kolejnej groźbie wezwania ochrony, a później policji, nieskutecznej rzecz jasna próbie, pochylił się nad Pablem i zasyczał mu do ucha:

— Niech mnie pan posłucha, ja mogę się jeszcze z panem trochę podroczyć, inni klienci nie protestują, ale ten stary kutas ze stolika przy drzwiach właśnie dzwoni na pały, a on dużo może, po co to panu? I ja też będę miał nieprzyjemności, cała obsługa! Pan wie, kto siedzi przy tamtym stoliku?

Przy „tamtym stoliku” siedziało dwóch facetów, ale zdecydowanie chodziło o tego, którego twarz niemal mieszkała w telewizorach, które były włączone na programy stacji informacyjnych. Ten kutas był stary, lecz tylko w przenośni albo kierownikowi sali chodziło o staż. To był młody, ale już z całkiem solidnym przebiegiem polityk partii współrządzącej. Marian Żabiński, ambitny, krzykliwy chujek, jak donosiły zawistne polskojęzyczne media o zdradzieckim kapitale, był obrońcą rodziny, której nie założył, nieustraszonym, medialnym tępicielem LGTB, słynnym z wizyty w klubie gejowskim, zwanej przez niego interwencją poselską.

Każdy rozsądny, a nawet nierozsądny, któremu zachciałoby się jarać trawkę w restauracji w takim towarzystwie, wziąłby do serca przekaz kierownika sali. Pablo też zrozumiał, ale po swojemu. Wstał i zamiast uregulować rachunek, przeprosić i się wynieść, to śmiało ruszył w kierunku wskazanego stolika i już w połowie dystansu ustosunkował się do pretensji zgłaszanych przez młodego bywalca TV.

— Żabiński, konfidencie jebany!

Na sali zapanowała cisza, zatkało nawet niezwykle elokwentnego i beczelnego polityka, który w telewizyjnym studiu potrafił obrażać rozmówców na nieskończenie wiele sposobów, a manipulacjami i kłamstwami, którymi się posługiwał, zapracował na przydomki drugi Goebbels i młody Urban. Jako że najbardziej brzydził się komuną, postkomuną i lewactwem, bardziej obrażało go to drugie określenie.

— Co, młody Urban, zatkało cię? — Pablo nie śledził ze zbyt wielką uwagą wydarzeń w kraju, ale wiedział, jak skutecznie trafić do polityka.

I trafił, bo Mariana Żabińskiego zatkało, zatem Pablo jechał dalej.

— Gadzie pierdolony! — zaczął kolejny etap konwersacji.

— Wypraszam sobie. — Polityk się w końcu odetkał.

— A to ja przepraszam. — Paweł przysłonił dłonią twarz, jakby się bezgranicznie wstydził, szybko jednak wyprowadził wszystkich obserwatorów z błędu. — Przepraszam, bo ty, Żabiński, zwykły płaz jesteś, a nie żaden gad!

— To atak na parlamentarzystę — wycedził Żabiński, wstając od stolika.

— Atak to ja ci pokażę, jak się nie uspokoisz. Nie startuj mi tutaj, siadaj i słuchaj, gdy do ciebie mówię!

Żabińskiego zamurowało, nie był przyzwyczajony do takiego traktowania, zwłaszcza że w oparciu wgniatała go ciężka, rzeźbiarska dłoń Pablo. Opadł na krzesło i wtedy Pablo wyjął z kieszeni telefon i ustawił się niczym fotograf.

— Hej, poseł, uśmiechnij się, bo chciałem wam fotkę zrobić, tobie i twojemu partnerowi. — Po czym zrobił zdjęcie, trzaskając lampą błyskową, odskoczył, jakby był Lionelem Messim, który bezbłędnie czyta grę.

I Pablo też odczytał, co trzeba, bo Żabiński ruszył na niego, chcąc wyrwać mu z ręki aparat. Nie wyrwał, za to on i kilka osób z sali strzeliło kolejne zdjęcia.

Teraz Pablo ze spokojem poszedł w kierunku kierownika sali. Daleko nie musiał iść, kierownik był tuż za nim, jakby pilnował go przed popełnieniem jeszcze większego głupstwa.

— Chciałem zapłacić — powiedział.

— Pani Wanda już uregulowała rachunek!

— No to w takim razie... — Napiwek w postaci zwitka banknotów wypełnił kieszeń kierownika sali. Wyglądało to dość osobliwie, jakby miał wsadzoną do klapy marynarki poszetkę. — Chciałem przeprosić za niedogodności, smacznie było, a ten tam — wskazał w kierunku posła, który rozmawiał przez telefon — dostarczył mi trochę rozrywki.

Wyszli na zewnątrz, gdzie podjeżdżały dwa samochody na kogutach: policyjny, wezwany przez Żabińskiego, i laweta pomocy drogowej, która miała zabrać samochód Pabla.

— Daj mi kluczyki i dokumenty, załatwię sprawę z pomocą drogową, a ty wsiadaj do mojego auta, kierowca czeka! — oznajmiła Wanda.

Pół godziny później Zoltara i najnowsze nabytki Manufaktury, dozorcę Rambo i jego psa Szarika, obudziło walenie do bramy, to limuzyną Wandy E-Ą przywieziono Pabla. Przyjechał, opowiedział, co nawywijał, wypił dwie kolejki whisky i zasnął w opakowaniu. Cały on. Kolejne pół godziny i przyjechała ona. Była nieprzenikniona, ale chyba bardziej zaniepokojona niż wkurwiona. Przywiozła jego samochód, kluczyki i dokumenty, obejrzała zwłoki i wyszła.

Kobieta z klasą, która po tym występie powinna uznać, że była to ich pierwsza i ostatnia kolacja. Zwykle Pablo tu nie nocował, miał mieszkanie w nowym apartamentowcu przy Olszynie, ale teraz spał na kanapie i ciężko chrapał. Zoltar zlustrował jego wyjściowy strój, który nie sprawiał już tak eleganckiego wrażenia jak parę godzin temu.

Wanda zniknie z jego życia, tego był pewien, tak jak prawie dwadzieścia lat temu z jego życia zniknęła Anna. Ona też była taka: rasowa, wymagająca, potrafiąca wszystko ułożyć. Prawie wszystko, bo nie uratowała go przed porażką.

Mylił się. Nie zniknęła. Wróciła. Zaczęła Pablowi porządkować życie, coraz częściej nocował u niej na Mokotowie, snuła rodzinne i biznesowe plany.

Kurwa! Co za cholerna niesprawiedliwość, przez tyle lat podsuwał mu pomysły, próbował dyscyplinować, chciał wprowadzić w jego życie jakieś planowanie. Nie udało mu się, za to ona dokonała tego

w parę tygodni, i nie zanosiło się na to, że powiedziała ostatnie słowo.

Patrzył na nich z wysokości antresoli i zaciskał pięści, bo poczuł się zdradzony przez starego kumpla i bał się, że spotkać go mogą jeszcze większe rozczarowania. Wanda E-A, dwojga nazwisk, musi zniknąć. W głowie Zoltara począł się rodzić morderczy plan.

7.

Matylda Leśniewska była na zakręcie. Dzisiaj dostała od życia kolejnego plaskacza. Tym razem od pracodawcy, czyli portalu 48.pl, który reklamował się hasłem „Dwa razy więcej treści!”. Miała nadzieję, że zrobi wywiad z Pawłem Pisarskim, ale wkręciła się ta mała cwaniara. To znaczy szef ją wkręcił.

Ta kretynka nie miała pojęcia, do kogo i po co jedzie, ale on podjął za nią decyzję, pozbawiając ją możliwości zrobienia czegoś wartościowego. Wtedy postanowiła, że jeśli szybko coś się nie zmieni, to kończy z prasą, a raczej z tym, co kiedyś było prasą i dziennikarstwem, że poszuka sobie pracy jako rzeczniczka prasowa, pijarówka, specjalistka od komunikacji. Gdyby to zrobiła od razu, kiedy odchodziła z „Magazynu Antrakt”... „Magazynu Kultury Antrakt”, tak to się nazywało na początku, a później w stopce pojawiła się złowrogo brzmiąca notatka: „Antrakt, magazyn o gwiazdach”.

Kiedy stamtąd wiała, miała niezłe propozycje, ale wybrała źle. Wybrała, a teraz wybór był praktycznie żaden, możliwości się pozamykały. Przeglądała ogłoszenia, wiało z nich biedą, zawodową śmiercią. To byłby kolejny krok w dół. Ale kto zmienia pracę, kto przechodzi z redakcji do redakcji, czytając ogłoszenia? Dyskretnie rozpuści wici, bo gdyby się rozeszło, że szuka pracy, to jej pozycja, o ile to było możliwe, jeszcze bardziej by się obniżyła.

W redakcji, w której wciąż jeszcze pracowała, spotkała ją kolejna nieprzyjemność. Tydzień temu dała kilka propozycji, żeby napisać o wystawie w Zachęcie albo zrobić rozmowę z młodą reżyserką teatralną albo artystą operowym, który w przeciwieństwie do

gwiazdek pop i disco polo osiągnął prawdziwy sukces. Dostała zwrotną, czyli jak mówił szef redakcji respons, że Zachęta odstraszy internautów, teatr jest elitarny, a opera to nudziarstwo. Lepiej, żeby zrobiła notatkę „Czy wiesz, że oni mogli grać w Złotopolskich”, uaktualnioną wersję artykułu o tragicznym losie wokalistki 2+1, najlepiej z wywiadem, a jeśli chce naprawdę błysnąć, to niech przyniesie rozmowę z kimś, kto jest modny, ale nie jest skrajnie ograny.

Nie sto pierwszy wywiad z Blanką Lipińską albo Mrozem, ale na przykład z aktorami, którzy grają w „La Casa de Papel”! To byłby hit! Ale z góry uprzedził, że nie ma na bilety i pobyt w Hiszpanii, ale w końcu grało tam tyle osób, że może ktoś jest po sąsiedzku, w Berlinie na przykład? Śmiał się, bo mu dobry żarcik wyszedł, gdyż jeden z bohaterów serialu nosił pseudonim Berlin. Strasznie zabawny kutas.

Praca w mediach jest pełna zakrętów, ale ona zaczęła kiedyś od długiej prostej i szybkiego, naprawdę dużego sukcesu, a teraz zakręty się mnożyły, były nie tylko coraz ciaśniejsze, ale i coraz bardziej pod górkę.

Miała nieco po trzydziestce, czyli kiedyś w swoim zawodzie mogłaby myśleć o kolejnym kroku, bo wciąż była młoda, ale miała już doświadczenie. Osiem, prawie już dziewięć lat orki, ale zamiast bonusów nadszedł syndrom wypalenia. Po prostu była za stara, zbyt kosztowna i zepsuta. Wjechała jako gwiazdka, z dobrą pensją, etatem, ale nie zrobiła kolejnego kroku, nie osiągnęła szczytu nieusuwalności, stała się za to pracownicą mediów z coraz mocniejszymi śladami zużycia. Objawiają się one nie tylko zmęczeniem, ale także niepotrzebnymi pytaniami, uwagami i radami, zrządzeniem, że kiedyś taki tekst by nie przeszedł. W redakcjach zwalniali masowo tych, którzy zaczynali pracę w ubiegłym wieku, bo się za bardzo mądrzyli i byli zbyt kosztowni. Matylda czuła, że w tej kopalni dziennikarskiego bezrobocia drażnienie niebezpiecznie zbliża się do jej pokładów.

Teraz młodzi to byli naprawdę młodzi, dwudziestoletni, napaleni na nowość, jaką jest praca w mediach, a tacy z doświadczeniem wydziwiali, wiedzieli za dużo i nadawali się do odstrzału albo do

pracy w PR. Public Relations i biznes jej nie pociągały, a mediaworkerstwo – przerażało. Nie po to zostawała dziennikarką, żeby żonglować klawiszami ctrl alt copy i ctrl alt paste. Copy – paste, copy – paste, copy – paste! Kopiuj – wklej, kopiuj – wklej i tak do zarabiania! Miała większe ambicje, chciała pisać, a inni mieli ją kopiować.

Matka proponowała, że jej zasponsoruje jakiś wyjazd, staż, a ona uniosła się honorem. I teraz tego żałuje. Najbardziej żałowała, że wyszła za męża za tego kretyna, a zaraz potem, że została dziennikarką, żałuje, że tak po prostu nie odcina kuponów. Nie odcina, bo nie potrafi, bo wie, że matce nikt tej kasy nie dał, tylko sama ją zarobiła, ciężką pracą, odwagą i uporem. Matylda też była uparta i chciała się odegrać, pokazać, że potrafi, że znajdzie temat, który wszystko zmieni. A wtedy jak spotka na jakiejś branżowej imprezie tego kutasa, swojego byłego męża, to mu nic nie powie, tylko przejedzie obok, trzymając w ręku Grand Pressa, Fikusa albo Woyciechowskiego. To by było miłe, bo ta jego, pożał się Boże, prezenterka nigdy czegoś takiego nie dostanie, podobnie jak on, za produkowanie odmóżdżających magazynów o niczym.

Tylko skąd wziąć taki temat?

Przecież nie da ogłoszenia!

Czekać na cud?

Czekała. Dlatego na SMS od matki: „Córeczko, przyjedź do mnie, zrób sobie urlop”, odpisała: „Nie mogę, mam, bardzo jestem zajęta, potrzebują mnie!”.

Gówno prawda. Nikt jej nie potrzebował, zegar tykał, była na wylocie, gdyby teraz wzięła urlop, to nie miałyby po co wracać. Boże, spuść na to wszystko kolejną falę zarazy albo daj mi temat!

Usiadła na kanapie, której od dawna z nikim nie dzieliła, podkurczyła nogi jak syrenka, tyle że syrenki nie mają w lewej ręce kieliszka, a w prawej pilota. Włączyła telewizor, pociągnęła łyk wina, a ekran rozjaśnił się na niebiesko. Szczęściara z kanału informacyjnego stała na tle radiowozów i z przejęciem informowała o... ujawnieniu zwłok. Czy musiała, do cholery, podawać informację, cytując rzecznika policji albo prokuratury?

8.

Komisarz Jarosław Jaskulski poczuł wiatr w żaglach. Takie prestiżowe trupy nie zdarzały się codziennie. W ogóle trupy padają gęsto tylko w Sandomierzu i wyłącznie w serialach i powieściach. Się uparli na jego rodzinne miasto! Jak na tę szwedzką miejscinę Fjällbackę, tam mordują jak w Rio de Janeiro, a to dziura, która ma mniej niż tysiąc mieszkańców, ale pochodząca z niej pisarka Camilla Läckberg urządziła tam w swoich książkach prawdziwe rzezie. A ludzie to łykają, i to milionami, i czytają o rybackiej osadzie, miasteczku zbrodni, chociaż po raz ostatni popełniono tam morderstwo ponad sto lat temu.

Nie lubił jej, tej Läckberg. Nie za tę morderczą fantazję i wciskanie kitu, tylko z powodu solidarności zawodowej, bo była żoną policjanta. Rozwiodła się z nim i teraz jest z jakimś młodszym od siebie gwiazdorem MMA, do tego wyczytał, że jest feministką.

Zupełnie jak jego żona Renata! Była żona...

Chodziła na te wszystkie strajki, potem się z nim rozeszła i teraz ma młodszego partnera, któremu on, za każdym razem, gdy go widzi, ma ochotę przyładować w ryj. Na początku to nawet odetchnął, jak się dowiedział, że to jej kolega z pracy, bo się bał, że rzuciła go dla jakiejś lesby, ale ulgę szybko zastąpił wkurw. I ten wkurw przypomina o sobie za każdym razem, kiedy jest jego weekend i odstawia do domu córeczkę. Przez dwa dni Jola musi naopowiadać o wujku Wiktorze, że jest fajny i miły. Doprowadza go to do szewskiej pasji, podobnie jak myślenie o tym, że coś wyhamowało jego karierę.

Komisarz Jaskulski był chorobliwie ambitny i do pewnego momentu sprzyjało mu szczęście, aż nagle coś się zacięło. Wiatry były właściwe, ale nie posuwał się w kierunku celu, na pewno nie w takim tempie, w jakim to sobie założył. Dzisiaj wyczuł szansę, bo na skraju Puszczy Kampinoskiej znaleziono trupa.

I to jakiego!

To był ten dupek mecenas Jakub Hamerski!

Zawsze gładki i elegancki, leżał teraz w krzakach obsrany i utyłany jak pies po spacerze, a do tego miał dziurę z tyłu głowy. O tym strzale dowiedział się z radia i z netu. Spacerowicze, którzy go odnaleźli, poruszyli zwłoki i z przerażeniem stwierdzili, że z tyłu głowy wypłynęły krew i mózg.

Strzelec jak z NKWD, a raczej strzelczyni, bo tak by chciały cholerne feministki: ministra, chirurgka, kierowniczy czy kierownica?

Na pewno strzelczyni, chociaż kto wie, może strzelba? — zaśmiał się w duchu.

W każdym razie strzał został oddany w potylicę i wszędzie były ślady po damskich pantoflach. Poza tym czysto, może technicy coś znajdą, wprawdzie popołudniowy, wiosenny deszcz nie ułatwi zbierania śladów. Przy drodze były jeszcze odcisnięte opony terenowego auta. Wiadomo jakiego, bo wraz z mecenasem zniknął jego szpanerski land rover defender. Pewnie lada chwila go znajdą, bo to zbyt charakterystyczne auto, by mający choć odrobinę rozsądku morderca ryzykował jazdę.

Ta sprawa to prawdziwy rarytas, jakiego nie mają ani w Sandomierzu, ani w Fjällbace, kolejny moment zwrotny w karierze, na który czekał i który mu się po prostu należał!

Chyba że... Jaskulski poczuł pot na plecach, że morderca nie popełnił żadnej pomyłki i sprawa zostanie nierozwiązana, statystyki wskazują, że wykrywalność morderstw wynosi powyżej dziewięćdziesięciu dziewięciu procent, tyle że większość z nich to zbrodnie po pijaku i przy świadkach. Tu pijana i być może odurzona była ofiara, a sprawczyni mogła być profesjonalistką. Cholera, cholera jasna, a co będzie, jeśli to ten niecały procent, jedna z pięciu, góra sześciu zbrodni, której sprawca nie zostanie wykryty?

9.

Firmy o wielkich ambicjach są jak Nowy Jork — nigdy nie zasypiają. Właśnie takie były firmy Adama Bielaka, który przed południem dokonał kolejnego ważnego kroku w swojej karierze, ale już późnym

wieczorem myślał o tym, jak odbić się w górę z poziomu, na który wszedł. Bielak zbliżył się do granicy, jaką dla wspinaczy jest granica ośmiu tysięcy metrów. Wszedł wysoko, był na dachu świata, ale to wciąż był trekking, a nie prawdziwy himalaizm. Wiedział coś o tym, bo nie dał rady wejść na Mount Everest, COVID spieprzył mu sprawę. Ale w biznesie nic go nie mogło powstrzymać, dlatego pracował także późnym wieczorem, kiedy Warszawa, którą miał pod sobą, już spała albo oddawała się szalonej zabawie.

Spojrzał na światła miasta, podszedł do krawędzi tarasu, złapał wypielęgnowanymi, ale silnymi dłońmi za barierkę, wiatr rozwiewał jego nienaganną fryzurę, lekko szpakowate włosy rozsypały się na wszystkie strony, jakby stał na dziobie pędzącego po falach jachtu. Zmrużył oczy i lekko uniósł się na palcach, niebezpiecznie natarł klatką piersiową na barierkę. Stojący za nim mecenas Adrian Fogiel drgnął. Taki odruch, którego nie potrafił powstrzymać, bo miał lęk wysokości, więc niechętnie podchodził do skraju tarasu, Bielak wiedział o tym i bawił się jego kosztem.

— Niech mecenas do mnie podejdzie, śmiało, proszę — uśmiechnął się do prawnika. Wskazał miejsce koło siebie. — Bariierka jest mocna, a za nią jeszcze najmniej metr tarasu, nie ma szans, żeby wypaść, my przestrzegamy przepisów... — Zawiesił głos, po czym się zaśmiał. — Bezpieczeństwa! Stąd widać wszystko, prawie wszystko — poprawił się i wskazał za plecy. — Gdy się przeprowadzimy do Varso, to będę miał pod sobą całą Warszawę, widok na jej majątek, wielkie możliwości, wgląd w naszą przyszłość, panie mecenasie! Pan spojrz, ile tu jeszcze jest do zrobienia, i to poza utartymi szlakami. Nie Żoliborz, Stary Mokotów czy Saska Kępa ani te nowe, peryferyjne, wszystkie te Tarchominy, Ursusy... Stawiam na pas leżący pośrodku, na nieco zapomniane dzielnice, ale z charakterem, miejsca, które można ukształtować, zrobić z nich prawdziwe perły! Pan popatrz tam, fabryczki, magazyny, postindustrialny bałagan, aż serce boli, że to nie są lofty otoczone stylową zabudową. Ja chcę to miasto zmieniać, rosnąć razem z nim! Rzucam wyzwanie tym od placu Europejskiego i Varso, ale najpierw skończę to dzieło. — Adam Bielak wyciągnął przed siebie rękę, a palcem wskazującym zatoczył małe kółko, jakby chciał wziąć w panowanie jakiś kawałek ziemi.

Mecenas Fogiel pokiwał głową, na tyle go było stać. Zabranie głosu to jednak zbyt wiele jak dla człowieka, którego paraliżowała bliskość siedemdziesięciometrowej przepaści. A to nie koniec. Bielak przeniesie się wkrótce do najwyższego w mieście budynku, a później sam, kiedy już się wzbogaci na dotychczasowych inwestycjach, wybuduje coś równie potężnego, a może jeszcze wyższego? Fogiel wiedział, że skoro Bielak coś mówi, to później wprowadza to w życie. Deweloper Roku w kilku plebiscytach, mecenas, koneser sztuki, faworyt salonów i polityków, a do tego twardy biznesmen.

Prawnik ostrożnie zbliżył się do barierki i starał się podążyć za kierunkiem, który wskazywał Adam Bielak. Praska strona, za Wisłą, za Portem Praskim i za dawnymi terenami przemysłowymi na Kamionku. Co było dalej? Nie miał pojęcia, te rejony Warszawy nigdy go przesadnie nie obchodziły, a tak naprawdę napawały go pewnym obrzydzeniem. Trudno, co zrobić, takim ludziom jak Bielak się nie odmawia, współpraca z nim przyniesie miliony, pchnie jego kancelarię na wyższe poziomy, być może nawet zapewni emeryturę. Wszak poprzednik, Jakub Hamerski, dorobił się na prowadzeniu spraw Bielaka i pewnie dalej mnożyłby swe dochody, gdyby nie przedwczesna śmierć.

Umarł prawnik, niech żyje prawnik, nie ma ludzi niezastąpionych, pomyślał, i doszedł do barierki, docisnął do niej drżące ze strachu ciało, zrobi także te kroki, których nie zdążył zrobić Hamerski. Poczul spokój, jego trener personalny powiedziała, że osiągnął harmonię. Jeszcze kwadrans temu był jak galareta, wydawało mu się, że nie podoła, tymczasem poszedł za Bielakiem, w przerośni i dosłownie, podjął się zlecenia, które wydawało się przekraczać jego możliwości, i przezwyciężył lęk wysokości. Bo nic nie dodawało mu sił tak jak pieniądze, które mógł zarobić. Dla nich się uczył, doskonalił, pracował i przekraczał barierę swoich ograniczeń.

II

10.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Czy w ciągu tygodnia można odmienić swój los? Matylda Leśniewska nie po raz pierwszy przekonała się, że tak. Oczywiście na gorsze. Jako doświadczona, potrafiąca sprawnie pisać, czytaj: pisać po polsku i bez większych błędów, sklejała teksty bajaderki, opracowywała własne wersje tego, co było jedynkami u konkurencji, i w miarę możliwości ratowała gnioty koleżanek i kolegów, o ile godzili się na zmiany. Bo co złego w tytule „Śmierć prostytutki przy ruchliwej drodze” albo rymowanka: „Rywalka grała jak natchniona, ale to Świątek zeszła spełniona”? Pierwsze uznano za przypadkowe, ale całkiem dowcipne, bo fajnie, że „ prostytutka i ruchliwa, co nie”, a co do gwiazdy tenisa, to rym faktycznie był słaby, więc zmieniono na „Rywalka grała jak natchniona, ale to Świątek zeszła zwycięska”. Zwycięskie zejście? Zejść to można śmiertelnie, jak już, to zwycięsko zejść z kortu, ale kort się nie mieścił, więc zostało, jak chcieli.

Miała to coraz bardziej gdzieś, ale to, że nie dostawała tematów, to było już nie do przeżycia. Chciała się zagłębić w sprawę mecenasa Hamerskiego, ale przecież dużo już o tym zebrali! Tak, widziała od metra zdjęć, na których Jakub Hamerski tkwił w eleganckich autach, na otwarciach i zamknięciach, była analiza jego dorobku, bez wątplenia nie zawodowego, ale modowego, opatrzona tytułem „Odeszła ikona stylu polskiej palestry”.

Innym rozbudowanym materiałem, oczywiście składającym się głównie ze zdjęć, okazało się podsumowanie życia uczuciowego: „Nie uwierzcie, z kim był Hamerski. Wszystkie miłości tragicznie zmarłej gwiazdy polskiej palestry”. Po interwencji góry tytuł zmieniono na: „Nie uwierzcie, z kim był Hamerski. Wszystkie

miłości tragicznie zmarłej gwiazdy polskiej adwokatury”, bo pod poprzednim artykułem było dużo pytań i wątpliwości, bo słowo „palestra” było jakieś takie obce, a kim jest adwokat, wie każdy.

Może to nawet i lepiej, że tego nie dostała, bo Jurek Kielniak, który miał ambicje zostać dziennikarzem śledczym, odbił się od policji. Zwykle mający wiele do powiedzenia komisarz Jaskulski krył się za rzecznikiem Komendy Stołecznej. Szybko się okazało, że ta sprawa była dość banalna. Początkowe informacje o strzale w tył głowy okazały się wynikiem nieporozumienia. Spacerowicze, którzy znaleźli ciało, nie byli fachowcami, ale policjanci także nie zauważyli tego, co z miejsca zobaczył specjalista medycyny sądowej po wymyciu zwłok.

Pod zakrzepniętą krwią, owszem, widniała dziura, ale po złamanej gałęzi, na którą zwała się głowa mecenasa. Spekulowano teraz, czy nadużycie narkotyków, które zmarły połączył z potężną ilością alkoholu, okazało się bezpośrednim czy tylko pośrednim powodem śmierci. „Czy padając na gałąź, Hamerski był już martwy, czy tylko nieprzytomny?”, podniecali się autorzy artykułów.

Matylda przyjęła z ulgą, że nie wpakowała się w temat, który z ostrego kryminału szybko stał się połączeniem obyczajowego ścieku i prasowej nekrofilii.

Temat śmierci Hamerskiego był totalnym kanałem, co innego sprawa pozbawienia słynnego Pawła Pablo Pisarskiego jego kultowej Radykalnej Manufaktury Sztuki i rozbicie w ten sposób unikatowej społeczności, jaką była Republika Marzeń! To było coś dla niej! Powrót do tematyki społecznej, pomoc ludziom, którym podcięto skrzydła, historia o tym, czy wielkie pasje i marzenia może zakończyć decyzja sądu, kolejna deweloperska ofensywa.

Poległa podwójnie, po pierwsze, wysłano tam tę kretynekę Paulę Sobótkę, po drugie, szybko sprawę zgaszono. W okamgnieniu zrozumiała dlaczego. Deweloper, który odkupił prawo własności od ostatniego żyjącego spadkobiercy właścicieli Manufaktury Wyrobów Żelaznych Fishermana i Rozłuckiego, Adam Bielak, był ulubieńcem mediów, sponsorem sztuki, może nie najwyższych lotów, ale popularnej, producentem filmowym obrazów klasy B, ale naszpikowanych gwiazdami, wreszcie świetnym reklamodawcą.

Varsovia Nova Investment oraz Varsovia Nova Building zostawiały w portalach, gazetach i telewizjach setki tysięcy złotych. Tym razem spadkobierca nie miał stu dziesięciu lat, lecz jedynie sześćdziesiąt siedem i cieszył się majątkiem, który zdobył dopiero pod koniec pracowitego i wyboistego życia.

Władysław i Elwira Rozłuccy od roku mieszkali za granicą i wygrzewali swoje stare kości na słońcu. Chcieli zachować anonimowość, ale chętnie odpowiadali na mejle, w których wyrażali wdzięczność Adamowi Bielakowi. Biznesmen już dawno temu zwrócił uwagę na starą fabryczkę, ale miasto utrzymywało, że ten obiekt nie ma właściciela. Jego pełnomocnik prawny, mecenas Jakub Hamerski, wykonał kawał dobrej roboty, dzięki czemu państwo Rozłuccy zapewnili sobie szczęśliwą końcówkę życia. Przecież stać ich teraz na wszystko!

Tragiczna śmierć Hamerskiego nie miała już na nic żadnego wpływu, poza tym że nie był na ceremonii, która przed tygodniem „otworzyła nowy etap w historii warszawskiego Grochowa”. Bielak pokazał imponujące plany i ogłosił, że nie zostawi artystów i miejscowej społeczności w potrzebie. Klakierzy szybko zaachowali i zaochowali, i temat stał się pozamiatany.

— Chuj, dupa, kamieni kupa — mruknęła, nalewając sobie drinka. — No i co w tym złego? — zapytała samą siebie i dała z miejsca odpowiedź: — Inni, inne piją więcej, no i przecież cytowała prawnuka noblisty. Wolno Sienkiewiczom, to i ona może.

11.

To się stało parę dni temu. Zoltar patrzył na to z wściekłością i bezradnością. A zaczęło się dobrze, zajechało dwóch dupków, którzy zderzyli się z Rambo i jego psem, co stróżował tu w zamian za to, że mógł na dziedzińcu Manufaktury parkować swoim kamperem.

Gostek nosił się tak, że gdyby mu dokleić brodę, to wyglądałby jak jakiś popieprzony Amerykanin, który ze strzelbą siedzi w ranczu i czeka na ruskich, Chińczyków albo zombie. Pewnie był rekonstruktorem, który tym blaszakiem jeździ na zloty pojebów,

lubiących militarne przebieranki, ganiecie po lesie z karabinami, łażenie z wykrywaczem metalu po bagnach i plażach. Zbierają odłamki, kawałki karabinów, połamane sprzęty, dziurawe hełmy, tony wojskowego szmelcu. Pewnie ma najebane pełno tego towaru w samochodzie.

Kolejny pojeb i pasożyt, uznał w pierwszej chwili, ale szybko docenił to, że ten typ, mimo że nie płaci czynszu, jest jedynym, którego opłaca się tu trzymać. Korzystał z prądu i łaźienki, spał w kamperze i znakomicie pilnował, by nikt nie wbijał się do środka. Gdyby nie Rambo i Szarik, to już dawno mieliby tu parking, opłacało się zatem, by tu, jak mówił, stacjonował za darmo.

— A panowie do kogo? — spytał Rambo, zastępując drogę i ku rozczarowaniu Zoltara wziął psa na smycz. — Nie ma wjazdu.

— To się okaże. — Człowiek w garniturze posłał sztuczny uśmiech. — Bo przyjechaliśmy... — zawiesił głos — jakby do siebie. — Uśmiech zniknął z jego twarzy, za to w dłoni pojawiła się okazała koperta. — Oto akt własności tej działki oraz dawnej Manufaktury Fishermana i Rozłuckiego. Adrian Fogiel, kancelaria prawna Szymański, Kaczmarek i Wspólnicy.

Gest, który wykonał, okazując kopertę, był dworski i oszczędny zarazem, jakby facet pracował w protokole dyplomatycznym. Rambo chciał obejrzeć dokument, ale prawnik cofnął rękę i spytał:

— Czy jest pan panem Pawłem Pisarskim lub jego reprezentantem prawnym?

— Nie.

— A może prowadzi pan jego biuro i może potwierdzić odebranie przesyłki, dysponuje pan pieczętką?

— Nie.

— A czy jest pan Pisarski.

— Nie.

Trzykrotne „nie” Rambo mogłoby kogoś innego wyprowadzić z równowagi, ale wspólnik w kancelarii prawnej Fogiel, Kaczmarek i Wspólnicy był wyjątkowo odporny na takie przeciwności losu i przygotowany na dłuższą kampanię u bram Manufaktury.

— Kiedy się mogę spodziewać kogoś kompetentnego i umocowanego?

Rambo wzruszył ramionami, za to Hendrix, który wracał ze sklepu, był bardziej rozmowny.

— Umocowany do czego? — Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Umocowany, mający pełnomocnictwo. — Mecenas Fogiel nie zrażał się żadną przeciwnością losu.

— No ja mam pełnomocnictwo. — Hendrix stanął naprzeciw prawnika.

— Może je pan okazać?

— Panie...

— Adrian Fogiel, kancelaria prawna Fogiel, Kaczmarek i Wspólnicy.

— No to panie Fogiel... — westchnął Hendrix. — Po pierwsze, to pokazywałem, jak byłem mały, i to tylko rodzinie i co fajniejszym dziewczynom, a po drugie — westchnął ponownie, jeszcze mocniej, dodając do tego kręcenie głową. — To kto pan jest, mecenas czy pocziarz?

— Poczta działa opieszale, a mojemu klientowi zależy na szybkim załatwieniu sprawy... — zaczął, ale Hendrix nie dał mu skończyć.

— Czyli pan jest umocowany — oznajmił z pełną powagą, po czym się zaśmiał.

— Oczywiście — odpowiedział Fogiel, cały czas zachowując odporność patelni pokrytej teflonem.

— To pokaże pan jakiś papier?

Po minie, jaką zrobił, Hendrix wiedział, co będzie dalej. Wyrwie dupkowi papier i go podrze. I tak by się stało, ale z Manufaktury wyszła Wanda. Poszło z górki, zaprosiła typa do środka, Pablo odebrał papier, a po pięciu minutach wszyscy wszystko wiedzieli. To koniec.

Dla wszystkich szok, tylko nie dla Wandy. Powiedziała, że na pewno Pablo i pozostali dostaną jakieś odszkodowania, a miasto znajdzie nową lokalizację.

— Tak to działa — oznajmiła i zawinęła załamanego Pabla do swojej wili.

Ten dzikus skapitulował, poddał się, to był kolejny policzek, który przyjął Zoltar.

Czuł się jak Saul Goodman, ten facet z serialu „Better Call Saul”, genialny prawnik, któremu rzucono kłody pod nogi. Człowiek, który był lepszy niż cała reszta ulizanych dupków, którzy nie chcieli go dopuścić na szczyt, bo nie był z ich klubu. Za prząsny, zbyt prostolinijny, nikt z ich klanu.

Zoltar nie chciał się zmieniać, chciał żyć według swoich zasad i za chwilę miał skończyć tak jak Saul Goodman: jako uciekinier. Łebski prawnik wylądował za ladą w centrum handlowym, sprzedawał słodycze, robił coś poniżej swojego talentu i kompetencji, ale nawet bez tego radził sobie dobrze, a kiedy mimo wszystko był znów blisko szczytu, położyli go debilni współpracownicy. To byli zwykli durnie, którzy nie dorastali mu do pięt. Wszystko położyli, zmarnowali jego drugą szansę. Zoltar także miał swoją drugą szansę, czuł, że mógł być prawdziwym marszandem, człowiekiem, który w łatwy sposób przełożyłby na gigantyczne pieniądze wielki talent Pabla, tyle że Pablo był uparty jak osioł. Nie dał sobie pomóc, odrzucał wszelkie sugestie, pieprzył o niezależności, nie chciał zarabiać pieniędzy.

I nagle wszystko się zmieniło, tylko nie dlatego, że jego kumpel przyznał mu rację, tylko dlatego, że przekonała go do tego Wanda!

Wanda Kolekcjonerka wlała się w spokojne życie Manufaktury z siłą wodospadu i stała się królową tego przybytku. Miała wolną rękę i robiła, co chciała, to znaczy to, co planował wcześniej Zoltar. Musiał z bólem serca patrzeć na tabuny jej psiapsiółek, koleżanek i koleżaneczek, znajomych i znajomych znajomych pań z towarzystwa, palantów, którzy zdejmowali krawaty, żeby pokazać, jak są wyluzowani w dzień powszedni, a w weekend, przebierając się za golfiarzy i żeglarzy, pokazywali osobowość sportsmenów. Najlepsi byli dwaj, co po sześćdziesiątce kupili sobie harleye i przebrali się w skóry z frędzlami. Młodzi i dzicy, z jajami jak arbuzy... Luzacy, którzy w tych lśniących nowością skórach zrobiliby furorę w barze dla gejów, gdyby tylko nie łązili w tych uniformach sztywno, jakby byli Robocopami.

Dawniej Pablo zaszyłby się w swoim pokoju albo dyskretnie wymknął się z pracowni, albo najchętniej dałby temu całemu towarzystwu kopa w sam środek dupy i oczywiście obsztorcował go za sprowadzanie takich wycieczek, które kręciły się po jego

pracowni, jakby byli na safari albo na wyprawie do brazylijskiej faveli. Chciało mu się wyc, bo jeszcze niedawno obsztorcowywał go za to, że wpuścił do jego sanktuarium klaunów, którzy i tak nie rozumieją jego sztuki. Typów, którzy strzelali sobie selfiaki, tak samo jak z Dodą, Hołkiem, Lewym i Martyniukiem. Z każdym, byleby, kurwa, byli popularni!

A teraz nie robił fochów, tylko towarzyszył Wandzie w oprowadzaniu Januszów sztuki. Nie było gędzenia o stracie czasu, obciachu, dupkach z wypchanymi portfelami i korporacyjnych wydrach. Teraz szedł obok Wandy Kolekcjonerki i nawet od czasu do czasu wygłaszał jakieś swoje złote myśli, z dzikiego kota stał się kiciusiem z reklamy karmy dla sympatycznych domowych sierściuchów. Już nie mówił: „Nie sprzedam mu rzeźby, bo ją postawi w przedpokoju, gdzie będzie mu służyła za ekskluzywny wieszak” albo: „Ten fiutek mniejszy obraz powiesiłby w łazience, o pardon, w pokoju, kurwa, kąpielowym, a ten duży w salonie. Nawet w dobrym miejscu, tylko do góry nogami!”. Już z nich nie szydził, dawał się namawiać na wywiady i na wyjazdy na zagraniczne targi sztuki, jeszcze trochę, to założy swoje konto na Fejsbuku i zacznie się udzielać na TikToku. Upadek artysty!

A teraz dezercja. Czuł, że ta straszna kobieta chce go stąd jak najszybciej ewakuować, i to, oczywista oczywistość, bez niego!

To, co było tylko przypuszczeniem, szybko okazało się smutną prawdą, która wyszła na jaw zupełnym przypadkiem. Kimnęła w swoim pokoju na antresoli i obudziła go toczona w pracowni rozmowa.

12.

Pablo był w wisielczym nastroju, Wanda namawiała go na jakąś imprezę, wyjście, wieczór wśród ludzi, ale on wolał pojechać do Manufaktury. Po drodze po raz kolejny pytał Wandę, czy na pewno uważa, że sprawę Manufaktury trzeba odpuszczać.

— Pawle... — zaczęła bardzo łagodnie, jakby mówiła do dziecka, a później wzmocniła przekaz: — Mówiłam ci już, że skoro

pełnomocnikiem prawnym Bielaka był Jakub Hamerski, to nie widzę szans. To był bardzo dobry prawnik, do tego nie uczestniczył w wałkach, miał swoje wady, ale... — Ugryzła się w język, bo powiedziała o zdanie za dużo.

— No tak — mruknął Pablo. — Zoltar mówił mi, że byłaś w tej galerii.

— W której galerii? — Udała zdziwioną. — Znam ich wiele.

— No ja przecież też parę kobiet poznałem, bądźmy dorośli. O galerię zdjęć mi chodzi.

Była z nim krótko, parę tygodni, ale pokazali się gdzieś razem i dlatego w tym idiotycznym, plotkarskim artykule „Nie zgadnicie, z kim był mecenas Hamerski” było także jej zdjęcie.

— Był za bardzo poukładany, znudził mi się.

— Aha — odburknął Pablo.

— Ty mi się nigdy nie znudzisz.

Wjechali na dziedziniec. Rambo, który opuścił szlaban, pomachał im ręką i wrócił do swojego kampera, wyprawowego mercedesa unimoga. Wanda już miała zapytać stróża-rezydenta, czy w pracowni ktoś jest, ale właśnie wtedy Pablo wrócił do swojej mantry.

— Powinniśmy walczyć, coś zrobić — powiedział, zapalając światło.

— Paweł... — powiedziała, całując go. — Wiem, co chcesz mi powiedzieć, że dostaniesz nową lokalizację, że to wszystko to jeden wielki skandal i w końcu prasa się za to weźmie. Tak?

Burknął, że tak, a ona pogładziła go po pokrytym parodniowym zarostem policzku i spojrzała, nie z politowaniem, ale z troską. Nie powiedziała nic, nie musiała, bo już kilka razy słyszał od niej, że nic już nie łączy go z tym miastem.

— Nic z tego nie będzie, po pierwsze, miasto jest teraz pod kreską, po drugie, zadarłeś z prasą, nazywając dziewczynę z ogólnopolskiego portalu niekompetentną.

— Sama powiedziałaś o niej głupia pinda!

— Ale nie rzuciłam jej tego w twarz, a ty się na nią wydarłeś!

Fakt, wydarł się. Niepotrzebnie się uniósł, powinien jej spokojnie powiedzieć, że się nie zna, a nie ryczeć, że jest niekompetentna!

— Nie rzeźbisz husarzy, śmiałeś się publicznie z tego, że pani prezes telewizji Danuta Paciorek nie przeczytała „Ksiąg Jakubowych”, i pozdrowiłeś ją całusem, nawiasem mówiąc, skąd ten dziwny gest okazany tej ropusze? — Pablo machnął ręką, jakby chciał przegonić tamto wspomnienie, a Wanda wyliczała dalej: — Ludziom z telewizji publicznej powiedziałeś, żeby pocałowali cię w dupę... Nie muszę dodawać, że szanse w Ministerstwie Kultury masz takie...

— Jak Żyd za okupacji — westchnął. — Tak, i jeszcze antysemicki dowcip, który powiedziałem w Polinie na wernisażu Sasnała, a później dołożyłem ten o gejach. Skąd mogłem wiedzieć, że facet, który sam opowiada hardcorowy kawał o geju Żydzie, sam jest gejem i Żydem, i że uważa, że on może, a innym nie wypada?

— A może zamieszanie zrobiło się dlatego, że on opowiadał to tylko tobie i mnie, a jak ty zaczęłaś się bawić w jednoosobowy kabaret, to słuchało nas już kilka osób, w tym dwójka dziennikarzy?

— Coś pominęłaś?

— Tak, że znany jesteś z rzucania seksistowskich uwag i że...

— Zjebałem jak psa redaktora-cyklistę? — Pablo machnął ręką, jakby się oganiał od niewidzialnego reportera aktywisty, któremu powiedział podczas wywiadu, że ma w dupie cały szum wokół placu Defilad i jak ktoś chce tam buszu zamiast budynków, to niech wypierdala do Puszczy Kampinoskiej.

Nie było to zbyt polityczne, bo ten gostek był zakochany w projekcie wyburzenia Pałacu i zrobienia tam jakiegoś postapokaliptycznego Central Parku. Podobnie jak uwaga o chujach na rowerach, którzy choć mają ścieżkę rowerową, to i tak jadą jezdnią albo chodnikiem, bo jest szybciej, a gdy on jedzie samochodem, to nie wjeżdża na ścieżkę rowerową, nawet gdyby było po niej szybciej. Okazało się, że reporter aktywista przyjechał na rowerze i przy okazji zobaczył, że wrażliwy artysta kupił sobie nissana GTR. I tak skończyła się trwająca kilkadziesiąt lat przyjaźń z opiniotwórczym warszawskim medium. I to nie był koniec, huczało wszędzie. Pablo z postępowego stał się za mało hipsterski, taki więcej dziaderski dla tych wszystkich aktywistów.

— Więcej, kurwa, grzechów nie pamiętam! — skwitował swoje medialne porażki.

— W zasadzie tak — powiedziała Wanda i zamiast w konfesjonał zapukała w blat stolika, po czym się zaśmiała. — Skoro już się spowiadasz, to ostatni numer na twojej płycie...

Nie musiała więcej mówić, wiązanka pieśni kościelnych, a zwłaszcza fragment z synkopowaną wersją „Czarnej Madonny” oraz brawurową „Barką” w stylu Elvisa Presleya będzie mu pamiętany przez prawicowe media mocniej niż bezpardonowy atak na redaktora-cyklistę.

— ...Warto dodać — podjęła po chwili milczenia Wanda — że jesteś jednym z kilku najlepiej zarabiających artystów w tym kraju, co także nie przysparza ci zbyt wielu przyjaciół.

— Poza tym, jak to napisali na jakiejś plotkarskiej stronie: „Sprzedał rzeźbę gwiazdzie Hollywood, a teraz jest w związku z polską multimilionerką”. Można powiedzieć, że jestem skończony, tak?

— Na pewno nie jesteś takim, któremu współczują, raczej zazdroszczą. Masz jakieś wino? — zapytała, choć doskonale wiedziała, że tak, sama dbała o to, żeby Zdzisław, którego Paweł nazywał Zoltarem, robił zakupy, poza tym pilnowała, żeby w lodówce były porządne białe wino, szampan albo przynajmniej cava.

— Paweł... — zaczęła niewinnie, nieco zalotnie, kiedy nalewał musującej cavy.

Pablo poznał już kolekcjonerkę na tyle dobrze, że wyczuł, że chodzi o coś poważnego.

— Myślałam o zakupie nieruchomości w Hiszpanii... Pamiętasz, prawda?

— Wiem, już jakiś czas temu planowałam. — Pablo wzruszył ramionami, jakby ludzie na Grochowie, wychodząc na zakupy do piekarni w grzybkach na Wiatraku, wracali do domu i obwieszczali: — Oprócz bułeczek kupiłem jeszcze rurki z kremem, a po drodze zahaczyłem o agencję nieruchomości i zadatkowałem dom. Kupiłbym, ale karta nie przeszła. A gdzie? W Hiszpanii, taki nieduży, ale fajny.

Jego reakcja nie mogła być inna, bo Wanda kupowała wiele rzeczy i wydawała mnóstwo pieniędzy, na udziały, akcje i bilety lotnicze. Te ostatnie wcale nie były czymś, czego nie dawałoby się nie zauważyć, bo parę tygodni temu byli w Honolulu, tak na tydzień, ot po prostu. Miała tam ważne spotkanie biznesowe, a lecieć ponad dobę, żeby spędzić tam dwa dni? Nie było sensu. Zabrała więc Pabla i spędzili tydzień, a bilety lotnicze, ma się rozumieć w biznesie, kosztowały dwadzieścia pięć tysięcy złotych. Zdębiał, był rozrzutny, ale tym razem musiałyby upaść na głowę. Tymczasem Wanda spokojnie wyjaśniła, że owszem, dwadzieścia pięć tysięcy, ale to przecież opłata w obie strony, i nie za jedną, lecz za dwie osoby, i nie tylko za lot, ale i nocleg, do tego z dobrą kuchnią i szampanem oraz każdym innym alkoholem. To ostatnie jakoś go przekonało, bo panicznie bał się latać, więc zrobił z siebie małą, żeby przetrwać trudy podróży.

— Podobało ci się, gdy byliśmy u naszych znajomych, piękna okolica, sporo ciekawych nieruchomości. Pamiętasz tę dziewiętnastowieczną wyciskarnię soku?

— Chodzi o tę rudere, na którą zwróciłem uwagę, kiedy jechaliśmy od twoich znajomych do Barcelony? Wszystko było w rozsypce, nawet w większej niż kiedyś Manufaktura.

— A ta piękna willa koło Zanderów, polubiłeś Michała i Agnieszkę, prawda?

— Fajni ludzie — ożywił się. — Ale od razu myśleć o kupowaniu domu? Mówili, żebyśmy wpadali do nich, mają gościnny pokój!

— Oczywiście raz czy dwa, ale ja myślę o przejściu na emeryturę.

Kiedy mówi to kobieta, która ledwo co skończyła czterdzieści lat, to brzmi to niczym herezja, ale ona miała wiele dziwnych pomysłów.

— Na emeryturę? — zdziwił się. — Przecież...

— Teraz tylko porządkowałam finanse, szykowałam podstawy do tego, by być rentierką i matką... — rzuciła to mimochodem, jakby wspominała nie o macierzyństwie, ale o planie wymarzonych wakacji. Pablo nie przegapił jednak tego oświadczenia, a jego reakcją było zakrztuszenie się tak silne, że musiała go uderzyć w plecy. Z trudem złapał oddech, a Wanda mówiła dalej:

— Wiedziałam, że to zrobi na tobie wrażenie! Dojrzeliliśmy do tej decyzji, nie martw się, żadnych tam bzdur ze ślubem, zresztą jakby

nas kiedyś nasza ochota... — Mimo że była wdową i rozwódką i szczerze nie lubiła instytucji małżeństwa, to rozmarzyła się, widząc oczyma wyobraźni ich ceremonię ślubną; na plaży, boso i... — Moglibyśmy to zrobić na czwarte czy piąte urodziny Pabla, bo chociaż chcę go urodzić w Polsce, to myślę o życiu w Hiszpanii.

— Skąd wiesz, że to chłopiec, w którym miesiącu ciąży jesteś?

— Jeszcze nie, chociaż... — uśmiechnęła się. — Kto wie, nieco mi się spóźnia okres. Ale oczywiście nie musi to być chłopiec, dziewczynkę nazwalibyśmy...

— Wanda, oczywiście na twoją cześć. — Mimo sytuacji krytycznej, podbramkowej, którą brazylijski komentator określiłby słowami: „Tylko Jezus Chrystus może nas uratować przed stratą gola”, Pablo zachował refleks.

— Kochanie. — Objęła go, całując. — To takie wzruszające!

Odwzajemnił uścisk, pocałunek i wzruszenie.

— Tak się bałam, że tego nie zaakceptujesz! Bałam się bardzo, bo to ostatnia chwila. Dla ciebie może nie, ale dla mnie... Powiedz szczerze, nie masz nic przeciwko, Pawle?

Nie, nie miał nic przeciwko. Uścisk, pocałunek i wzruszenie były szczerze, tak jak prawdziwy był strach, że chce go wyprowadzić z Grochowa. Już jeden krok zrobiła, coraz częściej nocował u niej w wili przy Odolańskiej, a jej wizyty połączone ze śniadaniem w jego mieszkaniu niedaleko Szembeka stawały się bardzo symboliczne. Czuł, że się wykorzenia, oddala od swojego jądra Ziemi, które dla niego nie było położone w środku planety, lecz na prawym brzegu Wisły, ale myśl o tym, że w końcu mógłby się spełnić jako rodzic? To mógłby być najważniejszy projekt w jego życiu!

13.

Kiedy Zoltar usłyszał rozmowę, chciał dać głośny, wyraźny znak, że jest, ale się powstrzymał, postanowił udawać, że go nie ma. Bezszelestnie podszedł do skraju antresoli, kucnął za szerokim murkiem, który spełniał funkcję bariery i miejsca, gdzie można było stawiać rzeźby.

Dla Pabla najważniejsze było planowanie rodziny. Dla niego — że związek Pabla i Wandy ma kwitnąć gdzieś daleko stąd. Zaniepokoiła go też wrzutka o jakiejś dziewiętnastowiecznej ruderze, fabryczce czy wyciskarni soku. Pojął, że dzieje się coś, czego do siebie wcześniej nie dopuszczał. Najpierw uznał Wandę Kolekcjonerkę za przelotną, jak inne dziewczyny i kobiety Pabla, pomyłkę. Później doszedł do wniosku, że jeśli nawet ona go owinie wokół palca, to co? Tu ma pracownię i nic tego nie zmieni, ni chuja! Nawet ona, niepokojąco piękna i silna Wanda E-A, nie da rady, bo tu jest matecznik Pabla, więc nie wyniesie się z Grochowa, tak jak Althamer nigdy nie wyprowadzi się z Bródna!

Teraz jednak wszystko się skomplikowało i dla Zoltara było jasne, jego czas u boku Pabla dobiegał końca. Czuł, że kolejna kobieta pozbawi go wszystkiego. Wcześniej tego nie zauważył, nie zdążył zareagować, teraz już wie i wszystko jest w jego rękach. Kanapa, na której siedzieli Wanda i Pablo, była pod antresolą. Pablo właśnie wstał, poszedł w kierunku lodówki albo toalety i ona była pod nim, sama, bezbronna. Wisiał nad nią jak drapieźnik, bombowiec albo dron bojowy.

Na amerykańskich filmach wszystko jest takie proste, facet siedzi z dżojstikiem w dłoni, zaznacza cel, odpala raketę...

Wanda drgnęła, przesunęła się dokładnie pod rzeźbę, która stała na murku antresoli. Nie była to byle jaka rzeźba, nazywała się „Kropla drąży skałę”, wyglądała jak kropla, ale była to szczególna kropla, o której krytyk i kurator Edward Miłosz Jaworski napisał:

W nieznanym do tej pory młodzieńczym dziele o złożonym tytule Kropla drąży skałę — GOSSARD: $V=9,65(1 - \exp(-0,53d))$ oraz UPLINGERS $V=4,85d \exp(-0,195d)$ artysta zawarł typową dla swojego wieku niecierpliwość i brutalność. Paweł Pisarski zastępuje miarowe uderzenia ważące pięćdziesiąt miligramów kropli — których dynamikę wyrażają tytułowe, empiryczne wzory matematyczne Gossarda i Uplingersa, na ich prędkość końcową — jednym, konkretnym uderzeniem. Rewolucyjna brutalność to odpowiedź artysty na jałowy dialog ze skostniałym światem, jego zastygłymi niczym lawa elitami, proponującymi młodym ludziom

czekanie w przedpokoju życia, niekończącą się obietnicę na dopuszczenie do stołu, przy którym podejmuje się decyzje, a kiedy już następuje sygnał, to nie jest on wezwaniem do partycypacji w orzekaniu o losach planety, lecz przywołaniem lokaja, który ma usługiwać przy patrycjuszowskiej uczcie.

Na taki dyktat Pisarski nie odpowiada błagalnym szeptem, lecz krzykiem, redefiniując paternalistyczną wizję świata, odrzucając jałmużnę proponowaną jego pokoleniu przez butwiejący areopag, którego jedynym celem nie jest postęp i budowanie lepszego świata, lecz utrzymanie swoich pozycji. Czerpię z tej pracy siłę i jednocześnie czuję silne wzruszenie, gdy patrzę na dzieło skończone, które wyszło spod ręki młodego wtedy artysty, a już dojrzałego i konsekwentnego. Mój podziw budzi fakt, że Pisarski nie spieniężył swej pracy, lecz mimo ciężkich warunków finansowych, które są udziałem każdego młodego twórcy, nie chciał jej oddać za marne pieniądze proponowane przez marszandów i kolekcjonerów żerujących na początkujących artystach.

— Gówno prawda — mówił Pablo, czytając wywód Jaworskiego w katalogu „Młoda polska sztuka lat przełomu 1989—2000”, a Zoltar doskonale wiedział, że tak jest. Wystawa, której kuratorem był Jaworski, opierała się na pracach wybranych przez niego z kolekcji i muzeów oraz zaproponowanych przez artystów. Pablo powiedział mu, żeby coś wybrał, bo cała ta wystawa to zawracanie głowy i ma ją w pompie, więc Zoltar wybrał.

Kropkę wybrał, bo mu się podobała, choć nie nadawała się na tę wystawę, bo była to stosunkowo świeża sprawa. Po prostu nie dogadali się, ponieważ Pablo nie powiedział, że chodzi o coś starego, zresztą z tamtych czasów nic mu nie zostało, bo potrzebował wtedy kasy i sprzedawał wszystko, jak leciało, żeby uzyskać szmal za materiały, z których powstały rzeźby, opłacić czynsz i kupić coś do żarcia.

Jaworski wydzwaniał później i pytał, jak takie dzieło mogło nie ujrzeć światła dziennego, więc Pablo odpowiedział, żeby mieć go z głowy: „Bo je lubię, a poza tym nie dawali za to dobrych pieniędzy. I stąd te wzruszenia w katalogu”.

Ta cholerna pancerna kropla miała pół metra wysokości, wykonana była z mosiądzu i ważyła prawie sto kilogramów. Zaczął na nią napierać i zrozumiał, że nie wystarczyło jej pchnąć, trzeba było się zaprzeć nogami i użyć całej siły, by zwalić to cholerstwo na głowę Wandy. Nikt by nie uwierzył, że to był wypadek.

Stukilowa kropla zachwiała się, a Zoltar starał się zapobiec katastrofie. Podwójnej, bo nagle pojawił się Pablo, przysiadł się do Wandy i zaczął ją całować. Podwójna zbrodnia stanie się faktem, chciał już krzyknąć, ale kawał mosiądzu nagle się uspokoił.

— Czy ktoś jest na górze? — zapytała Wanda.

— Zoltar! — zawołał go Pablo.

Tu nie ma się co zastanawiać, tu trzeba spieprzać! Zoltar błyskawicznie wrócił do swojego pokoju, wyślizgnął się na balkonik, który otaczał Manufakturę, i skorzystał z drabinki przeciwpożarowej.

14.

Musiał odreagować, nie był najspokojniejszym człowiekiem na świecie, ale w szkole bił się rzadko. Wolał być wodzem niż żołnierzem. Później rozwiązywał wszystko za pomocą sprytu, przedsiębiorczości, pieniędzy i czegoś, co osoby mu przychylnie nazwały specyficznym urokiem osobistym, a ci, którzy Zoltara nie lubili, cwaniactwem. Był zatem cwaniakiem, ale nie mordercą, a przecież od tego, by z premedytacją zabił Kobieta, Która Chciała Wywrócić Mu Życie Do Góry Nogami, a przez przypadek Pabla, dzieliły centymetry i ułamki sekund.

Na stres najlepsze jest piwo, nawet jeśli pije się w hałasie, który zwykle towarzyszy karmieniu zwierząt, i w obecności osobników wyglądających, jakby uciekli z planu horroru klasy C. Dzisiaj w studiu Hendrix i Ala nagrywali jakichś metalowych pojebów, grających i ryczących pod szyldem DOAS, który był akronimem wdzięcznej nazwy Death Of All Saints. Normalnie nie zaszczyliły ich swoją obecnością, ale teraz musiał.

Wszedł od zaplecza, od razu uderzyła go ściana dźwięku. Zgodnie ze swoją wiedzą o muzyce to perkusista używał połączenia młota

pneumatycznego z maszyną do szycia, a basista z gitarzystą próbowali się przez ten łomot przebić. Nie sądził, że w tym wszystkim jest jeszcze miejsce dla wokalisty, ale okazało się, że i on był w studiu i sądząc po ryku, który z siebie wydał, inspirował się twórczością oszalałych słoni i rannych niedźwiedzi.

Po drugiej stronie baru siedziało kilka osób płci obojga, których, jeśliby był w policji, nie omieszkałby spisać, tak na wszelki wypadek. Ale nie był w policji, więc ich pozdrowił, zdjął szklanekę z suszarki i zaczął nalewać sobie piwo. Złociło się w promieniach dyskretnego światła, delikatnie pieniło, zapach chmielowego nektaru drażnił jego nozdrza i wszystko to sprawiało, że zapomniał o tym, że może nadejść koniec świata, jaki zna od prawie dwudziestu lat. Pił piwo, smakując je, bez pośpiechu, bez strachu, że przyjdą i nakryją go, że zabraknie mu kasy, że nie będzie go stać na kolejne. Tu miał otwarte konto i korzystał z tego bez skrępowania, bo przecież to, co płacili za wynajem, to chuj, a nie czynsz. Gdyby Pablo dał mu zarządzać nieruchomością... Złapał się na tym, że niedługo ich wszystkich już tu nie będzie.

Z głośników huczało, ale nauczył się już tego wszystkiego nie słyszeć, tak jak i rozpoznawać stałych bywalców studia, na przykład sympatyczną kolorowo ubraną parę, która przyniosła ciasteczka, dzięki którym stał się zwolennikiem legalizacji marihuany. Kolejne piwo, ciasteczko i jeszcze jedno piwo, po nim ciasteczko. Zrobiło mu się przyjemnie, błogo, zaczął wymieniać dowcipne uwagi, zaczął też marzyć o różnych sposobach pozbycia się Wandy Kolekcjonerki dwojga nazwisk.

A później zachciało mu się jeść i nie mając ochoty na wegańskie wynalazki, poczłapał do pracowni, w której nie było już Pabla i Wandy, walnął się na kanapie, włączył telewizor i z przyjemnością oglądał serial „Dexter”, którego bohater jest sympatycznym, seryjnym mordercą, zabijającym i kawałkującym ludzkie chwasty.

Zasnął i pięknie śnił, że przejeżdża Wandę walcem drogowym, jest motorniczym tramwaju, który obcina jej głowę, zupełnie jak w tej rosyjskiej książce, a ta głowa jej odpada nie w Moskwie na jakichś Patriarszych Prudach, tylko w Warszawie, przy Saskim Ogrodzie. I w końcu nadeszła najpiękniejsza z wyśnionych zbrodni, ta

dokonana w niebotycznie wysokim wieżowcu. Zoltar podciął piłą łańcuchową linę i winda ze Złą Kobietą Dwojga Nazwisk spadała niekończącym się szybem.

Upajał się jej krzykiem, najpierw pewnymi siebie komendami, oburzeniem, groźbami, telefonem do menedżera obiektu, że już dawno winda się powinna zatrzymać, że już o ponad dwieście pięter minęła poziom, który ją interesował, a później wrzask wyrażający bezsilność, który przeszedł w przeraźliwe wycie. I kiedy było to prawie tak przyjemne jak seks, zdał sobie sprawę, że Wanda może być w ciąży, nosić w sobie dziecko Pabla.

Krzyk Zoltara przetoczył się przez pracownię, obudził się zlany potem. W komórce znalazł SMS-a od Pabla. „Będę wieczorem, odwożę Wandę na lotnisko, ma kilkudniowy wyjazd w interesach, spotykamy się wieczorem w studiu. Ala i Hendrix organizują imprezę. Pbl”. Pbl, tak się Pablo podpisywał, bez spółgłosek i nie tylko pod SMS-ami, ale także pod swoimi dziełami.

Koszmary go opuściły, ten senny zniknął, oby na zawsze, a Wanda przynajmniej na kilka dni. Wszystko było w zawieszeniu, ile czasu tu jeszcze zostaną, gdzie przeniesie się pracownia? Może to była zwykła panika, może ona sobie chce, a Pablo się postawi, znajdzie tu jakiś kąt, a może po prostu jego fascynacja tą kobietą minie albo on czymś ją wkurzy? Tak czy owak, miał przed sobą dzień, w którym nic się nie będzie działo i będzie miał do dyspozycji pracownię, a w niej to, co najważniejsze: internet, białą ścianę, która służyła za ekran, rzutnik i sprzęt grający lepszy niż kino domowe. Życie nie umierać, oglądać Netflixa, pić piwo i zamawiać pizzę. To lubił!

I na tym minął mu dzień, na zgrzewce piwa i nadrobieniu zaległości w „La Casa de Papel”. Poprzednie dwadzieścia trzy odcinki przygód Profesora, Helsinek i Berlina były lepsze, tych osiem, które łyknął teraz, nieco go rozczarowało, ale najważniejsza była idea. Wielki skok, którym można wywrócić wszystko do góry nogami, odrobić straty i wiedzieć, że niemożliwe nie istnieje, nawet coś takiego jak gwałtowna miłość między hersztem gangu i policjantką.

O czymś takim, podobnie jak o zgładzeniu Wandy i wygranej w totolotka, mógł tylko pomarzyć, mógł za to zupełnie spokojnie napić się u Ali i Hendrixa.

15.

Kiedy wszedł do środka, dotarło do niego, że choć w zamiarze Pabla miała to być Republika Marzeń, to spotkali się wszyscy razem dopiero teraz po raz pierwszy i pewnie ostatni. Nawet jak był koncert projektu Pabla, Ali i Hendrixa, to Dziadek Ikar miał, jak w prawie każdy weekend, jakieś zawody czy inny zlot maniaków latania, a później zawsze coś komuś wyskakiwało. Studio nagrań pracowało pełną parą, czasem Ala i Hendrix jechali na koncerty jako muzycy, a czasem, by realizować dźwięk. Pablo miał wystawy i wernisaże, własne i cudze.

Nigdy nie było tak, że wszyscy mogli być tego samego dnia, o tej samej porze w jednym miejscu. Z tej całej grupy tylko rodzeństwo Niekłajskich, graficzka Zuza i jej przykuty do wózka brat informatyk Olek, nigdzie się nie ruszało. On był tu chyba codziennie. Rambo również, ale ten dołączył do ekipy Manufaktury niedawno i nie był specjalnie kontaktowy. Teraz też stał nieco z boku, popijał piwo i przyglądał się im, jak to cieć. Dziadek był spięty, podobnie Zuza, jej brat oraz gospodarze rozkręcali wszystko w żałobnym tempie, w końcu to stypa, podczas której wszyscy przychodzą pogrążeni w smutku, to, co się stało niemal przed chwilą, jest tabu, a nieboszczyk świętością. Jego życiorys, poszczególne uczynki, nieposzlakowana opinia, wszystko co do szczegółu nadaje się do odlania w brązie i ustawienia na cokole. Szybko, wraz z chęcią odreagowania stresu i wypitym alkoholem, atmosfera staje się coraz luźniejsza, pojawiają się pierwsze wesołe wspomnienia, w końcu dochodzi do sytuacji, w której rozprawia się już nie o zmarłym, ale o dawno niewidzianych, lubianych i nielubianych.

Żałobna impreza w klubiku Ali i Hendrixa nie odbiegała od standardu. Jak na nazwę lokalu przystało — Space Oddity, zaczęli od numeru Dawida Bowiego, tęsknego, przejmującego, wprowadzającego nastrój niepokoju „Warszawa”, a później poprawili melancholijnym „Blackstar”. I od zwieszonych głów, pomstowania, nieśmiałego przebąkiwania, że może odwołanie coś przyniesie. Zaczął Olek, a później pałeczkę przejął Dziadek.

— Do Ziobry napiszę — odgrażał się Dziadek Ikar. — On na takie sprawy cięty! W końcu wprowadził skargę nadzwyczajną!

— Panie Ikarze, pan do Ziobry będzie pisał? No, sorry, men, ale nie widzę tego! — Hendrix pokręcił głową.

— Obywatelem jestem, mogę! — Dziadek bronił swoich racji.

— Fejsbuka panu przejrzą i się skończy — skwitował Pablo.

— Nie mam Fejsbuka! — zaprotestował Dziadek Ikar.

— To jeszcze gorzej, żeby się dowiedzieć, teczki otworzą — zaśmiał się Zoltar.

— Jakie teczki, panie Zoltar, jak do Solidarności należałem, w podziemiu byłem! — Stary parolotniarz wyprężył się jak do odznaczenia. — Krzyż Wolności i Solidarności dostałem!

— To niedobrze. — Zoltar pokręcił głową. — Solidarność Wałęsa zakładał, więc się pan trochę wpakowałeś!

— Nic na mnie nie ma! — Ikar twardo stał przy swoim, choć jakby z narastającą niepewnością. — Nic a nic! — dodał na końcu w mało przekonujący sposób.

— W takim razie jeszcze gorzej. — Zoltar cały czas kręcił głową, a tę niezbyt wyrafinowaną choreografię uzupełnił o nieludzki grymas.

— Co gorzej, jak gorzej? — Dziadek Ikar był już podenerwowany tą rozmową.

— Bo jak nic nie mają, to założą panu Pegasusa!

— No i chuja usłyszą, ja nie mam nic do ukrycia! — gruchnął jak wystrzał, po czym uderzył kolejkę soku pomarańczowego. — Mogą mnie w dupę pocałować! — dodał, co wywołało, podobnie jak poprzednie zdanie, powszechną konsternację, bo nikt wcześniej nie słyszał, by Dziadek Ikar klął, by wyszedł poza granicę cholery jasnej i kurtki na wacie.

— Spokojnie, spokojnie, chilluj pan bombę! — Hendrix stanął w środku jak mistrz ceremonii. — Wyluzujmy, relaksik, będzie dobrze!

— Co będzie dobrze? Nic nie będzie dobrze, panie Hendrix — zaperzył się Dziadek Ikar i ostemplował swą wypowiedź kolejnym przekleństwem. — Gówno będzie, a nie dobrze!

Hendrix nic sobie z tego nie robił, tylko ze spokojem, wprawnymi ruchami przygotowywał stanowisko z potężną fajką wodną.

— Weźmiemy bucha i będzie dobrze — uśmiechnął się szeroko, jak tylko potrafią ludzie, którzy cieszą się na wspólne palenie trawki.

— Jakiego bucha, o co chodzi? — zainteresował się Ikar. — Co to jest?

— Ziołolecznictwo. — Hendrix był już lekko zrobiony, wziął na zapleczu dwa machy, żeby sprawdzić jakość towaru. — Znakomity, rozluźniający, konwersacyjny stuff! Wybitnie nadający się na debiuty!

— Panie Hendrix, ja sobie wypraszam, żadnych narkotyków! — Dziadek Ikar przyjął pozę komsomolca na słynnym plakacie „Powiedz wódce NIE!”. — Ja od razu przeszedłem do Straight Edge!

— Myślałem, że Straight Edge, całe to świętopunkowanie bez narkotyków, alkoholu i używek, to dopiero lata osiemdziesiąte — zdziwił się Pablo.

— Wyprzedzałem epokę. — Ikar na wszystko miał odpowiedź.

— Wyznaje pan Straight Edge, ale papierosy... — Hendrix był niczym wytrawny śledczy.

— Elektroniczne!

— I uważa pan, że to zdrowe i że to nie używki? — zaśmiał się Hendrix. — Panie Ikarze!

— Jestem mniej ortodoksyjny niż kiedyś — obruszył się.

— To w takim razie weź pan bucha! — Hendrix wyciągnął w kierunku Ikara wężyk z ustnikiem. — Samo zdrowie!

— To przecież nielegalne. — Dziadek Ikar rozejrzał się, jakby gdzieś, w kącie klubu, mógł się ukrywać policyjny wywiadowca. Wszyscy uznali to za żart, fajka bulgotała, dym o konopnym zapachu unosił się w powietrzu.

— Pił pan wódkę na studniówce? — zapytała Ala.

— Piłem, no jasne, że piłem! Nie raz, nie dwa, bo jeszcze w szkole pielęgniarskiej byłem na zabawie i w odzieżówce, tam dziewczyny musiały zapraszać chłopaków, bo inaczej by poloneza nie było!

— To było nielegalne, zupełnie jak ta trawka! Na Stonesach pan był podobno. Jak było? Hipisi, trawka, te sprawy? Twarde? — zagadywał Hendrix.

— Hipisi? — zaśmiał się Dziadek. — Łobuzów było najwięcej, takich, jakby to powiedzieć, żebyście zrozumieli, gitolaków, skinów.

— Dresów? — zapytała Ala.

— No takich dresów, karków, kolejką spod Warszawy się najechali, napadli skurczybyki. Tłum był wielki i milicja wołała, że tylko z biletami, tylko z biletami, i ludzie podnosili ręce z biletami w górę i bandyterka je wtedy wrywała. A z twardych... — Zawiesił głos, a Hendrix z zaciekawieniem nadstawił ucha. — To była wódka! — zaśmiał się Dziadek. — Ale tylko w Europejskim, Stonesi i ich ekipa za kołnierz nie wylewali.

— Byłeś tam i poznałeś Stonesów? — spytał Hendrix.

— Podobno, a na pewno to Szabłowska i Mann zorganizowali prywatkę dla Animalsów. — Wzruszył ramionami Dziadek. — Takie były czasy, premier Cyrankiewicz do Morskiego Oka jeździł, spał w schronisku i go z szynki tam okradli. Inne czasy.

— Ale koncert był okej, prawda? — Hendrix, pytając, wyciągnął w kierunku Dziadka rękę z piwem. Ten jakby się zapomniał, bo wziął, a później chciał oddać. — Ja też byłem na Stonesach, ale na Narodowym. No to za Micka Jaggera!

Dziadek wahał się, ale w końcu dłoń z butelką powędrowała w kierunku ust. Zaczął pić powoli, smakując, jakby chciał wyczuć każdą pojedynczą szyszkę chmielu.

— Nektar! — westchnął, podnosząc napoczętą butelkę pod światło i patrząc na bąbelki gazu i pianę podchodzącą pod szyjkę. Po czym nagle zbliżył oszronioną butelkę do ust, odchylił się i opróżnił kilkoma haustami.

— No wow! — pochwalił Hendrix. — Stara szkoła rządzi!

— To się nazywa na hejnał, młody człowieku! — powiedział wyraźnie zadowolony Dziadek, po czym rozejrzał się i mrugnął do Hendrixa. — Jak już nie wracam autem, to pijmy jak dorośli. Wódeczkę jakąś masz?

No pewnie, że miał. I pewne było, że po paru kolejkach Dziadek zapali fajkę pokoju. Okazało się, że miał w tym niejaką wprawę.

Dziadek Ikar zrobił się rozmowny, został gwiazdą towarzystwa i opowiedział ze szczegółami nie tylko o koncercie Rolling Stonesów, ale i o sobie. Miał siedemdziesiąt sześć lat, był wdowcem, dzieci

mieszkały za granicą, na emeryturę zarobił, pracując na Politechnice, ale nie jako pracownik naukowy, tylko złota rączka na wydziale mechanicznym energetyki i lotnictwa. Nie używał notesu, wszystko pamiętał, mnożył i dzielił w pamięci, świetnie grał w szachy i brydża, mógł nie patrzeć na szachownicę i dawać mata nawet dobrym szachistom, i to w symultanie, a w brydżu pamiętał wszystkie karty. Im szybsza była gra, tym był mocniejszy, nie musiał myśleć, po prostu pamiętał, wiedział, czuł. A jeszcze lepszym był matematykiem, mógłby o sobie bez przesady mówić — jestem geniuszem. Ale jak każdy geniusz miał swoje wady. Nie miał czasu na naukę, pochłaniały go „Mały Modelarz” i „Skrzydłata Polska” oraz muzyka, bigbit, Beatlesi i Stonesi.

Niespodziewanie impreza przerodziła się w quiz, oni pytali, a on odpowiadał i liczył, był jak żywa encyklopedia, nawet kiedy był już na poważnym gazie. W końcu i Dziadek poprosił o macha, zaciągnął się i przymknął oczy.

— Ale porządnie, nie po lamersku, proszę pana, nie jak Bill Clinton! — zaapelowała Ala.

I zaciągnął się porządnie.

Odprężył się, jak każdy biorący udział w stypie. Prawie każdy, tylko nie Zoltar, bo kiedy wszyscy żywo rozprawiali i w beznadziei szukali samych happy endów, on siedział w kącie.

— Złapałeś złą fazę, weź macha, jeszcze jednego — namawiał go Hendrix.

— Zawiesiłem się — ze smutkiem bąknął Zoltar.

— To się odwieś! — Pablo nalał mu wódki.

Nie mógł się odwieść, nie mógł złapać dobrej fazy, bo tu nie pasował.

Oni wszyscy już pogrzebali Manufakturę, nawet Pablo snuł jakieś marzenia, a on nie mógł. Był przypisany do tego miejsca, to była jego planeta, z której wylatywał czasem na orbitę. Do sklepów, na Wiatrak po rurki z kremem, czasem na inne planety, to znaczy na Mokotów, Żoliborz albo nawet do Łodzi i Szczecina. Kiedy Polska weszła do Schengen, to, można powiedzieć, że stanęły przed nim otworem drogi do innych galaktyk, Niemiec, Włoch, Hiszpanii,

a nawet Portugalii. Ale to były przerywniki w jego życiu nerda, którego miejscem na ziemi była Manufaktura Sztuki.

Nie mógł ich słuchać, pił wódkę i szukał w myślach jakiegoś rozwiązania.

— Czarny parasol! Czarny parasol! — krzyknął nagle, patrząc na dwóch Pablów, lekko kołyszących się na nogach i elastycznych w biodrach niczym Elvis albo legendarny Pan Guma, uwieczniony jako słynna rzeźba Pawła Althamera.

Fakt, że jego przyjaciel artysta się rozdziwił, nie bardzo mu teraz przeszkadzał, ważne było to, że musi sobie przypomnieć, co ten czarny parasol. Skąd, kto, dlaczego?

— Hale jaki czarny parasol? — zabełkotał Pablo.

— No ten! — odpowiedział Zoltar. — Ten, no!

Miał to już na końcu języka, kiedy nagle rozległ się śpiew:

*Pałacyk Michla, Żytnia, Wola,
bronią się chłopcy spod „Parasola”.
A na Tygrysy maja visy,
to warszawiacy, klawe urwisy są!*

To śpiewał Dziadek Ikar. Śpiewał — to raczej za dużo powiedziane, ale bardzo się starał.

— Nie! — wykrzyknął gniewnie Zoltar. — Żadnej broni, żadnej przemocy, tylko parasol.

— Panie Zoltarze — z wysokości wózka odezwał się Olek. — Może powinien pan...

— Cicho! — warknął i spiorunował chłopaka wzrokiem. — Ja już sam najlepiej wiem, co mogę, a czego nie i co powinienem! Mądrała się znalazł! — Miał już puścić zupełnie niepotrzebną uwagę o tym, że cwaniakuje, bo cały czas siedzi, więc nawet jakby się napił, to się nie przewróci, ale na szczęście wszedł na właściwy trop! — Thy nawchet „Kapitana Żbika” nie czytałeś! — Machnął ręką i się zatoczył.

— „Kapitan Żbik”, czarny parasol! — wykrzyknęło już trzech Pabli.

Dziwne, pomyślał Zoltar, jest ich trzech, a wciąż mówią jednym głosem, tyle że ten głos jakby ze studni. Ale nie to było

najważniejsze. Poczł się teraz jak Archimedes, który siedząc w wannie, wymyślił słynne prawo, którym później przez wieki dręczono uczniów na całym świecie.

— Mam! — wykrzyknął triumfalnie. — Mam, kurwa!

— Co? — Zgodnie zainteresowali się Ala i Hendrix.

— Na ciało działa pionowa siła skierowana ku górze! — wyrecytował.

— A co to ma wspólnego z parasolem? — spytał Dziadek Ikar.

— No właśnie... — stropił się Zoltar.

— Jezus Maria. — Hendrix zrobił się nagle religijny. — Chcesz wsadzić komuś parasol w dupę?

— Siła wyporu działająca na ciało, które pływa w płynie, jest równa jego ciężarowi, to z powyższego równania wynika, że ciężar pozorny takiego ciała wynosi zero — wyrecytował Zoltar.

— Rany boskie. — Ala także zrobiła się religijna. — Hendrix, co to za towar, co on pierdoli?

— To prawo Archimedesesa — spokojnie zauważył Dziadek Ikar, po czym dostał lekkiej śmiechawki.

— Eureka — wydarł się Zoltar, po czym rzucił się na szyję Pablowi, temu środkowemu z trzech, więc nie zawisł w próżni, tylko na jego szyi. — „Kapitan Żbik”, zeszyt szesnasty, skok na magazyn CZM! — wołał, a jego oczy niebezpiecznie płonęły.

— Dzwonić po pogotowie? — spytała cicho Ala.

— Raczej po znajomego lekarza — odpowiedział jej Hendrix i zaczął szukać numeru w komórce.

— Osiemnasty. — Pablo nagle zabrał głos.

— Jaki osiemnasty? — zaniepokoiła się Ala, a Hendrix nerwowo przerzucał kontakty. — Toksykolog czy psychiatra?

— Osiemnasty zeszyt przygód Żbika, skok na CZM, Centralę Zaopatrzenia Medycznego! Skok na parasol! — Pablo był z siebie dumny.

— Tak, tak, osiemnasty. — Zoltar skakał z radości. — Tam metodą na parasol. Wiecie, robi się dziurę w stropie i się podstawia parasol, włamali się do tej centrali, a my włamiemy się tak do banku. Zrobimy skok na bank, a jak potrzeba, to dwa, i będziemy mieli kasę na spłacenie tych skurwysynów!

— To znaczy prawowitych właścicieli — ostrożnie zauważył Dziadek Ikar.

— To na pewno złodzieje są, ale my ich przechytrzymy, okradniemy banksterów! — Wypalona trawa i wypity alkohol wprowadziły Zoltara w euforię. Zaczął tańczyć i krzyczeć: — Kto idzie ze mną, no kto?

Dołączyli wszyscy i tańczyli jak w finale „Greka Zorby”, i tak jak w filmie, była piękna katastrofa. Zoltar się wywrócił, ale szczęśliwie ktoś chwycił go za ramię, inny mu pomógł i jego nieprzytomne ciało zostało odniesione na kanapę. Kwadrans później skończyła się impreza, tak jak na początku leciał Bowie, ale już bez żadnej melancholii i tajemniczości. Z głośników waliło „Let’s Dance”.

16.

Zoltar obudził się przed dziewiątą. Zwykle w dniach takich jak ten, określanych jako *the day after*, jeśli nic nie musiał, to spał do południa. Odsypiał kaca, czasem leczył się piwem albo dwoma, a jeśli pilne sprawy i obowiązki wymagały świeżego oddechu i werwy, to łykał mentosy i jakieś mikroelementy, które przywiózł z Reichu Pablo. Potas to podstawa, no i polska ostryga: szklanka tłustej śmietany, dwa surowe żółtka, kieliszek oliwy i sok z cytryny.

Dzisiaj nic nie musiał i nie nastawił budzika, zwyczajnie zapomniał, ale ze snu wyrwał go impuls, jakby posiadał moce Stirlitza i Jacka Reachera, bo w jego głowie uruchomił się zegar. Ten impuls, stanowczy i niedający się wyłączyć, kazał mu się zerwać i bez leczenia kaca przystąpić do działania. Nie wiedział jednak do jakiego, notes pusty, harmonogram obowiązków i zadań zawieszony na lodówce czysty. I co najważniejsze, Wanda dwojga nazwisk była daleko stąd, więc nie wparuje tu z żadną inspekcją. Co go zatem pchało do działania? Mógł jeszcze zapytać Pabla, ale ten spał na kanapie w pracowni i wyglądał raczej na nieżywego.

Nic. Więc położył się, żeby jeszcze pospać. Kochał spać, ale nie mógł usnąć. Zrobił sobie kawę, zaczął chodzić po pracowni i zastanawiał się, co ma zrobić.

Zapomniał o czymś?

Może jednak coś jest na stikerze, który mógł być przyczepiony do lodówki, biurka albo ściany?

Obszedł pracownię, sypialnię, kuchnię i pokój biurowy. Nic, zero, nul!

Usiadł w fotelu i zaczął to, co kiedyś co tydzień robił redaktor Fajbusiewicz: 997, rekonstrukcja zdarzeń. Stypa w studiu, najpierw smutek i beznadzieja, po niej jeszcze bardziej beznadziejne pomysły. Żenująca propozycja, żeby się ogłosić na Zrzutka.pl albo Pomagam, może jeszcze Owsiaka w to włączyć? Wyśmiał to, podobnie jak Ikara, który pieprzył trzy po trzy o drodze sądowej, jakichś nadzwyczajnych skargach, rewizjach i innych gównach. A później trawka. Wszyscy się bawili, rechotali, a on złapał doła. Ale jakoś z niego wyszedł.

— Czarny parasol!

Zerwał się, niemal podbiegł do kanapy i szarpnął Pabla.

— Która godzina? — zapytał obudzony, patrząc na Zoltara nieprzytomnym wzrokiem.

— Wpół do dziesiątej.

— W sumie mógłbym jeszcze pospać, ale... — skrzywił się. — Muszę ruszyć tyłek.

— Zrobię ci kawy!

Zoltar niemal pobiegł do ekspresu i zrobił café bombón, espresso, na dnie którego było skondensowane mleko. Bomba cukrowo-kaloryczna, którą wniosła do ich życia Wanda. Czasem nawet ona miała swoje plusy, pomyślał z niechęcią.

Sobie też zrobił. Siedzieli i sączyli kawowo-mleczny ulepek, a Zoltar czekał, aż Pablo zatrybi i będzie można mu zadać kluczowe dla przyszłości pytanie. W końcu uznał, że to ten moment.

— No to jak? — Spojrzał na Pabla wyczekująco.

— Co jak? — Pablo patrzył na niego oczami człowieka, który doświadczył ciężkiej nocy.

— Nasz plan! — Mimo bólu głowy Zoltar zdobył się na entuzjazm.

Pablo przeciągnął się i podrapał się po głowie.

— Plan mam taki, żeby się doprowadzić do porządku, muszę pojechać do Berlina na dwa dni, po południu mam pociąg. Odespać to muszę, odświeżyć się, przeżyć. A co?

— Ale nasz plan, wspólny plan ratowania Manufaktury!

— Przecież już ci mówiłem, Wanda powiedziała, że skoro robił to ten Hamerski, prawnik Jakub Hamerski, to nie będzie się do czego przyczepić. — Wzruszył ramionami, odwrócił się i poszedł do wyjścia. Kiedy był w drzwiach, stanął, a w Zoltarze zapaliła się iskierka nadziei.

— Aaa. — Pablo powiedział to aaa, jakby sobie coś przypomniał, tylko nie dodał charakterystycznego dla takich sytuacji palnięcia się dłonią w czoło, bo za bardzo bolała go głowa. — Chodzi ci o napad na bank albo coś w tym stylu?

— No tak!

— A to było dobre, naprawdę poszliśmy na całość, bo w pewnym momencie wszyscy się do tego zapalili, nawet Dziadek Ikar. No zwłaszcza on, bo wcześniej nigdy nie jarał.

Pablo zarechotał, jakby znów zaciągnął się skrętem, i wyszedł.

Zoltar został sam, jak pokraka, której chłopak powiedział, że jest piękna, ale na trzeźwo się rozmyślił.

— Tłusty kot... — wysyczał po wyjściu Pabla. Kiedyś już by planowali napad, jakąś akcję, konkret, a teraz...

Nie wierzył prawnikom i sądom. To oni przyznali rację żonie, a nie jemu, to oni ścigali go za długi, to oni zmusili go do ukrywania się, to wreszcie oni go rozwiedli! Do dzisiaj nie rozumiał, dlaczego od niego odeszła, i po raz kolejny dał sobie odpowiedź: odeszła, by zagarnąć część jego majątku. Jak zwykle w takiej sytuacji chciał poszukać pocieszenia w alkoholu. Szukał, ale nie znalazł w pracowni żadnej butelki. Piwo, które przyniósł ze sobą, było ciepłe, do tego zostało go tyle, że ledwie wystawało ponad wygięte dno butelki. Pociągnął ten ostatni, ciepły, pozbawiony gazu łyk piwa i poszedł do baru.

Hendrix był w zadziwiająco dobrej formie, krzątał się za barem, jakby nie było wczorajszej imprezy.

— Spida wzięłeś? — powiedział Zoltar na powitanie.

— Nieee — skrzywił się Hendrix. — Po prostu nie zrobiłem się jak świnia — dodał z uśmiechem i wymownie spojrział na Zoltara. — Za godzinę zaczyna się sesja, wjeżdża do studia jazzowo-hiphopowy kolektyw.

— Miło, że wpadłeś, pomożesz — dodała Ala, szeroko się uśmiechając, jakby sprzątanie po imprezie było tym, o czym Zoltar marzył *the day after*.

— W sumie to wpadłem... — zaczął nieco skrępowany.

— ...Wpadłem na klina? — Hendrix spojrzał na niego spode łba.

— Hmm. — Zoltar wydał z siebie nieartykułowany dźwięk.

— Dam ci drinka albo dwa, ale pomożesz, okej? — Hendrix był wyraźnie rozbawiony, bo tego się po Zoltarze spodziewał. — Godnie się zmelfoniłeś, ale chyba już funkcjonujesz.

— Tak, oczywiście, funkcjonuję i pomogę — odpowiedział Zoltar, patrząc, jak Ala otwiera butelkę soku pomidorowego. — Tylko nie Bloody Mary!

— Okej, okej, myślałam, że chcesz przyjąć trochę potasu, sok pomidorowy jest super. Nie to nie, skoro otworzyłam, to się napiję, tak po prostu, bez alkoholu — uspokoiła go, po czym jak każda kobieta, czegokolwiek sprawa by dotyczyła, musiała się upewnić: — Może jednak?

— Nie, zdecydowanie nie!

— Pomidorówki też nie tolerujesz? — drążyła temat.

— Pomidorówka to co innego, jest bez alkoholu. — Zoltar ugryzł się w język, ale było za późno.

— Masz jakieś złe wspomnienia z Bloody Mary? — Ala była wyraźnie rozbawiona.

Zoltarowi nie było do śmiechu, bo kiedyś przesadził z Bloody Mary. Doszło do poważnej awarii, na szczęście już po bankiecie, w domu. Myślał, że dostał krwotoku. Kompromitacja, tylko na własnym podwórku, którą oczywiście tłumaczył sobie nie gargantuiczną ilością pobranego do organizmu wraz z sokiem pomidorowym alkoholu, ale sokiem właśnie. Od tego czasu wzdrygał się na samą myśl o drinku na bazie soku pomidorowego.

— Powiedzmy, że tak — powiedział tonem wskazującym na kompletny brak zainteresowania dalszym ciągiem konwersacji na ten temat.

Ala uniosła ręce i uśmiechnęła się po raz kolejny, ale Hendrix poczuł się w obowiązku skomentować.

— To nieźle się musiałeś zrobić. — Pokręcił głową. — Ja tak kiedyś miałem z margaritą i tequilą! I to gdzie? W Meksyku! — powiedział z dumą, a później z jeszcze większą dodał: — Ale ludzkie słabości trzeba przełamywać, trzeba poszerzać granice własnych możliwości, po dwóch dniach znów pokochałem tego drinka, prawda, kochanie?

Ala najwyraźniej nie podzielała zachwyty nad heroiczną walką jej faceta z alkoholowstrętem, szybko więc zmieniła temat.

— Skoro nie chcesz Bloody Mary, to dam ci szybki, niskobudżetowy zestaw: wódkę z colą. W drinku czy kolejka z popitką?

— Najpierw pięćdziesiątkę, którą sobie popiję colą, a później w drinku — zadysponował Zoltar, któremu coca-cola zawsze kojarzyła się dobrze, ciepła i zimna, z lodem i bez, z cytryną i każdym rodzajem alkoholu.

— Kiedy się wreszcie nauczysz, że nie ma już pięćdziesiątek, tylko czterdziestki — zaśmiał się Hendrix. — Ale dla stałego klienta zrobimy wyjątek, zwłaszcza po tym, co mówiłeś wczoraj!

— A co mówiłem? — spytał ostrożnie.

— Że... — Hendrix pochylił się nad barem i powiedział konfidencyjnym szeptem: — Spłacimy tych łobuzów, zdobywając pieniądze podczas napadu na bank.

A jednak ktoś się przejął jego słowami, nie jest źle, pomyślał Zoltar.

— Paliłem grass, ale nawet jakbym nie palił, to i tak bym się śmiał, jak wczoraj! — zarżał Hendrix, a Ala dołączyła do niego:

— Nie wiedziałam, że masz takie poczucie humoru!

— Ten pomysł, żeby to zrobić jak w „Kapitanie Żbiku”! — Hendrix i Ala zanosili się ze śmiechu.

— Jak to było? — Dziewczyna stała oparta o bar i nie przestawała się śmiać, więc z trudem spytała: — Parasolem?

— Na parasol — bąknął Zoltar.

Gdyby nie to, że miał jeszcze obiecane drinka, to zakręciłby się na pięcie i zostawił ich z tym bajzłem. Nienawidził sprzętać, ale bardziej dręczyła go myśl nie o tym, że dziesięć minut pojeździ na szczocie i szmacie, tylko że stał się pośmiewiskiem. On naprawdę chciał zrobić skok!

Wychodząc ze studia na dziedziniec Manufaktury, minął się z Dziadkiem Ikarzem.

Stary parolotniarz podszedł do baru i zaczął się rozglądać, jakby szukał ulubionego trunku. Dla Hendrixa była to nowość, Dziadek tu nigdy nie wpadał, bo przyjeżdżał do swojej pakamery i wyjeżdżał z niej samochodem, swoją zawsze wypucowaną skodą favorit.

— Chce się pan czegoś napić? — zapytał Hendrix. — Mamy jeszcze zamknięte, ale dla takiego klienta jak pan... A w debiucie, bo pan u nas pierwszy raz, zniżka sto procent na pierwszą kolejkę!

— Ikar jestem, przecież na ty przeszliśmy — zaperzył się.

Hendrix to pamiętał, ale nie był przekonany, czy starszy facet ma w zapisie cały wieczór, bo jak na swoje lata, to nieźle zaszalał, a po trawie zrobił się na maksa rozmowny. Jako że nigdy nie ruszał się bez swojej skody, przenocował w warsztacie, zdarzyło się to chyba po raz pierwszy, przynajmniej Hendrix tego wcześniej nie zarejestrował.

— No tak, oczywiście, to co ci poleć, Ikarze?

— Coca-colę, ale bez lodu, muszę auto zabrać. — Zaczął normalnym głosem, po czym pochylił się i wyszeptał: — A nie masz może... Jakiegoś zioła na zbyciu?

17.

Zoltar pozdrowił Rambo, który podciągał się na drążku. Komicznie wyglądał ten świr w wojskowych butach, spodniach i w dresowej bluzie z jakimś herbem, na którego wyczyny patrzył z dołu pies, którego nazwał, jakby inaczej: Szarik. Świr, jeden z tych, którzy jeżdżą się bawić w wojskowe przebieranki, rekonstrukcje i inne pierdoły. Kiedy dochodził do pracowni, usłyszał charakterystyczny szum i po chwili głos:

— Dzień dobry, panie Zoltar. — To swoim wózkiem nadjechał Olek.

— Dobry — odburknął.

— Chciałem... — zaczął nieśmiało chłopak.

— No mów, co chciałeś.

— Wczoraj w studiu mówił pan... — Olek ściszył głos. — Że... Że można zrobić jakąś akcję, włam, a ja...

— Co ty? — zapytał nieprzyjemnym głosem Zoltar, a po chwili ryknął: — A ty sobie ze mnie robisz bekę?

Odwrócił się na pięcie i poszedł, zostawiając samotnego Olka. Po chwili pojawiła się jego siostra Zuza i razem udali się do pracowni. Olek tak się ustawił w windzie, żeby nie zauważyła, że ma załzawione oczy.

*

Zuzanna i Olek Niekłajscy byli smutni, ale nie załamani. Olek szybko otarł łzy, bo za dużo na nich w życiu spadło, żeby czekające ich pożegnanie z Manufakturą i niemiłe zachowanie Zoltara były końcem świata.

Ich koniec świata już się wydarzył i pamiętali o nim każdego dnia. To się stało pięć lat temu, wakacje, tak długo wyczekiwane i będące jednym wielkim świętem. Każdy element był tam wyjątkowy i specjalny. Jechali do Wenecji, gdzie mieli zwiedzić miasto, a później się zaokrętować na wielki wycieczkowiec, by popłynąć nim w rejs po Morzu Śródziemnym.

To była długo planowana przygoda, projekt latami omawiany w każdym szczególe, bo odkładany. Bo były rzeczy ważne i ważniejsze, a najważniejsza była budowa domu. Rodzice mieli niezłe posady, ale i tak trzeba było wziąć kredyt, który spłacali, a nawet po awansach i podwyżkach, kiedy już tak nie musieli zaciskać pasa, przyszła wykończeniówka, będąca skarbonką pękata jak beczka i chłonna każdą ilość pieniędzy.

W końcu jednak się urządzili, fachowcy ułożyli podłogi i glazurę, do kuchni wjechały meble i wszystkie drogie wynalazki, jak kuchnia, nowa lodówka, armatura. Kiedy po tym wszystkim odetchnęli, to mogli, spłacając oczywiście raty za budowę domu i zakup działki, zacząć odkładać na wycieczkę. Rozsądniej było jeszcze się spiąć i zdusić kredyt, ale pojawiły się piękne okazje, Zuza dostała się na studia, Olek zdał do liceum, a ich mama obroniła pracę doktorską. Do tego nowe, służbowe auto ojca i premia, którą dostał za osiągnięcia w pierwszym kwartale. I zaległy urlop.

— To będą nasze ostatnie wakacje — powiedział Stanisław Niekłajski. — No co tak na mnie patrzycie? — uśmiechnął się. — Nasze wspólne wakacje, to miałem na myśli. Zuza skończyła dziewiętnaście lat i już od dawna nie ma ochoty na rodzinne wyjazdy. Olek też pewnie za rok pojedzie sam, więc to będzie nasz The Last Waltz!

Oczywiście rozumieci, co miał na myśli, był fanatykiem Boba Dylana, więc siłą rzeczy wiedzieli o nowym nobliście wszystko, także to, że przez kilka lat jego zespołem akompaniującym była grupa The Band, której ostatni koncert uwiecznił Martin Scorsese. Dokument nazywał się „The Last Waltz”, był wielką muzyczną przygodą z udziałem prawdziwych gwiazd, rzecz jasna z Dylanem na czele. Dlatego na starcie ojciec zagrał składankę Boba, którą sam ułożył, a oni śpiewali, bo znali te numery z innych samochodowych wypraw, gorszym autem i nie w tak odległe strony i nie na ekskluzywne wakacje.

Między Piotrkowem i Częstochową doszli do kończącego składankę „Pana z Tamburynem” i wtedy rozpędzony SUV, który próbował na pełnym gazie wyminąć auto jadące lewym pasem, uderzył w ich samochód. Nie mieli szans, pojazd obrócił się, a jadąca za nimi ciężarówka wjechała w niego z pełnym impetem.

Tak, to były ich The Last Waltz, ostatnie wakacje.

Rodzice zginęli na miejscu, Zuza była ciężko ranna, Olek walczył o życie. Uratowali go, ale nie byli magikami, by zapobiec paraliżowi. Od pasa w dół. Bez większych szans na zmianę tej sytuacji. Dziadkowie, cała czwórka, walczyli, robili, co mogli, ale nawet sprzedaż obciążonego hipoteką domu ledwie wystarczyła na rehabilitację.

Mieszkali z dziadkami, Olek jeździł, szukając jakiegoś cudu, pieniądze topniały, na szczęście ona była zdolną graficzką, a on — programistą.

Firma się rozkręcała, między innymi dlatego, że mieli świetne warunki do pracy. Kiedy Zuza zobaczyła, że w starej fabryczce coś się dzieje, zapytała, czy będzie tam można wynająć pomieszczenie. Facet, z którym rozmawiała, później dowiedziała się, że mówi się o nim Zoltar, chciał ją chyba spławić, ale wtedy wyszedł Paweł

Pisarski. Oniemiała, to był on, Paweł Pisarski! Była graficzką, więc wiedziała, kim jest, nie miała jednak pojęcia, że to wszystko należy do niego, że od teraz ma tu swoją pracownię. Zatkaną ją, ale Pisarski okazał się miłym freakiem, wysłuchał jej, pogadali o sztuce i dupie Maryni. Pokazał jej budynek, może nie była to słynna fabryka koronek z Burakowskiej, ale wyglądało naprawdę wspaniale, i tylko bała się, że w pewnej chwili usłyszy, jaki jest czynsz. Nie chciało jej się wierzyć, że będzie tu coś na kształt komuny artystycznej, którą Pisarski chciał nazwać Hubem Sztuki. Wyrwało się jej, że może lepiej, żeby to była Republika Marzeń, a on coś fuknął pod nosem i poszli dalej.

Chodziła z Pisarskim po Manufakturze, podziwiała i czekała na ogłoszenie wyroku, na chwilę, gdy poda wysokość kosztów. Tak dotarli na piętro, gdzie było piękne wnętrze, wysokie i jasne, z oddzielną toaletą. Wspaniałe, choć wybitnie nie dla nich, ale tam właśnie Pisarski powiedział, że jak jej pasuje, to niech tu się wprowadza, bo mu się z nią dobrze rozmawia, i że nie będzie na tym zarabiać, nie zedrze z niej, a tak poza tym to właśnie została matką chrzestną tego przedsięwzięcia. Doszedł do wniosku, że hub mu się rymuje ze schab i lepsza jest nazwa, jeśli ona na to pozwoli, Republika Marzeń w Radykalnej Manufakturze Sztuki.

Otak rzucił, ale pewnie nie spodziewał się reakcji z jej strony, bo powiedziała, że nie, to raczej nie dla nich. Wyjaśniła, że nie poradzi sobie z Olkiem, z wysokością i jego wózkiem. Paweł Pisarski tylko wzruszył ramionami i powiedział, że tu znów będzie winda, w sumie była piekielnie zniszczona i konserwator zabytków nie upierał się na jej odtworzeniu, ale skoro tak...

Tymczasowo dał im pokoik koło swojej pracowni, a kiedy wyremontowano windę, urządzili się na piętrze. To była pierwsza taka historia w ich życiu. W nowym życiu, które zaczęło się na drodze między Piotrkowem i Częstochową. Świetnie im się tam pracowało, to miejsce i ludzie, którzy tam byli, dawali im energię. Prosperowali coraz lepiej, Olek znów zaczął wierzyć, że jeszcze kiedyś będzie chodzić. Nakręcał się, choć to była utopia, ale czytał o nowych metodach, niezwykle kosztownych i wciąż jeszcze

pionierskich, które dawały nadzieję na powrót do formy sprzed wypadku.

I teraz wszystko się skończyło, bańka, w której żyli, prysła. Wróciło brutalne życie. Znow coś im obiecano, zabrano w podróż i skończyło się źle. Olek powiedział, że będą tu siedzieć do ostatniego dnia, póki nie zostaną wyczerpane odwołania, póki nie nadciągną komornik, policja i nie wiadomo kto. Przykuje się wtedy do kaloryfera, nie da się wyciągnąć. Jak trzeba, to popysuje windę.

Chciało jej się płakać, bo wiedziała, że to zrobi. Pewnie jakieś dziennikarskie hieny zrobią sensację, zejdą się aktywiści, zrobi się młyn, zamieszanie, po którym może dostaną inny lokal, ale wiedziała, że to będzie jak jałmużna, że dla kogoś, kto dumnie mówił, że nie skorzysta ze zrzutek i zbiórek, skończy się to wszystko wielkim upokorzeniem i bólem. No i żadne miejsce nie będzie Olka tak stymulować do pracy jak Manufaktura Sztuki.

Tu było studio Ali i Hendrixa, Dziadek Ikar z Rambo czuli się bezpiecznie, wpadało mnóstwo pozytywnych ludzi. Chciało się tu żyć i pracować. Pablo mówił coś o nowej lokalizacji, ale chyba sam w to nie wierzył, uszło z niego powietrze. Ich Studio Graficzne Z&A rozwijało się, będą przyjmować nowych ludzi, nowy projekt gry wywołał zainteresowanie inwestorów, więc dadzą radę, będzie ich stać, ale klimatu i ludzi żal.

18.

Wanda miała swój plan, wiedziała, czego chce, szła do celu punkt po punkcie. Pomógł jej zbieg okoliczności, jakim było znalezienie właściciela Manufaktury, który odsprzedał budynek i działkę Adamowi Bielakowi. Przez moment, przez chwilę słabości, chciała zaproponować odkupienie Manufaktury, ale szybko się dowiedziała, że stawiał cenę zaporową. Nic dziwnego, działki obok, w tym jedna, na której trwała już budowa, należały do niego. Zatem zamiast ratować ten mały świat, pozostawało zadbać o siebie i spełnić marzenia, bo w końcu była tego warta. I były to także marzenia Pawła, tylko jeszcze o tym nie wiedział. Ale się dowie i zrozumie, że

powinien wypłynąć na cieplejsze wody, zamieszkać razem z nią na południu Europy.

Dawno by już to zrobiła, nie miała z kim, ale to się zmieniło. Była tylko jedna przeszkoda, jego kolega Zdzisław, którego obaj uparcie tytułowali Zoltarem.

Dzisiaj ta dziwaczna przyjaźń i przede wszystkim osoba Zoltara przestaną być dla niej tajemnicą. Dwa spotkania i będzie o tym człowieku wiedzieć wszystko! Zaraz po tym, jak uznała, że Paweł Pisarski będzie pierwszym, nie w kolejności, bo w kolejności byłby trzecim, ale według ważności pierwszym, najważniejszym mężem w życiu, postanowiła Zoltara przeświecić. Dobrze, że Paweł był jeszcze w Londynie, mogła więc prosto z lotniska pojechać na spotkanie do agencji detektywistycznej, której zleciła audyt Zdzisława. Audyt, jak firmy, od a do zet, finanse, życie osobiste, kontakty, taką usługę zamówiła w Agencji Detektywistycznej 07.

Zagrała mocno, ale nie znosiła półśrodków, i chciała mieć wszystko szybko. I dostała to wszystko, jak chciała, błyskawicznie i fachowo. Szef agencji Sławomir Borkowski, którego ze względu na szyld i podobieństwo imion i nazwisk oraz starannie dobrany image nazywano Borewiczem, osobiście przekazał jej teczkę z dokumentami. Była imponującej grubości, zawierała raporty, analizy i zdjęcia oraz materiały multimedialne na płycie, pełen profesjonalizm detektywa, dzięki któremu zaoszczędziła kiedyś parę milionów euro, bo perfekcyjnie przeświecił potencjalnego współnika i tym samym przed nim ją ostrzegł.

Wtedy dowiedziała się o swoim niedoszłym partnerze biznesowym strasznych rzeczy, więc mimo że otwierała teczkę z uśmiechem, to w duchu obawiała się, że być może odkryje jakąś mroczną tajemnicę. Wiedziała, że chodzili do tej samej klasy w liceum, kto wie, co mogło się wydarzyć? Może teraz ten typ szantażuje Pawła? Zagłębiła się w raport.

Zdzisław Nowicki, lat 51, urodzony w Warszawie, rodzice rozwiedzeni, wychowywał się na Sadach Żoliborskich, a dokładnie na ich obrzeżu, pod Halą Marymoncką. Jego rodzice dostali mieszkanie w punktowcu, a nie w jednym z eleganckich domów, z którymi kojarzono słynne osiedle.

Akurat z tych prawdziwych Sadów Żoliborskich to ona pochodziła, więc widziała różnicę między tymi budowanymi na początku, według projektu Hanny Skibniewskiej, a późniejszą gomułkowską urawniówką. Drażniło ją, jeśli ci mieszkający w blokach określanych przez znawców architektury i historyków sztuki jako domy katalogowe chwalili się, że mieszkają na Sadach Żoliborskich. Ta cała smutna unifikacja warszawska była wszędzie — na Ochocie, Zatrasiu, Piaskach, Bródnie... I ludzie tam mieszkający byli tacy sami, nie to, co ci z prawdziwego Żoliborza, którego kresami były prawdziwe Sady.

To był pierwszy niekorzystny dla Zoltara szczegół, z długiej — jak się spodziewała, listy deprecjonujących go faktów. Nowiccy przeprowadzili się, a w zasadzie zostali wyeksmitowani z Chomiczówki, wsi, którą wchłonęło miasto, po czym zbudowało na jej gruntach osiedle. Pewnie jakaś patologia — pomyślała i kontynuowała lekturę. Nie znalazła w niej jednak wyroków rodziców i raportów z opieki społecznej, oboje niekarani, a nawet nienotowani, poza sprawami politycznymi, bo ojciec należał do Solidarności i w stanie wojennym był przesłuchiwany, ale ostatecznie nie poszedł siedzieć. A później była historia, jakich wiele — rozwód, niezgodność charakterów i tak dalej, a co się za tym kryło...

Sama to przerabiała w swoim profesorskim domu. Odejście ojca mocno przeżyła, nawet przez moment poczuła do Zdzisława Nowickiego coś na kształt sympatii, a może współczucia. Szybko jej jednak przeszło, czytała dalej. Trzynastego grudnia 1981 Zoltar miał dwanaście lat, jego edukacja przebiegała standardowo, podstawówka, liceum, w klasie z... Żadnych rewelacji, nikogo znaczącego, ważnego. Aż do roku 1987, kiedy spotkali się w jednej ławce z Pablem, czyli Pawłem Pisarskim.

Tak, z Pablem, bo ona choć też mówiła o nim czasem Pablo, to jednak starała się, by był Pawłem. Czowała, że lubi tę żenującą ksywkę, a drżała na całym ciele, kiedy Zoltar rzucał czasami: e, Pikasssiak!

Co za pomysł, by artystę, który ma swój dorobek, postać osobną, rozpoznawalną i oryginalną, nazywać imieniem innego artysty! Jeszcze brakowało, żeby zdrobnić to, jak to się robi w Brazylii

z piłkarzami, Ronaldo — Ronaldinho, Pablo — Pablinho? Picasso... Picassinho? Mniejsza z tym. Ważne, że proces, który doprowadził do załężnięcia się Zoltara w jej pracowni, rozpoczął się ponad trzydzieści lat temu! U niej w pracowni, bo to był jej facet, zatem jego pracownia była też jej pracownią, a Zoltar był tej pracowni i jej, czyli Wandy Nałęckiej-Ludwig, pasożytem. Był jak grzyb, który porastał ściany, wgryzał się w tynk, wykluczając intymność ich związku. W końcu była muzą Pabla, nie widziała tego inaczej, nie było opcji! A miejsce muzy jest nie tylko w domu, w kuchni i łóżku artysty, ale i w jego pracowni! Przede wszystkim w pracowni! Prychnęła jak kotka i czytała dalej.

Banalna kariera milionera czasów transformacji, wyjazdy handlowe z kolegami ze studiów, najpierw demoludy, później Berlin Zachodni i RFN, następnie półhurtowe zakupy tego, na co było zapotrzebowanie i na czym była przebitka — auta dostawcze, ciężarówki, tiry... Zarabiał pieniądze i nie potrafił przestać. Zawalił studia, koledzy zrobili dyplomy, zaczęli robić kariery, a on dalej robił biznesy.

Wylali go w końcu ze studiów, ale najprawdopodobniej załatwił sobie lewe zaświadczenie lekarskie o niezdolności do służby wojskowej (sposób, w jaki to zrobił, pozostaje do ustalenia, ale może to podnieść cenę usługi, poza tym sprawa jest przedawniona i raczej wywołuje zrozumienie, kłopoty miałby lekarz, a nie on — dopisał w raporcie Borkowski). Sposób zrobienia wielkich pieniędzy z równoczesnym zawaleniem studiów budził jej obrzydzenie, bo nie lubiła tych wszystkich cwaniaczków, kombinatorów, przemytników, niedokształconych, hałaśliwych i bez stylu.

Czytała kolejne punkty, które — była tego niemal pewna — miały przynieść jego powiązania ze światem przestępczym. Niestety, nie było takiej wzmianki, poza standardowymi szwindlami, które — z niesmakiem musiała przyznać detektywowi rację — nikogo nie ruszały. Była za to działalność charytatywna — zaskoczył ją, to fakt! Oraz sponsorowanie wystaw szkolnego kolegi — tu pojawiła się notka, że temat ten będzie rozwinięty w dalszej części raportu.

Druga połowa lat dziewięćdziesiątych to jego pierwsze potknięcia na giełdzie i rozwód, którego powodem były kwestie zarządzania

wspólnym majątkiem.

I tu doszła do najciekawszych fragmentów.

Żona Nowickiego, Anna, ostrzegała go przed tym, że hossa na giełdzie może się skończyć. Nowicki, mimo że to ona miała wyższe wykształcenie ekonomiczne i była główną księgową firmy, lekceważył jej słowa, uważał, że powinna się zająć opieką nad ich córeczką, a nie ingerować w rozwój świetnie prosperującego biznesu. Anna Nowicka wielokrotnie mówiła mu, że nic nie może przecież wiecznie trwać, on zaś przyznawał jej rację, ale tylko w połowie. Owszem, ten koniec nie nastąpi jutro, tym bardziej dziś. To będzie pojutrze. Do tego czasu zrobi jeszcze jakiś interes, podwoi majątek.

W końcu poniósł pierwszą porażkę, wyrzucił pieniądze na akcje, które jako pierwsze na giełdzie idą w dół. Żona prosiła go, żeby dał spokój, że mając tyle pieniędzy, mogliby zostać rentierami, kupić dom za granicą, żyć z procentu i wychowywać córkę.

Do rozmowy doszło w biurze firmy, Nowicki darł się na żonę, że nie ma ambicji, że nie daje mu rozwinąć skrzydeł, a na koniec, że jest zwyczajnie głupia.

Reakcją Anny, która miała kontrolę nad finansami firmy, było przelanie na nowe konto połowy środków i wyprowadzenie się do rodziców. Nowicki zrobił jej karczemną awanturę, podczas której oskarżał żonę o swoje kolejne biznesowe niepowodzenia, ta zaś złożyła pozew o rozwód. Awantura skończyła się rozwodem i podziałem majątku, a ponieważ para nie miała intercyzy, połowa majątku przypadła żonie. Zostały także orzeczone alimenty na rzecz córki.

Po rozwodzie ona prowadziła wraz z córką dostatnie i spokojne życie, on dalej inwestował, na przemian wygrywając i tracąc. Z czasem proporcje były coraz gorsze, raz wygrywał, dwa razy tracił.

Na przełomie wieków próbował odbudować swoją pozycję. Dokonał zakupu udziałów w portalach internetowych, wierzył bowiem, że to rynek ciągłych wzrostów. Zainwestował niemal całe pieniądze, które miał na koncie, zaciągnął pożyczki, mając niespłacone zobowiązania. W jego portfelu znalazły się między innymi akcje YaYa.pl, HejPl.pl oraz portalu ColloseumInfo.pl.

Zdzisław Nowicki stał się największym przegranym pęknięcia bańki internetowej.

Teraz sobie o nim przypomniawszy — zaczynała wtedy studia i w oczy rzucił się jej artykuł „Był sponsorem sztuki, a teraz nie ma na ZUS”. Tak, to był on! Niesamowicie, ten artykuł wracał do niej jako swoiste memento mori i hominem te esse memento! Zawsze miała w pamięci zdjęcie eleganckiego typka, na którym zakryto mu oczy, bo przecież był już wtedy Zdzisławem N., podejrzanym o spowodowanie bankructwa firmy i wyprowadzenie z niej pieniędzy.

Detektyw pozwolił sobie na bardzo osobistą uwagę i w notatce napisał: sprawę umorzono, bo do niczego takiego nie doszło, on po prostu przepierzył wszystko na giełdzie. To był pierwszy przypadek, kiedy zachował się tak nieprofesjonalnie, użył wulgarnego języka, wyszedł z roli bezstronnego, zimnego obserwatora. Wanda dopiero miała się zdenerwować, a na razie czytała o dalszym ciągu kłopotów Zoltara.

Wpadł w tak poważne kłopoty finansowe, że przestał płacić alimenty, nie spotykał się z córką, prowadził hulawczy tryb życia. Żona wystąpiła w sprawie zaległych alimentów do sądu, nie była jedyna. Ścigali go zwykli wierzyciele, mafia, skarbowka, ZUS...

Na początku dwudziestego pierwszego wieku zaczął się ukrywać, przez jakiś czas na Mazurach, później w Bieszczadach, a po wyczerpaniu oszczędności miał nawet tygodniowy epizod bezdomności.

— Ja cię chyba nie lubię, głupi chujku — powiedziała sama do siebie, po czym dodała: — Nie, ja cię nie znoszę, ja takich jak ty mogłabym rozgnieść jak glistę.

Bo Wanda nie była ani konstancińską wdową, stewardesą, która poderwała milionera, ani córką bogatego tatusia. Swojego majątku nie dziedziczyła ani nie zgarnęła jako mienie rozwodowe, po prostu to, co miała, a miała niemało, zarobiła sama. Pochodziła z profesorskiej rodziny Zbigniewa i Zofii Nałęckich-Ludwig. Nie było w rodzinie tradycji biznesowych — typowa stara inteligencja, podupadające ziemiaństwo, które zdążyło z roli i małych dworków przeskoczyć na uczelnie. Ona miała być trzecim pokoleniem, studiowała artes liberales, interesowały ją filozofia, historia sztuki,

wydawało się, że zostanie na uczelni, miała propozycję wyjazdu na studia podyplomowe i wybrała MBA. Pojechała do Graduate School of Economics w Barcelonie, do jednej z najlepszych w Europie uczelni dla menedżerów.

Po studiach wracała do Polski z misją tworzenia nowoczesnych galerii i teatrów, a pojechała do Holandii, bo zakochała się w Thijsie van Dijku, przystojnym i silnym facecie. Rzucił dla niej dziewczynę, urzekło ją to, porwało, szybko wyjechali do Polski, gdzie Thijs został menedżerem przedstawicielstwa globalnej formy. Zapomniała o pomysłach związanych ze sztuką, wpadła w szal strategii, budowania rynku, organizacji i zarabiania pieniędzy.

Jej profesorska rodzina była dobrze sytuowana, niczego im nigdy nie brakowało, ale Wanda szybko pokochała luksusy, jakich doznała u boku holenderskiego biznesmena. Byli ciągle w ruchu, coraz rzadziej widywano ich razem, ale kochała rozwijanie firmy, robienie kariery, zarabianie pieniędzy. To ją tak podniecało, że nie zauważała, co się dzieje, jaki naprawdę jest Thijs. Mobbingował ludzi, zachowywał się jak skurwiel, okazało się, że wcale nie rzucił dla niej dziewczyny, tylko żonę, i to z dwójką dzieci. Ktoś wysłał jej anonim, kiedy mu o tym powiedziała, uderzył ją. Potem przeprosił, żałował, ale już nic nie było tak jak wcześniej.

Okazało się, że ma kochanki, że wykorzystuje kobiety, awansuje w lokalnych oddziałach swoje nałożnice. Zerwała z nim, odeszła z firmy, miała zatem roczny zakaz pracy dla konkurencji, po którym właśnie rynkowy rywal koncernu, który reprezentował Thijs, sięgnął po nią. Dlaczego? Bo headhunter, który ją werbował, wiedział, że to ona — Wanda Nałęcka-Ludwig — była mózgiem firmy, a Thijs van Dijk tylko karbowym. Headhunter nie był jakimś magiem, nie robił też wywiadu, miał po prostu dobrze zorganizowaną firmę, której pracownicy potrafili śledzić rynek i czytać Excele.

Już trzy miesiące po jej odejściu firma van Dijka zanotowała regres, po kolejnych trzech zaczęła iść w dół, następny kwartał był jeszcze gorszy. Stało się jasne, bez niej Thijs, wielka gęba van Dijk, nie znaczył nic. Rok zarządzania konkurencją i Thijs musiał się zwijać do Holandii, była to jej mała zemsta na niewiernym damskim bokserze. Po kolejnych dwóch latach otworzyła własny biznes, ale

nie założyła rodziny. Karol Zbonikowski, z którym się związała, okazał się dziwkarzem i utracjuszem, hazardzistą i leniem. Ślub, huczne wesele, a na koniec jeszcze głośniejszy rozwód, który poszedł gładko, dzięki wynajętemu detektywowi. Później było jeszcze kilku innych przelotnych. Okazało się, że przyciąga jak magnes playboyów, pajaców ze ścianek i rekinów finansów, których kręcił związek z kobietą sukcesu. Zoltar doskonale do nich pasował, cwaniak, utracjusz i tchórz, który uciekł od rodziny.

Czytała dalej. Od kilkunastu lat mieszkał w pracowniach swojego dawnego szkolnego kolegi, kontrowersyjnego artysty, rzeźbiarza, malarza i performerera Pawła Pisarskiego.

Kontrowersyjny artysta! Te słowa uraziły ją do żywego i postawiły pod znakiem zapytania wiarygodność raportu! Bo jak można zaufać komuś, kto twórczość czołowego polskiego artysty kwituje słowem „kontrowersyjny!”.

Tylko czołowy polski? Czołowy europejski! A gdyby wcześniej miał lepszą opiekę, PR, promocję i do tego był Amerykaninem, a jeszcze lepiej Afroamerykaninem, a już idealnie, gdyby był natywnym Amerykaninem, to byłby w pierwszej dziesiątce. Mógłby się ścigać z Banksym! Pablo to ktoś, a ten były glina, detektyw z Bożej łaski, pisze: kontrowersyjny!

Przewróciła kartkę i zdębiała, kolejna strona była poświęcona Pawłowi!

Czuła, że za chwilę wybuchnie, płaciła ciężkie pieniądze za to, żeby przeczytać, że czołowy polski artysta... Spojrzała wymownie na detektywa, a ten tylko się uśmiechnął.

— Ja wykonuję usługi kompleksowo, wszystko się ze sobą łączy — wyjaśnił. — Obserwacja Zdzisława Nowickiego i opracowanie jego dossier to siłą rzeczy także zbieranie wiedzy o panu Pawle Pisarskim.

Chcąc nie chcąc, przeczytała krótką notkę o miłości swojego życia. Miękkie narkotyki — któż ich nie używa? LSD i kokaina — niech pierwszy rzuci kamieniem, komu się nie przytrafiło, pijaństwo — ciekawe, jak pili na komendzie, w której pracował autor raportu, i czy widział kiedyś korporacyjny wyjazd integracyjny albo warszawskie kluby z piątku na sobotę? Pijaństwo, lecz nie alkoholizm — więc po co o tym pisze? O każdym w Polsce pisze, no

może o co drugim. Dalej... Dalej niestabilność emocjonalna — tak to jest, jak się nie rozumie artystów. Kolejny punkt o nadużywaniu przemocy. Nadużywa przemocy? Wolne żarty! Danie w nos jakiemuś celebrycie to nie nadużywanie przemocy, to udzielenie surowej, lecz niezwykle potrzebnej lekcji dobrych manier!

Z satysfakcją popatrzyła na zdjęcie z bójki dołączone do raportu. Poza tym to nie była jakaś bójka, ale męska walka na pięści! Zdjęli marynarki i koszule, walczyli z odsłoniętymi torsami, wyglądali jak angielscy dżentelmeni ze starych rycin. Walka była krótka, a w bulwarówce ekspert, jakiś medalista olimpijski, napisał, że pan Paweł Pisarski zaprezentował to, co najlepsze w polskiej szkole boksu, że zamarkował cios lewym zamachowym, a zadał trafienie prawym prostym, tak jak nauczał tego legendarny trener Feliks Stamm. Że po tym niezwykle precyzyjnym lewym prostym miał nastąpić cios kończący, ale nie nastąpił, bo przeciwnik zalał się krwią i opadł na ziemię.

To był nokdaun, który przeszedł w nokaut techniczny. Przeciwnik powinien być liczony do ośmiu i stanąć do walki, ale nie można było zatamować krwi i trzeba było zakończyć pojedynek. Czytała to z satysfakcją, bo ten dupek kiedyś i ją w niewybredny sposób podrywał, ale jej, pożał się Boże, mąż, zamiast dać mu nauczkę, powiedział, że takich osobników należy ignorować.

Ochłonęła po tym steku bzdur na temat Pabla i zamknęła teczkę. Wiedziała już wystarczająco wiele, by zrozumieć, że problem jest poważny, pora na kolejną konsultację.

19.

Materiały od detektywa opatrzyła komentarzami, dopisała swoje obserwacje i poszła z tym do doktora Konarskiego, najmodniejszego psychologa, który jeszcze całkiem niedawno potrafił jednego dnia wystąpić w trzech konkurujących ze sobą stacjach telewizyjnych. Sebastian Konarski nie był jakimś tam zwykłym Sebą polskiej psychologii, nie był gwiazdką sezonu, ale królem dekady.

Przystojny, obdarzony głębokim głosem, stał się nawet konkurencją dla słynnych, lecz niezbyt seksownie prezentujących się seksuologów. Wszedł szturmem nie tylko w ich kompetencje, ale skolonizował także poletką socjologów i psychiatrów, chwilami prezentując walory nie tyle naukowe, ile boskie.

Nic, co ludzkie, nie było mu obce, szeptano nawet, że to on zainspirował jedną pisarkę i dwóch pisarzy, z których przynajmniej dwójka podkochiwała się w nim, do stworzenia postaci policyjnych profilerów. To podejrzenie nie tylko się umocniło, ale i przeszło w pewnik, że jest nim w rzeczywistości, a przynajmniej z doskoku współpracuje z organami ścigania, bo pojawiał się na kongresach kryminologicznych, a było faktem, że stawał przed sądem jako biegły.

Tak, to nie było sezonowe zauroczenie, Konarski był dla widzów skutecznym mechanikiem ludzkich dusz oraz osobowością medialną i jak trener Andrzej Strelau, który wsiadając do taksówki w trakcie finałów piłkarskich mistrzostw świata, mógł rzucić na pytanie kierowcy: „Do której telewizji?”, odpowiedź: „Wszystko jedno, w każdej mnie potrzebują”. Co do trenera Strelaua, a raczej futbolu, to część komentatorów, wcale liczna, żądała od kolejnych selekcjonerów, by włączyć doktora Konarskiego do sztabu kadry. W zależności od poziomu redakcji i samych redaktorów wyrażano to w różny sposób, raz mówiąc, że tylko doktor Konarski może wydobyć z polskich piłkarzy pełnię ich możliwości, a innym razem, że może doktor Konarski dotrze do tych pustych głów.

Opinia kibiców wyrażana na internetowych forach nie była już tak entuzjastyczna i bliższa raczej pogładowi zawartemu w tytule bukmachersko-sportowego, skandalizującego serwisu Typ.pl. Mówiono, że musiałby im zrobić lewatywę głowy, żeby pomogło. Ostatecznie na podobny krok zdecydowała się kadra narciarzy, co podbudowało i tak gwiazdorską popularność Konarskiego, który trzy razy z rzędu zdobył Telekamerę w kategorii medycyna.

Ostatnio odpadła mu telewizja publiczna, bo dostał bana za stworzenie psychologicznego portretu partii rządzącej. Jego głośny artykuł „Portret koalicji we wnętrzu” wywołał sensację i był szeroko

komentowany, bo za eleganckim tytułem nawiązującym do filmu Luchina Viscontiego krył się obraz rodziny toksycznej, wręcz patologicznej. Nic dziwnego, że doktor Konarski nie był już zapraszany do rządówki. Później wypadł z jednej ze stacji komercyjnych i plotkowano, że był to wynik powołania Sebastiana Konarskiego jako biegłego podczas sprawy rozwodowej prezesa stacji. Opinia przedstawiona przez psychologa miała być dla niego miażdżąca i dlatego nie miał już wjazdu do jego telewizji. Dla doktora była to żadna strata, bo i tak wszystkie portale pisały o nim, że to doktor, który leczy dusze gwiazd, więc kolejka była do niego taka jak do specjalisty w ZOZ-ie, chociaż gratyfikacja, którą pobierał, wydawała się skuteczną barierą ograniczającą popyt na jego usługi. Nie była, ale od czego są znajomości?!

Spotkali się w jego gabinecie zlokalizowanym w modernistycznej wili, którą architekt Hubert Miziołek zmyślnie wkomponował w mokotowskie osiedle Pod Skocznią. Dom miał w sobie i coś z najznakomitszych przedwojennych warszawskich realizacji, i nutkę odwagi, i romantyzm Wrighta ze słynnego domu Nad Wodospadem, oceniła Wanda. Znała się i na architekturze, bo jej ostatnim przedsięwzięciem była butikowa deweloperka.

W budowę eleganckiego podwarszawskiego osiedla zainwestowała pieniądze, które uzyskała ze sprzedaży firmy. To był jej podwójny triumf, bo nie tylko zarobiła ośmiocyfrową sumę liczoną w euro, ale i mogła się sycić tym, że jej przedsiębiorstwo wykupił gigant, dla którego pracowała kiedyś wraz z Thijsem van Dijkiem. Centrala w Londynie najpierw połączyła się z konkurentem, dla którego później pracowała, a następnie, by skonsolidować polski rynek, sięgnięto po jej przedsiębiorstwo.

Jak to mówiono w środowisku biznesowym, prezes Nałęcka-Ludwig skeszowała się i mogła przejść na emeryturę, ale kontrakt zobowiązywał ją do doradzania nowemu właścicielowi. Nie była to praca zbyt absorbująca, za to przynosząca co roku milionowe wynagrodzenie. Niedawno zachwyceni jej analitycznym umysłem i kreatywnością ludzie z londyńskiej centrali zaproponowali przedłużenie tej umowy i znaczącą podwyżkę. Miała już być rentierką, ale tej propozycji nie dało się zlekceważyć. Bardziej niż

o pieniądze chodziło jednak o prestiż i pozycję, którą osiągnęła w męskim świecie wyłącznie dzięki umiejętnościom i intelektowi, a nie — nie wiedziała, co byłoby bardziej uwłaczające — urodzie lub modnym ostatnio parytetom płci.

Co do parytetów, to miała ochotę pójść ze swoim problemem do kobiety, ale przyglądając się kilku cenionym psycholożkom, wybrała jednak Konarskiego. Analizując architekturę jego willi, doszła do wniosku, że wybrała dobrze, a kiedy weszła do środka, że najlepiej. Wnętrze nawiązywało do przedwojennego szyku, a gustowne wyposażenie uzupełniały znakomicie dobrane płótna i rzeźby. Ale przecież nie przyszła tu, żeby rozmawiać o sztuce, ale o tym, jak się pozbyć Zoltara.

— Pani uwaga, sugestia, że obaj panowie tworzą erzac rodziny, jest jak najbardziej słuszna! — Sebastian Konarski kiwał głową z uznaniem, ale to był koniec dobrych wiadomości. — Niestety, to związek scementowany, do którego pani dołącza. To nie jest zabawa w komórki do wynajęcia czy w gorące krzesła, tu nie ma, pani wybaczysz kolokwializm, możliwości wykolegowania jednego z uczestników gry — westchnął. — Gdyby to był związek oparty na wspólnych doznaniach fizycznych...

— Grają razem w tenisa! — ożywiła się Wanda.

— Mam na myśli inne doznania fizyczne, seks... — powiedział jakby z pewną nadzieją, ale szybko dodał: — Ale nawet i to nie gwarantowałoby, że pani wejdzie jako uzupełnienie trójkąta...

— Słucham?! — Wanda Nałęcka-Ludwig zakrztusiła się kawą, doktor Konarski musiał ją klepać po plecach, choć jak ognia unikał jakichkolwiek kontaktów fizycznych z pacjentami.

— Ich więzi są niezwykle silne, tak wskazuje raport, który otrzymałem, oraz pani uwagi — wyjaśnił, kiedy Wanda wyrównała oddech.

— To trzeba te więzi rozciąć, trzeba go uwolnić!

— Tu nie można skorzystać z metody Aleksandra Macedońskiego, którą zastosował wobec węzła gordyjskiego, oni są jak bracia syjamscy, zrośnięci narządami...

— Narządami?! — Wanda Nałęcka-Ludwig powiedziała to z wyraźną odrazą.

— Narządami wewnętrznymi: wspólne płuca, nerki, wątroba... — wyliczał psycholog.

— Zwłaszcza wątroba i gardło! — Była pewna, że gdyby nie Zdzisław Nowicki, to Paweł by tyle nie pił i że jego upodobanie do szalonych zabaw zaczęło się w liceum, do którego razem chodzili.

— Tak, z pewnością tak, ale nie myślałem aż tak dosłownie — uśmiechnął się Konarski. — Raczej chodziło o przenośnię, rozumie mnie pani, chodziło mi o to, że nie możemy ich tak po prostu od siebie oderwać! Albo bierze pani komplet, albo musi się liczyć z szybkim rozpadem związku, który pani zbuduje, bazując na brutalnej ingerencji w męską przyjaźń!

Chciała coś powiedzieć, zaprotestować, ale doktor Konarski szybko storpedował plan, który wykluwał się jej głowie.

— Obawiam się, że nawet śmierć ich nie rozłączy... — powiedział, patrząc jej w oczy tak, że poczuła się nieswojo, bo miała wrażenie, że czyta w jej myślach. Jeśli nie w morderczych, to przynajmniej w złowrogich, w których wyobrażała sobie upadek Zoltara z antresoli, wpadnięcie pod tramwaj albo najlepiej pod pendolino. Nie słyszała jeszcze, by ktoś przeżył konfrontację z rozpędzonym pociągiem.

— Tak pan uważa? — Zdawała sobie sprawę ze swojej naiwności, ale *wishful thinking* wzięło górę. Zapytała wbrew sobie i wbrew logice czekała, że Konarski zmieni zdanie.

— Jestem tego pewien. — Myślenie życzeniowe przegrało z prawdą. — Oni są jak rodzina, może nie perfekcyjna, ale kochająca się rodzina, której żaden z nich nie miał w dzieciństwie.

I nagle zdała sobie sprawę z tego, jaki chory układ rządził życiem tych dwóch facetów. Obaj rekompensowali sobie rodziny, a dokładnie ich brak! Ojciec Pabla wyjechał tuż przed stanem wojennym i nie wrócił. Oficjalnie uciekł z Polski, bo był prześladowany. Tak konkretnie to prześladowały go, podobnie jak wszystkich Polaków, kartki na cukier, niedobory w sklepach, brak telefonu, dalekie miejsce w kolejce w spółdzielni mieszkaniowej, obrane kible w pociągach, jeśli w ogóle dało się do tych pociągów wcisnąć, brud i szarzyzna, a na koniec talon na malucha przewidziany dopiero na rok 1984. Ten maluch to był jego

orwellowski 1984, a nie ZOMO, SB i partia! Żaden KOR, żadna Solidarność. To znaczy zapisał się, ale dziesięć milionów Polaków zrobiło to samo.

Była za młoda, by pamiętać te czasy, ale jej ojciec był opozycjonistą, takim prawdziwym, to znaczy takim, który zdaniem współczesnych sekretarzy, współczesnej PZPR oraz ich przydupasów z nowego ZSL, nowego SD oraz najnowszego Grunwaldu stał tam, gdzie stało ZOMO! Tak czy owak, był zdrajcą, bo zdradził matkę, wiążąc się ze swoją doktorantką. Ta, kiedy sama zrobiła karierę, a pan profesor z szykownego naukowca stał się starym dziadem, przesiadła się do pociągu relacji Berlin — Paryż, bo związała się z niemieckim naukowcem, z którym dostali grant i posadę w stolicy Francji. Ojciec zrobił się na starość najpierw zgorzkniały, a później agresywny, ale nie żałowała go, wciąż za to współczuła matce, która odeszła przedwcześnie na zawał serca. Wanda była pewna, że chorowała przez zdradę ojca. Z rodziną wygląda się dobrze tylko na zdjęciu — była to jedyna myśl, jaka jej przyszła do głowy.

— Gdyby pan Nowicki znalazł sobie partnerkę... — Konarski wyrwał ją z zamyślenia. — Choć oczywiście niczego to nie gwarantuje, bo być może obaj z panem Pisarskim dążyliby do życia w modelu dwa plus dwa, dwóch zaprzyjaźnionych rodzin, co bywa trudne.

Mówił tak jeszcze do niej przez trzy kwadranse, wypełniając sesję mniej lub bardziej niewykonalnymi poradami. Podziękowała, wyszła i pojechała do domu, by wszystko przemyśleć.

III

20.

Na ostrzu noża i na noże, tak się kończy, kiedy się ulewa, a Matyldzie Leśniewskiej się ułało.

— Dlaczego nie ja? — Postanowiła się postawić, pierwszy raz od dawna, bo poczuła, że przelała się czara goryczy. Zadając pytanie, już nie bardzo wiedziała, o który z tematów jej chodzi, tak wiele przeszło jej koło nosa w ostatnich tygodniach.

— Dlaczego nie ty? — Naczelny, redaktor naczelny, ale na pewno nie ssak, bo Szymon Kowalski, mimo że wyglądał jak goryl, tyle że modnie ubrany, nie zasługiwał na to, by nosić dumne miano małpy. Zarośnięty sierścią, tłusty jaszczur i drań zastukał palcami w blat biurka, uśmiechając się przymilnie, a potem zmrużył oczy i wysyczał: — A może mi odpowiesz, dlaczego nie ty robiłaś największy temat ostatniego miesiąca? Co ja mówię, miesiąca, sezonu!

Tu ją miał. Szach i mat! Wiedziała, co będzie dalej, nawet się nie łudziła. I słusznie.

— Mam ci przypomnieć? — zapytał, ale nie czekał na odpowiedź. — Parę miesięcy temu Klaudia Zawidzka, ta sama Zawidzka, która prowadzi „Złoty głos”, była widziana z jurorem tego show, Leszkiem Benedyczakiem, w samolocie lecącym do Londynu. Lecieli oddzielnie, ale z lotniska już razem jechali pociągiem, a później wsiedli do tej samej taksówki. — Ktoś im zrobił zdjęcie, niewyraźne, ale byli świadkowie, którzy to potwierdzali. Oni oczywiście zaprzeczali, wtedy poprosiłem cię, żebyś zadzwoniła do Natalii Benedyczak, twojej koleżanki ze studiów, z pierwszych studiów, z historii sztuki, dobrze pamiętam? — Znów nie potrzebował potwierdzenia i mówił dalej: — Odmówiłaś, bo powiedziałaś, że nie jesteś hieną, i co się stało? Inna jej koleżanka,

Alicja Kozakiewicz, nie wahała się, nie uważała się za hienę, co więcej, uznała, że kontakt z kimś znajomym z prasy pomoże przyjaciółce...

Zagryzła wargi, choć miała powiedzieć, że Alicja zachowała się jak zdzira, a Natalia zrobiła z siebie totalną idiotkę, histeryczkę, która użalała się i oskarżała, na przemian lamentując i atakując. Dramatyczny, żenujący spektakl, który Kowalski określił w swej bezczelności jako skuteczny rodzaj psychoterapii, wentylem bezpieczeństwa dla skrzywdzonej kobiety, był jedną, wielką ohydą, która przełożyła się na klikalność.

Fala główna, na której Alicja popłynęła jak surfer z Hawajów, a Natalia została bohaterką Polek. Uciśnioną, biedną, dogrywającą w kreacji za kilka tysięcy, w klapkach z Moliera² i popychającą wózek, taki sam, jak mają Lewandowscy, skromny cybex za osiem tysięcy złotych. Jeśliby doliczyć, ile kosztowały ubranko małego Maksa oraz biżuteria, którą na sobie miała, to było jakieś trzyletnie pięćset plus albo — jak kto woli — cztery średnie krajowe. W sumie skromnie, bo starała się nie pozować na tle mieszkania i unikała fotografowania się przy aucie samotnej matki, skromnym, bo przecież nie największym w gamie lexusa modelu NX, który w momencie kupna kosztował niespełna dwieście tysięcy. To była prawdziwa okazja, auto powystawowe z pełnym wyposażeniem, ze zniżką dla znanych ludzi!

Tylko nieliczni zwracali uwagę na takie detale, biedna zdradzona żona i matka zyskała poparcie nawet u lewicowych feministek, które jeszcze miesiąc temu wytykały jej wystawny, wręcz bezwstydną styl życia. Teraz już jej tego nie pamiętano, może dlatego, że występowała bez makijażu i jak na zamówienie roniła łzy.

— Gdyby to zrobił ktoś z konkurencji, tobym cię musiał zwolnić, ale Alicja uratowała dla nas temat, szkoda tylko, że nie mieliśmy dojścia do Klaudii i Leszka... — westchnął ciężko, a ona w duchu odetchnęła, że nie wiedział o jej znajomości z Leszkiem Benedyczakiem. Znała Bena przez wspólnych znajomych, podrywał ją, nie przejmując się ani swoją żoną, ani jej mężem, bo były to jeszcze te nieodległe czasy, kiedy miała męża. — Szkoda, bo mielibyśmy dwugłos, pojedynkę na naszym portalu.

Siedząc w jego redaktorskim, obszernym, przeszklonym boksie, z którego obserwował biurowy *open space* i życie redakcyjnych mrówek, czuła, że oblepia ją wstrętna maź, śluz, który wyciekał z pyska obcego na pokładzie statku kosmicznego Nostromo.

A może by tak już teraz, już? Kuszące. Ale już parę razy w życiu straciła na tym, że była pyskata, nie potrafiła położyć uszu po sobie. Zmądrzała, teraz zaciśnie zęby, zniesie wszystko, póki nie znajdzie nowej pracy. Nie chciała, żeby się matka dowiedziała, takie wiadomości rozchodziły się błyskawicznie. Wystarczy, że Wirtualne Media to podadzą, a podadzą, bo w końcu była nominowana do Pressa, dostała nagrodę Nadzieja Roku, kiedyś coś znaczyła.

Więc najpierw dadzą to Wirtualne, branżowo, a później przeczyta to ktoś z portalu, niekoniecznie plotkarskiego, może nawet jakaś mocna konkurencja 48.pl, tak żeby dopiec albo z braku laku. Pójdzie coś w rodzaju: byli kiedyś gwiazdami kina dziecięcego, co u nich słyhać? Dadzą jej fotkę sprzed paru lat, jak odbiera nagrodę, i puszczą nagłówek „Talent na zakręcie”, „Upadek gwiazdy”, a może umieszczą w przeglądzie „Oni kiedyś rządzą mediami”. Ma gdzieś, co napiszą, gorzej, że dowie się matka. Nie była staruszką, która dostanie zapaści, nie była stara ani chora, była silna i wszystko wiedziała lepiej. I, niestety, miała rację. Mówiła jej, nie idź do „Antraktu”, nie wychodź za, nie przyjmuj oferty od 48.pl, poczekaj, nie bierz tego tylko dlatego, żeby im pokazać, że możesz się bez nich obejść! Pomogę ci, bądź cierpliwa, proszę...

Nie była cierpliwa, nie chciała pomocy, a teraz nie chciała tego, co najgorsze: A nie mówiłam! Dlaczego mi nie zaufałaś?

Bo nie! Bo chcę być samodzielna!

Pytania o to, co jej z tej samodzielności przychodzi, nie zniosłaby, to by była porażka, jakieś cholerne Waterloo.

Wzięła głęboki oddech, zaczęła liczyć do dziesięciu, przy trzech wstała, przy pięciu się nawet uśmiechnęła, a on patrzył, pewnie zdziwiony, że nic nie mówi, nie komentuje, że w końcu zrozumiała, gdzie jej miejsce w szeregu, że jest po prostu mediaworkerką z cenzusem, ciekawą przeszłością, ale bez przyszłości. Na trzy podała mu rękę, na jeden zrobiła jeszcze słodszy uśmiech i powiedziała:

— Poprawię się!

Wyszła i już za drzwiami wyszeptała litanie, w której bardzo źle mówiła o jego matce, a o nim samym rzeczy tak straszne, że będzie się z nich musiała wypowiadać przed jakimś znajomym gejem.

21.

Pablo miał chandrę. Zdarzało się, ale nigdy na taką skalę. Nie mógł się skoncentrować na pracy, miał ochotę kopnąć nową instalację, żeby się rozpieprzyła w drobne chujki. Tak, dokładnie tak, jak pisał Stasiuk: w drobne chujki. Stasiuka szanował, bo też był gość związany z Grochowem, chociaż w końcu szarpnął się z miasta i wyjechał na jakiś wygwizdów, w Bieszczady czy gdzieś obok. Nieważne, ważne było to, że mu się nic nie kleiło i nie chciało mu się kompletnie nic. I jeszcze wkurwił go Zoltar.

— Pomóż mi, przesuniemy na środek ten klocek drewna, spróbuję coś z nim zrobić, nie wiem co, bo nie idzie mi, ale wiesz, czasem jak tak sobie przyprokrastynuję...

— To się lepiej dobrze zastanów — burknął Zoltar. — Wypchniemy tego kloca, namęczymy się, a ty powiesz, że już ci przeszło, bo nie masz weny. Namaluj coś może? Dobrze szły te twoje obrazy. Walniesz parę płócien, będzie z tego konkretny hajs, a w poniedziałek wróci Hendrix i nam pomoże. Teraz się usramy z tym klocem.

Pablo nie lubił, jak ktoś mówi mu, co ma robić, zwłaszcza w pracowni nie lubił. I wkurzał go temat obrazów. Zoltar pierdolił mu za uszami o tych obrazach, bo faktycznie jego seria „Wioski polskie”, którą namalował tuż przed śmiercią Edwarda Dwurnika, rozeszła się dobrze. A nawet bardzo dobrze, bo w atmosferze skandalu, ponieważ gawiedź kojarzyła Eda z serii miast polskich, które trzaskał bez końca i świetnie na nich zarabiał. Owszem, jego wście były co nieco żartem z Eda, ale nie przypuszczał, że wernisaż odbędzie się dwudziestego ósmego października, dokładnie w dniu śmierci Edwarda Dwurnika. Wyszła z tego niezamierzona prowokacja i nie dało się wytłumaczyć, że to zbieg okoliczności.

Była burza, było głośno i płótna poszły za zaskakująco dobre pieniądze, a Zoltar, który przepułtał całą swoją kasę, mędził mu zawsze na temat każdego wydanego albo niezarobionego grosza, wkurzył go do granic niemożliwości, kiedy wparował z arkuszem i pokazywał mu czarno na białym, jakie mógłby mieć zyski z obrazów, a ile traci na rzeźbach, instalacjach i performance'ach. A teraz znów wyjechał z obrazami, a za chwilę pewnie zacznie mędzić temat magnesów na lodówkę, sygnowanej ceramiki, koszulek i innych genialnych biznesowych pomysłów.

— I będzie tak jak ostatnio... — rzucił przez zaciśnięte usta.

— Nie rozumiem. — Zoltar zrobił maksymalnie zdziwioną minę. Podobnie musiał wyglądać chłop z szesnastowiecznej wsi, którego zapoznano z tezami przewrotu kopernikańskiego, a ktoś mu tłumaczył, że Ziemia jest okrągła, a nie płaska i podtrzymywana przez słońce i żółwie.

— Nie rozumiesz? — syknął Pablo. — Słuchaj, Zoltar, dam ci babciną radę, nie wpieprzaj tyle masła, bo będziesz miał sklerozę!

— Aaaa... — Zrobił zatroskaną minę. — Już wiem! Ale nie jestem Schwarzeneggerem, ta paczka, którą dostarczył ostatnio kurier...

— Była tak ciężka, że musiał ją targać Rambo — przerwał mu Pablo. — To chciałeś powiedzieć?

— To siłacz! — wyjaśnił zupełnie niezmiyszany Zoltar. — Chudy, ale byk.

— Tak, to siłacz, ale kto mu pomagał? — Pablo z uporem drążył temat.

— Dziadek Ikar się wyrwał. — Zoltar był nieprzemakalny, jakby miał na sobie gumowy kombinezon. — Chciał, to nosił. — Wzruszył ramionami. — Był pod ręką, mógł się rozerwać, a mnie bolały tego dnia plecy, zdarza się. Nie masz gorszych dni?

— Mam, owszem, Wanda mówi, że dość często — przyznał Pablo głosem, w którym zrozumienie czuć było w każdej głosce. — Ale często nie znaczy codziennie! Weź się za siebie, siłownię urządziłem dla wszystkich, Hendrix i Rambo pakują non stop, nawet Dziadek próbuje, każdy z nich mógłby być twoim trenerem personalnym, gdybyś tylko zapytał, poprosił. Ja też coś niecoś wiem, zatem...

Zoltar miał szczerą ochotę odpowiedzieć, że po pierwsze, nie jest tutaj fizycznym, po drugie, że plecy go bołą, bo wcześniej się nadźwigał, a po trzecie, pracuje tu za coś w rodzaju kieszonkowego. Uznał, że jednak lepiej będzie się powstrzymać, Pablo miał jednak inne zdanie.

— Jeżeli masz zamiar powiedzieć to, co kiedyś powiedziałeś Wandzie, że pracujesz tu za coś w rodzaju kieszonkowego, to ci odpowiem...

— Ale ja... — odpowiedział niezbyt pewnie, bo nie mógł zaprzeczyć, że tak mu się wymknęło.

Wanda słyszała, jak mówił do Dziadka Ikara, że pracuje tu za wikt i opierunek oraz kieszonkowe. Spojrzała wtedy na niego tak, jak to tylko ona potrafi patrzeć, groźnym, mrozącym wzrokiem Królowej Śniegu, i z troską w głosie spytała:

— Naprawdę? Będę musiała o tym pomówić z Pawłem.

Myślał, że tylko tak powiedziała, bo szła do samochodu, czekał na nią kierowca, wyraźnie się gdzieś spieszyła. Naiwnie myślał, że zapomni, że w wirówce spotkań, interesów i obowiązków, które dalekie były od jego wyobrażenia o życiu atrakcyjnej rentierki w średnim wieku, te parę zdań gdzieś się ulotni, zniknie, wyparuje. A teraz miał nadzieję, że Pablo tylko zawiesił głos, że nie powie już nic, że wystarczy. Nie wystarczyło.

— Nie jestem chytrym chujem. — Pablo wbił w niego wzrok, mimo jego krzaczastych brwi i przymkniętych powiek widać było, że oczy żarzyły mu się jak węgielki. — Tu, w Manufakturze, robię swoje, tworzę w otoczeniu ludzi, którzy są jak rodzina, a ty jesteś najważniejszym jej członkiem. Wiele ci zawdzięczam, więc nigdy bym ci nie powiedział, że masz tu schronienie, masz wszystko za darmo, dostajesz tuzena kieszonkowego, a co miesiąc odkładam na konto piątaka.

Nigdy by tego nie powiedział, ale powiedział. Zabolało.

— Od pół roku wpłacam po szóstce — dodał niespodziewanie.

— Dziękuję — wydusił z siebie Zoltar. — Dziękuję ci.

— Nie dziękuj, lepiej sobie przypomnij, co miałeś jeszcze dzisiaj zrobić.

Zoltar pomógł Pablowi przesunąć kloc drewna i zaraz się zmył z pracowni. Miał zrobić zakupy, co odkładał od rana. Jego wyjście Pablo przyjął z pewną ulgą.

Ledwie wyszedł, przyjechała Wanda, ją też chciał obsobaczyć, bo wszyscy go dzisiaj wkurzali, artysta bez weny jest jak tykająca bomba. A ona tę bombę rozbroiła, nie wiedział jak, kiedy i dlaczego, zgodził się pojechać do jej wilonu na Odolańską. Ona prowadziła, a on gadał, żalił się, narzekał.

— Mówisz, że jestem naburmuszony — zaśmiał się niezbyt przyjemnie. — Ja jestem wkurwiony, a nie naburmuszony! Zrozum, że to miejsce pożarło mnóstwo mojej energii...

Zaczął się cykliczny wykład na temat Manufaktury, nauczyła się tego słuchać cierpliwie i nie komentować, więc gadał przez cały dojazd do Trasy Łazienkowskiej. Gadał, gdy przejeżdżali przez Wisłę, mamrotał na Puławskiej, skończył pod bramą na Odolańskiej.

— Nie denerwuj się, było, minęło, trzeba zacząć nowy etap życia. — Pogładziła go po policzku.

Westchnął ciężko, a w jego oczach było coś, co sprawiło, że wyczuła szansę na zabieg, na który decydują się tylko najwytrawniejsi ogrodnicy: na przesadzenie starego drzewa, na zakończenie idiotycznej symbiozy Pabla i Zoltara, która trwała dłużej niż międzywojenna Polska.

— Mówiłeś, że tamta fabryczka w Hiszpanii była całkiem, całkiem.

— Miała klimat — potwierdził.

To już było coś, można było iść za ciosem.

— A gdybyś się jej przyjrzał bliżej? — W jej głosie było coś kuszącego.

— A co, zdecydowałaś się na zakup? — Miał nadzieję, że odpowie: nie, oczywiście, że nie, to by była pochojna decyzja, to wszystko kosztuje.

— Ja już to dawno kupiłam — powiedziała ze spokojem o wydaniu pół miliona euro.

— I zaczęłaś remont?

— Zaczęłam remont. — Zamyśliła się. — Taaak, zaczęłam remont.

Działała szybko, ale przecież nawet ona, Wanda dwojga nazwisk, najenergiczniejsza kobieta świata, miała swoje ograniczenia. Poczł,

że walnął głupotę, że może zabrzmiało to jak szyderstwo.

— Aha, projekt jest? Tak? — Pablo się zainteresował, życzliwie, ale bez większej pasji, tak żeby jej nie było przykro.

Szybko zrozumiał, że wykazał zbyt mały entuzjazm, chciał coś dodać, choć nie bardzo wiedział co. Ta Hiszpania go nie interesowała, jak można myśleć o nowej przystani, kiedy jeszcze na dobre nie zaczęła się żałoba po poprzedniej? Wciąż miał nadzieję na jakiś cud, choć na jaki, to nie za bardzo wiedział. Bo co się mogło wydarzyć? Rewizja nadzwyczajna, trybunał w Strasburgu, deweloper nagle ogłosi, że ujęła go historia artystycznej komuny i odpuści, a może jeszcze pomoże...

— Gdybyś się choć trochę interesował projektem tej hiszpańskiej manufaktury, tym, co chcę zrobić, tobyś poświęcił dwa, trzy dni, żeby polecieć i obejrzeć...

— No nie wiem — bąknął. — Bym się załamał, jakbym znów miał oglądać jakieś rumowisko, nie jestem jeszcze na to gotowy i niespecjalnie mam czas — łgał jak z nut.

— Taaak, ale ja miałam. Zdążyłam tam dwa razy polecieć, wynająć architekta, ekipę budowlaną i...

— Naprawdę zaczął się remont! — Pablo zagrał radość z rozpoczętej inwestycji. — Znakomicie! — dodał, ale po minie Wandy zrozumiał, że jej nie przekonał.

Było jeszcze gorzej.

— Skończył się remont! — powiedziała z dumą, a on ze zgrozą zobaczył, że wyciąga ku niemu dłoń z komórką. — Oto hiszpańska manufaktura, spójrz na naszą przyszłość!

— Niebawale! — powiedział bez udawanego zdziwienia. Bo nawet jak na tempo działań Wandy, niespożytych sił i możliwości było to coś, co przekraczało skalę jego wyobraźni, a miał przecież wielką. Paru krytyków twierdziło nawet, że największą w polskiej sztuce dwudziestego pierwszego wieku. — Jak to zrobiłaś?

— Cudowna niespodzianka, prawda? — Wanda wprost promieniała ze szczęścia.

— O tak! — wykrzyknął, bo choć była to niespodzianka, to wcale nie cudowna. — Nie chciał się ruszać z Warszawy, słyszał, że na Targówku Przemysłowym...

— Pewnie chciałbyś zobaczyć więcej zdjęć — weszła gwałtownie w jego myśli. — Ale zdjęcia nie oddają tego, co jest naprawdę. — W rękę trzymała telefon, w takim razie co mu chciała pokazać, jeśli nie zdjęcia? — Kupiłam bilety na samolot, tadam! — zakończyła wypowiedź efektownym dżinglem, a on zobaczył, że to nie potwierdzenie zakupu biletów, ale cyfrowe potwierdzenie dokonania odprawy. — Lecimy jutro rano, a wracamy za dwa dni, więc nie powiesz mi, że nie masz czasu!

22.

Rano z Odolańskiej na Okęcie kwadrans, odprawa w biznesie mniej niż dziesięć minut, dwadzieścia minut w poczekalni, start był punktualnie, lot trzy i pół godziny, wynajęcie auta, dojazd, razem pięć godzin.

— Jak w góry, trochę dłużej niż nad Bałtyk! — Wanda była zachwycona, Pablo mniej, bo nie lubił latać, ale nie uważał, że należy się tym chwalić. Lęki stłumił alkoholem, więc to ona prowadziła, a on spoczywał na siedzeniu pasażera. Sportowe auto mknęło hiszpańską ekspresówką, mijając autokary i samochody osobowe, zwłaszcza gdy droga wiodła pod górę. Z szerokiej dwu-, momentami trzypasmowej trasy zjechali ślimakiem w lokalną drogę, później jechali między polami, wreszcie po ostrym zakręcie dotarli do jakiegoś pueblo pełnego białych domów. Było jak na karuzeli, idące pod górę zakręty zdawały się nie mieć końca.

— Jesteśmy na miejscu! — powiedziała, gdy samochód wjechał serpentynami pod górę. Zrobiła to błyskawicznie, to był jej niezaprzeczalny atut, nie tylko miała dobre samochody, ale i potrafiła je prowadzić. A to był nie byle jaki samochód, porsche 911 cabrio, a ona sobie z nim radziła, jak również potrafiła wykorzystać jego atuty.

— Wysiadamy, kochanie! — powiedziała, wskazując na białą, stojącą między palmami willę.

— Ale to miejsce... — powiedział, próbując zebrać myśli. — Ono wyglądało inaczej, to było...

— To było w pobliskim miasteczku, tam jest manufaktura, a tu jest nasz dom, czyż nie piękny?

Był piękny. Taki w sam raz, skromniejszy od wili na Mokotowie.

— Jest uroczy, prawda? I taki kameralny! — Wanda opowiadała o tym, co widział, jakby nie był jej facetem, tylko inspektorem ze skarbowki. — Kuchnia z aneksem jadalnym. — Przeprowadziła go przez trzydziestometrowe pomieszczenie, do którego przylegał mierzący drugie tyle taras. — A to sypialnia, mniejsza niż w Warszawie. — Faktycznie była mniejsza, ale nie była też mała, całkiem spora. — Jest jeszcze pokój gościny, mały gabinet, a tu basen! — powiedziała, wyprowadzając go przez taras. — Tu nie ma domów bez basenów, taki mają klimat — wyjaśniła tę oczywistą oczywistość, jak kiedyś jedna minister tłumaczyła oblodzenie sieci trakcyjnej PKP.

Zwiedzanie skończyło się na sypialni. Pięknie się skończyło.

Po południu pojechali do miasteczka, przypomniał sobie, jak rok temu przejeżdżali tędy pierwszy raz, mijając stojące w wąskich uliczkach stare domy, mury z basztą, kościół z niebieską kopułą, aż wreszcie zakręcili obok fabryczki z wielkim kominem i z wiszącym na kutej bramie banerem z napisem: „Propiedad en venta”. Bąknął tylko: jak moja Manufaktura na Grochowie, a ona zapytała:

— Piękna, prawda?

— No — odpowiedział z typową dla siebie oszczędnością środków wyrazu, z czasów, które krytycy określili mianem mistycznego minimalizmu.

Manufaktura, wtedy przed rokiem zapamiętał ją jako zapyziałą, miała wyczyszczone cegły. Tam, gdzie ściany były tynkowane, biel lśniła jak z reklamy proszku do prania, pokrycie dachu nowe, panele solarne wkomponowane tak, jakby ponad sto lat temu architekt przewidział ich istnienie, ramy okienne jak z fabryki, szyby błyszcząły, ktoś musiał je wczoraj wypucować. Weszli do środka, schody były wykończone kafelkami, sień także, ale wszystko było dyskretne, wyważone.

— Myślę o tym, żeby klatka schodowa była wymalowana w barwne pasy, żeby to zrobił Tarasewicz, widziałam taki dom na Żoliborzu.

On też widział i zastanawiał się kiedyś, jak podejść profesora Tarasewicza, by pomalował mu tak samo część Manufaktury. Nie zdążył, zabrali mu ją, a teraz pomysł ma zaistnieć w zupełnie nowym miejscu. Miejscu, które wypierał ze swojej świadomości i bojkotował.

Pablo chciał ruszyć na górę, ale Wanda pociągnęła go z sieni do saloniku-poczekalni połączonego z kuchnią. Całość urządzona była w ulubionym przez niego stylu miszmasz. O ile Pablo dobierał wyposażenie latami, ustawiając przeważnie nowe meble, a jeśli coś gdzieś podpatrzył, to i nowe, o tyle hiszpański salonik był gotowy od a do zet! Stary stół z rzeźbionymi nogami i nowoczesne tapicerowane krzesła, nowy, barwny dywan i szlachetnie wyblakły stary pers, zabytkowa, ale odnowiona na tip-top kanapa i dwa nowoczesne fotele.

Nie lubił designerskich wnętrz, wykończenia pod klucz, sterylnej doskonałości, ale to wnętrze było takie, jakby sam długimi latami je meblował, a do tego na ścianach wisiały obrazy malarzy, których lubił. Tę po lewej ozdobił tryptyk złożony z trzech czarno-białych prac Tatarczyka, po prawej zbiór barwnych płócien Grzyba, Susida, Maciejuka i Zakrzewskiego. Ściana naprzeciwko była szklana i oddzielała salonik od skrytego w mroku pomieszczenia. Do tego komoda wykonana z surowego drewna, do której dodano złote drzwiczki, ale najważniejsze było to, co na niej stało: barwne, nieco zdeformowane i uzupełnione o kolorowe głowy Marksa; znak rozpoznawczy rzeźbiarza Krzysztofa Michała Bednarskiego.

— Grupa Pendzle — jęknął. — Kocham ich! I Kopernik, Wałęsa, Karp i Grunwald z serii Osiewskiego „Symbole polskie”!

Był bliski klęknienia przed Wandą, ale ona tylko lekko się uśmiechnęła i położyła mu dłoń na ramieniu.

— Wiem — powiedziała. — A teraz się odwróć! — Delikatnie pociągnęła go za ramię.

Wykonał obrót o sto osiemdziesiąt stopni i zobaczył szarego człekorobota ze swoją własną twarzą! Znał to, to wyglądało jak ciąg dalszy cyklu „Wenecjanie” Althamera, serii dziewięćdziesięciu jeden rzeźb-szkieletów z polietylenu, o twarzach-maskach. Teraz patrzył na swoją wiernie oddaną twarz i nie mógł się powstrzymać od tego, by wyrazić podziw.

— Ja pierdolę — jęknął.

— Tak, to ty — uśmiechnęła się. — Kolejna, dziewięćdziesiąta pierwsza praca dołożona do cyklu. Podoba ci się?

Nie odpowiedział, był w szoku. Zanim z niego wyszedł, pociągnęła go w kierunku szklanej ściany, wyjęła z kieszeni pilota, nacisnęła przycisk i stała się jasność. W zaciemnionym pokoju zaczęły się rozsuwać kotary, zapłonęło światło, to były lampy od Bimera, które mu się podobały, ale które nie za bardzo miał gdzie powiesić. Piękne, magiczne lampy wiszące oraz dyskretnie schowane lampy do pracy.

Pablo zobaczył miejsce, które miało się stać jego nową pracownią. Wbrew temu, co czuł przed przyjazdem, pomimo całego oporu, uklęknął przed Wandą i powiedział:

— Kocham cię, jesteś niesamowita.

Przytuliła go, przygarnęła jego głowę do swojego łona, a później poszli w kierunku kanapy w saloniku, po drodze wyjęła z lodówki szampana, wypili po lampce, a później kochali się jak w filmie z Belmondem. Do utraty tchu.

23.

Kiedy Zoltar wychodził do sklepu, po tej nieprzyjemnej gównoburzy, Pablo dłubał przy rozpoczętej pracy, ale ewidentnie mu nie szło. Rozpoczął coś, czego nie miał na finiszu, bo nie potrafił skończyć. Był na przemian osowiały i podminowany, patrzył tępo przed siebie, czyli jak to mówią artyści: nie miał weny. Gdy Zoltar wrócił po ledwie kwadransie, pracownia była już pusta, bo jak powiedział Rambo, ta kolekcjonerka go zabrała, nie wiem, co mu powiedziała, ale miał banana, gdy wychodzili.

Zawsze na niego czekał, a teraz po prostu wyszedł. Pewnie się przeraził jego planem ze stypy, żeby pójść na całość i nie wahać się przed niczym, nawet przed zrobieniem banku, napadem na dewelopera, każdym krokiem, który mógłby ocalić Manufakturę. W sumie to przesadził, ale przecież na bani i na haju, wszyscy byli za jego pomysłem, a następnego dnia toczyli bekę, a największą ten młody gnojek na wózku. Że niepełnosprawny? Zastanowił się, tak

niepełnosprawny, ale każdy może być gnojkiem, nie chronią przed tym płeć, kalectwo czy rasa.

Czuł, że zostaje na lodzie. Że Pablo po tylu latach zamyka temat, bo Wanda wykorzystwała sytuację kryzysową, obiecała mu złote góry i złapała za jaja. Sam by się jej dał złapać za jaja, przyznał ze smutkiem, chociaż jej szczerze nienawidził.

Następnego dnia się nie pojawił, było dokładnie tak, jak przypuszczał: wytargali ten pieprzony kloc drewna na środek pracowni, a on się rozmyślił. Tyle pracy na nic. Wykręcił numer i zdębiał, komórka gadała do niego, że abonent jest poza zasięgiem, w języku Cervantesa, Messiego i papy Franciszka. Podśłuchana rozmowa, dzisiejsze wyjście po angielsku i parę innych drobiazgów to były sygnały, że sprawy zmiierzają w złym kierunku, a gwałtowny wyjazd do Hiszpanii oznaczał, że Wanda owinęła go sobie wokół palca...

Znów, jak dwadzieścia lat temu, stał się pariasem. Wtedy spadał z wyższego konia, grał o coś zupełnie innego, tonął, ale możliwe było jeszcze wysłanie szalupy, rzucenie koła ratunkowego. Tak było przez całą wiosnę tamtego pamiętnego roku, roku bankructwa ostatecznego. Pożyczał i łątał, a na spłatę pożyczek brał inne pożyczki. Przez jakiś czas to działało, aż swoista piramida finansowa, którą zorganizował, stała się tematem rozmów i szybko z tej wymiany informacji wyciągnięto pochopne, niesprawiedliwe wnioski, że jest człowiekiem, któremu udzielenie pożyczki jest większym błędem niż wrzucenie pieniędzy do kapelusza pijaka albo anonimowy udział w akcji charytatywnej.

Przyjaciół już praktycznie nie miał, a ci, którzy jeszcze od niego odbierali telefony, zdobywali się co najwyżej na niezbyt konstruktywną uwagę: Zoltar, ja ci dobrze radzę, ty jak najszybciej spierdalaj z Polski.

Jeśli wszyscy ci mówią, że jesteś pijany, to musi tak być. Skoro nikt nie chce ci pożyczyć pieniędzy, za to każdy rekomenduje błyskawiczną ucieczkę, to trzeba to poważnie przemyśleć.

— Słyszałam, że jesteś goły — powiedziała bez większych emocji Maja Ćwiklińska, jego ostatnia kochanka z tamtych lepszych czasów. — Było miło, ale się skończyło, musisz się, kochany, ode

mnie wyprowadzić, nie chcę mieć nieprzyjemności, a to nie będą byle jakie nieprzyjemności, tylko całkiem poważne — dodała zupełnie obojętnym głosem. — I jeśli liczysz, że może ja... Niestety, nie, nawet gdybyś coś miał w ręku, jakąś ostatnią walizeczkę, która ci została, to wybaczyć, ale ściga cię nie tylko skarbowka. Mam nadzieję, że ci się uda, może masz kogoś znajomego w Albanii?

Nie miał w Albanii, którą kilka osób już mu wskazywało jako dobry kierunek wyjazdu, na Rosję był za biedny, na Afrykę za mało odważny, zresztą musiałyby załatwić sobie jakieś dokumenty, tożsamość, z którą mógłby kupić bilet lotniczy. Dobre dokumenty kosztowały, i to dużo, z byle jakimi fałszywkami nie było co startować. Był czerwiec 2002, parę miesięcy po 11 września 2001 roku i zamachach na World Trade Center. Służby dostały pierdolca, a Polska nie była jeszcze nie tylko w Schengen, ale i w Unii.

Zawsze wychodził na prostą, miał wyjść i teraz, po to wynajął prawnika, wydał na niego ostatnie pieniądze. Nie była to udana inwestycja, Pan Mecenas Kosztowny nie wymyślił niczego ponad to, co doradzali znajomi: spłacić długi, oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości albo, to już była zupełnie prywatna rada, udzielona nieoficjalnie i w gratisie: uciekać jak najdalej.

Wyjechał więc na Mazury, dalej nie mógł, bo organizacyjnie i finansowo by tego nie ogarnął, trzeba było w sposób prosty i bezkosztowy. Udało się, kolega miał domek letniskowy, który po sezonie był bezlitośnie okradany przez autochtonów. Kacper się ucieszył, że ktoś będzie tam pomieszkiwał. Tak minęły jesień, zima i wiosna, a wiosną... Wiosną miało już być po kłopotach, tak mówił Kacprowi, zapewniał go szczerze i z pełnym przekonaniem, bo sam w to wierzył.

Czas mijał, ale cudu nie było, a latem miał przyjechać Kacper z rodziną. Jego mazurski azyl się nieodwołalnie kończył, zmienić to mogły tylko zaklęcia albo magia. Teraz już nie myślał u cudzie, który przywróci dawny stan rzeczy. Teraz modlił się o to, by mógł przedłużyć swoją mazurską wegetację. Termin przyjazdu Kacpra i jego rodziny się zbliżał, ale nawet gdyby zmienili wakacyjne plany, to nie miałyby za co żyć. Już od dawna nie kupował piwa, dwa miesiące temu ograniczył menu do chleba i najtańszej kiełbasy, a od

tygodnia mógł sobie pozwolić już tylko na chleb z dżemem. Co mogło odsunąć nieuchronną katastrofę?

Rozwód!

Drugiego dnia ostrej diety nadjechał Kacper, wyglądał źle i był sam.

— Rozwodzę się — oświadczył na starcie. — Wyprowadziłem się od Aliny, wakacje spędzę tutaj.

Stał się cud, przez dwa miesiące Zoltar pędził z Kacprem kawalerskie życie, mieszkając w domku letniskowym kumpla i na jego koszt. Kolejny rok przeżył, przejadając fundusz remontowy, bo solennie zobowiązał się poprawić to i owo, przeciekający dach w komórce, wymienić rynny, postawić nowy płot. Na początek, zaraz po wyjeździe Kacpra, przywrócił do swojego menu piwo, wpadał nawet do miejscowej knajpy, jak mu się nie chciało gotować. Wszystko, co piękne, ma jednak swój koniec, w przypadku mazurskiego azylu był nim ostateczny rozwód Kacpra i Aliny oraz podział majątku.

Zwiedził tak jeszcze kilka domków letniskowych i mieszkań, był i garaż, a na koniec działki. Od kompletnego upadku uratował go Pablo, dał mu kąt w swojej pracowni, która mieściła się w praskim Trójkącie Bermudzkiem. Prawie dwadzieścia lat, z czego te ostatnie nie tylko bezpieczne, ale i całkiem miłe, a jednak... Nic nie może przecież wiecznie trwać. Nigdy nie słyszał w głowie tych słów w wykonaniu Anny Jantar, ale w twardej, wojskowej wersji prezentowanej przez jego byłą żonę Annę. Może miała rację? Nie potrafił się do tego przyznać, ale gdyby wtedy powiedział pass, to byłiby spokojnymi rentierami i może mieliby już wnuki. Jego była żona wiodła wygodne życie, a jemu groziło zostanie kloszardem. Nic, tylko się upić.

24.

Kiedy skończyli szalony długodystansowy seks, Wanda, gładząc Pabla po twarzy, powiedziała:

— W dobie internetowej pornografii, sekstelefonów i szybkich numerków taki pełnowymiarowy prawdziwy seks jest czymś atawistycznym, nie sądzisz?

— Sądzisz, że kiedyś człowiek pierwotny robił to tak jak my? Myślę, że samiec błyskawicznie unasienniał samicę i biegł polować na mamuty — mruknął Pablo.

— Tak uważasz? — Wanda była rozczarowana odpowiedzią swojego kochanka. — Wydawało mi się, że to, w jaki sposób się kochamy, jest takie dzikie, pierwotne!

Pablo nie pociągnął tematu, bo jak każdy mężczyzna, a już na pewno taki, który jest nie tylko po seksie, ale i po porannym locie samolotem, przed którym i w trakcie którego neutralizował lęk przed awiacją alkoholem, zasnął jak niemowlę.

Obudził się po południu z przekonaniem, że wszystko to, co się wydarzyło, było jakąś pijacką, nierealną projekcją. Wszystko oprócz udanego seksu z Wandą, bo ten zawsze taki był, co cementowało ich szalony związek. Sądził, że ponowna inspekcja hiszpańskiej manufaktury wykaże, że ma ona tyle wspólnego z tą grochowską, co reinkarnacja, po której nadal pozostaje wśród naczelnych: wciąż jest w rodzinie Hominianae, ale nie jest już homo sapiens, lecz małpą. Niby blisko, ale różnice są, i to zasadnicze.

Obszedł fabryczkę i podobała mu się coraz bardziej. Była czymś perfekcyjnym, projekcją jego marzeń o miejscu na Grochowie, ale takim, w którym spędził dobrych dziesięć lat i dopasował każdy szczegół. Uczciwie rzecz ujmując, to, co zobaczył, przekraczało pułap planów i marzeń. To był nokaut.

Wyszedł na taras, na którym siedziała Wanda. Wygrzewała się w promieniach słońca ubrana w jego białą koszulę, piła kawę, wyglądała jak aktorka z dobrego starego filmu. Podeszedł do niej, musnął ustami jej szyję i powiedział:

— Będę szczery, nie chciałem tego miejsca, ale teraz je kocham! Nie tak jak ciebie, ale to, co stworzyłaś, pokazuje, że jesteśmy jak w tej wschodniej przypowieści — dwiema, przeznaczonymi sobie połówkami pomarańczy.

Ona jakby to wszystko przewidziała, jakby Pablo grał w jej filmie. Wskazała na stolik, na którym leżała przekrojona na pół

pomarańcza. Jedli ją, słodką i soczystą, taką, jakiej nie sposób dostać w polskim sklepie, sycili się jej smakiem i tą chwilą.

— O wszystkim pomyślałaś — powiedział, a ona się uśmiechnęła.

Nie było w tym uśmiechu triumfu, lecz miłość, radość z tego, że go nie zawiodła, że sprawiła mu przyjemność.

— Wszystko mi się podoba, jest nawet antresola. Nie jestem architektem czy budowlańcem, ale to chyba zostało dobudowane.

Kiwnęła głową.

— To jest wszystko super, ale nie będzie studia nagraniowego, klubu, warsztatu Ikara, biura tych dzieciaków, freaka Rambo...

Słuchała tego, nie komentując. Zachowywała oblicze pięknej, życzliwej, zatroskanej słuchaczki.

— Oni byli duszą tego miejsca, są jeszcze wolne przestrzenie, ale nie wiem, czyby się chcieli tu przenieść. Może Rambo zajedzie tu swoim kamperem i zatrzyma się na jakiś czas albo wpadną na wakacje, prawda?

— Tak, to z pewnością skomplikowałyby ich życie. Szkoda, ale może wpadną na wakacje? — odpowiedziała Wanda.

— Ale dobrze, że Zoltar będzie miał tu swój kąt, ma swoje wady — uśmiechnął się krzywo. — Ale wierz mi, nikt tak jak on nie dbał o Manufakturę. On jest jak brat, jak rodzina, a rodziny przecież się nie wybiera.

— Gdzie miałyby mieć ten kąt? — Nie wytrzymała i zrzuciła maskę, bo w pytaniu czuć było nutkę złości.

— Trzeba będzie zrobić ściankę działową. Sypialnia jest w porządku, doskonałe miejsce, żeby wtedy, kiedy pracuję na okrągło, było się gdzie przespać, ale ten pokój obok...

— To nie jest pokój Zdzisława, to nasz dwupokojowy apartament — wyjaśniła oschle.

— Mamy przecież willę, a w Warszawie nocowałem w pracowni sporadycznie. Zoltar siedział w niej non stop — powiedział wyraźnie strapiony. — W takim razie, gdzie on będzie mieszkał? — Pablo nie rozumiał jeszcze, co to wszystko znaczy.

— O tym chciałam z tobą porozmawiać.

Była upartą, silną kobietą, do tego inteligentną, pewną swych możliwości i nie do końca zgadzała się z opinią doktora Konarskiego.

Jego uwaga, że są jak bracia syjamscy, była cenna, ale przecież medycyna zna przypadki udanych operacji rozłączenia takich rodzeństw. Jej zabieg miał być kolejnym udanym, choć nie musiał się udać w całości. Dla ich szczęścia była gotowa poświęcić życie Zoltara, choć oczywiście niedosłownie. Miała plan, jak osłodzić im to rozstanie. Odbyła wiele rozmów biznesowych, prowadziła negocjacje, prezentowała projekty i zawsze wychodziła z tych prób zwycięsko. Tym razem też się musi udać! Jeszcze nie dzisiaj, może jutro, a może... Tak, właśnie tak, przetrzyma go tutaj tydzień!

25.

Alkohol bywa zabójczy, ale bywa też najlepszym remedium, bo dodaje odwagi, jak to kiedyś mówiono – kurażu. To właśnie poczuł tego wieczora. Urządził sobie picie do lustra, zabierając ze studia Ali i Hendrixa parę butelek piwa i wlewając do butelki specyfik, który był jakimś domowym wynalazkiem.

Były to sprawdzone rzeczy, kuzyn Hendrixa pędził nalewki, będące prawdziwym mistrzostwem świata. Pił już Czarny bez, Czar tarniny, Piołunówkę extra, ale Kociołka Panoramiksa nie znał. Pachniał dobrze i tak samo smakował.

Dobre, ale mało, więc dorzucił parę piw i drinki, zmieszał, co się dało, opił się jak bąk i podjął śmiałą decyzję. Zrobi to, co widział w „Czarnym parasolu”, osiemnastym zeszycie przygód kapitana Żbika. Był podrażniony i nakręcony, potrzebował jakiegoś szybkiego sukcesu, teraz, zaraz, natychmiast. Sukcesu albo klęski, bo jeśli nic nie zrobi, zostanie na lodzie, więc wcześniej czy później trafi za kratki. W tym wariancie miał niemal sto procent pewności, że tak się stanie, a jeśli zaryzykuje skok na bank? Fifty-fifty, złapią albo nie złapią! Więzienie było tylko jednym z rozwiązań.

– Pieprzyć to – zakrzyknął dziarsko.

– Pieprzyć! – dodał w prowadzonym ze sobą dialogu.

– Pieprzyć subito! – Podparł się trzecim głosem, jakby była to opinia niezależnego eksperta.

– I na całego – dodał, otwierając komputer.

W ten sposób złamał świętą zasadę internetu, pisał, będąc na bani. Pierwsza zasada internetu: nie pisz na bani.

Jak miał nie pisać, skoro szło mu dobrze? Zresztą podjął już decyzję, walić to, to już nie jest i nie będzie żadna tajemnica!

Skończył tekst, przeczytał z ukontentowaniem to, co przelał na papier w liście będącym, jakby to powiedzieli prawnicy, jego oświadczeniem woli. Podzielił się w nim wszystkim z osobą, która — jak sądził — będzie wiedziała, co z tym zrobić, i nie pozwoli w razie czego pogrześć jego pamięci. Nie wiedział, skąd mu przyszło do głowy słowo „pogrześć”, może dlatego, że zrobiło się patetycznie, wzniośle, że aż zaczął pogwizdywać „Rotę”. Raz jeszcze sprawdził adres, wziął głęboki oddech i nacisnął ikonkę „wyślij”. Klamka zapadła, teraz musiał swe zapowiedzi wprowadzić w życie.

Zaczął się rozglądać po pokoju, ale tego, czego potrzebował, co było niezbędne, nie znalazł. Nie miał parasola, a bez parasola nie ma skoku metodą na parasol! Nawet gdyby jakimś cudem znalazł wiertło i podnośnik hydrauliczny, to i tak nie miał przedmiotu, od którego wziął nazwę osiemnasty numer „Żbika”. Znalazł za to pistolet hukowy, piękny, jak prawdziwy, policyjny walther PPK. Po pandemii zostały rękawiczki i maseczki, do tego dres z kapturem. Nie ma się co zastanawiać, trzeba brać rower i zrobić najbliższy bank!

Kiedyś tam, gdzie jest teraz bank, był sklep Centralni Rybnej, a pod nim działała pralnia. W starych blokach instalowano pralnie i suszarnie, bo mieszkania były ciasne, nie było pralek, a jeśli już, to nie automatyczne, tylko zwykłe franie, do których nalewało się wodę, a później spuszczało ją wężem, nie zawsze radząc sobie z całą zawartością. Największą niedogodnością tego sprzętu było to, że nie miał wirującego bębna, tylko śmieszny wiatraczek na dnie, więc rzeczy z pralki wyciągało się mokre, były za to wałki do wyciskania wody.

Niedoskonałe franie nadal były produkowane, ale jako uzupełnienie przedmiotów zbytku, łazienek na jachtach i w kamperach. Stare pocziwe pralki z domów niemal całkowicie zniknęły, a pralnie i suszarnie stały opuszczone, czasem wykorzystywane jako graciarnie lokatorów albo magazynki dozorców.

W tym bloku mieszkał kumpel, i nawet przez pewien czas zorganizowali sobie w opuszczonej pralni rodzaj klubu. Ściągnęli starą wersalkę i oparli o ścianę, żeby się nie otwierała, poznosili fotele z porwaną tapicerką i okleili ściany plakatami z „Bravo”. Podobało im się, dopóki do plakatów z pisma dla niemieckiej młodzieży, na których były rockowe i dyskotekowe zespoły, fotki z filmów i gwiazdy kina, nie zaczęli dowieszać zdjęć z gołymi babami. Pewnie nikt by nie zauważył, ale z czasem coraz więcej lokatorów ich słyszało, bo puszczali muzykę, a do tego pili wino. No i zrobiła się afera, pogonili ich, rodzice dostali szału i nie wiadomo co ich bardziej rozwścieczyło, gołe baby czy alpagi. I się skończyło.

Kiedy pralnia przestała być klubem, stała się zwykłym pierdolnikiem. Sąsiadka z góry, Centrala Rybna, też nie miała szczęścia, jak niemal wszystkie sklepy tej sieci i każdy kolejny, który był w tym miejscu. Najpierw otworzono tam mydło i powidło, potem sklep z ciuchami, krótko była kawiarnia, aż z dziesięć lat temu, tak jak o każdy dobrze położony lokal, bitwę o prawo najmu stoczyły apteka, spożywczy o wdzięcznej nazwie Monopol 24/7 oraz bank. Ci z monopolowego dawali najwięcej, ale wspólnota mieszkaniowa miała słabe skojarzenia z poprzednim sklepem, do którego ściągali menele z całej okolicy. Apteka i bank oferowały podobne stawki, ale w okolicy były już trzy apteki, a banki tylko dwa. Stało więc na oddziale banku. Czysto i sterylne, spokojnie i co najważniejsze, z pewnym, wypłacalnym najemcą, bo w końcu kto jak kto, ale bank jest instytucją wypłacalną.

W poszukiwaniu parasola dotarł do studia. Dwójki umuzykalnionych dzikusów nie było, więc mógł buszować po wnętrzu. Szukał, aż znalazł. Piękny stary parasol i przy okazji czarny, jak ten ze „Żbika”.

Kolejna eksploracja, tym razem u Dziadka Ikara, który wyjechał na zlot paralotniarzy, więc zostawił swoją skodę favoritkę. Był paranoikiem, bał się, że coś się stanie temu zabytkowi czeskiej myśli technicznej, więc jak ją musiał zostawiać, to wprowadzał auto do warsztatu. Uważał, że coś może się przydarzyć samochodowi, który co prawda wyglądał jak nowy, to jednak był tak stary, że Zoltar widział dla niego miejsce tylko na śmietniku. Dobrze, że Dziadek

miał obsesję na punkcie skody, bo gdyby się do niej próbował dostać na dziedzińcu, to Szarik odgryzłby mu tyłek albo w najlepszym wypadku Rambo zobaczyłby, jak majstruje przy skarbie Dziadka Ikara.

Wszedł do Dziadka nie od frontu, ale z korytarza, który pracownia Pabla dzieliła ze studiem nagrań i warsztatem starego parolotniarza. Był megaostrożny, więc bojąc się, że zgubi kluczyki, zostawiał je w szufladzie biurka. Minuta osiem i były w rękach Zoltara, a po chwili favoritka stała otworem. Wyciągnął z niej lewarek i był gotowy do dalszych działań. Wskoczył na rower Hendrixa, najlepszy z tych, które były w Manufakturze, zarzucił na plecy torbę ze sprzętem włamywacza, depnął na pedały i ruszył na Żoliborz.

Zwykle nie jeździł na gazie, bo policja albo straż miejska mogłyby narobić problemów, ale dzisiaj czuł się, jakby leciał na skrzydłach. Nawet nie wiedział, kiedy wyjechał z Grochowa, śmignął przez Targową, minął cerkiew, zoo i Floriana na Pradze i wpadł na most Śląsko-Dąbrowski. Był w formie, bo nic mu nie było w stanie przeszkodzić. Nie ruszyło go zamknięcie na noc schodów ruchomych prowadzących z Trasy W-Z na plac Zamkowy.

Wrzucił rower na ramię, wbiegł po schodach, przez Starówkę dosłownie przemknął: Świętojańską, slalom między ustawionymi na rynku ogródkami i nocnymi markami, Nowomiejską, barbakanem przez Freta, nie wiadomo kiedy dojechał pod Cytadelę, tu normalnie byłaby zadyszka, ale adrenalina i jakość roweru Hendrixa działały jak turboładowanie. Wspiął się Dymińską, jakby był Szurkowskim rozprawianym przez Szozdę i Nowickiego.

Znalezienie się w okolicy słynnej kiedyś z knajpy Balaton było tylko wygraną lotnego finiszu. Meta była w pobliżu innej, zgasłej już, niestety, gwiazdy stołecznej gastronomii, restauracji Kosmos. Od niej dzieliły go już tylko finiszowe metry, na których punktami orientacyjnymi okazały się miejsca młodzieńczych, żoliborskich przygód: nieczynne już kino Światowid i bar Fawory oraz miejsce plenerowej konsumpcji piwa, czyli park Żeromskiego.

Nie włączył stopera, nie spojrzął na zegarek, ale wszystko razem, przejazd z Grochowa na Wilsoniaka, zajęło mu mniej niż pół godziny, normalnie strawiłby na to trzy kwadransy!

Nacisnął na hamulce. Bank, który był w lokalu po Centrali Rybnej, stał, jak trzeba, chociaż neon nie działał. Oni też oszczędzają, pomyślał.

Teraz trzeba było wejść do dawnej pralni, która przez kilka miesięcy była ich klubikiem z dobrą muzą, wycinkami z pornoli, alpagami i papierosami. Drzwi. Drzwi otwiera się wytrychem, w tym celu miał ze sobą kilka kawałków żelaza i drutów. W filmach szło błyskawicznie, ale i jemu się udało! Co za noc, przyjechał jak burza, po raz pierwszy użył wytrycha!

I wtedy zaczęły się schody. Złodzieje z „Kapitana Żbika” mieli okazałych rozmiarów podnośnik hydrauliczny, a on przywłókł ze sobą zwykły, od skodziarki.

Usiadł bezradnie na jakiejś skrzynce i nagle go olśniło, przecież z pralni było wyjście do starego sklepu! Po chwili entuzjazm opadł. No tak, ale kiedy wszedł tu bank, to na pewno tak by tego nie zostawili. Wstał, podszedł do schodków i... Drzwi nie tylko były, ale i ktoś zostawił je otwarte!

Chciał zapalić światło, ale padła mu bateria w telefonie, latarka nie działała, chodził po omacku, światło z latarni z trudem przebijało się przez pokrytą reklamami szybę. W końcu dostrzegł jakiś kształt, kanciasty, zimny, metaliczny... Kasa pancerna! Próbował z nią zejść do piwnicy, ale okazała się za ciężka, by ją przesunąć. Nadludzkim wysiłkiem pchnął ją i żelazny klocek wyrzucił się ze strasznym hukiem, i to tak nieszczęśliwie, że zatarasował zejście do piwnicy.

Zoltar był w matni, słyszał jakieś głosy, huk musiał zbudzić mieszkańców bloku, ktoś krzychał, że dzwoni po policję.

Próbował wyjść głównym wyjściem. Szarpał się z drzwiami, kręcił wytrychem, zamek przeskoczył, ale nie chciały się otworzyć. Pchał z całych sił i nagle wpadł na to, że trzeba je pociągnąć. I wtedy zderzył się w drzwiach z patrolem policji.

Czekał na tę chwilę, kajdanki, tylko czy z przodu, czy z tyłu? Może mu odczytają prawa, ale to chyba tylko w Ameryce?

— Proszę pana... — zaczął znudzonym, zmęczonym głosem policjant. — Już mówiliśmy kolegom, że to nie czas na nocne roboty.

Ludzie chcą spać, wczoraj też było wezwanie, kierownik robót obiecał, że to się już nie powtórzy.

Zoltar wybełkotał jakieś przeprosiny, a policjant mówił, że miał szczęście, bo było wezwanie na jakąś domówkę, po drodze mieli, więc jadą, bo się boją, że typ może zakatować żonę. Szybko się zwinęli i dyskoteka odjechała.

Oszupiały został sam, stojąc w otwartych drzwiach, przez które wpadało więcej światła. Dostrzegł kontakty, zapalił światło i zrozumiał, że bank jest w remoncie! Drabiny, sprzęty, materiały budowlane.

Kasa okazała się lodówką, na której ktoś zawiesił kłódkę. Na drzwiczkach papier: „Klucz u majstra, bo złodzieje wszystko kradną”. Wybiegł przed bank, na drzwiach kartka: „Z dniem etc. oddział ulega likwidacji, najbliższa placówka naszego banku...”. Szyby wymalowane na żółto i pomarańczowo, zielone palmy i czerwony napis: „Solarium”, a na witrynie: „Otwarcie już wkrótce!”.

Wściekły wszedł raz jeszcze do środka, wsadził dłoń w kubek z czarną farbą i odcisnął ją na świeżo malowanej, białej ścianie.

Zarzucił na ramię plecak, wsiadł na rower i pruć przed siebie. Szał, wkurw, rozczarowanie, pędził jak szalony nocnymi żoliborskimi ulicami, krzycząc na cały głos. Kurwaaa, niosło się po inteligenckiej porządnej dzielnicy, zbliżając ją do Żoliborza pieprzonego z piosenki Muńka Staszczyka. Pęd sprawiał, że lampy i światła nielicznych samochodów tworzyły rozmazaną mgławicę, efekt jak z filmu science fiction. Poczuł, że jedzie za szybko, że rower napędza jakaś tajemna moc, którą wyzwoliło coś potężniejszego niż adrenalina: wkurwienie.

Powinien zwolnić, ale jadąc w dół, w kierunku Wisły, użył najwyższych przełożeń, stanął na pedałach, tempo było takie, że pęd wiatru go przesywał. Czuł lęk i fascynację. Lęk był silniejszy, i to był błąd, a jeszcze większym błędem było zbyt mocne użycie przedniego hamulca. Rower stanął dęba na przednim kole, przez moment, niczym cyrkowy akrobata jechał w niewiarygodnej pozie, której nie byliby w stanie powtórzyć mistrzowie kolarstwa, nawet Armstrong na najpotężniejszej dawce koksu. Żaden z nich by tak nie pojechał i żaden z nich nie opanowałby roweru.

Wszystko to było tak błyskawiczne, tak gwałtowne, że nie sprostaliiby tej sytuacji ani zaprawieni w opisywaniu dramatów Tour de France Wyrzykowski i Jaroński, ani żaden z komentatorów Formuły Jeden, nawet dynamiczny poeta żużlowego mikrofonu Tomasz Dryła.

Czy podołałby Bohdan Tomaszewski? Zapewne wobec niewiarygodnego ludzkiego dramatu, spektakularnej, kosmicznej wręcz katastrofy zastosowałby się do swojej maksy: Człowiek uczy się do końca życia. Ja dopiero po wielu latach pracy z mikrofonem zrozumiałem, że najważniejsza w tym zawodzie jest cisza. Nadmiar słów może zgubić najlepszego komentatora, a gadulstwo to rzecz nieznośna.

Więc zapewne Mistrz mikrofonu postawiłby pauzę, pozostawiając kibiców z brzmieniem śmiertelnej ciszy, która nastąpiła po tym, gdy rower uderzył przednim kołem o krawężnik i jak z katapulty poleciał wraz z nieszczęsnym Zoltarem w krzaki.

Pewnie po chwili, dłuższej, posępnej, gdyby na stanowisku komentatora był mistrz Zdzisław Ambroziak, powiedziałby swoim niepowtarzalnym, niskim głosem: Długimi sekwencjami to jest teatr jednego aktora, ale teraz błąd Zoltara... *errare humanum est*. Błądzić jest rzeczą ludzką, ufam, że ten wielki atleta podniesie się i wróci na trasę.

Mijały sekundy, minuty, godziny, Zoltar nie tylko nie wracał na trasę, ale i nie dawał znaku życia.

26.

Pędził, upajał się rowerowym szaleństwem, aż pojawił się zakręt, mógł się złożyć, przybrać pozę wielkiego mistrza motocykla, Valentino Rossiego, i balansując ciałem, wybrać właściwy tor jazdy i jednocześnie utrzymać prędkość. Spękał jednak, chciał zwolnić, użył więc klamki przy baranku kierownicy, ale kiedy to robił, rower podskoczył na nierówności, nie zrobił więc tego tak, jak trzeba.

Przy tej prędkości hamulców nie można wciskać byle jak, zbyt słaby nacisk na ten od tylnego koła i zbyt silny na ten

odpowiedzialny za przednią ośkę zrobiły różnicę: rozpędzony rower stanął na przednim kole. Katastrofa zdawała się nieuchronna, a kiedy koło trafiło w krawężnik i Zoltar jak z katapulty wyleciał w powietrze, stała się faktem.

Ostatnie sekundy przed katastrofą, ułamki sekund życia, w których jak w kalejdoskopie przelatują jego najważniejsze fragmenty. Zoltar ze zdziwieniem zobaczył sceny, których sam nie wypisałby na kartce, gdyby dostał takie zadanie. Na liście znalazłby się dzień, w którym został bilionerem, bo przed denominacją dzisiejszy milion wart był bilion starych złotych.

Na pewno seks z Laurą Kowalik, pracownicą jego biura, z którą zdradził żonę, moment, w którym odbierał z salonu mercedesa klasy S, wiadomości TVP z 1994 i migawka z finału konkursu Polish Young Bussines, i pierwszy raz, kiedy zobaczył Bubę, jego ukochaną córeczkę. Tak to sobie kiedyś wyobrażał, ale kiedy nadeszła ta chwila, mignął mu przed oczami komunikat o giełdowych spadkach, w wyniku których stracił miliony. Później awaria dostawczaka wypełnionego bananami, które trzeba było natychmiast sprzedać, bo wziął je z niemieckiej hurtowni przeterminowane, program, w którym wymieniono go z imienia i nazwiska jako największego przegranego roku, pierwszy seks, a raczej próbę, nieudolną, paniczną, zakończoną porażką, bo nie były to czasy viagry, i na koniec Buba krzycząca: „Oszukałeś, zdradziłeś mamę, nie chcę cię znać!”. Koszmarny kalejdoskop urwał się gwałtownie, zapanowały cisza i ciemność.

Świadomość wróciła wraz z krwotokiem. Zoltar poczuł, jak ciepła krew płynie z jego boku, zupełnie jakby jakiś dwudziestopierwszowiec Longinus przekłuł mu bok włócznią. W tej chwili poczuł niezdrowy oddech bestii i jej sapanie, po czym coś wilgotnego, zaślinionego przejechało mu po twarzy.

— Toffik, a fe! — Zadysponował głos kobiety. Sądząc po tym, co usłyszał, raczej starszej niż młodszej. — A ty, Leo, zostaw, jeszcze się czymś zarazisz od tego pijaka!

Zoltar wrócił do życia, zerwał się, ale było za późno. Leo do końca opróżnił niemały pęcherz labradora.

— Się pan nie szarpie. — Obok starszej pani stał mężczyzna reprezentujący podobnie jak ona półkę wiekową emerytów wyraźnie starszych.

— Niech pan się nie rusza, bo coś pan może mieć złamane — dodała druga starsza pani, która pojawiła się w polu widzenia Zoltara. — Karol, dzwoń po pogotowie. To pijak, ale jednak człowiek!

Pogotowie, dokumenty, zamieszanie, może jeszcze policja... Rozległ się dźwięk syreny.

— No to do widzenia państwu — bąknął. Był w zbyt dużym szoku, by zacząć od opieprzenia właścicieli psów. Na razie chciał się oddalić z miejsca kolizji, na które jakiś cymbał wezwał niebieskich.

Spróbował wskoczyć na rower, ale przednie koło było wygięte w ósemkę, Hendrix mnie zabije, pomyślał, a po chwili skonstatował, że cała reszta jednoślada jest w porządku. Jakim cudem? Tym samym, który go ocalił. Rower odbił się od krawężnika, impet zamortyzowały gęste krzaki, po których zsunął się na trawnik. Nie było się nad czym zastanawiać, wziął rower na plecy i zaczął uciekać.

— Stój, dokąd! — zawołał starszy pan, po czym ruszył w pogoń.

— Marian, stój! — krzyknęła pierwsza z pań, ta od Toffika. — Masz fatalną morfologię!

— Ale on jest w szoku, trzeba go zatrzymać! — Marian nie ustępował i podążał za Zoltarem.

Nie dogoniłby go, choć jak na staruszka był nad wyraz żwawy, ale zrobiliby to policjanci, których radiowóz z piskiem opon zatrzymał się przy chodniku. W tym momencie siedemdziesięciodziewięcioletni inżynier Marian Jurny przystanął, osunął się na ziemię, łapiąc powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba.

Wszyscy, włącznie z policjantami, rzucili się w kierunku pana Mariana. Zoltar ruszył w przeciwną stronę. Wskoczył z rozbitym rowerem do autobusu i tylko przez moment budził zainteresowanie współpasażerów.

— Co się stało temu panu? — zapytała kobieta w średnim wieku.

— PESEL, droga pani — uprzedził odpowiedź Zoltara rówieśnik inżyniera Jurnego, który odruchowo poprawił paczkę papierosów wystającą z kieszeni na jego piersi. — Ale zachowując zdrowy styl życia, można utrzymać formę. Ja dużo spaceruję — powiedział

z dumą, myśląc równocześnie o tym, że kiedy wysiądzie, to jednak tym razem chyba nie zapali papierosa.

Do jeszcze bardziej ważkich wniosków doszedł Zoltar. Wydawało mu się, że wypadł z trasy, wracając z Żoliborza, zjeżdżając Dymińską, a może... A może jednak przez Starówkę i pojechał Mostową? Wszystko jedno, na pewno walił stromizną, więc z wiślanej skarpy, a on jechał autobusem 202, za oknem był Kamionek, co jest, cholera jasna, jak to możliwe?!!!

Wyciągnął z kieszeni smartfon, na którym miał aplikację do człapania. W życiu by sobie czegoś takiego nie zainstalował, ale to była zabawka, którą dał mu Pablo. Smartfon i zegarek do mierzenia kroków, bo był to jego okres wielkiego fitnessowego wzmożenia, które wywołała w nim, rzecz oczywista, nie kto inny jak Wanda. Zegarek nosił z przyzwyczajenia i ładował go w miarę regularnie. Dziś był naładowany, a aplikacja dla zdrowych człapaków i biegaczy włączała się sama. Stuknął w ikonkę i zdębiał. Szpieg biegaczy, piechurów i kolarzy wskazywał jasno: przejechał mniej niż cztery kilometry, zatem...

Wrócił do Manufaktury, pierwsze, co zrobił, to odstawił na miejsce rower Hendrixa. Jeśli zdąży, to go naprawi, jak nie, pójdzie w zaparte, a może nic nie będzie musiał, bo Hendrix był ostatnio fanem elektrycznych hulajnóg. Po drugie, lewarek Dziadka. Po trzecie... Zwalił się na łóżko, modląc się w duchu o to, żeby ten sen, jeśli to był sen, już mu się drugi raz nie przyśnił.

Modlitwa została wysłuchana. Nie tylko to, co wydarzyło się poprzedniej nocy, było snem, ale i opanował go cud niepamięci. Zoltar zapomniał o odważnej deklaracji, którą podzielił się z pewną osobą.

27.

Spałaby do południa, ale obudził ją dźwięk przychodzącego SMS-a. Rachunek, jeszcze bardziej prawdopodobne, zaległy rachunek. Oszuści informujący, że ma do odebrania paczkę, tylko musi dopłacić dwa złote i w tym celu kliknąć w link, albo cichy wielbiciel.

Z jej szczęściem byliby to Freddy Krueger, Josef Fritzl albo obleśny wiceminister Marcin Wojtas, który dostał erekcji, kiedy przeprowadzała z nim wywiad. Okazało się, że była to Luiza Barska, ich personalna, haerówka, czyli zgodnie z tytułaturą Senior Human Resource Manager.

Barska informowała ją, że zgodnie z wcześniejszymi monitami, wobec konstruktywnej odpowiedzi z jej strony, informuje, że ma przymusowe wolne. „Nazbierałaś tyle zaległego urlopu, że nam się dobiorą do tyłka. Nie można tak, etat masz, a nie śmieciówkę, czy ci się podoba, czy nie, masz dwa tygodnie wolnego. Tak, do końca miesiąca, okej?”.

Okej, jakby miała jakiś wybór. Nic nie odpisała i mimo zmęczenia, wypalenia i ogólnej niechęci nawet nie wiedziała, czy się z tego cieszyć, czy martwić.

Nie była pracoholiczką, raczej skrzyżowaniem pracomityczki i kobyły dorożkarza. Wciąż mitologizowała swoją pracę, wciąż czuła się dziennikarką, miała naiwną nadzieję, że kiedyś coś się zmieni, że wrócą dawne czasy, i żyła tą myślą, nie robiąc nic, by odmienić życie. Jak dorożkarska szkapa jeździła utartymi trasami, bo nie miała innego wyboru. Życie pozostawiało jej mało miejsca na fantazję, bo co może zaoferować osobie po przejściach, nieufnie nastawionej do facetów i bojącej się, że skończy jak wiele innych dziewczyn, w kolejnym jeszcze bardziej nieudanym związku, z seksem z Tindera albo ukrytym alkoholizmem, samotnym waleniem drinków i uzalaniem się nad sobą. Bała się świata, który każe jej wybierać, bo wiedziała, że wybory, których dokona, będą albo złe, albo bardzo złe. Zamknęła się w sobie, tłukąc seriale, czytając coraz prostsze książki, unikając kontaktów, a jedyną poważniejszą aktywnością było chodzenie w redakcyjnym kieracie.

Praca wywoływała ból głowy, zupełnie jak po pijaństwie, a jednocześnie była przyzwyczajeniem, drugą naturą, niczym klin dla pijaka, poranne piwko, które pozwala funkcjonować, ale w gruncie rzeczy jest początkiem kolejnego odurzenia się. Niekończąca się historia, zaklęty krąg beznadziei, z którego nie było wyjścia.

Chciała to jakoś rozsypać, ale nie potrafiła, mogła przeciąć, ale nie miała odwagi, przymusowy urlop był odroczeniem, dłuższym

weekendem. Kiedyś by gdzieś wyjechała, ale nie miała siły. Może jutro albo pojutrze, sama? Nie, z kimś. A z kim? I tak odbębniła tydzień. Przeszedł, jak to mówiła babcia, jak z bicza strzelił. Kolejny był równie beznadziejny, odbębniła go z trudem, bo odpuściła myśl o wyjeździe, nie podejmowała już jałowych prób wybrania kierunku i ustalenia, czy z kimś, a jak z kimś, to z kim, czy samotnie. Miała więc za dużo czasu na myślenie o przyszłości. O przyszłości, czyli o niczym, o sobie, czyli o nikim, może co najwyżej o byłym kimś. Tematy przyjemne jak gryzienie szkła, ale lepsze to niż kompulsywne zagłądanie do poczty, tej służbowej i prywatnej.

IV

28.

Tydzień niemocy, z wyjazdu choćby do Sopotu nici, bo przecież nie zdążyła nic zabukować, a tym bardziej wyjechać, bo miała umówiony damski wieczorek. Nie miała ochoty iść na to spotkanie z koleżankami z liceum i pewnie by nie poszła, ale zrobiła z tego alibi. Mam spotkanie, więc nigdzie nie jadę!

Był to jeden z tych wieczorów jak Wigilia, kiedy zjeżdża się rodzina, chciana i niechciana, kiedy trzeba się porządnie ubrać i zaliczać small talki. Tak samo jest z corocznymi spotkaniami koleżanek z liceum, które mimo tego samego wieku dzielą między siebie role osób z różnych pokoleń. Błyskawicznie okazuje się, kto jest babcią, kto ciocią z zagranicy, kto córką marnotrawną, a której przypadnie rola wnusi mającej przed sobą wszystko co najlepsze.

Kiedy spotkały się po raz pierwszy, trzy lata temu, była podziwianą przez wszystkich wnusią Matyldą. Jak na rodzinnej imprezie recytowała, popisywała się, chwaliła i budziła zazdrość. Była na fali i miała się czym chwalić: sukcesami w pracy, przystojnym facetem, wakacjami u matki, bo one wszystkie jej tych wakacji zazdrościły, choć ona traktowała je jako obowiązek.

Z kolei Ela była wtedy nieudaną córeczką, która imprezując, zaliczyła wpadkę i nie chciała słyszeć o tym, że współsprawca tego problemu — Karol, bierze wszystko na klatę i ma zamiar się z nią ożenić. Bardzo tego chciał, a ona kompletnie sobie tego nie wyobrażała, bo uważała go za przeciętniaka, który pojawił się w niewłaściwym miejscu, o niewłaściwym czasie, i skorzystał ze zbiegu okoliczności.

Jeśli Ela była córką marnotrawną, która nie radziła sobie z życiem, to Klara była matką Polką — doktorantką, ledwie wiążącą koniec z końcem, poświęcającą się dla nauki jak jakaś Skłodowska-Curie.

Ewa, która zawsze miała do przodu, była zgrabna i mogła sobie wybierać facetów, jakich chciała, była ciocią, taką z Ameryki. Dosłownie z Ameryki, bo mieszkała w Nowym Jorku, czego zazdrościła jej każda z nich, a najbardziej Wioletta, która na pewno będzie najmłodszą z nich wszystkich babcią. Zaciążyła jeszcze w trzeciej klasie liceum i na ich pierwszym spotkaniu z okazji dziesiątej rocznicy matury była matką siedmioletniego Roberta.

Wtedy, trzy lata temu, wydawało się, że życie Wioletty się skończyło, a jej się zaczęło, tymczasem okazało się, że jest zupełnie inaczej. Dzisiaj Wiola radziła sobie znakomicie, skończyła pedagogikę, była współwłaścicielką dwóch przedszkoli i prowadziła agencję niań. Na wakacje jeździła, dokąd chciała, patrzyła na koleżanki z pewną wyższością, tłumacząc, że podróże z dziesięciolatkiem to sama przyjemność, zobaczycie, co was czeka, gdy będziecie miały maluchy, ja już to mam za sobą!

Ela potwierdzała, ale tylko częściowo, bo urodziła i nieco z musu wyszła za męża, była teraz mamą wspaniałej trzyletniej Helenki i żoną najlepszego męża na świecie. Bo okazało się, że Karol był megagościem i najlepsze, co ją mogło spotkać, to ta wpadka, bo wtedy pewnie nigdy by się na niego nie zdecydowała. Nie miały szans w wianuszku przystojniejszych chłopaków, którzy ją adorowali. Przypadek, zbyt szalona impreza i chwila nieuwagi sprawiły, że jej życie układało się wspaniale. Małżeństwo z musu i rozsądku kwitło, a ona kochała Karola coraz mocniej i co najważniejsze, niezmiennie czuła jego miłość. Wprost do wyrzygania, jak w jakimś serialu.

U Ewy też było jak w serialu, do tego nowojorskim, taki „Seks w wielkim mieście”, tylko bez happy endu i w gorszych plenerach, w pewnej odległości od 5th Avenue. Właśnie się rozwodziła, ale nie była pewna, czy wróci do Polski. Matylda czuła, że robiła dobrą minę do złej gry i że w mitycznym Nowym Jorku wcale nie było tak fajnie, bo Ewka nie była w formie. Nadrabiała makijażem, pewnością siebie i powtarzaniem o *jet lagu*, chociaż przyleciała już prawie tydzień temu. Tymczasem Ela nie tylko obroniła doktorat, ale i wdrożyła biotechnologiczny wynalazek, w który zainwestowały poważny krajowy fundusz i szwajcarska firma farmaceutyczna.

Zatem wszystkim życie obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni, jej także, ale podobnie jak Ewa mówiła w amerykańskim stylu, że jest okej, *keep smiling i let's go party!* Udawanie nie przychodziło jej z wielkim trudem, wszak pracując w mediach, była blisko gwiazd, tak się koleżankom wydawało, poza tym dalej mogła liczyć na wakacyjną przystań u matki. Koleżanki nieustająco jej tego zazdrościły, a że się rozwiodła... Nie ona jedna!

— Facet to świnia — zaśpiewała Ewa, która nagle poderwała się i wskoczyła na scenę, po czym błyskawicznie pociągnęła za sobą Matyldę. Imprezowały w knajpie, w której było karaoke, i właśnie leciał przebój Big Cyca. Scena szybko zapełniła się takimi jak one, dziewczynami, które były już dobrze wstawione i nienawidziły swoich byłych. Śpiewały i skakały, a takie, którym życie oszczędziło podobnych rozczarowań, siedziały przy stolikach i życzliwie biły brawo.

Na scenę wszedł także jakiś gostek, przystojniaczek, co śpiewał z dziewczynami z ogromnym zapałem, a przy słowach „facet to świnia” samokrytycznie wskazywał na siebie lewą ręką, prawą zaś coraz mocniej obejmując Ewę.

Do niej też przystawiał się jakiś adorator, ale go pogoniła, nie była jeszcze tak pijana i zdesperowana jak Ewa, która najwidoczniej uznała, że nie po to wiozła się z Nowego Jorku, by nie zaliczyć jakiegoś ciacha. Matylda uważała, że to ciacho, które na trzeźwo przestanie być podobne do tego faceta z „Peaky Blinders”, zaliczy ją, ale kogo to obchodziło?

Wróciła do domu i klapnęła w fotelu, po czym naląła sobie drinka, którego nie musiała wypić, ale bardzo chciała.

— Jestem w bladej dupie... — powtórzyła słowa pewnej Afropolskiej gwiazdy piosenki i naląła sobie kolejnego drinka.

Pola Seynah wypowiedziała te słowa w telewizji śniadaniowej, kiedy zapytano ją, co robi ze skandalem, jakim było podpisanie kontraktów na dwa występy sylwestrowe, na jeden w Warszawie, a drugi w Zakopanem. Menedżer Poli podpisał umowy na ostatni i pierwszy dzień roku, dwie różne daty w kalendarzu, ona jeszcze tego nie wiedziała, ale wścibscy prowadzący zauważyli, że występy w dwóch różnych miejscowościach, oddalonych od siebie o blisko

czterysta kilometrów, dzieliły między zejściem ze sceny a kolejnym show ledwie dwie godziny. Reakcja zaskoczonych tym odkryciem Poli Seynah przeszła do historii polskiego show-biznesu, podobnie zresztą jak słowa jej menedżera Pawła Kotalskiego, który z wielkim spokojem oświadczył: „Pola i jej zespół zostaną przewiezieni dwoma helikopterami! Nie ma rzeczy niemożliwych”.

I tak się stało! „Nie ma rzeczy niemożliwych”, tak nazywał się kolejny przebój Poli i jednocześnie tytułowy numer albumu, którego okładka, to nie był zbieg okoliczności, była śnieżnobiała, a Pola stała w tej bieli niemal naga, odziana tylko w kuse białe futerko.

— Nie ma rzeczy niemożliwych — zanuciła Matylda, dopiła drinka i dośpiewała kolejny wers: — Bo cuda się zdarzają, tylko musisz chcieć im pomóc.

Jakie cuda musiałyby się wydarzyć? To proste, wielki temat, coś takiego jak sprawa Eugena Kowalskiego, menedżera, który wykorzystywał swoje podopieczne. Wtedy jedna z nich po prostu do niej zadzwoniła, żeby się jej wyzalić.

Wszystko zaczęło się dość banalnie, od krótkiej rozmowy z nową gwiazdką, którą przeprowadzała stażystka Maria Lubecka. Po całej litanii typowych pytań, kiedy już dyktafon powędrował do torebki, spytała piosenkarkę:

— Ale powiedz tak szczerze, czy wszystko jest w porządku?

Piosenkarka powiedziała, że tak, i pośpiesznie skończyła rozmowę, ale dzień później do niej zadzwoniła. Spotkały się raz jeszcze i wtedy powiedziała, że nic nie jest w porządku. To był jej temat, jej wejście w świat dorosłego dziennikarstwa.

— Nie ma rzeczy niemożliwych, bo cuda się zdarzają, tylko musisz chcieć im pomóc. — Znów dołączyła do refrenu Poli Seynah, a tak naprawdę Jolanty Abubakar, córki Polki i Nigeryjczyka, która urodziła się w Sejnach.

Tylko jak? Zastanowiła się i pomyślała, że w pierwszej kolejności trzeba w te marzenia uwierzyć i odrzucić słowa Szyborskiej z piosenki Maanam, że nic dwa razy się nie zdarza. Musi wierzyć, że to, co ją spotkało siedem lat temu, powtórzy się także teraz. A dlaczego teraz? Bo teraz tego jeszcze bardziej potrzebuje! Jej się to po prostu należy, jak posłom podwyżki! Minęło osiem lat, więc

najwyższa pora na nową bombę, przebój, wielką chwilę. Tylko trzeba... Przejrzyć pocztę?

Nie lubiła mejli, całego korpochłamu, który do niej codziennie przychodził, wszystkich reklamówek, próśb i anonsów od oszustów i cwaniaków. Była od dwóch tygodni na urlopie i ani razu tam nie zajrzała, bo po co?

A co, jeśli ktoś wysłał jej coś naprawdę ważnego? Może czeka na przeczytanie list, który odmieni jej życie? Kto wie, może nie tylko jej, ale i wielu osób, bo wtedy afera z Eugenem Kowalskim była zbawieniem dla kilku dziewczyn z jego stajni i dla wielu z innych agencji menedżerskich. Pomogła tym, które znalazły się w szponach łajdaków, i tym, które szycowały się do współpracy z takimi jak Kowalski, nie mając pojęcia, co je może czekać.

Lekko kręciło się jej w głowie, w której ktoś coraz głośniejszym głosem mówił, że wszystko będzie dobrze, że wystarczy tylko sprawdzić mejle... Otworzyła laptop, poczekała, aż się uruchomi, i weszła w pocztę elektroniczną.

Było w niej to samo, co w tej tradycyjnej: mydło i powidło, trochę kadzidła, polityki, wiele nieistotnych rzeczy, oferty, nieprzydatne informacje, reklamy — cholera, co za algorytm wymyślił, że niczego bardziej nie potrzebuje, jak wziąć udział w pielgrzymce do Medjugorie albo Lichenia, a na weekendowy *city break* koniecznie się wybrać do toruńskich term.

Rachunki, ponaglenia, przypomnienia, oferty, patriotyczne gadzety... I listy od wielkich, zaginionych, anonse ratujące życie nadawcom, a wzbogacające odbiorców: *Hi, jestem former head of Royal Bank of Saudi Arabia*, mam 100 000 000 \$, ale... Co za dureń, myśli pewnie, że ma jakiegokolwiek pieniądze, zrzutka, serce boli, wróci, wpłaci, WWF, pomoc ginącym gatunkom, dorwali ją w centrum handlowym i jest teraz sponsorką rysiów albo bobrów i nie musi się martwić, że z jej powodu zginą, że zapomni wpłacić, bo w banku jest stałe zlecenie.

I znów oszust, tym razem nigeryjski ksiązę, ten oferuje tyle samo, co były szef Królewskiego Banku z Arabii Saudyjskiej. A to już nie ściema: Amnesty International — podpisz, pewnie, że podpiszę, ale muszę znaleźć TEGO mejla, bo jest, czuję to! Parę gównianych

pracowych, wygasające ubezpieczenie. Boże, kiedy ja ostatnio przeglądałam pocztę, ile tego wszystkiego jest, wreszcie... Trzy dni temu: MAMA. O cholera, matka nigdy do niej nie pisze, dzwoni przecież. No tak, dzwoniła, może jednak coś pilnego, jakby było coś pilnego, toby wysłała SMS-a. OK, otworzyła list: „Kochana Córeczko, nie dzwonisz, nie odbierasz telefonów, martwię się o Ciebie, czy wszystko u Ciebie w porządku...”. Przeczytała, a resztę dopowiedziała sobie sama, przymknęła oczy i wyrecytowała: rzuć tę idiotyczną, niewdzięczną pracę, nie brnij w to, rzuć wszystko i przyjedź do mnie, odpocznij, spójrz na wszystko z dystansu, może tu kogoś spotkasz....

Otworzyła oczy i doczytała, niemal wszystko się zgadzało, ale było jeszcze gorzej. List kończyły słowa: „Mamy z babcią i dziadkiem nowego sąsiada, niezwykle przystojny mężczyzna, starszy od ciebie, ale robi wrażenie. Napiszę wprost: przystojny jak Brad Pitt! Nie uwierzysz, ale... Widział twoje zdjęcie, które wisi u mnie na ścianie...”.

— Dość!!! — ryknęła, bliska płaczu. Szybko nacisnęła opcję „odpisz” i wystukała, wściekle waląc w klawiaturę:

*Kochana Mamo,
cieszę się, że masz nowego sąsiada. Pamiętam, że ty także uwielbiałaś filmy, w których grał Pitt. Pewnie jest także w wieku Brada, więc i Twoim, może więc byś się z nim umówiła na randkę? Kiedy ostatni raz uprawiałaś z kimś seks i czułaś się szczęśliwa? U mnie wszystko w porządku, tak w porządku, że nie mam czasu na przyjazd. Wybacz, ale zawodowo rozwijam się jak nigdy, robię karierę, poznałam świetnego faceta. Nie wygląda jak Brad Pitt, bo mój były mąż, który okazał się futem, zniechęcił mnie do wszystkich, którzy wyglądają jak Brad Pitt. Mój nowy facet przypomina George’a Clooneya, a raczej Clooney jest do niego podobny, bo Wiktor jest przystojniejszy! Wiem, że Clooney też Ci się podoba, ale o tym zapomnij, Wiktor jest przed czterdziestką, byłabyś, z całym szacunkiem Mamo, dla niego za stara.*

Twoja córeczka

— Yes, yes, yes! — krzyknęła i jeszcze trzasnęła w klawiaturę, dopisując postscriptum. Nie odezwał się czasem mój tata, hahaha?

Już miała wysłać, ale się opamiętała. Skasowała tekst i schowała twarz w dłoniach.

— Uspokój się, kretynko, ona chce dobrze...

Wzięła kilka głębokich oddechów i zaczęła kasować kolejne informacje, aż doszła do dzisiejszych wiadomości i...

DESPERAT, tak nazywał się nadawca, a temat? Po prostu TEMAT. Brzmi dobrze?

Pani Redaktor!

Zaczął w starym stylu, z pełną formą grzecznościową, z szacunkiem, wielką literą. Żadne pani albo od razu kawa na ławę, chyba ktoś starszy.

Mam poważny problem, zresztą nie tylko ja, cała grupa, którą reprezentuję, ale która nie osiągnęła takiego jak ja poziomu desperacji. Decyzją administracji, sądów, które sprzyjają krętaczom i aferzystą, wylądowałem na bruku. Czy teraz, jak wielu przede mną i pewnie wielu po mnie, targnę się na rzywie?

Skądś to znała, pełen emocji i błędów ortograficznych tekst, ale czy ostatnie listy samobójców nie są do siebie podobne? Jezu, to przyszło do niej trzy dni temu, może facet już nie żyje, może strzelił samobójca rozszerzonego, tak jak desperat, który zabił swojego niepełnosprawnego syna i matkę staruszkę, po czym wyskoczył z okna?

Poczuła na plecach ciarki, bała się przewinąć tekst, zobaczyć prawdę... Trudno!

Nie zrobię tego!

Poczuła ulgę, ale po chwili zdębiała, zatkało ją!

Będę żył i walczył o swoje, bo wierzę w wolne media, w prasę, która dba o człowieka i o sprawiedliwość. Są jeszcze dziennikarze, jest ich całkiem wielu, ale wybrałem Panią Redaktor, bo dawno temu jeszcze jako studentka zrobiła Pani reportaż o słynnym

menadżerze i organizatorze konkursów talentów, który wykorzystywał swoje podopieczne. Wtedy to nie było jeszcze modne, tak jak temat, który Pani przedstawiam:

Zgromadzę środki na nowe życie, rabując banki! Jebać banksterów! Wyruszę już tej nocy, pierwszy będzie Aurum Bank przy Balatonie, a drugi Futuro przy Grójeckiej.

Niewidzialny Desperat.

Odpisz!

Poczuła rozczarowanie. To był jakiś świr! Zaczął od Pani Redaktor, a skończył „odpisz”. Zgromadzę środki na nowe życie, rabując banki! Jebać banksterów! Niewidzialny Desperat, który wyrusza na akcję! O jaki Balaton mu chodziło? Nazywano tak jeziorko na Przyczółku Grochowskim, ale tam nie było oddziału Aurum. Szukała długo, aż na forum dyskusyjnym „Warszawskie restauracje, bary i mordownie” znalazła informację o sławnej ponoć przed laty żoliborskiej knajpie Balaton. Faktycznie w pobliżu był Bank Aurum, ale pół roku temu zamknięto ten oddział.

Nie rezygnowała, tropiła dalej i okazało się, że w ostatnich dniach nie było choćby próby napadu na bank! Jakikolwiek, i to nie tylko w Warszawie, ale w całej Polsce. Zero, nul, ani banku, ani kantoru, bankomatu czy jubilera. Ten Niewidzialny Desperat musiał być jakimś niezłym pojebem! Boże, może jeszcze będzie mnie stalkował?

Walnęła pokrywą laptopa tak mocno, że chyba rozwaliła ekran.

— Mam to w dupie! — powiedziała bez złości i z jakąś dumą. Tak to się jej spodobało, że powtórzyła powoli, jakby upajając się prostym przekazem tych kilku słów.

— Mam to w dupie, w bladej dupie. — Po czym dodała z pełnym przekonaniem: — I mam na to wszystko wyjebane! Zrzuciła pantofle, lewy poszybował pod stół, prawy wylądował na zasłonie i spadł. Rozebrała się i położyła spać.

Waldemar obudził się jak zwykle, zaraz po ósmej. Spałby dłużej, ale nie pozwalały mu moralność, fizjologia i geografia zawarte w pojęciach „uczciwość”, „prostata” i „Sahara”.

Pustynnej suszy można by zapobiec, stawiając przy łóżku szklanę z wodą, ale wtedy szybciej wyszedłby problem z prostatą, który przemawiał uciskiem na pęcherz, domagając się natychmiastowego udania się do łazienki. Tylko nocnik trzymany pod łóżkiem albo jeszcze lepiej kaczka szpitalna rozwiązałyby problem, ale przecież nie mieszkał sam. I tu uruchamiał się mechanizm uczciwości i szeroko pojętej wierności małżeńskiej. Dobijała się do niego odgłosami z kuchni: szuraniem kapci, gwizdaniem czajnika, stukaniem patelni, uderzeniami ostrza noża siekającego szczypiorek. Bo przecież Bożena była już na nogach, dawno po spacerze z psem, i krzątała się w kuchni, szykując jego ulubione i niezmiennie od lat śniadanie.

Codziennie poranne misterium, które obwieszczał zapach jajecznicy na boczku posypanej świeżym szczypiorkiem hodowanym wiosną i latem w balkonowej skrzynce, a jesienią i zimą na parapecie. Czasem jajecznicą była nim obsypana, a czasem przyklejał go do masła, którego grubą warstwą smarowali pszenne bułki. Pszenne, świeże i chrupiące, Bożena kupowała je podczas porannego spaceru z psem.

— Posypać ci jajecznicę szczypiorkiem czy chcesz na bułeczce? — pytała Bożena, a on czuł, że żyje i jest szczęśliwy, zaczynając każdy dzień cholesterolową bombą.

Chrzanić cholesterol i jego poziom, bo jaka różnica, na co umrze? Ważne, że umrze jako człowiek szczęśliwy i dobry. Szczęście dawała mu żona, dokonywała cudów, wiążąc koniec z końcem, a on odwzajemniał się jej cichym, schludnym, dość oszczędnym i pozbawionym przemocy hobby, którym było codzienne picie wódki. Nie mniej niż trzysta gramów, nie więcej niż pół litra, równo, spokojnie, prawie jak w Szwecji, gdzie alkoholicy dostają przydziałowe procenty, by nie sępić i nie okradać rodziny.

Bożena pogodziła się z tym, że już nigdy do końca nie będzie trzeźwy, ale przecież inni mężowie... Wiedziała, jak wyglądają inne domy. Łobuz w „żonobijce”, siatkowej podkoszulce poźółkłej od

brudu i potu, niedogolony i agresywny był gatunkiem aż nazbyt często występującym w jej środowisku. Widziała i słyszała o tragediach spowodowanych przez hazard, uzależnienie pornografią, ba, nawet filateliści potrafili być uciążliwi, nie mówiąc już o hodowcach kanarków, którzy zastawiali dziesiątkami klatek całe mieszkania.

Jej mąż nie był aż tak kłopotliwy, być może byłby aniołem pozbawionym wad, ale wykończyła go praca. To w niej, jak wielu innych, wpadł w alkoholizm, na szczęście nie przeszkodziło mu to w wykształceniu dzieci, w zdobyciu mieszkania, pięknego czteropokojowego na Mokotowie, które podzielili z dziećmi i na emeryturze wynieśli się na Ochotę do mniejszego.

W sumie to teraz robił to samo co wtedy, kiedy pracował. Zjadał śniadanie, wychodził z domu, poza jego progami nie był już Waldkiem, był Ekonomistą, bo taką ksywkę miał na dzielnicy, i robił to samo, co kiedyś w pracy, ale szwendając się z psem. Wracał, zjadał kolejny posiłek, włączał telewizor albo brał książkę i zasypiał. Mogła być pewna, że nie zrujnuje domu, że startowe trzy piątki na trzy małe małpki wystarczą mu na przeżycie dnia, że nie wypije więcej niż pięć, bo się zwali, więc jak już, to tę piątą dopijał w domu. Tak to sobie wszystko racjonalizowali, tym łatwiej, że dzieci i wnuki mieszkają za granicą, nawet czasem pieniądze przysyłali. Ich rodzice już nie żyli, więc nie było się kim opiekować, tylko psem, kundlem Maharadzą, którego nazwali tak od pobliskiego skweru. Pozostawało życie z rozpędu i przyzwyczajenia, byle spokojne, bez niepotrzebnych zakrętów, tak powyżej biedy i wegetacji, a z dala od luksusów.

Krąg towarzyski im się skurczył, ktoś się wyprowadził, ktoś inny umarł, ten zdziwaczał, z innym się pożarli o politykę, bo polityka dzieliła ludzi. Jeszcze inni, to dotyczyło w głównej mierze Ekonomisty, stali się żulami, którymi gardził i którymi się brzydził. Bo choć sam był pijakiem, fakt niezaprzeczalny i niepodlegający dyskusji, to nie był świnią. Brzydził się brudasami i żonobijcami, dlatego po tragicznej śmierci Benka z Trzech Budrysów, który w końcu zapłacił za swe niebezpieczne hobby i łowiąc ryby w gliniance szczęśliwickiej, przysnął, wpadł do wody i utonął, oraz

bardziej przewidywalnym zejściu Leszka z Orzeszkowej, co chorował na marskość wątroby, jego kompanem był Edek od Pankracego. Jak utrzymywał Edek, Pankracy był mocno zarośniętym pudlem, bo nawet pudle królewskie nie są tak wielkie, ale z zadbaną, rozczesaną sierścią. To go w Edku ujęło, że dbał o swojego psa, więc nie przeszkadzało mu, że nie był orłem intelektu, który sam krzyżówki by nie rozwiązał i z którym gra w warcaby byłaby nudnie zwycięska, a w szachy... O szachach trzeba było zapomnieć.

Oprócz tego, że Edek dobrze traktował psa, to miał jeszcze inne zalety: dość często się mył, a matka, bo Edek wciąż, a raczej znów, po tym jak pogoniła go żona, mieszkał z rodzicielką, dbała o jego garderobę.

W starej kamienicy przy Piotrkowskiej ten jego Edek mieszkał, ale nigdy nie mówił, że przy Piotrkowskiej, bo wtedy wszyscy myśleli, że jest z Łodzi. A Edek nie tylko nie pochodził z Łodzi, ale i nie lubił tego miasta, bo Legia miała z miastem z gondolą w herbie kosę, i to niezależnie od tego, czy chodziło o Widzew, czy o ŁKS. I jak kiedyś zdarzyło mu się parę razy, że pojechał z kumplami z osiedla na mecz wyjazdowy, to właśnie w Łodzi dostał w głowę kamieniem. Z dumą pokazywał bliznę.

— No ja tej Łodzi nienawidzę, bo to jest tak, jakby w tym mieście były dwie Polonie, rozumiesz, Ekonom? — tłumaczył mu, a on oczywiście tego nie rozumiał i nawet nie miał zamiaru, bo piłkę nożną miał w głębokim poważaniu. — Ludzie głupie są — narzekał Edek. — Bo im się tłumokom zdaje niedouczonym, że na świecie jest tylko ta jedna Piotrkowska, co jest w mieście Łodzi.

Było tradycją, że zawsze po tych słowach Ekonomista zastanawiał się, jaki stopień niedouczenia ma na myśli Edek, który skończył tylko zawodówkę budowlaną i raczej żadnemu z pedagogów z tej szkoły nie przyszło do głowy, żeby mu w trakcie tych czterech lat nauki, bo rok Edek zimował, powiedzieć: „Czerniak, ty powinienes po zawodówce do technikum pójść, maturę i dyplom zrobić, a potem, kto wie...”.

Kiedy skrzypiał, że znów się zapomniał, i zamiast powiedzieć: przy Opaczewskiej mieszkam, tam, gdzie fryzjer męski Bolek jest, a chlapnął: przy Piotrowskiej, i że jak zwykle zaczynał mówić

o baranach, którzy myślą, że taka ulica jest tylko w mieście Łodzi, Ekonomista gasił go hasłem: Kielce! Bo w Kielcach była Marszałkowska, jak w Warszawie i w Rzeszowie też, a nawet w Mławie była, i to aleja. Wiele spraw musiał Edkowi tłumaczyć, ale w końcu był wykształcony, maturę miał, i kto wie, co by było, gdyby się na prawo dostał. Ale policealną skończył, to prawie jak dzisiaj taki licencjat, więc wykształcony był, książek się naczytał, wojsko w sztabie odbębnił, przerzucając papiery. Do tego był cierpliwy i miał w sobie coś z pasji społecznika, więc wziął na siebie ciężar prowadzenia spóźnionej edukacji kolegi od flaszki. Edkowi to odpowiadało, a jego samego dowartościowywało. Uzupełniało synergię, która między nimi zachodziła.

Obaj cenili się za umiarkowanie w alkoholizmie. Nie zwalali się bez przytomności, nie szczali w gacie, nie dewastowali placów zabaw i aut ani się nie obnażali, sikali kulturalnie, w krzakach i w pewnej odległości od innych użytkowników skweru, na którym przesiadywali. Znała ich i tolerowała straż miejska i policja z pobliskiego komisariatu, co najwyżej, jak pojawił się jakiś młody, pilny i nieobznajomiony w prawach tej galaktyki funkcjonariusz, to spisywał ich, ale to były incydenty.

Częściej wypytywano ich o różne sprawy, najdrobniejsze szczegóły, bo jeśli ktoś wiedział wszystko o okolicy, to właśnie oni: Ekonomista i Edek, rezydenci skweru Dobrego Maharadży przy ulicy Opaczewskiej.

Ci dwaj mężczyźni w nieokreślonym wieku, na pewno po sześćdziesiątce, ale z pewnością urodzeni już po roku 1950, byli unikatowym w przyrodzie zjawiskiem, gatunkiem praktycznie niewystępującym: menelską klasą średnią, jeśli zawężymy tę grupę do pijaków, nad którymi nie ciąży kontrola i wyznaczane przez osoby drugie i trzecie obowiązki. Środowisko pijących poza kontrolą, można powiedzieć freestyle'owo, było rozwarstwione, na jednym biegunie były lumpy i kandydaci na ludzkie śmieci, ludzie przegrani, zaś z drugiej strony błyszczały korporacyjne gąbki, panowie i coraz częściej panie, którzy w szykowanych garniturach i garsonkach, wożeni przez taksówki i kierowców, jeździli ze spotkania na spotkanie, wypijając w ramach obowiązków biznesowych dziesiątki

drinków. Elegancka, zakamuflowana forma alkoholizmu, często wspomagana używkami i kroplówkami, kosztowanymi strzałami sprawiającymi, że w przeciwieństwie do pijackich dołów elita zawsze była dobrze naoliwioną maszyną z błyskiem w oku.

Pijacy niezależni, wolni, oficjalni, całkiem spora armia, na której zapleczu działał alkoholowy *underground*. Pijacy na etacie, śmieciówkach i w szkołach, robotnicy, urzędnicy i uczniowie, podziemny front zaczynający dzień od małpki, wyskakujący do sklepu na browsa lub drugą małpkę, czekający na fajrant, ostatni dzwonek i koniec obowiązków, by zacząć kolejną kampanię. W zależności od pozycji w domu serię misternych uników albo strategię mocnego wejścia opartą na szczerej deklaracji – począwszy od małokalibrowego i ugodowego „kolega miał urodziny” przez rzucone mimochodem „piwko do obiadu” aż po najcięższe działa, „co cię to obchodzi, za swoje piłem”.

Ekonomista i Edek sami byli kiedyś w alkoholowej konspiracji, kryjąc się przed szefami, którzy picie tolerowali tylko do drugiej, góra trzeciej wpadki, jeśli jego rozmiar mieścił się w granicach statystycznego błędu pijackiego. Teraz nie ciążył już nad nimi stres, z alkoplebsem i z menedżerską arystokracją łączyły ich swoboda picia i bezkarność. Od tych pierwszych różnili się może nienadzwyczajnie mocnym, ale jednak wyraźnym poczuciem wstydu i świadomością obowiązku, a od tych drugich – ograniczeniami finansowymi.

30.

W weekend odpoczywała. Piątkowe spotkanie z koleżankami wykończyło ją bardziej niż tydzień pracy. Jak to możliwe, że niektórzy mogą tak co drugi dzień! Do tego trzeba mieć zdrowie, ona najwyraźniej nie miała. Poza tym kac związany z jej własną naiwnością, szukaniem w mejlach złotej rybki, która spełni jej trzy życzenia – wywali w kosmos i przywróci pozycję, zapewni angaż do poważnej redakcji, bo jeszcze parę takich zostało. List od Desperata dał jej nadzieję, a po chwili wywołał frustrację.

Na co liczyłaś, idiotko? Że po paru latach orki w gównie napisze do ciebie ktoś normalny?

Przymusowy urlop się skończył, ale nie poszła do pracy, to znaczy nie zaczęła jej, bo od niedawna pójść do pracy znaczyło coś zupełnie innego. Nie trzeba było jechać do Mordoru, żeby być w biurze albo w redakcji. COVID wiele zabrał, ale dał też dobrodziejstwo pracy zdalnej. Jak wielu innych Matylda mogła pracować w domu.

Mogła, ale nie musiała, i korzystała z tego rzadko, bo dom ją rozpraszał, a do tego miała wrażenie, że cały ten syf, artykułiki, wpisy, pierdoły, którymi się zajmowała, nie miały prawa się wciskać w jej domową przestrzeń. Czasem zostawała w swoich czterech ścianach. Najczęściej wtedy to najczęściej brzmiało lepiej niż niezmiernie rzadko, tak rzadko, jak się zdarzało jej spisywać rozmowę z kimś wartościowym. To ostatnio nie zdarzało się prawie wcale.

Miała kilka dni wolnego, a dzisiaj od rana powinna chodzić w kieracie, przeglądać krajowe i zagraniczne strony, przeredagowywać cudze rocznicowe artykuły, dodając coś od siebie, najlepiej wspomnienia z czasów, kiedy zrobienie artykułu, a nawet notatki, polegało na spotkaniu bohatera wywiadu. Teraz nie miała ochoty widywać się z większością z nich, zresztą menedżerowie wysyłali newsy, do tego same gwiazdy robiły z siebie pośmiewisko na Instagramie i trzeba to było tylko opisać, dodać jakieś gówno w stylu „Gwiazda serialu »Pierwszy krok« wyznała”.

Gwiazda, bo nazwisko małe, dorobek karłowaty, ale każdy, kto gra w „Pierwszym kroku”, jest gwiazdą. Bo dziś są tylko gwiazdy. I Brad Pitt jest gwiazdą, i Lady Gaga, i Alicja Festek z serialu „Pierwszy krok” też. Ważne, by gwiazda wyznała, zdradziła albo pokazała. Wyznać i zdradzić może byle co, na przykład, że kupiła nowe buty. Bo nowych butów się nie pokazuje, tylko po prostu ma, i każdy może mieć podobne z sieciówki, a pokazać można mieszkanie, ewentualnie pochwalić się nim.

Dziecko też można pokazać. Dziecko daje też możliwość rozwinięcia tematu o kradzież. Bo dziecko i zwierzęta domowe mogą skraść show albo serce. Takie gówniane puzzle, z których od rana powinna ułożyć kilka barwnych obrazów z życia polskich

i zagranicznych celebrities. Ale nie układa, bo na laptopie z popękanym ekranem ciężko pracować. Powinna jednak ruszyć cztery litery i pojechać do redakcji, aż dziwne, że jeszcze nie dzwoniли.

W tym momencie rozległ się dźwięk ogłaszający przyjście esemesowej informacji. Nie, to była przypominajka z kalendarza — dzisiaj, za godzinę, rozmowa roczna.

W pierwszej chwili jak co roku chciała się rzucić do błyskawicznego wypełniania stosownego arkusza. Ale jak? Laptop był w prozku! Do redakcji blisko, pół godziny, gdyby się pośpieszyła...

Pośpiech?

Gonitwa?

Wypełnianie idiotycznych rubryk? Satysfakcja z pracy, zarobki, jak oceniasz swoje postępy, plany?

Satysfakcja zerowa. Zarobki — czekam na podwyżkę od dwóch lat. Postępy żadne. Plany... Plany? Tak, plany! Zaczęła się śmiać jak wariatka, po czym stanęła przed lustrem i wykonując gest dyrygentki, zaśpiewała:

— Mam na to wyjebaneee, wyjebaneee!

31.

Zoltar zajrzał do swojej poczty, robił to codziennie od dwóch tygodni. I nic. Zero, nul! Sądził, że podsuwa jej gorący temat, coś, co poruszy każdego prawdziwego dziennikarza! Dlaczego? Czy ma inne, atrakcyjniejsze tematy? To przecież niemożliwe!

Ciekawe, o czym teraz pisze? Zajrzał na portal i nic nowego, zresztą ciężko cokolwiek znaleźć w powodzi informacji o tym, że gwiazda grzmi, że grzmi także ksiądz, tyle że gwiazda o reżyserze, który uważał, że chciała pokazać za dużo, a to przecież serial, a z kolei ksiądz grzmiał, że właśnie ona szerzy zgorzenie. Tu jest o kradzieży, ale to kociątka skradły show, jest o desperacji, ale związanej z zakupem torebki — takiej samej, jaką ma księżna Kate,

ale tylko za sto złotych, reklama, tekst sponsorowany, jest i o napadzie. Napadają na nasze oszczędności, to o politykach...

— Nie będę się pieprzył jak stara matka z łobuzem — syknął, po czym dodał jeszcze kilka przekleństw i wszedł na jej fejsbukowy profil. Artykuł, ale nie jej, tylko z Wirtualnych Mediów, za to z jej zdjęciem i zatytułowany: „To koniec czy nowy początek?”. Wkleił go jakiś znajomy, w zasadzie znajoma Mariola92, na której zdjęciu profilowym był pyszczek kota, poprzedziła komentarzem: serio? Inny, ten ma imię i nazwisko, za to psi łeb, Szymon Bartnicki, wprowadził słowami: brawo. Następna, tu były i zdjęcie, i personalia Lidii Wolickiej, cholera, czy ona naprawdę ma różowe włosy i chodzi w takiej czapce? Gratuluję, tak trzeba, dość głupoty.

Kliknął w artykuł i zaczął czytać. „Kolejne znane nazwisko zmienia branżę, tym razem Matylda Leśniewska, laureatka Nagrody Prasy Polskiej i Nadzieja Roku!”.

Ze zdumieniem zrozumiał, że czuła się wyjałowiona i wypalona, że czarę goryczy przelała nie tylko polityka personalna i programowa jej ostatniego pracodawcy, ale także jakiś wariacki mejl z propozycją zainteresowania się tematem, który — jak sądzi — jest produktem idiotycznych newsów, którymi karmieni są odbiorcy. Trzeba przerwać ten zaklęty krąg, powiedzieć nie, dać sobie spokój, a nie brać udział w splotach szambem i produkcją *clickbajtów*. Potrzebuję spokoju, chcę wszystko przemyśleć, dawno nie widziałam się z mamą i dziadkami, którzy mieszkają daleko, jest więc okazja, by nadrobić stracony czas.

Poczuł się, jakby dostał w mordę. Nie uwierzyła mu, wzięła go za debila!

Zamiast poczuć ulgę, że tamten skok był tylko pijackim snem, a dziennikarka olała go i na dodatek pożegnała się z redakcją, Zoltar napuszył się do granic możliwości, bo były to kolejne paskudztwa na jego bajaderce niepowodzeń, do lepienia której najwięcej dołożyli Wanda i Pablo, który nie odbierał telefonów, wysłał tylko SMS-a, że jest w Hiszpanii i nie wiadomo, kiedy wraca.

To koniec, zostanie tam, zostawi go na lodzie!

Zacisnął pięści i wysyczał:

— Pokażę im, jej, pokażę wszystkim, i to nie we śnie, a na jawie, czyli jak to się teraz mówi: w realu!

Swój plan Zoltar opracował na podstawie bogatej wiedzy o napadach na banki czerpanej z lektury kryminałów i oglądania filmów sensacyjnych. Niestety, rozmach, z jakim bohaterowie powieści i filmów, zwłaszcza zaś serialu „La Casa de Papel”, przeprowadzają swoje akcje, był dla niego, delikatnie mówiąc, trudny do osiągnięcia.

Nie miał pod ręką snajpera, nawet alkoholika, którego mógłby postawić na nogi i wykorzystać do oddania perfekcyjnego strzału. Cóż, kogoś takiego jak Jansen z francuskiego filmu „W kręgu zła” nie było w okolicy, nawet zakładając, że nie miałby on powierzchowności Yves’a Montanda, bo w końcu on sam nie był Alainem Delonem, który grał w filmie szefa bandy — Coreya.

Rambo pozował na komandosa, ale pewnie potrafiłby co najwyżej wystrzelić ze swojego paralizatora. Ten parodysta mu się nie przyda, ale jego paralizator na pewno, trudno z czegoś takiego spudłować, jeszcze trudniej zabić, no chyba że się trafi na kogoś o słabym sercu. Ale taki nieodporny dziad może też dostać zawału na sam widok broni palnej.

Co do broni palnej, to arsenał, jakim dysponował gang z filmu „Gorączka”, był tylko jego marzeniem. Ależ to była paka, jacy aktorzy! Bossem był grany przez De Niro Neil McCauley, Val Kilmer był nałogowym hazardzistą Chrisem Shiherlisem, Tom Sizemore Michaeliem Cheritto, a Jon Voight Natem. Mieli prawdziwy arsenał, strzelby, broń automatyczną, środki wybuchowe... I co z tego, skoro załatwił ich porucznik Vincent Hanna, którego grał Al Pacino. Były prawdziwe fajerwerki, których on sobie oszczędzi, bo jakakolwiek porządna broń znajdowała się poza zasięgiem. Jedyne, czym dysponował, to pistolet hukowy, którego już raz użył w nieudanym skoku.

Tyle o broni, kolejny punkt to środki transportu i zaplanowanie odwrotu. Tu wiedzę z filmów poszerzył o lekturę wspomnień himalaistów i coroczne wystąpienia ratowników górskich przemawiających na tle turystów, którzy wracali z wycieczek

w foliowych workach: najczęściej wypadków zdarza się nie przy zdobywaniu szczytu, lecz przy schodzeniu.

Oczywiste było, że podjeżdżając pod bank, a później z niego uciekając, musi zmieniać pojazdy oraz ubrania. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy niemal na każdej ulicy, przy każdym bankomacie, głównianym sklepie i w komórkach przechodniów oraz na przednich szybach aut były kamery rejestrujące nieprzebrane pierdylabajty filmów i zdjęć. Czapki, kurtki, a nawet buty, które można byłoby zmieniać dla oszukania pościgu i służb przeglądających nagrania, były więc podstawą.

Zwrócił uwagę na jeszcze jedno: filmowi gangsterzy zawsze mieli przed akcją kilka pojazdów, które najpierw kradli, później przemalowywali, zmieniali tablice, a po każdym etapie ucieczki podpalali dla zatarcia śladów. Z ciuchami, a zwłaszcza z czapkami, było łatwo, przez lata zgromadził ich wiele, podobnie jak kurtek i bluz. Miał tego badziewia pełną szafę, ale na wszelki wypadek zanurkował do kilku kontenerów PCK. Skoro politycy wspomagali swoje kampanie, kradnąc ciuchy dla ubogich, to jemu tym bardziej się należało.

Gorzej z pojazdami, oczywiście byli tacy, którzy dostawali limuzyny od bezdomnych, ale po pierwsze, na to się nie zanosilo, a po drugie, samochodem jeździł tylko jako pasażer, bo każdy wypadek, stłuczka, nawet zwykła policyjna kontrola albo klema założona przez straż miejską mogły się zakończyć katastrofą. Zresztą to nawet gdyby... Nie prowadził auta od kilkunastu lat. Gdy ostatnim razem siedział za kółkiem, to ruch w Warszawie był zupełnie inny!

Zostawał zatem rower, i to nie jeden, przynajmniej dwa, najlepiej trzy, w tym obowiązkowo co najmniej jeden składak, żeby podjechać na akcję, korzystając, przynajmniej częściowo, z komunikacji miejskiej i kolei.

Kondycję i opanowanie roweru miał całkiem niezłe, rozeznanie w połączeniach wszelkimi środkami komunikacji jeszcze lepsze, bo od paru ładnych lat podróżował tylko w ten sposób, do tego ze znakomicie opanowanym regulaminem i zawsze z biletami. Wpadka przez jazdę na gapę tramwajem albo przewóz niewymiarowego

bagażu byłyby co najmniej idiotyczne, a idiotycznych rzeczy w swoim życiu dokonał stanowczo zbyt wiele, by dokładać kolejną głupotę.

Nie mógł jednak skorzystać ze swojego, a w zasadzie Pabla składaka, eleganckiego minirowerka amerykańskiej firmy Dahon, bo nie było ich w Warszawie zbyt wiele i taki sprzęt rzucał się w oczy. Musiał więc je jakoś zorganizować, co dla zwykłego kupującego nie było problemem, na oleiksach i allegrach było tego w cholereę i trochę, ale nie mógł zostawiać po sobie śladu w sieci, tego już się zdążył nauczyć. I to nie tylko z filmów i książek, ale i z własnego doświadczenia.

Raz mało go nie dopadli mafijni odzyskiwacze długów, bo namierzili go po sygnale z komórki. To było jego ostatnie wygodne mieszkanie, z ostatnią szafą wypełnioną dobrymi ciuchami i szafką, w której stały wypastowane, eleganckie buty. Związał w tym, co miał, jedynie dzięki temu, że zeskoczył na trawnik, a karki nie obstawiły domu z drugiej strony. Od tamtej pory tylko kiesz, żadnych kart kredytowych, telefonów, chyba że kupionych na słupa albo jak teraz służbowych, z Manufaktury.

Zakupu postanowił dokonać tam, gdzie ceniono sobie unikanie niepotrzebnych formalności i bezpośredni przepływ gotówki. Poszło nadspodziewanie gładko, pojechał na bazar na Olimpii i tam w kwadrans złapał dwa rowery, które, co niezwykle cenne, sprzedawali faceci, co raczej nie skojarzą go z tym, co stanie się w przyszłości. Jednym był dziadek w okularach denkach, drugim menel, który działał jak nowoczesna wyrzutnia pocisków przeciwpancernych: odpal i zapomnij. Na wszelki wypadek pojechał zamaskowany, co w epoce między kolejnymi falami epidemii było dość powszechne i nikogo nie dziwiło, podobnie jak okazałe lustrzanki, zakrywające drugą połowę twarzy, bo w końcu dzień był słoneczny.

Rower kupiony od dziadka byłby w języku samochodziarzy określany mianem od pierwszego właściciela, pojazd miał bowiem na oko pięćdziesiąt lat. Był to rometowski składak, może nie w stanie kolekcjonerskim, ale jak zachwalał dziadek: na chodzie. Na pewno zaś unikatowy, bo z dzieciństwa Zoltar pamiętał mnóstwo pomarańczowych i czerwonych składaków, rzadziej błękitnych,

a najmniej srebrnych i seledynowych. Kolor srebrny był zarezerwowany dla luksusowych eksportowych uniwersali, które nie tylko miały przerzutki, ale i były lepiej wykończone, dziadek zaś oferował niespotykaną, seledynową czajkę.

W latach dzieciństwa Zoltara był to najpośledniejszy spośród wszystkich składaków model, bo jego posiadaczy witano charakterystycznym: „czajka, czajka, gdzie masz jajka?”. Na szczęście jako dzieciak był posiadaczem wigier trzy. Teraz było mu wszystko jedno, najważniejsze, żeby rower jeździł i nie nawalił.

— Mało jeżdżony, znaczy się, regularnie, często, można powiedzieć, ale na małych dystansach, z Literackiej na działki, obok zaraz, dlatego z bagażnikiem, sklepowym, pojemnym — zachęcał dziadek, wskazując na przyczepiony do oryginalnego bagażnika koszyk, taki metalowy z odległych czasów osiedlowych samów, prowadzonych przez MHD i Społem. — I dalej byłbym jeździł, ale mam kłopoty z błędnikiem — powiedział ze smutkiem w głosie, a Zoltar nie dodawał, że nawet jakby miał z równowagą wszystko okej, to nie powinien z taką wadą wzroku powozić rowerem.

— Wnuczek teraz wszystko na działkę wozi. Norbert, chłopak kochany, lubi ją, nie to co ten mój syn, leń — skrzywił się. — On wcale nie miał do tego serca, a ten młody to mówi, że teraz eko jest modne i rośliny egzotyczne. Posadził tam parę krzaków, takich wysokich i bardzo o nie dba, kochany chłopak! Ale rower mu niepotrzebny, własny ma, taki dziwny ze strasznie niskim siodelkiem, mówię panu, cyrk jakiś, i te takie deski na kółkach. Wszyscy oni to mają, to znaczy koledzy mojego wnuczka.

Dziadek wzruszył się wnuczkiem, a Zoltar oczyma wyobraźni zobaczył, jak między jabłonkami i tujami pną się w górę piękne krzaki konopi indyjskich.

— A te egzotyczne krzewy, to co to jest? — spytał, kiedy już zakończyli transakcję. — Owoce jakież?

— Liście, suszą je — odparł dziadunio.

— I oni to palą, to znaczy wnuczek z kolegami?

— Skąd, panie! Oni wiedzą, że palenie szkodzi zdrowiu, ja jestem wrogiem palenia! — oburzył się dziadzia działkowiec.

— To po co im te liście?

— To jest przyprawa! Znakomita, jak mnie ciasteczkami poczęstowali... — rozanielił się dziadzia. Bo wie pan, jeden z nich do gastronomika chodzi. Zdolny chłopak, będzie z niego dobry cukiernik, a już teraz potrafi robić dobre rzeczy! — zachwalał na pożegnanie dziadunio.

Rower był faktycznie na chodzie, z nowym łańcuchem i możliwymi gumami, do tego dziadek smarował go solidnie, ale drugi, kupiony od menela, był w jeszcze lepszym stanie i do tego prawie nowy, chociaż z pewnością nie od pierwszego właściciela. Nówka sztuka nieśmigana, składany elektryk, niecałych trzynaście kilogramów. W sklepie taki kosztował pięć tysięcy, a tu niebywale atrakcyjna cena, ale sprzedawca nerwowo się rozglądał, więc rower musiał być kradziony.

— Z której dzielnicy? — spytał porozumiewawczo Zoltar.

— Z Widzewa — odparł menel. — Ten rower przyjechał z miasta Łodzi.

— A nie z Wilanowa? — ponowił pytanie Zoltar.

— Panie, albo pan kupujesz, albo nie. — Sprzedawca był wyraźnie urażony podważaniem jego prawdomówności, a jeszcze bardziej spragniony, o czym świadczyły dłonie, które zaczęły się poruszać jakby w poszukiwaniu klawiatury, tyle że najbliższy instrument, harmonia, leżał dwa stragany dalej.

Kupił, nie targował się, elektryka, bo był mniejszy i miał pokrowiec. Złożył pojazd i wrzucił na plecy, a później mozolnie, prowadząc czajkę i z elektrykiem w mandzurze, opuścił targowisko. Nie planował tego, ale trafiły się okazje, więc brnął z rowerami, jakby był statystą w filmie o Ziemiach Odzyskanych. W innym punkcie Warszawy budziłby może sensację, ale w tym miejscu, które przemierzały tłumy kupców i kupujących starocie, był normą.

32.

Wybrał sobie bank przy Grójeckiej, bo kiedyś w tych okolicach mieszkał, znał rozkład ulic, wiedział, że prując na rowerze między domami, po wąskich uliczkach i osiedlowych przejazdach, można

uciec zmotoryzowanej i pieszej pogoni. I było blisko do Dworca Zachodniego, miejsca będącego prawdziwym kotłem.

Nie było szans, żeby ktoś go poznał. Bywał tu trzydzieści lat temu, nosił wąsy, popielate włosy rozjaśniał na blond, grzywa poppersa mogłaby zawstydzić Ciechowskiego, do tego białe adiki, dzinsy marmurki, kurtka jak z „Top Gun”... Były czasy! A później nadeszły nowe, poważne. Pod koniec swojej ochockiej przygody miał już zupełnie inny image. Najpierw zauroczył go styl z serialu „Miami Vice”, a później stał się poważnym biznesmenem. Włosy układał na żel, nosił dwurzędowy garnitur i mokasyny z klamerkami, wzorzyste krawaty i obowiązkową teczkę. Teraz to był inny człowiek, łysy, z zarostem, w dzinsach albo dresach, podstarzały hiphopowiec, luzak nieprzywiązujący wagi do wyglądu, ale nie z wyboru, tylko z musu.

Z kilkunastu miesięcy panicznego ukrywania się zostały mu zestaw peruk i bród oraz spora biegłość w charakteryzacji, która uratowała mu, jeśli nie życie, to na pewno zdrowie. Rekonesans i akcję zaplanował jako działanie pod przykrywką, wymyślił do tego image człowieka w czapce ze zmierzwioną szpakowatą czupryną i czarną brodą zasłaniającą jego siwy zarost. Do tego rękawiczki, by nie zostawić śladów. Kiedyś rękawiczki w ciepły dzień budziłyby zdziwienie, ale dzisiaj jeżdżący na rowerach chętnie z nich korzystali.

Piękny elektryczny składak trzymał w torbie, którą zamelinował w swoim pokoju, a czajkę zaparkował u starszej pani, w jednym z domków przy Makowskiej, tuż przy torach, niedaleko stacji PKP Warszawa Olszynka Grochowska. Jak każda emerytka ucieszyła się z dodatkowych pieniędzy, pięćdziesiąt złotych za miesiąc, które jej zapłacił, to było więcej niż ostatnia rządowa rewaloryzacja.

Wychodził z Manufaktury, na upatrzonym skwerze doklejał brodę i zakładał perukę, zmieniał bluzę dresową z białej z golfem zapinanym na suwak na czerwoną z kapturem, a wełnianą czapeczkę zastępowała bejsbolówka reprezentacji Polski. Odbierał od starszej pani rower, szedł na stację z biletem uzupełnionym o opłatę bagażową, wsiadał w pociąg i po dwudziestu paru minutach był na Warszawie Zachodniej, skąd rozpoczął swój rekonesans.

Objezdżał okolice na czajce już trzeci dzień i miał ułożony plan napadu, a później ewakuacji. Prawie miał, bo nie wiedział, jak się przesiąść z roweru na rower. Pomysł przyniosła mu obserwacja miejscowej flory i fauny, której stałym elementem było dwóch meneli wychylających małpki na skwerze przy Opaczewskiej.

Kiedyś ten skwer nie miał nazwy, ale od paru lat był, o czym informowała stosowna niebieska tabliczka, skwerem Dobrego Maharadży. Wystawiono nawet marmurowy pomniczek z kwiatem lotosu i wyryto w kamieniu informacje, z których dowiedział się, że ten Dobry Maharadża to nie jakiś typ z kreskówki, ale postać historyczna i się konkretnie nazywał. Może nawet za konkretnie, bo nikt normalny by tych wszystkich imion i nazwisk nie wymówił, nie mówiąc już o wkuciu na pamięć, pewnie tylko jego starzy, służba i on sam, więc nie było rady. Jam Shri Sir Digvijaysinhji Ranjitsinhji Sahib Bahadur pozostanie w Warszawie przy Opaczewskiej po prostu Dobrym Maharadżą.

Jednak to nie patron skweru go interesował, lecz duet pijaczków i ich dwa psy: kundel, którego przodkowie byli chartami, ale pociągały ich psie damy pochodzące z przeróżnych psich rodzin, oraz pudel gigant, a może jakiś czarny owczarek, zarośnięty, ale dość zadbany. Wyglądali jak na plenerowym portrecie rodziny szczęśliwej i tylko lekko trafionej wirusem patologii. W sumie to nie różnili się wiele od wczasowiczów albo bywalców bulwarów nad Wisłą. Podstawowymi różnicami były okres pozawakacyjny, środek tygodnia, pora dnia i cisza. Nie wyli, zachowywali się spokojnie, coś tam gestykulowali, pociągali wódkę z małpek. Ten ich spokój, emerycka nirwana, skłonił go do przededefiniowania ich statusu.

Skwer był deptakiem, a oni rozciągnęli się na ławeczkach, jakby byli kuracjuszami w uzdrowisku, którzy siedząc na ustawionych przy deptaku stolikach, piją z kubków z dzióbkami wodę mineralną. Tak samo się delectowali, rozwiązując przy okazji krzyżówkę, ale ich przewagą był płyn, który sączyli.

Pierwszy, nieco mizerny, reprezentujący typ wysuszonego żuła, był w lekko przybrudzonych džinsach, starym flajersie, czapce ze zdeformowanym daszkiem oraz w zdeptanych adidasach i pił, niespecjalnie się krępując. Ten drugi, nieco postawniejszy,

reprezentujący klasę pijaków zakąszających, miał na sobie przyzwoite spodnie, buty, marynarkę i... krawat! Facet wyglądał jak nauczyciel albo urzędnik. Do tego pił bardzo dyskretnie, z wolna, dostojnie i dumnie. Było w jego postawie coś, co można określić jako godność konsumpcji.

Zoltar podjechał, zszedł z roweru i stanął przy sąsiedniej ławce.

— Ordon! — wykrzyknął ten wysuszony, po czym, uderzając w broszurę z krzyżówką, wyjaśnił swojemu lepiej odżywionemu towarzyszowi: — Bo jak dowódca reduty, o której pisał poeta... — zamyślił się. — Słowacki, nie?

— Mickiewicz — odparł z pewną dozą wyższości i odrobiną zgorszenia ten drugi.

— No wszystko jedno, ale Ordon, a to proste przecież, bo my sąsiedzi, tu trzy reduty są, przystanek PKP, centrum handlowe no i ten bałagan, koło którego postawili meczet, co nie, Ekonom?

— Brawo, Edek. Bardzo brawo — pochwalił go leniwie człowiek o ksywce Ekonom. — I przestań z tym Ekonomem, ekonomistą byłem!

— I kolejne hasło... — Edek najwyraźniej nic sobie nie robił z pomyłki, tylko dalej rozwiązywał krzyżówkę. Po chwilowym triumfie, który pojawił się na jego twarzy, przeliczył raz jeszcze okienka i zrobił skwaszoną minę, po czym podrapał się w głowę.

— No co tam, żeś się zawiesił... — podsumował go Ekonomista.

— Już miałem, a się okazało, że nie, bo za dużo kratek, a za mało liter.

— A jakie hasło?

— Popularny słodki przysmak z Turcji.

— Chałwa.

— No też tak myślałem, ale to tylko pięć liter, a okienek sześć.

— No jak pięć liter — zdziwił się Ekonomista, po czym się zaśmiał. — Bo to przez ce-ha jest, a nie samo h — triumfował. — Przez ch spróbuj!

— No pasuje, ale czy na pewno to się tak pisze?

Zauważył Zoltara i popatrzył na niego pytająco.

— Jak się pisze chałwa?

— Przez ch — odparł Zoltar, który nie był do końca pewien, bo gdyby się uczył dzisiaj, a nie w latach osiemdziesiątych, to miałby papiery na dysleksję i dysgrafię. Uznał jednak, że ten Ekonomista wie, co mówi, bo wygląda kompetentniej od swojego kolegi Edka. — Przepraszam, panowie, czy ta ławka jest wolna? — zapytał, wskazując na ławeczkę obok.

— Może być wolna — odpowiedział Edek.

— Zapraszamy — dodał Ekonomista.

— Zapalą panowie — powiedział, wyciągając papierosy.

Pewnie, że zapalili. Ten dystyngowany palił, patrząc przed siebie, ten zużyty obcinał go wzrokiem i nerwowo się kręcił. Zoltar był pewien, że zaraz go zahaczy.

— Panie kierowniku... — zaczął w typowy sposób, w jaki menele nawiązują kontakt, wiadomo było, co będzie dalej.

— Panie kierowniku, bo my tu z kolegą Ekonomem...

— Ekonomistą! — westchnął ten drugi, jakby nie pierwszy raz kompan od flaszki przekręcał jego profesję.

— No mówię — odpowiedział zużyty, niewiele sobie robiąc z pomyłki. — Mamy mały problem.

— A jaki — zainteresował się Zoltar, choć doskonale wiedział, o co chodzi. — Mogę jakoś pomóc?

— Czekaliśmy tu na kolegę — wtrącił się Ekonomista pięknym niskim głosem Edmunda Fettinga, ale pokrytym lekką warstwą chrapliwej rdzy. — Bo Edward... — Wskazał na gadatliwego menela. — Ma dzisiaj urodziny. Piękna okazja, nieprawdaż?

Zużyty, który miał na imię Edward, zamrugął oczami, wyraźnie zaskoczony informacją o swojej rocznicy.

— No tak, urodziny, he he — wyjąkał, po czym się rozpromienił. — Okazja jest, co nie?

— Wszystkiego najlepszego — grzecznie pożyczył Zoltar.

— Mieliśmy to skromnie uczcić, jak to renciści i emeryci, składkowo, na świeżym powietrzu, ale... — Ekonomista rozłożył ręce.

— Kolega nawalił? — Zoltar zrobił zbolałą minę.

— Dokładnie tak! — przyznał Ekonomista. — I w związku z tym jesteśmy zmuszeni przełożyć nasze skromne obchody, trudno, jubilat poczeka jeden dzień, chyba że...

Tu Zoltar miał się sam domyślić i właśnie grał swoją rolę zastanawiającego się i kalkulującego, ale Edek nie wytrzymał.

— Panie kierowniku, wpisowe to symboliczna piątka!

Ekonomista spojrział na niego z wyrzutem, Zoltar nie był pewien, czy uznał zachowanie kolegi za zbyt obcesowe, bo wolał zachowywać pozory, czy może licytacja przebiegała na zbyt niskim poziomie.

— Bardzo chętnie panowie, tylko ja...

— Jest pan na coś uczulony? — Edek spojrział ze współczuciem.

— Nie, tylko ja nie lubię na pusty żołądek, więc gdybym dołożył jeszcze parę złotych...

Dziesięć minut później delektowali się kabanosami, którymi zagryzali wódkę pitą z dużej małpki.

— A wiedzą panowie, że jesteśmy jednymi z miliona? — powiedział Ekonomista. Zoltar nie zrozumiał, co miał na myśli, Edek chyba też, bo zamrugał oczami. — Codziennie milion Polaków kupuje małpkę — powiedział, patrząc na butelkę. — A stałych konsumentów wódki w małych opakowaniach, mniejszych niż dwieście mililitrów, są trzy miliony!

— Można by założyć partię pijących małpki — ożywił się Edek.

— To ruch ponadpartyjny — zgasił go Ekonomista. — Ruch niemający przyszłości — dodał grobowym głosem.

— Czemu? — Zoltar był ciekawy.

— Bo im mniejsza butelka, to cena każdego grama wyższa! Każdy buduje swoją małą partyjkę, zamiast założyć koalicję... — Rozłożył ręce.

— No tak, kolacja byłaby najlepsza — wciął się Edek, prezentując kolejny przykład świadczący o jego talencie do przekręcania słów.

— Jeśli panowie pozwolą... — powiedział nieśmiało Zoltar. — Bo ja też mam okazję, dwa dni temu miałem urodziny i tak się złożyło, że nie miałem z kim świętować. — Zrobił żalostną minę. — Czy...

— To byłby zaszczyt, ale... — Ekonomista znów rozłożył ręce. — Brak środków ogranicza nasze zdolności konsumpcyjne.

— Ale ja stawiam — ożywił się Zoltar. — Jeśli tylko panowie pozwolą!

— No pewnie, że tak! — Edekowi zaświeciły się oczy.

— To ja kupię od razu pół litra, będzie taniej, i kabanosy może? Gdzie jest najbliższy sklep?

— Biedra przy Dobosza! — Edek wskazał ręką. — O tu, w bramę przez podwórko i jest pawilon. Dwie minutki, tam właśnie chodziłem ostatnim razem!

— To ja się przejdę, rower zostawię, bo już się dzisiaj napedałowałem — powiedział Zoltar i udał się do sklepu. To był ich test wiarygodności, bo jeśli chcieliby mu ukraść rower, to zrobiliby to teraz, kiedy pójdzie na zakupy.

Kiedy się oddalił na bezpieczną odległość, Edek pochylił się w kierunku Ekonomisty i wyszeptał:

— A jeżeli to jakiś zboczeniec jest?

— Się nie bój, jesteś tak brzydki i mały, że taniej by mu było chomika w sklepie zoologicznym kupić — uspokoił Edka Ekonomista.

— A są też ci, co na narządy porywają, no wiesz, nerkę mogą wyciąć albo co?

Ekonomista odchrząknął i spokojnie odparł:

— Od nas? Edek, a czy ty słyszałeś o złodzieju samochodów, który poluje na auto z zatartym silnikiem?

— Moja wątroba nie jest jeszcze taka zła — obruszył się Edek, na co Ekonomista popatrzył z politowaniem, po czym dodał: — To raczej on powinien się bać, czy mu rowerem nie ukradniesz.

— A dlaczego ja? — fuknął Edek.

— A czy ja wyglądam na złodzieja? — spytał Ekonomista swoim eleganckim głosem Edmunda Fettinga.

Tak, był to argument nie do zbiccia, jeśli na kogoś wyglądał, to na nauczyciela albo urzędnika.

*

Pojawienie się Zenka, bo tak się przedstawił facet, który mieszkał gdzieś w okolicach Kaliskiej, sprowadził się niedawno, więc nie mieli jeszcze wspólnych znajomych, wniosło w życie duetu ze skweru Dobrego Maharadży ożywienie i skromny, ale podnoszący ich standard konsumpcji o jedną dużą małąkę, zastrzyk gotówki.

Przyjeżdżał na rowerze, miał brodę jak Mikołaj, tylko czarną, więc Edek nazwał go Pan Kleks. Facet mniej zainteresowany był piciem, bardziej gadaniem, ale kto by się z tego powodu martwił?

— Musi być samotny — podsumował Ekonomista po drugim popołudniu, które spędzili w trójkę na skwerze.

— A czemu? My nie jesteśmy samotni, a tu siedzimy. — Edek wzruszył ramionami i upił łyk wódki.

— Ale on wyraźnie nas szukał — powiedział Ekonomista i widząc pytający wzrok Edka, wyjaśnił: — Nie nas konkretnie, ale jakichś ludzi.

— Bo nikt nie lubi pić sam. Jak ktoś pije sam, to jest alkoholikiem. — Edek wciąż uważał, że jest daleki od nałogu, po prostu ma takie hobby, jak inni bieganie, oglądanie pornosów albo zbieranie znaczków pocztowych. On zbierał kiedyś znaczki, od podstawówki je miał, to była kolekcja ojca, ale jak mu się zmarło parę lat temu, to je spieniężył. Dużo było z tego picia, parę fest klaserów z mocnymi zbiorami.

— Mnie się jednak wydaje, że tu o coś więcej idzie niż o picie.

— Ty to taki jakiś zasadniczo dopytywalski jesteś. Jak pies albo ten, no, prokurator — zaśmiał się Edek, który uznał, że udało mu się rzucić coś zabawnego.

— Zobaczysz, mówię ci to! — Ekonomista powiedział stanowczo. Tym razem był to aksamitny, lekko przyprószony rdzą chrypki baryton Edmunda Fettinga. Było w nim coś ciężkiego, ostatecznego.

— Te, no, Ekonom, nie bądź jak ta... — zawahał się Edek. — Kastandra!

— Nie Kastandra, tylko Kasandra, i w końcu raz na zawsze się naucz, że jestem Ekonomistą!

Edek coś zamruczał, pociągnął jeszcze łyk i podał końcówkę Ekonomiście, żeby walnął strzemiennego. Ściemniało się, w domach czekały na nich z kolacjami matka i żona, trza było wracać, żeby micha nie wystygła. Grunt to się racjonalnie odżywiać! Takie hasło Edek zapamiętał z telewizji, a może z radia, nieważne, doktorka jakaś mówiła. Na pewno doktorka, bo to kobiety takie więcej wrażliwe w temacie żołądka są.

Jemu nic zasadniczo nie dolegało, chociaż nie mógł przytyć. Tłumaczył to sobie dobrą przemianą materii, a ból żołądka, który go czasem łąpał coraz mocniej, pogarszającą się jakością wyrobów alkoholowych. Kiedyś wina się piło, straszili, że trucizna, siarka, a jeszcze gorsza to miała być ta wódka Vistula, a jego wtedy nic a nic nie bolało i nawet tak bardziej przy kości był. Wszystko wina tych nowych technologii.

33.

Każdy porządny filmowy plan oparty był na współpracy przestępczych supermenów zjednoczonych pod światłym przywództwem bossa, mózgu akcji. W tym przypadku mózgiem takim jak Ronald Biggs, który kierował największym napadem dwudziestego stulecia, był Zoltar, ale on nie otaczał się sprawnymi przestępcami, lecz ekipą taką, jaką miał Egon Olsen. Nie przeszkadzało mu to, bo Biggs niemal do końca życia był banitą, a Olsen za każdym razem lądował w więzieniu. On już został banitą, a więzieniu nie miał zamiaru siedzieć, bo jego pomagierzy nie byli współnikami, tylko narzędziami. Zamierzał ich instrumentalnie wykorzystać i zrobić wszystko tak, by policja nigdy nie wpadła na jego trop. Dwóch pijaczków z Opaczewskiej stanowiło jego bazę transportową, a niezbędnego do napadu sprzętu miał mu dostarczyć stróż Manufaktury.

Edka i Ekonomistę obłąskawił kilkoma wizytami na skwerze i hojnym dokładaniem się do wódeczki. Dzień przed skokiem nie przyjechał na czajce, tylko przywłókł się tramwajem. Dotarł z Manufaktury na Grochowską rower, po czym złapał dziewiątkę i wysiadł na przystanku Korotyńskiego. Stamtąd ruszył w kierunku parku Szczęśliwickiego, gdzie przysiadł na ławeczce, wyjął rower z pokrowca i rozłożył. Taka czynność w miejscu, gdzie roiło się od rowerów i spacerowiczów w każdym wieku, nie zwróciła niczyjej uwagi.

Nie wierzył informacjom, które znalazł w internecie. W prospekcie było, że rowerowy akumulator o pojemności dziesięciu

amperogodzin daje zasięg pięćdziesięciu kilometrów. Od tego zaczął odejmować prospektowe kłamstwa, zużycie i... Chciał ten rower zostawić na jeden dzień u menelików, a jutro skorzystać z niego w czasie odwrotu. Wiedział, czuł to na bank, że Ekonomista nie da go Edkowi sprzedać, ale na pewno Edek nie oprze się pokusie, by na nim trochę nie pojeździć. Co będzie, jeśli rozładuje baterię? Zasada kilku różnych środków komunikacji była święta, a w niej najważniejszy był pełen bak!

Złożył rower w parku i częściowo na silniku, a częściowo pedałowując, podjechał na skwer, a tam sprzedał historyjkę o nowym zakupie, który trzeba opić. Opili, a jakże, i wtedy rozegrał sprawę.

— Nho to, jak jha theraz wróczę? — powiedział zrozpaczonym głosem, kiedy wstał z ławki i lekko, nieco od siebie dodając, się zachwiał.

— No jak to jak? — zdziwił się Edek. — Po to takie rowerki na prąd są, żeby pod gazem człowiek cieszył się jazdą, a nie pedałowaniem!

— Ale taki rowerek to się rzuca w oczy — smętnie zauważył Zoltar.

— Zenon ma rację — podchwycił Ekonomista. — Z tego mogą być kłopoty. Pojechaliśmy ostro, zwłaszcza Zenek, więc my się rowerem zaopiekujemy!

Zoltar tylko na to liczył. Powiedział na pożegnanie, że jutro przyjedzie w te okolice na starej czajce, bo niedaleko, przy Bohaterów Września, ma kupca, więc też będzie piękna okazja.

Sprawa transportu załatwiona, teraz broń, której dostarczy, o czym jeszcze nie wie, Rambo!

Rambo i Szarik... Zmilitaryzowany pajac z nadwagą i jego bestia, tylko oni dwaj byli wyjątkami w tej całej manufakturowej menażerii, bo poza dniem, w którym się poznali, nigdy mu poważnie nie zagrali na nerwach. Inni samym swoim tanim jestestwem doprowadzali go do szewskiej pasji. Nic takiego nie czuł, gdy widział Rambo i jego psa. Od dwóch miesięcy, ubrany w wojskowe spodnie i w piaskową dresową bluzę i takąż bejsbolówkę facet i jego pies cieciovali w Manufakturze, czyli on siedział w swoim kamperze, pojawiając się, kiedy trzeba na dziedzińcu, po którym i tak krążył groźny pies. Czasem w ogóle się nie ruszał, tylko otwierał szlaban z pilota.

Na upartego szlaban dałoby się objechać i gdyby nie duet Rambo — Szarik, mieliby tu parking. Bezpłatny parking, bo w nowych blokach nie starczało miejsc garażowych i lokatorzy stawiali auta gdzie popadnie. Każdy z nich robił podchody pod ich dziedziniec.

Zoltar żałował, że tego nie zmonetyzowali, było miejsce na jakichś dwadzieścia pięć samochodów, każde po dwieście złotych, czyli w skali roku sześćdziesiąt tysięcy złotych! Ale Pablo miał to w dupie. Trudno, co zrobić, gorzej byłoby, gdyby tu parkowali za darmo, robili gnój i kręcili się w te i nazad, ale dzięki obecności Rambo i Szarika okazało się to na szczęście absolutnie niemożliwe.

Nie było go przy tym, gdy się pojawili po raz pierwszy: krępy facet i jego pojazd. Zoltar wyskoczył na Wiatrak po rurki z kremem, a kiedy wrócił, oni już tu zaistnieli, a dokładniej ujmując, mieszkali. Wystarczyło pół godziny, by Rambo podjechał, zapukał do drzwi, zagadał z Pablem i po krótkiej wymianie zdań stanął na placu swoim klockiem, który był zarazem jego sypialnią i budą dla psa.

Mercedes! Są, niestety, różne mercedesy. On, Zoltar, kiedy dobrze prosperował, miał ich kilka. Eska — ta, którą złośliwi zazdrośnicy nazywali krową, a wyznawcy ślicznotką, wygodna i mocna, była szybka tak jak sportowe modele. A on akurat wiedział z doświadczenia, a nie z czytania rubryk motoryzacyjnych, jak szybkie potrafią być sportowe merole. Na przykład kabriolet serii SL, którego też miał. Kupił go żonie, ale tak naprawdę jeździł nim, kiedy się dało. Ludzie patrzyli na niego z podziwem, słuchali muzyki dudniącej z głośników, wsłuchiwali się w gang silnika i komentowali.

Niektórzy zastanawiali się, jak i kogo okradł, to byli ci sami, którzy, gdyby był kobietą, zastanawialiby się, komu dał dupy. Inni podziwiali. Nawet dzisiaj za to prawie trzydziestoletnie auto wzięłyby sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy złotych! Bez gwiazdy nie ma jazdy, usłyszał kiedyś, i bardzo mu się to spodobało. Trójramienna gwiazda na masce to było coś, tyle że nie każde auto z gwiazdą jest warte zainteresowania. Minimercedesy klasy A, te, co oblały test losia, kombi, furgonetki, autobusy i oczywiście ciężarówki. To, co stało u nich na placu, było właśnie małą ciężarówką mercedesa,

tkwiącą na absurdalnie wysokim zawieszaniu, z kanciastą nadbudówką i upapraną błotem.

— Wyprawowy unimog — wyszeptał w nabożnym skupieniu Pablo. — Nieźle wyposażony, zawsze mi się podobały takie maszyny.

Zoltar wzdrygnął się na samą myśl o tym, że na coś takiego trzeba wydać tyle, co na najwyższej klasy limuzynę, a może i więcej, a potem tłuc się tym po kempingach, srać do miniaturowego klopa, opróżniać go, czyścić, nalewać wody do zbiornika... Albo myć się z całą resztą we wspólnej łaźni. Absurd! Ale do Pabla było to podobne. Kupić kosztowną sypialnię na kołach i pojechać gdzieś, gdzie psy dupami szczekają, wlokąc się najpierw po autostradach, a później po bocznych drogach, by po tygodniu jazdy stanąć na wydmie w rzędzie kilkudziesięciu takich samych pojazdów.

Absurd! Powtórzył w myśli i przypomniał sobie swoje wczasy z okresu prosperity. Samolot, taksówka i po góra dnia podróży było się na końcu świata, w apartamencie z widokiem na morze, własnym jacuzzi, room serwisem...

Rozmarzył się, bo od jakiegoś czasu były to tylko wspomnienia, czysto akademickie rozważania o tym, jak wydawać duże pieniądze. Ten ktoś, kto zaparkował tu swoją kupę błota, je miał. Mercedes to mercedes. Z takim kioskiem, z oponami z dobrym bieżnikiem, ze świeżym lakierem, który wystawał spod brunatnej skorupy. Kto to, do cholery, był? Jakiś popieprzony kolekcjoner, fan Pabla? — pomyślał z nadzieją. Mógł to być jego trzeci, a może i czwarty samochód po limuzynie z kierowcą i kabrio albo coupé. Typ kolesia, który kręci na giełdzie miliony, a na rowerze setki kilometrów. Jeden z grona tych nowych bogatych, żyjących zdrowo i sportowo. Banda dupków, pomyślał. Niby niedogoleni twardziele, triatloniści, alpiniści i chuj wie co, a nie poradziłoby sobie ze szmugłem z Reichu i nie potrafiliby zarobić na start, sprowadzając tira z cytrusami.

— Kto tu wjechał tym gównem? — zapytał Zoltar, nie zważając na niemal ekstatyczne uniesienie Pabla, który wpatrywał się w kanciastą bryłę błota obutą w opony niczym od traktora. Odpowiedź dało mu groźne warczenie, tuż za nim stał owczarek alzacki szczerzący kły. Zwierzę naprawdę wyglądało groźnie, sierść zjeżona, chód wilczy, oczy psiego mordercy.

— Spokój, Szarik — powiedział Pablo i zwierzę ucichło. Pies stanął przy nim, lekko merdając ogonem, ale na Zoltara dalej patrzył jak dodatek do obiadu. — Polubiliśmy się z nim, w zasadzie to pan Szarika dał na to zgodę, bo to towarzyski pies, ale szkolony i nie robi niczego, na co nie ma pozwolenia od właściciela. Mądra bestia! — zakończył z uznaniem, z jakim wyrażał się o autach. — Piękny pies i piękny samochód, wiele razy myślałem o tym, żeby rzucić wszystko, kupić takiego kampera i ruszyć w świat... — Przeciągnął się i przymrużył oczy, wyraźnie rozmarzony.

Pies zaszczekał, nie groźnie, ale radośnie. Zoltar spojrzął w kierunku, w którym Szarik obrócił łeb, i zobaczył faceta niewyglądającego na wymuskanego dupka, co po godzinach za klawiaturą laptopa i po kilku spotkaniach przy niby-jedzeniu przebrał się za macho. Ten był naprawdę niedogolony. Ubranie, spodnie bojówki o bliżej nieokreślonym kolorze, sprana bluza dresowa z kapturem, i krępa sylwetka nie dałyby mu miejsca na okładce współczesnego magazynu biznesowego. Trochę hipis, a trochę bohater programu braci Collins albo wędkarz. Otwarta puszka piwa, którą niósł w lewej ręce, pasowała mu bardziej do wędkarza, bo choć nie nosił kamizelki ani chlebaka, to przy pasku miał ładownicę, która służyła mu za portfel.

Tak, zdecydowanie był to rybołów albo myśliwy, bo w warsztacie Collinsów się nie piło. Zoltar uważał, że piwo jest ważniejszym elementem wędkowania niż kije i ryby, a myśliwi też nie byli abstynentami.

Kiedy podał mu potężną dłoń i mocno ją uścisnął, pomyślał, że facet mógłby też wygrać casting do kolejnej edycji programu „Rolnik szuka żony”.

— Rambo jestem — przedstawił się, po czym pociągnął solidny łyk piwa. — Najechałem się, a jak prowadzę, nie piję. Jakies zasady obowiązują, prawda? — I to tyle z jego strony.

Podrapał psa za uchem i poszedł do samochodu. Jak na swoją przyciężkawą, krępą sylwetkę nad wyraz sprawnie, prawie jak małpa wdrapał się do kabiny i zatrzasnął drzwi.

— Całą noc jechał — wyjaśnił Pablo.

— Kto to jest? — zapytał Zoltar, chociaż bał się odpowiedzi, bo czuł, że ten gość nie przyjechał tu kupić obraz i spotkać się z Pabłem, on tu się zakorzeniał!

— Rambo to Rambo. — Pablo wzruszył ramionami. — To jego pies. — Wskazał na Szarika. — A to jego dom. Miał odwagę, po rozwodzie podzielił majątek i kupił tego kampera, wszystko na to poszło, dołożył jeszcze spadek, drugie mieszkanie, nieduże, ale za to całe.

W głosie Pabła był niekłamany podziw.

— Mówi, że długo pracował za granicą, a jak wrócił, to się okazało, że nie wytrzymują ze sobą. Zapomnieli, jak to jest razem, jeden z wielu takich dramatów, ale wyszedł z niego wzmocniony! — Jakby na potwierdzenie tych słów przez okno unimoga wyleciała puszcza po piwie, a po chwili rozległ się syk kolejnej.

— Musi odreagować — usprawiedliwił go Pablo, po czym dodał: — Będzie u nas stacjonował.

— Co to znaczy, że będzie u nas stacjonował?

— Przejeżdżał obok i spodobał mu się budynek i miejsce. Zobaczył mnie, zagadał: „Szukam miejsca dla kampera, żeby stacjonował między wyprawami. Mogę w zamian z psem terenu popilnować”. Tak powiedział, a ja uznałem, że to dobry *deal*!

— A jak często będzie robił te wyprawy?

— Jeszcze nie wie, na razie był na jednej i się spłukał.

— Ale jak będzie pilnował? Przecież gdzieś musi zarobić na te wyprawy, będziesz mu płacił?

— Nie, *deal* jest taki, jak mówiłem, on tu będzie...

— Stacjonował?

— No tak, będzie tu stacjonował, a jak odłoży pieniądze, to pojedzie na wyprawę.

— Z czego odłoży?

— Z emerytury — oświadczył Pablo.

— Nie wygląda na emeryta, jest młodszy ode mnie!

— I ode mnie też, ale powiedział mi, że jest emerytem. — Pablo podrapał się po swojej kędzierzawej głowie. — A może na rencie? Chyba na rencie. Pies też.

Nie wyglądał na rencistę, pomyślał wtedy Zoltar, widząc, jak człowiek-klocek wskoczył do kampera niczym małpa!

Bo to w sumie był jakiś małpiszon, który podobnie jak większość użytkowników Manufaktury pakował na siłowni. Zawsze robił to z samego rana i zawsze zostawiał w szatni swoje rzeczy. Wśród nich była ładownica. Normalni ludzie nosili małe torebki albo nerki. On, jak przystało na takiego typu, ładownicę karabinową. Nosił w niej dokumenty, komórkę, z której nigdy nie korzystał, i... paralizator!

34.

W dzień napadu wślizgnął się do siłowni, a potem do szatni. Był bezpieczny, bo pies Szarik warował na dziedzińcu, a Rambo napieprzał żelazem, wpatrując się w zawieszony pod sufitem monitor.

Zoltar podszedł do rzeczy Rambo, otworzył ładownicę i wyciągnął z niej paralizator, przy okazji wyleciało zdjęcie, na którym była grupa pojebów przebrana za specjalsów. Niezły czubek, zamiast bawić się w ASG czy inny paintball, mógłby się zapisać do wojsk obrony terytorialnej, oczywiście gdyby nie był emerytem. Włożył z powrotem fotkę do ładownicy, a paralizator do swojego plecaka. W środku były już butelka wódki, sok, kabanosy, dwie pary spodni i dwie bluzy dresowe, sztuczna broda oraz pistolet hukowy. Nie było komórki, wiedział, oczywiście z filmów i książek, że tak mogliby go namierzyć.

Jak zwykle poszedł na Makowską, odebrał rower, potem na stację i pociągiem udał się na Zachodni. Stamtąd miał pojechać prosto pod bank, ale wcześniej postanowił nieco ukoić nerwy. Wysepił od Hendrixa trochę towaru, tyle co na jedną lufkę. Uznał, że musi się przed skokiem nieco zrelaksować.

Podjechał pod bank i spojrzął na rowery stojące przed wejściem, z zadowoleniem stwierdzając, że jego pojazd wyglądał najgorzej. Obdrapany, niemodny, bez dodatków. Obok stały jakiś holender z pięknym wiklinowym koszem, kolarka, jakby właśnie miała

przerwę w Tour de France, solidny góral z amortyzatorem i składak. Praktyczny, w sam raz, by wsiąść z nim do metra albo tramwaju.

To go uspokoiło, ale sam widok bankowych drzwi sprawił, że spękał. Dostał nerwówki, miał wrażenie, że wszyscy na niego patrzą, bo w końcu był w masce. Wchodzić w masce do banku! Poza tym nie był w banku od paru lat. Od paru, to znaczy od prawie dwudziestu, kiedy wziął kredyt, którego nie zwrócił. A przecież chciał zwrócić, tylko wszystko się wykrzaczyło. Ta myśl go zdeprymowała, jakby się skurczył, poczuł się jak fiutek w zimnej wodzie — mały, wiotki, żałosny.

Zawrócił w kierunku roweru, zdenerwowanie zaczęło mu przechodzić, bo przecież powinien być pełen relaks. Zajarał blanta, a po blantach nigdy nie miał nerwówki i złych myśli. Odpęczał się, myśli stawały się pozytywne, przecież teraz wszyscy chodzą w maskach, skonstatował i zaczął się śmiać z siebie samego. THC zadziało, może nawet aż za dobrze, chyba przesadził i wziął o dwa machy za dużo.

Z trudem powstrzymywał śmiechawkę, zioło zaczynało panować nad jego nerwami, błyskawicznie z fazy uspokojenia wszedł w fazę rozbawienia, ostatki zdrowego rozsądku podpowiadały mu, że powinien robić zjazd do bazy. Z banku wyleciał chłopak, szedł szybkim krokiem, podszedł do rowerów, parkował koło niego. Rzucił mięsem, był wyraźnie wkurzony.

— Chuje! — burknął pod nosem.

— Kto? — zainteresował się Zoltar.

— Jak to kto? Cholerni banksterzy!

— Oszukali cię?

— A jak?! — w typowy dla młodych sposób ni to zapytał, ni to stwierdził.

— No to faktycznie chuje! — zgodził się Zoltar.

— A nie? Tylko co z tym zrobić?

— Trzeba ich ukarać! — W głosie Zoltara pojawiła się stanowczość.

— Ukarać...

— No tak, ukarać.

— Ich to by trzeba było zajebać, tylko jak to zrobić? — Chłopak zaczął odpinać rower.

— A chcesz zobaczyć, jak to się robi? — niespodziewanie dla samego siebie zaproponował Zoltar.

— Gadanie.

— Żadne gadanie, patrz i pilnuj roweru.

— Co chcesz zrobić, te, dziadek...

Dziadek? Ten szczył powiedział „dziadek”! Fala wkurwu uniosła go w górę.

— Dziadek ci zaraz pokaże, jak się rozpięrdala banksterów! — Zoltar czuł przypływ energii. Czy to na pewno było uspokajające, konwersacyjne zioło? W kalejdoskopie, który miał w głowie, nie było miejsca na opcję stop!

— No ciekawe!

— Patrz i się ucz! — Zoltar wygłosił te słowa z belferskim zadęciem. — Tylko niczego nie przegap!

Szybkim krokiem ruszył do banku, wszedł do środka i bez ceregieli wyciągnął z plecaka pistolet hukowy.

— To jest napad! — ryknął. — Żadnej blokady drzwi, bo będę strzelał.

Zaskoczenie pięciu klientów i czterech pracowników banku było tak wielkie, że wszyscy zamarli. Nawet gdyby nie byli w szoku, to nikt z nich nie odróżniłby prawdziwego pistoletu od pistoletu hukowego, którym wywijał Zoltar.

— Dawać kasę!!!

— No chyba, kurwa, żartujesz, gościu. — Z ankesu za przepierzeniem, nad którym wisiała tabliczka „Strefa VIP”, podniósł się rosły typ. — Ja tu przyszedłem kasę wpłacać! Spierdalaj z tą atrapą, stary leszczu! — Odwrócił się i jakby nigdy nic, rozmawiał z urzędnikiem. Ten jednak zeszywniał i nie wiedział, co zrobić. Opuścić ręce i obsługiwać klienta czy też podnieść je do góry, jak tego chciał bandyta?

Zoltar zamarł, czyżby ten kark skojarzył, że broń to fałszywka? A może tylko blefował?

Typ westchnął ciężko i wstał z krzesła. Obrzucił Zoltara wzrokiem i do zgromadzonych w banku dobiegło gniewne bulgotanie.

— Jeszcze tu, kurwa, jesteś? Zaraz ci w dupę tę zabawkę wsadzę! — Poprawił skórzaną kurteczkę i ruszył w kierunku Zoltara.

— Panie Jakubie, panie Bartnik, nie warto, zaraz przyjedzie ochrona — wydukał pracownik banku, który go obsługiwał.

— Ja, kurwa, nie mam czasu na takie pierdoły!

Nie było na co czekać. Zoltar lewą ręką wyciągnął z kurtki paralizator i wymierzył w Bartnika.

— Stój! — Kropka laserowego znacznika znalazła się na policzku mężczyzny.

— Ożeż ty kurwa twoja mać!

Najwyraźniej Bartnik poczuł wzburzenie, które za chwilę miało przejść w stan przemocy fizycznej. Nie było na co czekać. Zoltar nacisnął spust. Z kartridża wyleciały dwie elektrody zakończone małymi harpunami, które wbiły się w ciało napastnika. Ten zawył i zatańczył. Wbicie się w policzek haczyków i pięćdziesięciu tysięcy woltów zrobiło swoje, rosły osobnik padł na ziemię. Było dokładnie tak jak w instrukcji obsługi, którą czytał w necie. Po trafieniu harpuny wbijają się w napastnika, zaczepiają się o jego ubranie lub ciało. Człowiek porażony prądem nie jest zdolny do żadnej reakcji obronnej. Paralizator razi przez trzydzieści sekund po pojedynczym ściągnięciu spustu, całkowicie pozbawiając go kontroli nad mięśniami, a co za tym idzie — nad ciałem.

No i tak było, tak, dokładnie tak! Gość, który chciał mu przyłożyć, agresywny cham, jeden z wielu znanych z barów i plaż, tępy, napakowany fiut, leżał teraz u jego stóp!

— Yes, yes, yes — ucieszył się jak Kazimierz Marcinkiewicz i zaczął się śmiać, bo bawiło go to niezmiernie. Zawsze chciał dać nauczkę komuś takiemu, to było jak gwiazdkowy prezent! Po czym radośnie zarechotał.

— To wariat jakiś, wariat! — powiedział mężczyzna, który stał przy okienku.

— No wariat! — przytaknął z szerokim uśmiechem, którego nie było widać pod wielką maską. — Na ziemię! A wy wygarniajcie kasę!

Wszyscy się położyli. Wiedział, że nie ma wiele czasu, choć za bardzo go już nie kontrolował? Minuta, dwie? Może jeszcze zdąży popieścić prądem tego nieuprzejmego knura? Bycie bandytą zaczęło mu się coraz bardziej podobać!

Chłopak, z którym rozmawiał przed wejściem do banku, stał teraz z nosem przyklejonym do szyby i patrzył na widowisko, którego się nie spodziewał. Wyciągnął komórkę i filmował z zapalonym, czuł się jak reżyser sensacyjnego hitu, tyle że reżyser wie, co będzie, a on kompletnie nie miał pojęcia, czego się jeszcze spodziewać.

W Zoltarze narastał entuzjazm, zbliżał się do stanu, który wiele lat temu osiągnął podczas gry w szkolnym przedstawieniu. Miał wtedy mały epizod, ale oklaski zachęciły go do dalszego występu. Z paru zdań wyszła wielka improwizacja. Nauczycielka chciała go zgonić ze sceny, ale on mówił i mówił, upajał się chwilą popularności. Teraz czuł to samo, zioło dodało mu skrzydeł, pomachał do swojego widza zza szyby i pomyślał, że nie tylko on zobaczy go w akcji, że przecież w banku są kamery, że materiały pokażą wszystkie telewizje i internety, więc rozejrzał się dookoła, starał się machać do każdej z kamer i uśmiechał się pod maseczką, która skrywała nie tylko usta, ale i wielką rudą brodę.

Zobaczył, że w aneksie dla klientów VIP był automat z kawą. Tak, przecież ten typek, ten cały pan Jakub, którego obezwładnił paralizatorem, pił kawę!

— Pakować, pakować — zaśmiał się. — A ty — machnął ręką uzbrojoną w pistolet w kierunku bankowca obsługującego VIP-ów — espresso raz!

Tak mu powiedział, jak kiedyś, kiedy miał forszę i wydawał kelnerom polecenia. Espresso raz! Whisky z lodem! Szampana! Ostrygi! Tak, jadł ostrygi, zanim to było modne, stać go było na takie luksusy, i mówił espresso, kiedy prostaczkowie kaleczyli język, prosząc o ekspresso! Miał w planach kupno Lambo, żeby nie tłumaczyć, jak się poprawnie wymawia nazwę marki Lamborghini. Nie zdążył, wszystko się zesrało i dlatego teraz jest tutaj w kominiarce na głowie i grozi pistoletem.

— Słucham? — wybąkał urzędnik.

— Kawę mi podaj, bo przecież mam tego twojego bardzo ważnego klienta na smyczy! Chyba że chcesz potrzymać — zaśmiał się, wywijając paralizatorem. Kabel miał ponad cztery metry, więc mógł krążyć wokół pyskatego Kuby Bartnika. — Podasz tę kawę czy nie? — ponaglił urzędnika, bo bardzo mu się tego espresso zachciało,

a jeszcze bardziej czegoś słodkiego. — Dwie łyżeczki cukru i zamieszaj!

Nalał, zamieszał, podszedł i stanął przed nim jak jełop.

— Ale do której ręki podać?

— Przytrzymaj paralizator, tylko bez numerów, bo cię zastrzelę — powiedział Zoltar wesołkowatym głosem, co wzbudziło jeszcze większą grozę.

Upił łyk.

— Nie najgorsza! Chyba podasz mi jeszcze jedną, no i czekoladki, dużo czekoladek. — Zoltar poczuł, że wchodzi w delikatną gastrofazę. — Ale najpierw daj worek z kasą. To, co przyniósł ten schab.

Urzędnik poszedł, ciągnąc za sobą kabelki, które się naprężyły, szarpiąc harpuny wbite w policzek Bartnika. Zoltar z niepokojem zauważył, że typ się rusza i pojękuje, musi przerwać delektowanie się kawą i przejąć paralizator. Ruszył za urzędnikiem i wtedy zobaczył, że jeden z leżących na podłodze klientów majstruje coś przy komórce.

— Co tam masz, zostaw tę komórkę!

— Nie mam żadnej komórki — zapiszczał mężczyzna w garniturze, który rozpaczliwie chciał ukryć telefon.

Ten głos! Skądś znał ten głos kastrata, który z ekranów telewizorów, laptopów i komórek wykrzykiwał ogłoszenia, groźby, zakazy i modlitwy. Ale przede wszystkim groźby.

— Ja pana znam! — ucieszył się Zoltar, jakby trafił ostatnie pytanie w „Milionerach”. — Znam cię, chuju! — powiedział na koniec, bezceremonialnie skracając dystans i wyrażając wprost swój stosunek do leżącego nie podłodze mężczyzny.

To był Robert Trzmiel, wiceszef ugrupowania Nasza Polska, nazywany przez komentatorów politycznych języczkiem u wagi, a przez co śmielszych brunatnym języczkiem u wagi. Dla jednych określenie „brunatny” nawiązywało do skinheadowskiej młodości i jej niewinnych, jak mówił, błędów, jakimi było hajlowanie podczas Święta Niepodległości oraz obchodzenie imienin Adolfa Hitlera. Trzmiel tłumaczył się po latach, podobnie jak wielu innych, że nie żadne tam heil Hitler, tylko salut rzymski, bo przecież jedenastego

listopada to Piłsudski, a Piłsudski to legiony, a legiony to Rzym i właśnie tak legioniści się pozdrawiali.

Co do innego jedenastego, też na 1, ale lutowego, nie listopadowego, to żalił się, że jest ofiarą lewackiej napaści, bo tego dnia imieniny obchodzą oprócz Adolfa także Benedykt, Bernadeta, Bertrada, Cedmon, Dezyderia, Dezyderiusz, Dezydery, Grzegorz, Heloiza, Jonasz, Lucjusz, Łazarz, Łucjusz, Maria, Olgierd, Paschalis, Sekundyn, Seweryn, Świętomira, Teodora i Wiktoria. Tak to objaśnił mecenas broniący wtedy Trzmiela i jego kolegów. Wielu komentatorów łączyło zaś brunatny język z pewną dość obsceniczną czynnością, która symbolizowała determinację i uległość, z jaką Trzmiel potrafił służyć partyjnym liderom. Te akademickie dyskusje na temat brunatności języka kończyły się z reguły konsensusem, bo oba zastosowania tego określenia mogły z powodzeniem występować obok siebie.

Taki też kolor miała kawa rozjaśniona mlekiem, a której Zoltar nie miał czasu już dopić. Trzeba jak najszybciej brać kasę Bartnika, dosypać mu jeszcze z paralizatora i wiać, ale postanowił zrobić coś jeszcze. Wypalona przed akcją trawka wciąż go nakręcała.

Polityką interesował się pobieżnie, w końcu nie mógł głosować, ale Trzmiela i Naszą Polskę kojarzył aż nadto dobrze, bo Pablo był ich osobistym wrogiem, przykładem wynaturzenia i antypolskiej działalności, za którą członkowie Naszej Polski chcieli wsadzać do więzienia albo w najlepszym razie wyrzucać z ojczyzny. Ich wściekłość wzbudziła rzeźba „Nie daj się zgnoić” z dopiskiem „Nowy Jork, 16 października 1992”, która przedstawiała Sinéad O’Connor i Krisa Kristoffersona, który przytula piosenkarkę po tym, jak została wygwizdana przez publiczność zgromadzoną w Madison Square Garden.

Kilkanaście dni wcześniej podczas telewizyjnego show „Saturday Night Live” O’Connor podarła zdjęcie Jana Pawła II, wołając: „Walcz z prawdziwym wrogiem!”. Kilkanaście tysięcy ludzi wygwizdywało ją i wtedy podszedł do niej Kristofferson, objął ramieniem i powiedział: „Nie daj się zgnoić tym draniom”. Dla Naszej Polski rzeźba była początkiem wojny z Pablem, a ostatnia praca, „Chrystus-Krychowiak”, jej kolejnym etapem.

Zoltar uśmiechnął się pod maską, podszedł do rozciągniętego na ziemi polityka i wylał mu na tyłek filiżankę napoju. Poseł zawył. Darł się i żałośnie pojękiwał, jakby został polany wrzątkiem, a kawa wcale nie była taka gorąca. Zoltar poczuł ją przez rękawiczkę, bo oblewając posła, zrobił to trochę niezdarnie, brudząc i siebie. Odstawił filiżankę i wymachując pistoletem, nakłonił urzędnika do wsadzenia do plecaka torby z pieniędzmi Bartnika. Odebrał paralizator i nagle wszystko zagłuszył ryk klaksonu. Zoltar spojrział w kierunku witryny, zobaczył, jak chłopak, który śledził akcję i filmował ją komórką, odskakuje, a po ułamku sekundy z potwornym rykiem silnika i trzaskiem tłuczonego szkła wbija się w witrynę banku czarna limuzyna.

Szyba nie była do samej ziemi, zaczynała się jakieś trzydzieści centymetrów nad chodnikiem, rozpedzone auto wybiło maskę szybę, ale nie wjechało do środka, bo nie sforsowało fundamentu witryny kołami. Samochód zawisł na zdruzgotanym zawieszeniu i progach, resztki kół wciąż się obracały, bo silnik pracował. Kierowca był poturbowany i zablokowany przez poduszki powietrzne. Poza tym drzwi od jego strony opierały się o obramowanie okna. Zakleszczony za kółkiem kierowca był oszołomiony, ale mimo wszystko czegoś szukał, po chwili Zoltar domyślił się czego. Na desce rozdzielczej leżał pistolet, to jego pewnie szukał!

Tu się nie ma co zastanawiać, tu trzeba spierdalać, pomyślał Zoltar.

Wskoczył na maskę auta, ale nagle doznał olśnienia. Przyszło ono wraz z szarpnięciem elektrycznej smyczy, to był znak, że oddalił się na ponad cztery metry od pyskatego Bartnika, który usiłował wyrwać z twarzy harpuni. To była ostatnia chwila.

— Aaa aaa, kurwaaa. — Jakub Bartnik zawył i niezgrabnie zaczął się podnosić z ziemi. Po chwili stał już na nogach i dopiero wtedy z jego zakrwawionej twarzy dobył się ryk: — Oddaj moje pieniądze, skurwysynu!

Wtedy Zoltar po raz kolejny poczęstował go prądem. Po paraliżującej dawce wyszarpnął harpuni z twarzy Bartnika, schował paralizator do kieszeni i wskoczył na maskę limuzyny. Popatrzył raz jeszcze na przerażonych klientów i załogę banku, na piszczącego

Trzmiela i zeszywniałego Bartnika, i nagle zrobił coś, mu się niedawno przyśniło. Teraz nie miał pod ręką kubła z czarną farbą, ale miał rękawiczkę umazaną w kawie. Rozpostarł więc palce i pacnął o białą ścianę, zostawiając znak odcisniętej dłoni. Zrobił to tak gwałtownie, że aż go zapiekła skóra. Jeszcze mocniej zaboląła dłoń kierowcę Trzmiela, bo wygrzebując się przez przednią szybę, położył ręce na masce, a biegnący Zoltar nadepnął mu na dłoń. Przy akompaniamencie wycia szofera-ochroniarza wskoczył na dach, a później po bagażniku zbiegł na chodnik.

Wpakował pistolet i paralizator do plecaka i szybko wskoczył na rower, bo wyjący z bólu ochroniarz był już tuż za nim, na masce auta, niebezpiecznie wymachując pistoletem. Zoltar nacisnął na pedały i odjechał chodnikiem, mijając zaskoczonych przechodniów. Kiedy skręcał w bramę prowadzącą na ulicę Siewierską, rozległy się strzały, widocznie ochroniarz polityka nie tylko znalazł pistolet, ale i uwolnił się z auta.

V

35.

Trasę miał opanowaną, jakby był rajdowym pilotem i samochodową nawigacją w jednym. Z bramy nie wyskoczył na Siewierską, tylko dał ostro w lewo w osiedlową uliczkę, popedałował w kierunku Przemyskiej, po czym strzelił w bok między domami i wjechał na ścieżkę rowerową przy Bitwy Warszawskiej. Jeśli światło będzie zielone, przejedzie na drugą stronę ulicy na wysokości Białobrzeskiej, jeśli nie, pojedzie dalej do Orzeszkowej, a jak się nie uda, to do Szczęśliwickiej. Na tej ostatnie prostej będzie mógł już tak wyregulować prędkość, by się wbić w cykl zmiany światła. Wszystko sprawdził, wyliczył i zapisał.

Udało się już za pierwszym razem, przy Białobrzeskiej, ale nie pojechał nią w kierunku Opaczewskiej, bo musiałyby mijać policyjne radiowozy, które z pobliskiego komisariatu wystartują do banku. Tak było! Usłyszał syreny, już się zbliżali, a on pojechał drugą stroną Bitwy Warszawskiej do Orzeszkowej. Tam przy dawnej bazie MPT skręcił i już spokojnie dojechał do skweru, gdzie czekali na niego Ekonomista i dwa psy. Nie było jednak Edka ani elektrycznego roweru.

— Już myślałem, że miałeś wypadek, bo jechały karetki i policja. — Powitał go Ekonomista, z którym przeszedł ostatnim razem na ty. Wiadomo, brudzio, to kolejna okazja do wypicia. Okazja jakże kulturalna i uzasadniona, chwalebna, można powiedzieć.

— Nie, wszystko w porządku... — starał się mówić spokojnie, ale nie potrafił.

Jego elektryk gdzieś wyparował, i to razem z Edkiem. Bał się, że menelik sprzeda go jakimś dzieciakom za parę stówek. Misterny plan ucieczki byłby wówczas zagrożony. Przecież teraz miał zostawić Ekonomistę i Edkowi czajkę, wskoczyć na elektryka i spokojnie

pojechać w kierunku Dworca Zachodniego. Tam miał złożyć rower, kupić bilet, wejść do pierwszego z brzegu pociągu, który nie byłby objęty rezerwacją miejsc, i wysiąść na Dworcu Stadion, jeśli będzie to SKM, albo na Wschodniej, jak trafi na zwykłe PKP. I kicha. Czuł, że zaczyna się trząść ze zmęczenia, bo grzał jak szalony, oraz z emocji.

— Z drogi śledzie, bo król jedzie — usłyszał wrzask Edka, który śmignął mu koło ucha.

Menel przyhamował i zsiadł z roweru.

— No cacuszko, ładniutki, szybko idzie, a kręcić nie trzeba — pochwalił. — A co, tego rupla żeś nie obzenił?

— Za stówkę pięćdziesiąt to bym sprzedał, choć z bólem, bo to pamiątka, a ten cwaniaczek chciał sto!

— A to łobuz, nowe gumy, czyściutki, wysmarowany, z dzwonkiem, błotnikami, siodełko luks, no i na dwie stówki żeście się umawiali.

— No właśnie, więc mnie zdenerwował i nici z transakcji.

— Więc nie będziemy dziś opijać? — ze smutkiem skonstatował Edek.

— No nie, ale wałoweczkę mam! Kupiłem akonto sprzedaży.

Czas leciał, trzeba było kończyć to przedstawienie, wyciągnął z plecaka połówkę, sok i kabanosy.

— Wypijcie za moje zdrowie!

— Za te szczodre dary i twoje zdrowie, ale nie otwieramy, bo tu jeszcze mamy do dokończenia małpisonka, ledwo co zaczęły. — Ekonomista wzniosł flaszkę do góry, łyknął, po czym podał koledze. Ten też wypił solidny łyk. Flaszeczka powędrowała w kierunku Zoltara, ale wykonał gest jak z plakatu antyalkoholowego.

— Będę jechał tym eleganckim elektrykiem, a straż miejska łapie na ścieżkach rowerowych. Polują z alkomatami.

— No racja, gawrony są gorsze od psów. — Edek pokiwał głową ze zrozumieniem i pociągnął łyk.

Głośne gulgotanie towarzyszące konsumpcji, której oddawał się Edek, zagłuszyła melodia wygrywana przez syreny radiowozów i wybijające się ponad wszystkie inne miejskie odgłosy buczenie wozu strażackiego.

— Na mnie już czas — powiedział nagle, spoglądając na zegarek. — Córka do mnie z Wrocławia przyjeżdża, spóźnię się. Czajkę odbiorę jutro, tramwajem przyjadę!

Zostawił zaskoczonych bywalców skweru Maharadży i odjechał.

— Się zmył... — zdziwił się Edek. — No, ale wróci, flaszkę zostawił, no ten rower! Te dwie stówki to przesada, ale stówkę to on na luzie wart. Wróci.

— A ja myślę, że nie wróci — zamyślił się Ekonomista, który wsłuchiwał się w wycie policyjnych syren.

— Gadasz, rowerek by zostawił, no i takich kumpli jak my?

— Zakład? — zaproponował Ekonomista.

— Zakład.

— Stoi? — upewnił się Ekonomista.

— Stoi! — potwierdził Edek.

— A o co?

— No pewnie, że o małąkę przecież!

— To jasne, ale czy o małą, czy o dużą? — Ekonomista był dociekliwy.

— Się wie, że o dużą małąkę, bo wygram, więc małe gówno mnie nie interesuje! — Edek był pewien sukcesu.

— A nie zauważyłeś w nim czegoś dziwnego? — spytał Ekonomista.

— No broda... Ale brodatych dużo teraz. Jak u Arabów, wszyscy teraz brody noszą.

— Jego jest taka mocno czarna — drążył Ekonomista, który już tylko głośno myślał. — I te rękawiczki — dodał na końcu.

— Jak mówiłem za pierwszym razem, że dziwny typ, to się czepiałeś, że ja jestem dziwny. A teraz, jak się okazało, że w sumie fajny herbatnik, młodszy od nas, ale taki kontaktowy, to żeś się przychrzanił o brodę i o rękawiczki? Zobaczysz, że tu do nas wróci — powiedział Edek stanowczo, bo nie mieściło mu się w głowie, że ten Zenon, którego poznali parę dni temu, mógłby zrezygnować z takiej miejscówki i z takiego towarzystwa, jakie znalazł na skwerze Maharadży. No i z rowerka, za który najmniej stówkę można by dostać.

*

Tymczasem Zoltar pruł z pełną prędkością swojego wehikułu w kierunku Blue City, by odbić z Opaczewskiej w Bohaterów Września, gdy nagle zobaczył, że policja blokuje okolice meczetu przy rondzie Zesłańców Syberyjskich. Z daleka widział, jak w piosence Kazika, że migają niebieskie szklanki, więc spanikował i pojechał dalej. Coś pchnęło go w Kurhan. Uliczką pełną leżących policjantów dojechał do parku Szczęśliwickiego i tam na chwilę przystanął.

Miał ochotę zakląć na cały głos, bo zapomniał o ważnym szczególe. Próbował teraz nadrobić stracony czas: wyjął z plecaka drugi, nieco większy i w innym kolorze, i przepakował rzeczy. Zmienił też bluzę, zdjął brodę i znalazł inną czapkę. Teraz mógł ruszać dalej.

Chciał opanować rosnącą panikę. Jechał szybko przez park, później przemknął przez Grójecką i dotarł do kolejnego parku, na Fortach Korotyńskiego. Tam nieco doszedł do siebie i wymyślił, co robi. Ruszył przez Rakowiec, wybierając mniejsze uliczki i drogi osiedlowe, aż do torów kolejowych. Rzucił w krzaki elegancki rower i wszedł na peron przystanku Warszawa Żwirki i Wigury. Kiedy po kwadransie przyjechał skład Szybkiej Kolei Miejskiej, zobaczył w szybie swoje odbicie, starego, zmęczonego typa w wełnianej czapce na łysej głowie i w białym, zapinanym pod brodę dresie. W niczym nie przypominał kogoś, kto pół godziny temu dokonał skoku na bank przy ulicy Grójeckiej.

W pociągu wszyscy rozmawiali o jednym: o napadzie na bank przy Grójeckiej. Z każdym nowym pasażerem, komentarzami w sieci, którymi się wymieniali, akcja robiła się coraz krwawsza, a suma skradzionych pieniędzy coraz wyższa. Nie wytrzymał i wysiadł, a później poszedł na piechotę do Manufaktury.

Chciał ochłonać, ale tylko się zmęczył. Emocje sprawiły, że ledwie się snuł i bramę Manufaktury przekroczył w stylu, w jakim pierwszy maratończyk wbiegł do Aten. Facet dotarł do miasta, ogłosił sukces i padł.

On nie zdechł z wyczerpania, ale nie mógł ogłosić, że wszystko poszło, jak trzeba. Był śmiertelnie zmęczony.

— Kolego — dobiegł do niego głos Rambo, przyjazny, wręcz miły, może nawet za miły. Udał, że go nie słyszy, szedł dalej w kierunku pracowni. — Kolego! — Drugie wezwanie było już wygłoszone donośniejszym głosem, wciąż jednak miłym, może nawet z nutką wesołości.

Szedł dalej, nie przyśpieszając, jakby naprawdę nie słyszał. Zaraz pewnie ten zmilitaryzowany cymbał krzyknie, ale on był na to przygotowany, nawet nie drgnie. Jeszcze parę kroków, trzy, dwa, jeden... Nagle poczuł na ramieniu ciężką dłoń, nogi ugięły mu się jak resory dostawczaka, na którego pakę zrzucono ładunek przeznaczony dla pełnowymiarowej ciężarówki.

— Kolego... — usłyszał po raz trzeci, znów miło, sympatycznie, słodko, po czym poczuł, jak dłoń leżąca na jego ramieniu w jakiś niewyobrażalny sposób obraca nim o sto osiemdziesiąt stopni.

Stał teraz twarzą w twarz z Rambo. Prawie twarzą w twarz, bo był od Rambo o głowę wyższy. Ten patrzył na niego z dołu z przymilnym, szwejkowskim uśmiechem, ale jego oczy nie były oczami czeskiego aktora Rudolfa Hrušínskíego, tylko ślepiami wilka. Patrzył na Zoltara tak, że zniknęło kilkanaście centymetrów przewagi. Poczuł się jak soplel, który topnieje w ostrym słońcu.

— Tylko mi się tutaj nie zlej ze strachu, nie zrobię ci krzywdy. — Oczy nadal były wilcze, ale twarz i ton głosu wyrażały troskę. — To, co zrobiłeś, było naprawdę interesujące. Dasz obejrzeć film?

— Słucham? — Zoltar jak skazaniec, który wie, że przyszli po niego, by poprowadzić na egzekucję, udawał, że nie rozumie.

— Nie wiesz, że każdy porządny taser ma rejestrator, a mój, tak się składa, jest porządny.

— Ale...

— Chcę to zobaczyć, a przy okazji dostać z powrotem moje urządzenie — uśmiechał się, ale chłodniej, a głos miał bardziej stanowczy. — Nie co dzień zdarza się, że ktoś ci podprowadza paralizator, a później wykorzystuje go do napadu na bank. Tak to sobie, mój drogi, złożyłem. Najpierw czuję, że w ładownicy coś lekko, sprawdzam i co? Nie ma paralizatora. Niedobrze! Sprawdzam

w kamperze, szukam, zaglądam wszędzie i dalej nie ma. Myślę sobie niefajnie, może ktoś pożyczył? Kto? Tylko ty, bo rano byliśmy tu sami, Hendrix i Ala wyjechali, Dziadek, Zuza i Olek przyjechali już po mojej siłowni, więc zostajesz ty! A później info o napadzie z użyciem paralizatora! Nie bój się, facet ma mocną pikawę, żyje!

— Jaki napad, jaki facet? — Zoltar otworzył szeroko oczy. Tak jak mały chłopiec, któremu starsi koledzy zdradzają z pomocą materiałów pogładowych, że ptaszek służy nie tylko do sikania.

— Wiesz, jak teraz wyglądasz? — Zoltar pokręcił przecząco głową, bo wydawało mu się, że na autentycznie zdziwionego. — Jak wilk, którego Czerwony Kapturek zapytał, dlaczego ma takie wielkie oczy. Nie czaruj, bo przestajesz być zabawny, choć powinienem się na ciebie gniewać. Idziemy!

— Dokąd? — Tym razem Zoltar nie udawał.

— Do Olka, bo ma najlepszy komputer, proste, nie? — oznajmił Rambo ze spokojem, jakby przeglądanie materiału z napadu na bank na komputerze osoby trzeciej było zwykłą praktyką.

Rozwiązał jego wątpliwości, popychając go w kierunku windy. Kiedy jechali w górę, miał wrażenie, że jest w klatce z wilkiem, który może go rozszarpać, ale nie robi tego, znajdując w odraczaniu egzekucji przednią rozrywkę. Po schodach byłoby szybciej, ale Rambo najwyraźniej sycił się każdą chwilą. Patrzył na niego wilczymi ślepiami i wciąż się uśmiechał.

Pierwszy raz wydał mu się kimś innym. Kimś, kogo należy się bać, a nie toczyć bekę. Jeszcze bardziej przeraziło go to, że posklejał fakty, a będzie już zupełnie źle, kiedy go zaciągnie do Olka i sprawdzi, co się nagrało na karcie pamięci.

Szedł jak na skazanie, czując na ramieniu ciężar dłoni Rambo. Każdy krok przybliżał ich do windy, którą wjadą do pracowni Olka i Zuzy. Nagle coś do niego dotarło, nie było cholernego Szarika, może pobiegł za jakąś suką? — pomyślał Zoltar. Zrobi szybki obrót, wymknie się pod ramieniem i ruszy biegiem do pracowni, tam się zabarykaduje, a pieprzony paralizator wrzuci do pieca!

Poszło łatwiej, niż myślał, ale kiedy sięgał dłonią do klamki, usłyszał warczenie psa. Przywarł do ściany, bo zmarszczony, wibrujący od warczenia pysk był coraz bliżej, kły odsłaniały się coraz

mocniej, a oczy bestii przeszywały go na wylot. Rambo chyba się sycił tą chwilą, bo szedł wolno, jakby chciał się ponapawać jego strachem. Zoltar czuł, że zaraz wpadnie w panikę, nie przepadał za psami, a to coś nie było już psem, tylko bestią.

— Szarik, noga! — Rambo wydał komendę i pies, jakby nigdy nic, odstąpił od ofiary.

To jest jednak gamoń, pomyślał Zoltar. Gamoń i frajer, bo dał mu szansę, z której on skorzysta. Wykonał dwa szybkie kroki i wskoczył na drabinkę ewakuacyjną. Pies wystartował i klapnął zębami, ale te trafiły tylko w próżnię. Bestia zawyła, a on już stał na żeliwnym tarasiku prowadzącym do jego pokoju. Balkonowe drzwi były otwarte, szybko je zamknął i zaciągnął kratę, później pobiegł do drzwi wejściowych i przekręcił klucz, będą mu mogli skoczyć!

Błyskawicznie wdrapał się po drabince, biegł po żeliwnym krużganku, zwolnił, bo obejrzał się za siebie, i zobaczył, że Rambo odpuścił sobie wspinanie po drabinie. Spokojnie zbliżał się do drzwi, uspokajając oddech, kiedy usłyszał tupot, spojrzał w dół i zobaczył, jak Rambo dokonuje czegoś, co do tej pory widział jedynie na filmach o ninja, japońskich zabójcach, którzy fruwali jak nadludzie. I właśnie Rambo zrobił coś takiego. Nie wdrapał się za nim po drabince, nie przebiegł po żeliwnym tarasie, tylko błyskawicznie znalazł się na dachu swojego samochodu, po czym wziął z niego rozbieg, skoczył w kierunku krużganka, wyciągnął się w powietrzu jak linoskoczek, który frunie od trapezu do trapezu, złapał za barierkę, wykonał ciałem jakiś węzowy ruch i po chwili stał przed nim, oddzielając go od drzwi.

Nie było odwrotu, nie było szans na ucieczkę, bo na dole, pod drabinką, stał pies i szczyrzył kły, jakby był wilkiem z bajki o Czerwonym Kapturku. Z dwojga złego wybrał walkę z człowiekiem, skulił się w sobie i ruszył taranem. Uderzył i poczuł, jakby się odbił od skały, a po chwili doświadczył tytułowego chwytu zapaśniczego z jednego z najsłynniejszych odcinków przygód Hansa Klossa.

Podwójny nelson założony przez Rambo pozbawił go jakiegokolwiek możliwości ruchu. Był pokonany, bezradny, skończony...

36.

Śledztwo w sprawie zabójstwa mecenasa Jakuba Hamerskiego nieuchronnie zmierzało w kierunku umorzenia. Gwiazdor palestry okazał się bardziej rozrywkowym chłopcem, niż to opisywały tabloidy i kolorowe magazyny. Wszystko wskazywało na to, że zapił, zmieszał z dragami, pojechał z jakąś dziwką do lasu i tam padł. Nawet jakby nie trafił tyłem głowy na gałąź, to i tak nie miał szans. Ludzie nie są w stanie przyjąć takiej ilości alko i narkotyków, a nawet jeśli, to zmarłby śmiercią rockmana; rzygając na wieloryba, udusiłby się. Mało przyjemne, zdarza się, życie.

Głośna sprawa, nic z niej nie miał, w przeciwieństwie do pismaków, co grzali tym tematem bez końca, który nastąpił dopiero wtedy, gdy prowadzący program „Rodzinna katecheza” upił się, naćpał, pokłócił ze swoim partnerem i nago poszedł do kościoła na Starówce, dobijając się do drzwi, bo chciał się pojednać z Bogiem. Też się zdarza, także politykom, sędziom i księżom. Życie pełne jest przypadków, a te ostatnie pchały go w kierunku regulaminowej emerytury.

Jaskulski miał trzydzieści osiem wiosen, gdyby wykonywał inny zawód, to do emerytury zostawałoby mu dwadzieścia siedem lat, ale jako policjant, który miał za sobą piętnaście lat służby, mógł zostać emerytem. Dawno temu, zanim jeszcze wstąpił do policji, myślał o tym, żeby odpękać te piętnaście lat i powiedzieć „cześć”. Co więcej, po pierwszych dwóch miesiącach służby, kiedy jak każdego młodego kandydata na glinę skoszarowano go i wysłano na patrole, nie myślał o niczym innym jak o tym, by się z tego wycofać. A potem doszło do wielkiego przyspieszenia, po którym bywało jak w życiu, raz w górę, raz w dół, i tak po piętnastu latach służby miał stopień komisarza i pracował w prestiżowym wydziale do walki z terrorem kryminalnym i zabójstw.

Dla wielu był to szczyt marzeń, dla niego kolejny krok, bo jego ambicje sięgały stopnia inspektora i szefa sekcji, w której pracował, a następnie... Śmiano się za jego plecami, że myśli o stołku Dużego Stołecznego! Ci, którzy go znali, nie mieli pojęcia, że Jarosław

Jaskulski wcale nie celuje w najwyższe stanowiska w policji, ale w rządzie! Tak to sobie wymyślił i tak tkał sieć znajomości, zależności i ścieżek prowadzących do najlepszych stanowisk w kraju. Najpierw do krzesła posła, a następnie szczy w MSWiA, może szefa służb, a może ministra. To się okaże, musi lepiej poznać ten świat, wtedy się zdecyduje.

Kiedyś nie miał takich ambicji. Wstępując do policji, był jednak bardziej idealistą niż pragmatykiem i na pewno nie karierowiczem. Wszystko zdeterminował jeden dzień służby, a potem już poszło z górki.

Zaczął się inaczej niż w filmach kryminalnych. Jarek Jaskulski nie marzył o karierze szeryfa, nie ocierał się też, jak to lubią malować pisarze i scenarzyści, o młodociany gang oraz odsiadkę. Jarek miał marzenia jak większość chłopców, żeby zostać gwiazdą piłki nożnej, sławnym muzykiem albo biznesmenem, tak czy owak, człowiekiem bogatym, mającym fajne fury, piękny dom, wakacje pod palmami i — ma się rozumieć — powodzenie u dziewczyn. W piłkę grał nieźle, ale nie wybitnie, od gry na gitarze bolały go palce, jako raper też nie odniósł sukcesu, bo nie kleił rymów jak pewien typ, który zaistniał potem jako BlokeeBoy, a do disco polo miał za niski głos. Generalnie nie był gapa, ale nie był też mistrzem, który jak pasikonik przeskakiwał z klasy do klasy, lubił się bawić, chciał być bogaty i ważny albo choć ważny, albo bogaty, tylko nie bardzo wiedział, jak to zrobić, dlatego po liceum nie pozostawało nic innego, jak pójść na studia.

Przez dwa lata marnował się na zarządzaniu, bo tam poszła jego panna, Jolka Łuczak, ale zerwali i stracił do tych studiów zapał. Później chwilę męczył się na marketingu, bo mu kolega powiedział, że marketingowcem może być każdy, a poza tym studiują fajne dupy. Może i studiują, ale nie na tej uczelni, a nauka wcale nie była taka łatwa i nie wyglądało to wszystko najlepiej. Trzeba się było rozglądać za czymś konkretnym, bo rodzice skrzeczeli, że nie będą płacili za jego fanaberie. Zwłaszcza ojciec dokładał do pieca, pruć się, że kiedyś to by spał poślady i by się zaczął uczyć, boby się wojska bał.

Nie bał się. Nikt się nie bał, bo dawno temu zniesiono obowiązkową służbę wojskową. Teraz można było się zaciągnąć na

zawodowego i zarabiać. Pieniądze za ćwiczenia i strzelanie wydały mu się nawet atrakcyjne, ale uznał, że łożenie w mundurze go nie pociąga, podobnie jak koszary, choć pójście na emeryturę po piętnastu latach służby działało na wyobraźnię. Podziałało twórczo i pomógł trochę przypadek. Rodzinna impreza, chrzciny, na których spotkał dawno niewidzianego kuzyna. Służył w policji, trochę narzekał, bo kto nie narzeka, ale ogólnie to z opisu wyglądało, że jednak bardziej jest okej.

I nie służył w mundurze! Mundur tylko na galowo, jak odznaczali, a jego akurat odznaczyli za to, że wracając po służbie, rozpoznał na ulicy poszukiwanego listem gończym. Gdyby go zwyczajnie rozpoznał i złapał, toby nie było takiego szumu i fejmu, ale tamten baran był napruty, a chciał kasy na coś więcej, potem tłumaczył, że nie stykało mu na jeszcze jedno wino i na dziwki. Skoro miał potrzeby, to postanowił zorganizować środki i za pomocą ostrego, niebezpiecznego narzędzia, tak później napisano w protokole, czyli zardzewiałego gwoźdźca, próbował dokonać rozboju.

— Wiesz, dla mnie to był pikus — opowiadał Jaskulskiemu kuzyn. — Ale tej lasce groził wydlubaniem oka, bo on wyskoczył do dziewczyny, która szła ulicą. Ciemno było, zastraszył ją, wciągnął do bramy, a tam doszedł do wniosku, że może przyoszczędzić na dziwce. No i wtedy ja, nie uwierzysz, kuzyn: cały na biało, bo lato było — zaśmiał się — mówię mu, co i jak, że policja i tak dalej. A ten skurwysyn na to, żebym nie pierdolił, że jak wygląda pies, to on wie, a ja nie wyglądam i żebym spierdalał. Ogólnie mało uprzejmy był, więc musiałem użyć środków przymusu bezpośredniego, zgodnie z punktem drugim, dla odparcia bezpośredniego, bezprawnego zamachu na życie, zdrowie lub wolność uprawnionego lub innej osoby. Wszystko się zgadzało, prawda? Tylko on się nie zgadzał! Miałem pistolet, ale jeszcze sytuacja nie dojrzała, a on był pijanym leszczem, to się ograniczyłem do siły fizycznej. W trakcie szarpaniny wbił mi w rękę ten cholerny gwoździec i jeszcze chciał poprawić, więc dostał fangę w nos i po temacie. Zadzwoiłem na alarmowy, minuta pięć i chłopcy byli, zawinęli pacjenta i okazało się, że bingo! Nie stawił się na odsiadkę, był poszukiwany, do tego doszło usiłowanie gwałtu, rozbój z użyciem niebezpiecznego narzędzia, stawianie

oporu, napaść na funkcjonariusza, a że miał już to i owo na koncie, to doszła recydywa. Z kolei ja po służbie, czas wolny, inicjatywa, postawa i tak dalej. W województwie głośno o tym było, nawet media centralne wspominały. Komenda Główna kupiła temat, więc nagroda, odznaczenie i awansik. Teraz jestem aspirantem, tak się kaszle, młody! Za dwa lata będę starszym aspirantem i z tego prognozę wystartuję na emeryturę, bo się robi nieciekawie, no wiesz, polityka, sporo starych, fajnych kolegów odchodzi.

To spotkanie było dla niego przełomowe, bo uznał, że skoro starszy kuzyn mógł tak kozakować, a zdaniem Jarosława Jaskulskiego on sam był od niego silniejszy, sprytniejszy i lepiej wykształcony, w końcu dwa lata studiował, to zrobi w policji szybszą i nieporównywalnie większą karierę. Zwłaszcza że doświadczeni gliniarze odchodzą ze służby, więc zwalnają się miejsca i są awanse.

Zgłosił się, przeszedł rekrutację, a później półroczne szkolenie, które zakończył zdanym egzaminem i trafił na... ulicę, czyli do prawie dwumiesięcznej służby w prewencji. Taki okres adaptacyjny, podczas którego miał odbyć koło czterdziestu służb i dwa dni doszkalania. Po tym wszystkim powinien zostać skierowany do wyznaczonej mu jednostki policji.

Podczas służby kandydackiej nie było różowo. Koszary, monotonna robota i narzekania starszych kolegów, że syf, że mało płacą, prestiż chujowy i tak dalej. Coraz częściej myślał o tym, że się nie zaadaptował i nic z tego nie wyjdzie. Przyszłość układała się trochę jak piętnastoletnia odsiadka, po której wolnością miała być emerytura. Piętnaście lat w mundurze, bo tracił nadzieję, że kiedyś będzie kryminalnym, szpeniem od narkotyków albo przekrętów gospodarczych, bo pewnie trafi na jakieś zadupie, skończy, patrolując ulice, jeżdżąc na domówki, ganiając się z małolatami jarającymi trawkę i z obszczanymi menelami.

Na przedostatnim patrolu frustracja sięgnęła zenitu. Była niedziela, a on wraz z sierżantem Leszkiem Misiakiem snuli się w okolicach placu Inwalidów. Słabe miejsce do tego, by myśleć o przyszłości i się nie denerwować. Mieszkali tam dziani warszawiacy, było tu pięknie i bogato, ale przeraźliwie pusto.

Z miejsca jak z bajki wyparowali mieszkańcy, bo były wakacje i kto nie grzał tyłka w egzotycznych krajach, ten wyjechał na weekend.

Domy stały puste, złodzieje je obrabiali, więc tacy jak on musieli łązić po pieprzonym, zielonym Żoliborzu i robić dobrą minę do złej gry. Za kwadrans miał po nich przyjechać radiowóz, ale sierżant nie mógł czekać i poszedł za potrzebą do kawiarni, a on stał w cieniu, pod drzewem, i przyglądał się facetom, którzy siedzieli w kawiarnianym ogródku. Byli z dwójką dzieciaków i całym bałaganem, samochodzikiem i dwoma rowerkami. Przyszli nakarmić dzieci, jakby im sami nie mogli zrobić obiadu. Prawie półtorej godziny tu siedzieli, sami też coś przetrącili, a jeden z nich, wyraźnie wyglądający na wczorajszego, wlał w siebie ze trzy piwa.

Jarka suszyło, więc patrzył na to z zazdrością, bo nie wypije piwa ani teraz, ani w koszarach. Brał go na to wszystko wkurw, w głowie zaczęły się kłębić złe myśli. Tymczasem sierżant nie wracał, chyba nie poszedł się odlać, tylko miał rozstrój żołądka, a goście z restauracyjnego ogródka zaczęli się zbierać. Pomyślał, że może ten, który pił, będzie chciał pojechać samochodem. Zatrzymanie kierowcy jadącego po pijaku, do tego z dziećmi, to jest coś, bo taki facet stanowi poważne zagrożenie społeczne.

Przyzwyczał się już do tej myśli, zwizualizował sobie wszystko krok po kroku, od zatrzymania samochodu po prośbę o pokazanie dokumentów i słowa: panie kierowco, chyba pan wypił. Nawet wiedział, jak mu to udowodnić, przecież zaraz przyjedzie radiolka, żeby ich zabrać z patrolu, a tam powinni mieć alkomat.

Tak to miało wyglądać, ale nic z tego nie wyszło, bo to ten drugi kierował autem. Pięknym, ciemnozielonym sportowym, chyba jaguarem. Zaczęli do tej maszyny pakować dzieci, samochód na pedały i rowerki. Miał nadzieję, że nie będzie fotelików, ale były. Za to jeden z rowerków nie zmieścił się do auta, więc ten lekko drinknięty wziął go w rękę i poszedł w kierunku Cytadeli. No i cały misterny plan...

I wtedy facet zaczął sobie robić jaja. Wsiadł na mały rower górski, do którego były dokręcone dwa kółka do nauki jazdy, i przejechał kawałek. W głowie Jarosława Jaskulskiego zaświtała pewna myśl. Szybko podszedł do faceta i stanął przed nim.

— Funkcjonariusz Jarosław Jaskulski, Komenda Stołeczna Policji, poproszę o dokumenty.

— Słucham? — Facet myślał, że to jakiś żart. Spojrzał w górę na człowieka w mundurze, jakby zobaczył przebierańca. — Serio? — dodał, choć twarz młodego funkcjonariusza była całkiem poważna.

— Panie kierowco, poproszę o dokumenty! — Jaskulski był stanowczy.

Mężczyzna wyprostował się, odstawił rowerek i rozejrzał się na wszystkie strony.

— Jestem w ukrytej kamerze, tak?

— Panie kierowco, proszę o dokumenty! — Jaskulski był jak zdarta płyta.

— Pan żartuje, no, kurwa, pan żartuje! To są jakieś jaja.

— Kulturalnie proszę! — Nagle, jak spod ziemi, wyrósł sierżant Misiak.

Jaskulski pomyślał, że to koniec rumakowania, Misiak wyglądał na wkurwionego, a facet z rowerkiem odzyskał pewność siebie. Szybko obejrzał ich pagony i wiedział, z kim rozmawiać. Przestał go zauważać i nawet pojawił się na jego ustach kpiący uśmiezek.

— Co tu się dzieje? — zapytał sierżant Misiak, ale nie mężczyzny z rowerkiem, tylko jego. — Mówcie, Jaskulski!

Game was over. Wygłupił się, sierżant był wściekły, bo nie miał czasu na pierdoły, zaraz miała podjechać radiola i fajrant! Pewnie opierdoli go w suce i taki będzie koniec, no i chuj, gram dalej, pomyślał.

— Panie sierżancie, ten pan nie chce pokazać dokumentów! — wystrzelił.

— A to dlaczego? — Sierżant zainteresował się, bo musiał. Na jego twarzy widać było wkurw. Poczul obawę, że za pół godziny nie będzie jeszcze po służbie, a za godzinę w domu na obiedzie.

— A jakie są podstawy, prowadzę sobie spokojnie rowerek dziecięcy... — Facet wyraźnie kpił.

— Panie kierowco, pan jedzie chodnikiem, mimo że obok jest jezdnia, na której jest nie tylko ograniczenie prędkości do trzydziestu kilometrów na godzinę, ale i wyznaczona ścieżka rowerowa. Do tego wstał pan prosto od stolika, kończąc piwo!

— Że niby ja jadę na rowerze?

— Proszę o dokumenty! — niechętnie powiedział sierżant, licząc na to, że gość pokaże dowód osobisty, młody zrobi notatkę i będzie po wszystkim.

— W życiu, nie będę z siebie robił idioty! — prychnął posiadacz rowerka.

— Pan pokaże dokumenty i sprawa załatwiona! — Sierżant, na co dzień gbur, mówił, a raczej prosił najpiękniej, jak potrafił. Podziałało.

Facet ciężko westchnął i zaczął szukać w kieszeni koszuli papierów.

— No nie mam! Niedaleko mieszkam, wszyscy mnie tu znają! — Rozłożył błagalnie ręce. — Zadzwońbym do żony, ale kolega zabrał do auta moją bluzę, a tam były i dokumenty, i telefon. Nazywam się Andrzej Porębski, każdy mnie tu zna. — Rozejrzał się po pustej ulicy.

Nazywam się Andrzej Porębski... To wszystko sprawiło, że sierżant uśmiechnął się, stał się jeszcze bardziej uprzejmy i uniżenie zaproponował:

— Proszę pana, nie ma dokumentów, pieniędzy, telefonu... — Pokręcił głową. — A niedaleko jest komisariat policji, tam mamy telefon. Zadzwoń pan, poczeka na żonę. Proszę z nami!

Podjechała radiolka, dopiero później się okazało, że gnący się w ukłonach sierżant wciągnął faceta z rowerkiem w pułapkę, a zrobił to, wykonując starą jak kryminalny świat figurę, duet zły i dobry glina. Owszem, na początku był wściekły na Jaskulskiego, przyznał później, że na osobności zjebałby go jak pętaka, a potem dodatkowo by się na nim jakoś odegrał za tę szopkę, ale wszystko się zmieniło, kiedy facet się przedstawił!

Andrzej Porębski, doktor Andrzej Porębski, lekarz, który parę lat temu powiedział w telewizji o ministrze sprawiedliwości, że ma na rękach krew pacjentów, którzy nie zostali poddani transplantacji. Był to ten sam doktor Porębski, który wkurzył szefa policji nadinspektora Kieleckiego innym wystąpieniem przed kamerami, w którym nazwał go majonezem, bo jest dla polityków i rządu tak miękki jak majonez. A stary niczego bardziej nie lubił jak zbitki słów Majonez Kielecki. Tak go zresztą nazywali za plecami podwładni,

a szyderstwa były tym większe, że pochodził z Kalisza, gdzie były Winiary, produkujące konkurencyjny dla Kieleckiego majonez. Ostatnio, po tym jak Kielecki pojechał w delegację do Niemiec, pojawiła się nowa ksywka: Hellmann's! Właśnie Hellmann's, a nie Hellman, bo kto by się bawił w niuanse.

Początkowo mieli mu tylko spieprzyć popołudnie, ale prokurator, który był na dyżurze, Mroczek, poczuł krew i... Zarządził badanie krwi! Zaczęła się niezła jazda, bo Porębskiemu postawiono zarzut prowadzenia roweru pod wpływem, i nie było to już wykroczenie, lecz przestępstwo. Zdecydował o tym ułamek promila.

Prasa podzieliła się na dwa obozy, wszyscy uderzali w mocne tony: nadużycie władzy albo koniec z ludźmi, którym się wydaje, że wszystko mogą. Sprawa nabierała rozmachu, a funkcjonariuszami, którzy wykazali inicjatywę, zainteresowali się przełożeni. W ten sposób Jaskulski, zanim zaczął prawdziwą służbę, stał się pupilem nadinspektora Kieleckiego. Z miejsca awansował, oczywiście nie z posterunkowego na starszego posterunkowego, bo ledwo co nim został, ale nastąpiło coś znacznie ważniejszego. Jarek Jaskulski trafił na Wilczą do jednego z najważniejszych komisariatów w kraju. To była tylko trampolina, bo szybko zdecydowano, że tak łebski funkcjonariusz nie może się marnować i wysłano go do szkoły w Szczytnie.

Łatwy, przypadkowy sukces, który był tak naprawdę nadużyciem, otworzył mu ścieżkę szybkiej kariery. Jedno wydarzenie, wynik frustracji, wypaczyło go. Ze swojej krótkiej policyjnej kariery wyciągnął istotny wniosek, że najważniejsze nie jest prawo, ale sprawiedliwość. A czym ta sprawiedliwość jest, decydują szefowie jego szefów. Nie wszyscy tak myśleli, ale szybko się zorientował, że robili błąd, stwarzali sobie problemy, a on problemów nie chciał.

Kiedy w najlepsze sobie studiował, doszło do zmiany władzy, ślimacząca sprawa Porębskiego zakończyła się umorzeniem, a w ministerstwach i Komendzie Głównej ruszyła karuzela stanowisk i ktoś przytomny uznał, że lepiej go gdzieś schować, i po trzech latach w Szczytnie dołożyli mu kurs kryminalny w Pile. Dociągnął do 2015 roku i choć nadinspektor Kielecki był już na zasłużonej, nieco wcześniejszej, niż planował, emeryturze, to przyszli nowi szefowie,

których o losy policjanta Jaskulskiego zapytał sam minister sprawiedliwości. I tak został wytypowany na kurs w USA, po którym brakowało mu już tylko jednego: wielkiej, przełomowej sprawy.

Najważniejsze, że chciał tego nie tylko on sam, ale politycy, którzy wiązali z nim poważne plany. Policja miała kiepską opinię, a on chciał być ich Borewiczem, nowoczesnym, zwycięskim, niosącym pomoc starym i młodym, dającym bezpieczeństwo Polkom i Polakom. Jego wielkim przełomem miała być sprawa mecenasa Jakuba Hamerskiego, tymczasem coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało na napad rabunkowy albo mord w narkotykowo-pijackim szale, okazało się imprezowym wypadkiem przy pracy.

Za godzinę będzie wiedział, co dalej, bo u starego jest jakaś narada. Cholera wie, o co chodzi, szef był już w połowie drogi do Radomia, dokąd jechał na spotkanie w komendzie wojewódzkiej, ale wydarzyło się coś bardzo ważnego.

Tylko co, do diabła, bo przecież z nasłuchu nic wielkiego nie wyszło. Jakiś pajac, pewno po dragach, wpadł do banku przy Grójeckiej i sam zaraz wpadnie. Znajdą go gdzieś naćpanego z forszą albo zgarną z zakupów, jak nie w tym tygodniu, to w następnym. Za godzinę się dowie, co i jak.

37.

Był pod ścianą, w przenośni i dosłownie, typ stał pół metra od niego, a pysk jego psa znajdował się jeszcze bliżej.

— Kim ty naprawdę jesteś? — Ciekawość okazała się silniejsza od strachu.

— Rambo — odpowiedział z pełną powagą. — Rambo, bo Rambocki mam na nazwisko, a jak na imię, to cię nie interesuje, rozumiesz? — Wbił w Zoltara wilczy wzrok. — Bo jestem tym, za którego mnie masz, choć do końca w to nie wierzysz, byłym operatorem.

Powiedział to tak, jak się mówi o tym, że się jeździło kiedyś na Uberze, było zaopatrzeniowcem albo pracowało na budowie. Tak, na budowie, pomyślał błyskawicznie Zoltar.

— Byłeś operatorem koparki? — wypalił bez cienia wątpliwości, że może chybić, bo operatorem czego jak nie koparki mógł być ten krępy, zmęczony życiem typek.

— Nie... — Oczy Rambo zwężyły się, stały się jakieś drapieżne.

Zoltar poczuł niepokój, wiedział, że coś palnął, przeszukał piorunem w głowie katalog zawodów, które znał, i w końcu dopasował do tych oczu, bystrych i uważnych, coś, co można było zgrać z jego sylwetką. Nie za wysoki, często jakby przyczajony, lekko skręcony, z poszukującym czegoś uważnym wzrokiem i lekko podniesionym prawym ramieniem...

— Operator kamery? — Tym razem nie powiedział tego tak bezceremonialnie. Efekt też był inny. Rambo wyglądał jak bokser, który opuścił gardę, po czym jakby się przebudził, chcąc zacząć punktowanie przeciwnika od lewego prostego.

— Operatorem jednostki specjalnej i nie pytaj której, bo o niej się nie chłapie, może czasami, kiedy Ministerstwo Obrony w rozmowie z dziennikarzami zaprzecza.

— Jaja sobie robisz!

— Mówię poważnie. — Oczy Rambo znów zrobiły się oczami drapieżnika. — I lepiej, żebym ci tego nie udowadniał, bo po tym, co widziałeś, czym mam cię jeszcze przekonać? Połamać ręce i nogi? A teraz idź na górę, do Olka.

Poszli.

— Brawo — przywitał ich Olek, obracając się na wózku. — Piękny pokaz, zaraz zobaczysz, Rambo.

— A skąd ty wiesz, co ja chcę zobaczyć? — zdziwił się Rambo.

— Tak sobie tylko dedukuję — uśmiechnął się informatyk. — Jak zbierasz odpowiednią ilość danych, to możesz wyciągnąć odpowiednie wnioski. Byłem ciekawy, kim jesteś i się dowiedziałem, prawda?

— Nawet za dużo — mruknął Rambo. — W zasadzie to powinieneś nie żyć — powiedział z uśmiechem, ale powiało grozą.

— No, ale mnie lubisz, bo lepszego ode mnie nie ma, prawda?

— Robisz się beczelny, chłopaku. — Rambo uniósł w górę brwi, a Szarik zaszczekał.

— Nie bezczelny, tylko szczerzy — powiedział z pełną powagą Olek i zaśmiali się, a Szarik szczekał, machał ogonem i stawał na dwóch łapach.

— Pan Zoltar zrobił dziś napad na bank, pewnie chcesz obejrzeć, bo — jak sądzę — użył twojego paralizatora? Szukałeś go dziś przed południem i tutaj się znalazł!

Kliknął i na monitorze ukazał się obraz z bankowych kamer. Zoltar czuł, że leci mu po plecach pot, rozdzielczość nie była taka zła...

— No nawet do oglądania — skwitował Rambo. — Już nie muszę sprawdzać obrazu z tasera, to wystarczy. Naprawdę nieźle! — Poklepał Zoltara po ramieniu. — Tylko to całe przedstawienie... Mogłeś sobie dać spokój.

— Nieważne. — Olek pokręcił głową.

— Czemu nieważne? Mnie będziesz pouczał, no sorry?! — zirytował się Rambo.

— Panie chorąży — uśmiechnął się Olek.

— Za dużo wiesz! — uciął Rambo.

— Bez urazy, ale nie ma pan pełnych informacji, tylko my mamy ten film.

— Jak to?

— Była dziś awaria systemu... — Bezradnie rozłożył ręce. — I przypadkiem także przez parę minut w systemie monitoringu miejskiego.

— Dobry jesteś! — Rambo pokiwał z uznaniem głową.

— Nie, skąd? — Olek skromnie pochylił głowę i wydawało się, że dostanie wypieków na twarzy. — Nie jestem dobry, ja jestem najlepszy!

— Jak to zrobiłeś? — Zoltar odezwał się w końcu, bo nie mógł w to uwierzyć, że Olek, tak po prostu, jak jakiś Duch Święty, na zawołanie wykasował nagrania.

— Jestem hakerem...

— To wiem, ale nie jesteś wróżką czy jakimś pieprzonym Merlinem, żeby przewidzieć, co będę robił?

— Nie jestem, jeśli już, to Harrym Potterem — powiedział Olek.

— Kurwa, nie! — jęknął Zoltar. — Tego już za wiele, najpierw ten tu — wskazał na Rambo — mówi, że jest specjalsem z jednostki,

której nie ma. Teraz ty mówisz mi, że jesteś Harrym Potterem, a za chwilę pewnie twoja siostra okaże się Myszka Miki?

— Nie, oczywiście, że nie — odpowiedział Olek, a Zoltar głośno wypuścił powietrze z płuc. Zaraz jednak znów się zapowietrzył, bo chłopak dodał: — Bo Myszka Miki jest facetem, chodzi w spodniach i ma narzeczoną Minnie. — Popatrzył na Zoltara z politowaniem. — Zuza to Natasha Romanoff.

— Caryca? — Zoltar pokiwał głową.

— Tak! Katarzyna Wielka — zaśmiał się Olek. — Ależ skąd! — Pokręcił głową i tym razem patrzył na Zoltara już nie z politowaniem, lecz z wyraźnym współczuciem. — To Czarna Wdowa, była agentka wywiadu zagranicznego KGB, a później pracowała dla Nicka Fury’ego, aż wreszcie dołączyła do...

— Ty coś bierzesz? — Zoltar był poważnie zaniepokojony.

Olek i Rambo dostali ataku śmiechu. Wili się jak goście, którzy zjarali się jakimś mocnym towarem.

— Jesteście na dopalaczach!

— Czarna Wdowa to postać z komiksów i filmów Marvela — śmiał się Rambo. — Musiałeś się zatrzymać na „Tytusach” i „Gwiezdnym wojnach”!

— Zatrzymałem się na „Załodze G”! — odparł z dumą.

— No raczej! — śmiał się Olek. — I pewnie gier komputerowych też nie ogarniasz?

— Gram, a jak! — obruszył się. — Dobry jestem!

— I jaki masz nick? — zapytali chórem Rambo i Olek.

— Ronaldo70@U!

Znów gruchnął śmiech.

— Ronaldo był zajęty, 70 też, ale z U na końcu...

— Bo ty w Fifę grasz, to wiele wyjaśnia! Mówimy o poważnych grach. — Wyraźnie mieli ubaw z Zoltara.

— Skąd wiedziałeś, że masz to oglądać i wyłączyć, mów! — Zoltar poczuł się pewnie. Teraz nie musiał już niczego bronić, przeszedł do ataku. — Wytłumacz mi, jak to zrobiłeś!

— Nie chciałbyś wiedzieć. — Olek spuścił wzrok.

— Hej, młody, sprawy zaszły za daleko — powiedział Rambo. — Nie ma odwrotu, trzeba iść dalej. Mów!

— Wydawało mi się, że pan dał sobie spokój, ale coś mnie tknęło, nie wiem co, intuicja, ciekawość... Zajrzałem do pana poczty, chciałem wiedzieć, mieć pewność!

— Grzebałeś mi w mejlach, jebany Pegasusie na kółkach! — ryknął Zoltar, ale Rambo poruszył się groźnie i położył palec na ustach.

— Nie za ostro? — spytał i popatrzył przesywającym wzrokiem na Zoltara. — To z tym Pegasusem na kółkach było niepotrzebne.

— No było, sorry — zmitygował się Zoltar, ale zaraz się ożywił. — Co ciekawego znalazłeś? — Oszukiwał się, ale miał nadzieję, że młody nie widział tej żenującej próby nawiązania kontaktu z prasą.

— Pisałeś do dziennikarki... — Olek próbował zbagatelizować to, że czytał coś wyjątkowo idiotycznego, wstyd przerzucał na siebie. — Przepraszam, słabo wyszło, ale włamywanie się na cudze konta to moje życie i inaczej nie potrafię — powiedział ze skruchą. — I nie z tego powodu mi wstyd, tylko dlatego, że myślałem, że to będzie totalna kłapa i... — Zawiesił głos.

— A nie było kłapy?

— Nie, świetnie zorganizowany skok, ale musiałem trochę pomóc. Pogrzebałem przy monitoringu, to chyba pan mi wybaczy...

Zoltar burknął coś, co można byłoby wziąć za odpuszczenie grzechów.

— Zoltar jestem — dodał po dłuższej chwili, a na twarzy Olka pojawiła się ulga.

— Jak to przeczytałem, a widziałem, że jest w tobie gniew, to zrozumiałem, że nie żartujesz. Każde twoje wyjście na miasto sprawdzałem. Wchodziłem w monitoring miejski i bankowy, patrzyłem, czy czegoś nie wykręcisz. Regularnie kręciłeś się w tych okolicach, szacun za charakteryzację, i dzisiaj, jak Rambo zaczął szukać paralizatora, miałem pewność, że zbliża się godzina zero. Wyłapałem cię sto metrów od banku, wyłączyłem im zabawki, no i tak, że tak.

Wydawało się, że temat jest zakończony, ale wtedy ożywił się Rambo.

— No dobrze, to co jej dokładnie napisałeś?

Żaden z nich nie miał ochoty mówić, Olek nie czuł się upoważniony do ujawniania korespondencji, Rambo wyczuł to, więc

znów groźnie popatrzył na Zoltara i wydał rozkaz:

— Mów, szkoda czasu!

— Napisałem, że... — westchnął ciężko.

— Wiem, że napisałeś, samo się nie naruchało. Mów, do cholery!

— Poinformowałem ją o tym, że zaważyło mi się życie, nie napisałem, że chodzi o Manufakturę, nie podałem nazwiska, podpisałem się jako Niewidzialny Desperat, który dokona napadów na banki.

— Z waszej gadki rozumiem, że podałeś adresy tych banków?

— No tak, w zasadzie to jednego, bo jeden już zamknęli... — zastrzegł i natychmiast urwał.

— Byłeś pijany?

— Yhy — odparł niechętnie Zoltar.

— A nie wysłałeś takich mejli więcej?

Zoltar milczał, w sumie to nie był do końca pewien, miał taką fazę, że wszystko mogło się wydarzyć, w końcu pojechał robić skok, ale wpadł w krzaki przy Żupniczej.

Rambo patrzył na niego badawczo, aż wreszcie dał spokój i przeniósł spojrzenie na Olka.

— Nie, więcej takich nie było — odparł chłopak.

— A jak po tym skoku pójdzie na policję? — zapytał Rambo. — Albo wyśle anonim?

— To bardzo porządna dziennikarka — westchnął ciężko Olek, co znaczyło, że także jej korespondencję zdążył przejrzeć.

— Gdzie pracuje?

— Nigdzie, zwolniła się, ma doła — powiedział Olek ze smutkiem w oczach. — Naprawdę poważnego doła — dodał, spoglądając na Zoltara.

— To niedobrze, może jest psychiczna — zaczął się zastanawiać Rambo.

— Nie, na pewno nie! — zaprotestował Zoltar.

Nagle dyskusję przerwało wejście Hendrixa. Był wściekły, wydawało się, że rzuci się na Zoltara, ale Rambo stanął między nimi.

— Co jest? — spytał były specjals.

— A to jest, że ten przegryw rozjechał mi rower i wypił pół butelki Kociołka Panoramiksa!

Rambo delikatnie go odepchnął, a potem szybko usadził na krześle.

— Nie rób afery!

— Koło w ósemkę... — zaczął, ale Rambo mu przerwał:

— Sorry, to ja nawaliłem, naprawię ci, myślałem, że wrócisz jutro.

— OK, ale Kociołek Panoramiksa to już na pewno on. — Wycelował palec w kierunku Zoltara. — Z iloma osobami to zrobiłeś?

— Sam. — Wzruszył ramionami. — To było raptem parę małych kieliszków, odkupię ci.

— Po pierwsze, to gdzie, to była nalewka na dopalaczach, tego sklepu już nie ma, kumasz? A po drugie... Ty żyjesz? Powinno ci zaorać mózg i skończyć na odtruwaniu przy Nowowiejskiej albo na turnusie na Sobieskiego. Miałeś po tym jakieś wizje?

— Kilka, ale to nic specjalnego — odparł Zoltar, który zrozumiał teraz fenomen nocy, podczas której, jak mu się wydawało, zrobił skok na bank przy Kosmosie.

38.

Komisarz Jarosław Jaskulski obciągnął ubranie i wszedł do gabinetu. Oprócz starego był jeszcze jakiś facet, który siedział tyłem i nawet nie odwrócił głowy, żeby na niego spojrzeć. Pił spokojnie kawę, sprawiał wrażenie człowieka będącego w dobrej knajpie i czekającego na kelnera, który stanie grzecznie z jego prawej strony i zapyta, czy wszystko jest w porządku, albo zasugeruje, że do kawy warto byłoby wypić jakiś likier.

Komisarz nie był kelnerem, poza tym musiał stanąć przed wyższym stopniem inspektorem Mariańskim, więc minął człowieka z kawą z lewej strony, ten w końcu obrócił się i Jaskulski już wiedział, z kim ma do czynienia. Gościem Mariańskiego był Marek Opilek, do niedawna niewiele znaczący poseł ze zdawałoby się upadającej partii, a dziś wiceminister spraw wewnętrznych. W życiu by nie dostał tego stanowiska, gdyby nie sytuacja w sejmie. O wynikach głosowania decydowała często obecność na Sali, lub jej brak, kilku posłów.

Nasza Polska, partyjka, w której był Opilek, miała, jak to kochali obrazowo przedstawiać komentatorzy polityczni, niecały tuzin szabel i niespodziewanie stała się jęczyzkiem u wagi, dlatego jej posłowie zrobili się szalenie ważni i co drugi z nich dostał jakiś stołek. W ten sposób poseł Opilek, którego z racji nadwagi nazywano najcięższym opiłkiem świata albo Tłustym Opiłkiem, a najczęściej po prostu Tłustym, jako człowiek niezbyt lotny, ale jednak członek partii o imponującym stażu, w końcu dochrapał się jakiegoś stanowiska.

— Domyśla się pan komisarz, dlaczego zaprosiliśmy pana na spotkanie? — powiedział, nie witając się ani nie przedstawiając i nawet o centymetr nie unosząc swego tyłka z fotela.

— Jeśli jest tu pan wiceminister, to znaczy, że w ważnej sprawie.

Opilek nic nie powiedział, tylko lekko się uśmiechnął i pokiwał z satysfakcją głową. Komisarz Jaskulski nie potrafił czytać w myślach, ale był pewien, że Opilek myślał sobie: Dobrze, bardzo dobrze, Jaskulski.

— A więc — wysapał, poprawiając się w fotelu, a Jaskulski od razu przypomniał sobie słowa nauczycielki polskiego, że zdania nie zaczyna się od a więc. — Sytuacja wygląda następująco. Nie ma teraz ważniejszej dla nas sprawy niż napad na bank przy ulicy Grójeckiej!

Napad na bank przy Grójeckiej!

Powiedzieć, że Jarosław Jaskulski był rozczarowany, to nic nie powiedzieć! Nie mógł jednak po słowach wiceministra Opiłka: „Nie ma teraz ważniejszej dla nas sprawy niż napad na bank przy ulicy Grójeckiej”, odpowiedzieć: „Wal się, Tłusty”. Zamiast tego zrobił minę zadowolonego funkcjonariusza i wykrzyknął:

— Tak jest, panie ministrze!

Kolejna gorzka pigułka do przełknięcia. Żadna wielka sprawa, po prostu napad na bank, który na kilometr śmierdział amatorszczyzną i pewnie najważniejsze w tym śledztwie nie będzie łapanie złodzieja, jakiegoś bejca, któremu zabrakło na flaszkę, ale wytłumaczenie, jak to się stało, że borowik, a w zasadzie soplek, czyli kierowca Służby Ochrony Państwa, wjechał w witrynę banku. Było jeszcze gorzej, niż przypuszczał, bo w środku tkwił poseł Robert Trzmiel, wiceszef Naszej Polski, czyli partyjny przełożony Tłustego.

Kurwa! — zaklął w myślach.

— Wiceprzewodniczący Trzmiel jest tylko szeregowym posłem, ale doskonale pan wie, jaka jest jego rola i pozycja w polskiej polityce! — Tłusty wbił w Jaskulskiego nieprzyjemne, świdrujące spojrzenie.

Pewnie, że wiedział, to on stanął pod Bramą Brandenburską w Berlinie i rozpostarł baner z gotyckim napisem: „Wiedergutmachungen!”. Reparacje od Niemiec i akcje z tym związane dały mu awans ważniejszy niż ministerialna teka, stanowisko wiceprzewodniczącego partii. Lepiej rządzić ministrami i wiceministrami, ludźmi takimi jak Tłusty Opilek, niż zdzierać zelówki w URM-ie. Mógł też robić rzeczy, których po prostu członek rządu robić nie mógł, miał za to ochronę i kierowcę z SOP, bo jemu się to po prostu należało.

— Słyszałem, że okradziono tak naprawdę nie bank, lecz jednego z biznesmenów, który przyszedł wpłacić pieniądze. On utrzymuje, że było to sto tysięcy. Czy okradziono także pana wiceprzewodniczącego?

Tłusty przecząco pokręcił głową.

— Gorzej! — powiedział donośnym głosem, po czym wstał i zbliżył swe usta do ucha komisarza. Jaskulski poczuł woń tytoniu, nieprzetrawionego alkoholu, jakiegoś tłustego, zjedzonego pewnie przed godziną posiłku i dopiero co wypitej kawy. Po chwili usłyszał szept: — Robert Trzmiel został poniżony!

I tak komisarz Jaskulski dowiedział się o tym, że na tyłek, który mógł, gdyby tylko chciał, zasiadać na najważniejszych fotelach w tym kraju, wylano gorącą kawę.

— To napaść. Jak sędzę, lewacki zamach i nawet jest na ten temat bardzo mocna teoria! Będę rozmawiać z ministrem i premierem, zawnioskuje o zarządzenie przynajmniej drugiego stopnia alarmowego Bravo! Co pan sądzi, panie komisarzu?

Polityk wsadził go na konia, trzeba więc było na nim pojechać.

— Panie wiceministrze, sędzę, że wystarczy ogłoszenie, że za informację o... — ledwo mu to przeszło przez gardło, ale jednak użył tego słowa: — zamachowcu będzie nagroda w wysokości dziesięciu tysięcy złotych.

— Mamy płacić dziesięć tysięcy? — Zmarszczył czoło człowiek, który przed chwilą chciał ogłosić kosztowny alarm i którego żona zarabiała w spółkach skarbu państwa pięćdziesiąt tysięcy złotych miesięcznie. Narzeczony córki, opozycja kłamała, że rodzina, a on przecież nie jest jeszcze mężem, dostał na rozwój swojej firmy okrągły milion.

— Tak, to poważne pieniądze, ale bywa, że nie wszyscy obywatele nam sprzyjają... — Nie dokończył, bo Opilek ciężko westchnął.

— Wiem, wiem, czasem ludzi z opozycji trzeba kupić, ale to są zawsze dobrze wydane pieniądze! Ma pan jak w banku te dziesięć tysięcy — powiedział, jakby właśnie przekupił tuzin najbardziej bruźdzących mu posłów. — I tak ogólnie, wszystko, czego tylko będzie trzeba. Proszę dzwonić! — rzucił, jakby Jaskulski znał jego numer telefonu.

Po minie starego było widać, że ma stąd natychmiast wypieprzać. Albo bał się kolejnych pomysłów Tłustego, albo... Chciał ukręcić własne lody. Okazja była przednia. Odmeldował się i kiedy wychodził, usłyszał jeszcze:

— Nasz rzecznik wszystko napisze, a ja już dzwonię do prezesa telewizji, żeby to na subito było na antenie.

Komisarz Jaskulski skłonił się i wyszedł, choć miał ochotę powiedzieć ministrowi, że wolałby swój własny komunikat i że mówi się na cito, a nie na subito.

39.

Powiedzieć, że Matylda Leśniewska miała doła, to nic nie powiedzieć! Kiedy walnęła papierami urosły jej skrzydła i czuła, że za chwilę będzie robiła takie rzeczy jak Wonder Woman z Marvela. Został jej płatny urlop, nie musiała wypisywać bzdur i mogła zacząć nowe życie. Tylko gdzie, z kim i za co, kiedy skończą się pieniądze z portalu?

Czy teraz czas na windę w górę, czy w dół, zastanowiła się, bo od kiedy w jej życiu pojawili się mężczyźni, a później praca, to odbywała nieustanną jazdę kolejką górską. Ilekroć wjechała w górę, to jakiś

facet albo kobieta, lub oboje naraz, wysyłali ją z powrotem na dół. Dlatego nie była feministką, bo na kobietach zawiodła się więcej razy niż na mężczyznach. Ten pierwszy raz, piąta klasa podstawówki, dokładnie to wakacje po piątej klasie, a przed szóstą. Obóz letni i Patryk, brunet o kręconych włosach, przystojny, podobny do Brada Pitta. I co z tego, że Pitt nie miał kręconych włosów i był blondynem, ale obaj byli piękni, zatem podobni.

Na dyskotecę Patryk z nią zatańczył, nawet pocałował w policzek, i chciał ją złapać za pupę, a ona, choć poczuła, że go kocha, uznała, że za wcześnie na takie rzeczy. I wtedy pojawiła się Żaneta. Nie przyszła nie wiadomo skąd, bo była na tym samym obozie, pojawiła się nagle w ich związku, który nabierał tempa i tak pięknie się zapowiadał. Pojawiła się skutecznie, nie wzbraniając się przed tym, by w czasie tańca Patryk trzymał ręce na jej pośladkach.

Wtedy pierwszy raz pomyślała o innej kobiecie: zdzira. A później powtarzała to wielokrotnie, z czasem wzbogacając słownictwo o mocniejsze określenia, aż w końcu okazało się, że większość jej koleżanek i szefowych to zwykle kurwy. Kobiety zdradzały i wbijały nóż w plecy. Na wakacjach, w szkole, na studiach, w pracy. Walcząc o chłopaków i facetów, o tematy i pozycję w redakcji, a jedna z nich, Oliwia Więckowska, nie tylko wykołegowała ją ze stanowiska szefowej działu, ale i zabrała faceta.

Jej życie legło w gruzach, musiała zmienić redakcję i się rozwieść. Ten idiota Mariusz wszystko zbagatelizował. Myślał, że bukietem róż i pierścieniem załatwi sprawę. Bukiet wyrzuciła przez okno, a pierścionek rzuciła mu w twarz, krzycząc, żeby go sobie wsadził w dupę. No i wsadził, może nie ten dokładnie, i nie w dupę, choć kto ich wie, ale na palec tej zdziry Oliwii. Zaraz po ich rozwodzie wzięli ślub, co utwierdziło ją w przekonaniu, że kobiety to zdziry, a faceci to skurwysyny.

Wtedy po raz pierwszy złapała poważnego doła, ogarniały ją czarne myśli, i gdyby nie chęć zemsty, to pewnie zrobiłaby sobie jakąś krzywdę.

Jej matka sobie poradziła i dziesiątki innych kobiet także. O mężczyznach nie myślała, bo za dobrze pamiętała jeszcze swojego ojca idiotę i tego skurwysyna byłego męża. Nie wiedziała jeszcze, jak

im się odwinie, najlepiej dostając jakiegoś Pressa czy innego Woyciechowskiego, zostając gwiazdą i dostając zaproszenia z telewizji, a może nawet własny program. Bo Mariusz też był dziennikarzem i na pewno coś takiego by go zabolalo, gdyby jego była osiągnęła sukces. On z Oliwią wisieliby w tej gazetce dla debili, której bohaterami byli celebryci, imbecyle znani z tego, że byli znani, ich domy, samochody, wypożyczone ciuchy i opłacone wakacje.

Tyle że zmiana pracy nie była awansem, robiła to samo co oni, licząc na to, że się przebiję, że zmieni dział, że — tak jej obiecano, jeśli znajdzie temat, to będzie miała możliwość zrobienia go, o ile będzie to coś naprawdę wystrzałowego, coś na miarę jej debiutu. Jako studentka przygotowała materiał o słynnym menedżerze i organizatorze konkursów talentów, który wykorzystywał swoje podopieczne. Miała swoje pięć minut, ale nie wykorzystała ich. Zamiast zrobić z tego trampolinę do dziennikarstwa śledczego albo społecznego, poszła do pisemka o gwiazdach. Wtedy jeszcze do pisma, bo się tworzyło, a plany, jak to zawsze bywa na początku, były ambitne. No i tam dawali etat, a w poważnych tytułach nie, tam zwalniali, a nie przyjmowali. Jak to teraz odbudować?

Nie da się. Po roku zrozumiała, że to niemożliwe, że straciła czas w magazynie „Antrakt”, który kiedyś informował o wydarzeniach kulturalnych, a później, zgodnie z tytułem zresztą, już tylko o tym, co się działo w przerwie.

— Sięgnęłam dna, a teraz się odbiję. — Przyjęła optymistyczną wersję i włączyła laptop. Zaklęła, bo zapomniała o pękniętym ekranie. Jak tylko walnęła papierami, to nie grzebała w komputerach, pojechała nad morze, spacerowała, wszystko miała gdzieś. Pełen reset, nawet komórkę wyłączyła. Teraz można wrócić do rzeczywistości.

Tysiąc nieodebranych wiadomości, SMS-y, przede wszystkim matka, zadzwoni do niej później. Najpierw fejs i jedna ze stron branżowych, żeby o sobie poczytać. Niepotrzebnie, bo na dziesięć wpisów poparcia musiało się zdarzyć coś w stylu: „Już dawno się skończyła”, „Tylko się zapowiadała”, „Z dużej chmury mały deszcz”,

„A to jest ktoś ważny?”. Po komentarzu: „Przestała dawać dupy, więc ją wylali”, popłakała się.

Kiedy się uspokoiła, włączyła jakiś serial, a później przeskoczyła na wiadomości. Przez parę dni dawała sobie bez nich radę, a teraz chłonęła wszystko jak gąbka, jak pijak, który wyszedł z odwyku i poszedł w cug. Była druga połowa bloku informacyjnego, szło w kierunku michałków, śmiesznych zwierząt, jakiegoś absurdalnego rekordu, po którym poleci pogoda i sport. Po filmiku z ataku dokonanym przez małpy w jakimś azjatyckim kurorcie prezenter, zamiast skwitować to czerstwym dowcipem, nagle się zapowietrzył. Na wielkim ekranie, na tle którego stał, nie było już małp wyrrywających turystom jedzenie, okulary i torebki, tylko mnóstwo radiowozów, rozbita witryna banku, w której tkwiła czarna limuzyna.

— Wracamy do tematu dzisiejszego napadu na bank Futuro przy ulicy Grójeckiej w Warszawie...

Myślała, że padnie. Szybko złapała za komórkę, otworzyła pocztę i kliknęła Desperat. Jest, nie skasowała tego mejla, raz jeszcze go przeczytała, tak, on pisał o tym właśnie banku!

Z prędkością zawodowej maszynistki napisała pierwsze zdanie mejla:

*Szanowny Panie Niewidzialny Desperacie!
Przepraszam, miałam ciężkie dni, musiałam podjąć bardzo
trudną decyzję...*

Ależ to żenujące, pomyślała, i do tego słabo napisane. Wykasowała tekst, po czym przez kwadrans nie potrafiła wymyślić nic nowego. Westchnęła ciężko i przywróciła marną, słabo napisaną wersję. Na nic innego nie było ją stać. Co dalej? Dalej musi być uczciwie, zresztą to, od czego zaczęła, było szczerą prawdą, nie ma co ściemniać.

*Przepraszam także za to, że Pana zlekceważyłam. Proszę
wybaczyć, Panie Desperacie, ale dostaję setki takich mejli...*

Przesada, gruba przesada, westchnęła, ten był pierwszym interwencyjnym mejlem od ponad roku. Jak już kłamać, to z głową.

Skreśliła setki i zmieniała na dziesiątki, tak jest uczciwiej, a prawdą jest także to, co dodała po chwili:

...większość z nich to listy od szaleńców i frustratów.

To była prawda, jak do wielu dziennikarzy przychodziły do niej nieprzyjemne mejle, najczęściej od fanów, często nakręcanych przez menedżerów lub fankluby artystów, a raczej patoartystów, o których ośmieliła się napisać prawdę. Najgorzej było, gdy skrytykowała jakiś K-popowy zespół, okazało się, że nie tylko się nie zna i jest głupia, ale i jest rasistką!

Nie wierzyłam, że taka desperacja jest możliwa, teraz już wiem. Wiem także, że może być za późno, że Pan jest rozczarowany brakiem odpowiedzi, dlatego dokonał Pan tych skoków. Czy chce Pan jeszcze ze mną rozmawiać? Teraz, kiedy nie stoi za mną żadna redakcja?

Coś jej nie pasowało, bo pomyślała, że jej ostatnia redakcja raczej by to wszystko spieprzyła, podobnie jak wiele innych. Że paradoksalnie brak oparcia, a raczej zależności od firmy, może być atutem. Będzie pisała, co chciała!

*Może się wydawać, że podtrzymywanie kontaktu ze mną nie ma sensu, ale jest na odwrót. Teraz jestem naprawdę niezależną dziennikarką, mam dużo czasu i mogę pisać, co tylko będę chciała. Mam nadzieję, że Pan odpisze.
Matylda Leśniewska*

40.

Waldek Ekonomista wyszedł z domu, a jego żona zajęła miejsce przed telewizorem. Wcisnęła przycisk na pilocie i po chwili, jak tysiące innych ludzi, patrzyła na konferencję prasową policji poświęconą napadowi na bank z ich sąsiedztwa.

— Słuchaj, Ekonom, włączyłem w domu telewizor i wiesz, kogo tam zaobserwowałem?

Menel Ekonomista był zbyt zdenerwowany, by poprawić kolegę.

— Zobaczyłeś rysopis faceta, który zrobił skok na bank przy Grójeckiej, i wydał ci się znajomy... — oświadczył ponurym głosem.

— No właśnie! Nie mieli zdjęć, monitoring tym gamoniom padł, te z komórki, co jakiś młody leszczyk kręcił, są do dupy, więc malowanek zrobili, z niej też mało co, ale... — Edek był podekscytowany, jakby wygrał milion w totka, chociaż chodziło o sumę nieporównywalnie niższą. — Po brodzie i rowerze ich poznać, czapce i dresie. Wszystko się zgadza, to...

Chciał powiedzieć, że to Zenek, ale Ekonomista mu zdecydowanie przerwał.

— Nie idź tą drogą! — Jego głos był jeszcze bardziej ponury.

— Jaką drogą, Ekonom, co ty mówisz?

— Drogą połaszczenia się na dziesięć koła, bo o to przecież chodzi, co nie?

— Jakiego połaszczenia się? — Edek był do głębi oburzony. — Uczciwe dziesięć koła do podziału, za obywatelski obowiązek!

Ekonomista nic nie powiedział, tylko wyciągnął z kieszeni pierśiówkę i pociągnął łyk, po czym przekazał butelkę Edkowi.

— Masz, napij się, na rozjaśnienie umysłu, bo ci szwankuje.

— Co mi szwankuje?! — Oburzenie Edka sięgało zenitu, ale wypił. Skrzywił się i powiedział: — Mocne, cholernie mocne, ale dobre!

— Dobre, bo polskie. Najlepsze, bo od sąsiada, jego szwagier pędzi. Szwagier z Łącka jest, więc to śliwowica, porządna, minimum siedemdziesiąt wolt. I co, pomogło? Oświeciło cię?

Chyba nie pomogło, bo Edek zażył kolejną dawkę, po której skrzywił się trochę mniej, za to mlaskał z zadowoleniem. Pewnie łyknąłby jeszcze raz, ale Ekonomista zabrał mu butelkę.

— No i co, pomogło? — Edek zamrugał oczami i nic nie odpowiedział. Trawił zachowanie kolegi, starał się zrozumieć jego pretensje. W końcu pokręcił głową i westchnął: — Ja cię, kurwa, Ekonom nie rozumiem. Dają dychę, po pięć koła na głowę, za informację o facecie, który zrobił skok.

— Nas okradł? — spytał Ekonomista.

— Nie, ale mógłby, na przykład gdybyśmy byli w tym banku, mieli tam lokatę albo jak ten biznesmen, wpłacalibyśmy pieniądze.

Ekonomista pokiwał głową, po czym popatrzył na Edka ze współczuciem i troską.

— Edek, ty może zmień klub, kochany?

— Legię na Polonię? — Znów zamrugał oczami, co robił w chwilach konsternacji, kiedy nie do końca mógł coś zrozumieć.

— Nie, na klub AA, Anonimowych Alkoholików! Tobie alko wyżarło mózg!

— No co ty, kurwa! — Oburzenie Edka weszło w fazę agresji słownej.

— Podsumujmy — powiedział spokojnie Ekonomista. — Po pierwsze, kiedy ostatnio byłeś w banku? — Tak jak przypuszczał, nie otrzymał odpowiedzi. — Po drugie, czy masz może jakąś lokatę? — Nie czekając na odpowiedź, Ekonomista dołożył punkt trzeci: — Jedyne miejsce, w którym wpłacasz pieniądze, to kasa w monopolowym, a może się mylę?

Edek znów pięknie milczał, tym razem do brzmienia ciszy dokładając ruch dłonią w kierunku kieszeni. Po chwili obracał w palcach papierosa i najwidoczniej naciskanie bibułki, którą wypełniał tytoń, miało dla niego wartość terapeutyczną, bo zbierał się do ciętej riposty, którą właśnie sobie ułożył. Nim jednak wypowiedział słowa mające zmiażdżyć linię ataku Ekonomisty: „Nie pierdol, Ekonom!”, jego interlokutor uprzedził go, zadając decydujący cios.

— Powiem ci coś jeszcze, abstrahując. — Słowo „abstrahując” poruszyło Edka, czuł się nim obrażony, ale Ekonomista jeszcze nie skończył: — Od tego, że nie masz oszczędności i bank jest ci tak samo obcy jak muzeum czy teatr, to założmy hipotetycznie, że chciałbyś tam pójść, tak po prostu z ciekawości. — Słowo „hipotetycznie” było kolejnym, które wzbudziło niepokój Edka, bo kojarzyło mu się z hipoteką. — Żeby zajrzeć, zobaczyć, czy faktycznie pracuje tam ta lala z reklamy, która ci się podoba, albo żeby spotkać znanego artystę, który jak włączasz telewizor, to nic innego nie robi, tylko siedzi w banku i zaciąga nowe kredyty. Tak, mogłoby się tak stać, ale nie tego dnia i nie o tej godzinie, a wiesz dlaczego? Bo

pilnowałeś przestępcy roweru, dzięki któremu dokonał napadu, ergo byłeś jego współnikiem! Na początek cztery osiem, ale nie minie godzina, jak prokurator da sankcję, bo będą potrzebować sukcesu, czyli podejrzanego. Będziesz siedział tak długo, aż nie znajdą właściwej osoby, i możliwe, że i tak doszyją ci współudział w napadzie na bank, jak myślisz, ile za to dostaniesz?

— Nie pierdol, Ekonom — odpowiedział Edek, ale nie było w tym, jak sobie wcześniej zaplanował, mocy i oskarżycielskiego tonu, tylko smutna refleksja wyrażająca rozczarowanie pełnym niesprawiedliwości światem. Dziesięć tysięcy koła do podziału na dwóch odpłynęło w siną dal.

VI

41.

Hendrix jeszcze się trochę pultał, ale w końcu odpuścił, bo musiał się pochwalić sukcesami. Koncertowy wyjazd był udany, razem z Zużą poprzedzali jako duet O'ba gwiazdę wieczoru, której robili potem realizację tak dobrą, że zmianę jakości zauważyli zgodnie muzycy i publiczność.

— Ale co ja tam będę opowiadał. Wpadnicie w Warszawie, może jeszcze zdążymy w Pogłosie zagrać, zanim zaorzą klub, jak wszystko co dobre. Poza tym słyszeliście o tym freaku, który zrobił bank na Grójeckiej?

Cała trójka, a nawet można by uznać, że i Szarik, wyraziła nieszczerze zdziwienie.

— Typ zajechał na składaku Czajka, taki oldskulowy sprzęt. Maszyna musiała mieć z pięćdziesiąt lat. — Hendrix cieszył się jak dziecko. — Mówią, że unikat, bo seledynowy, i to jedyne, co wiedzą, bo się zesrał monitoring i nie ma nagrań, rozumiecie? To jakaś poważna organizacja, żeby tak monitoring w banku i na ulicy zagasić! No i typa każdy opisuje inaczej. Facet, co od niego pigułę zebrał, to mówił, że gigant, i jeszcze dodał, że go zrobił na sto tysięcy koła! Bo wiecie, że bank od razu miał blokadę na sejf, ale ten gostek właśnie wpłacał taki hajs. Sto tysięcy, i te sto tysięcy typ w kominiarce, który przyjechał na rowerze, zabrał! Numer, lubię to!

— Kłamliwy chujek! — Zoltar nie wytrzymał.

— Ja? — Hendrix był oburzony.

— Nie, ten wał z banku, on miał tylko pięćdziesiąt tysięcy!

Zapadła cisza, wszyscy patrzyli po sobie, aż w końcu Hendrix zapytał:

— A ty skąd wiesz?

— Tak słyszałem.

— Od kogo?

— Od misia gogo, nie interesuj się!

Wydawało się, że po tym niezbyt miłym tekście oraz po aferze z Kociołkiem Panoramiksa Hendrix nie wytrzyma i w końcu przyłoży Zoltarowi. On jednak stał i kręcił głową.

— Te, kierownik Manufaktury, ty mi nie ściemniaj, żaden ze mnie Sherlock Holmes, ale głupi nie jestem. Wiesz, że pięćdziesiąt, a nie sto, co nie? Jak się zmelanżowałeś, to chciałeś zrobić napad, a jak wytrzeźwiałeś, to ci nie przeszło, prawda? No i paralizator... Słyszałem, że Rambo robił aferę, że ktoś mu zajmował paralizator, a potem w necie przeczytałem, że typ z banku podłączył pod prąd koleżkę, który wpłacał hajs. — Hendrix wbijał wzrok to w Rambo, to w Zoltara. — No i ktoś wyłączył monitoring, ciekawe kto... Pewnie jakiś gość, który jest dobry w komputery! — Wycelował palec w Olka.

Nikt nie zaprotestował, wszyscy zbierali się do jakiejś sensownej riposty.

— No kaman, co tak patrzycie jak na konfidenta?! — Rozłożył szeroko ręce. — Jestem waszym frendem i podoba mi się to, co zrobiliście. Nie pójde na psy z tematem, ja wam jeszcze pomogę! Najchętniej, jakbyśmy mogli coś zrobić temu złodziejowi, który zabrał Manufakturę. Jak jesteście tacy mocni, to przetrzecie mu komputery, zajrzyjcie do sejfu, przynajmniej go nastraszcicie, niech się ciut spoci!

Wspólnie uznali, że to całkiem dobry pomysł. Sprawy tak łatwo nie odwrócą, ale mogliby typa ponękać.

42.

Ekonomista wracał do domu z ostatniego sikania, oczywiście psa, nie swojego, za to Edek nie wyrobił, musiał iść w krzaki, o tej porze było to już bezpieczne, nie było matek i nianiek z dziećmi oraz wrażliwych emerytek, nikt nie narobi rabanu. Pocisnęło go, więc musiał. To przez browar, bo dołożył dwa nadprogramowe piwka, więc pęcherz przejął nad nim kontrolę, ale gorsza była biegunka.

Biegunka myśli, która go opanowała, gorączka opowieści o niepozornym Zenku, po którym został tylko rower.

— Mówiłem, że nie wróci. — Ekonomista skwitował chaotyczne rozważania Edka.

— Mówiłem, mówiłem! — Był wyraźnie podminowany.

Po pierwsze, przegranym zakładem i bardziej bolało go to, że ten mądraliński Ekonom miał rację, a nie że będzie musiał wydać ekstra hajs na wódkę, a po drugie, że taki sobie Zenek cwaniakiem się okazał, pograł z nimi, wykorzystał ich, i na koniec, że dają za informację o nim dziesięć koła. Dziesięć koła! Przeliczając na pięćset plusy, to tak, jakby mu za drugiego dzieciaka, którego nie ma, bo ma tylko córkę, do tego dorosłą, płacili. Obliczył to sobie na kalkulatorze — przez dwadzieścia miesięcy! Dobry pieniądz, tyle że Ekonomista cały czas powtarza, że jak to robi, to mu psy nie dadzą żadnego szmalu, tylko doszyją współudział.

— W kryminałach zawsze jest tak, że przełożeni chcą wyników, więc ci, co prowadzą śledztwo, chcą się wykazać. Często gęsto łapią kogoś, żeby tylko pokazać, że mamy podejrzanego — wyjaśnił Ekonomista.

— A od kiedy ty kryminały czytasz? — zainteresował się Edek.

— Lepiej się spytaj, ile przeczytałem, a nie od kiedy.

— No to ile?

— Dużo.

— Z dziesięć? — zapytał, ale twarz Ekonomisty nie była gotowa na grę w pokera. — Znaczy, że ze dwadzieścia?

— No ze dwadzieścia — potwierdził Ekonomista. — W zeszłym roku ze dwadzieścia.

— Dwadzieścia książek w rok? — Edek poczuł się urażony, bo po pierwsze, Ekonomista kłamał, a nikt nie lubi być okłamywany, a jeśli już, to jakoś z klasą, a nie na chama. A Ekonomista kłamał bezczelnie, na chama i bez wstydu. Pozwolił więc sobie na spuentowanie jego słów brutalnie, ale jak najbardziej uczciwie:

— Pierdolisz!

— I to jest właśnie twój problem, ty nie jesteś sobie w stanie wyobrazić, że ktoś może przeczytać dwadzieścia książek w ciągu roku, bo pewnie nie przeczytałeś tyłu w całym swoim życiu.

— No i co z tego?

— Nic, po prostu jeszcze raz dobrze ci radzę, zapomnij o tym fagasie. Nie wyjmuj roweru z piwnicy, jest charakterystyczny, będziesz chciał opchnąć za stówkę i ktoś cię przyfiluje, a na koniec zarobi sto razy więcej, niż ci da.

Edek przełknął ślinę, próbował liczyć, ale skoro Ekonomista mówi, że sto razy sto jest dziesięć tysięcy, to tak musi być.

— No to co dalej?

— Dalej to bez zmian, a jakby co, to nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy. Najlepiej nic nie pamiętać. Przypomnisz sobie coś, to cię spryciarze docisną i wyśpiewasz wszystko.

— Te, Ekonomista, ty kiedyś siedziałeś? — Spojrzał na niego badawczo. — No, co robiłeś, zanim żeś się tu przeprowadził? Siedziałeś, co nie?

— Można tak powiedzieć.

— A gdzie, za co?

— Za niewinność, jak każdy.

Edek popatrzył na Ekonomistę z lekkim podziwem, bo jednak książki to tylko książki, ale pierdel to już poważna sprawa. Jak mówią, doświadczenie większe niż wojsko, poważna szkoła życia, można powiedzieć. Nie ma co gadać, miał przed sobą autorytet, kogoś, kto wie, jak rozmawiać z gadami.

Wy nie wiecie, a ja wiem, jak rozmawiać trzeba z psem, powtórzył sobie refren piosenki, którą śpiewał kiedyś w szkole. Dopił piwo, dopalił papierosa i poszedł do domu lekko chwiejnym krokiem. Skonstatował, że kiedyś to by się pewnie wychrzanił, ale teraz chodniki były równe i świeciły latarnie. Dawniej to nie tylko żarówek nie zmieniali, ale i rzucało się w lampy kamieniami, więc na ulicy było ciemno jak w dupie. Dzisiaj gówniarzom nie chce się już nawet wybijać szyb i tłuc latarni.

43.

W Warszawie było już ciemno, a w Hiszpanii słońce dopiero powoli zachodziło, nikt też nie mówił o napadzie na bank. Wanda wciąż nie

mogła trafić we właściwy moment, by poruszyć sprawę Zoltara, więc siedzieli na tarasie w oparach beztroski i jedząc maczane w winie owoce, prowadzili dysput nieomalże filozoficzny.

— Scholastycy uważali, że filozofia jest służebnicą teologii, może być zatem służebnicą każdej idei. — Od czasu wyjazdu z Polski Pablo oddalił się od filozofii.

— Przesadzasz! — zaprotestowała Wanda, w której zaszedł proces zupełnie odwrotny.

— Nie, bo dla jednych wszystko tłumaczy, a zdaniem innych tylko stawia pytania. Kołakowski uważał, że jest wysiłkiem stałego kwestionowania wszystkich oczywistości...

— Filozofia nie przestaje zadawać pytań, a wiara żyje odpowiedzią, tak uważała Kamińska — przerwała mu Wanda.

— Ale ona była poetką!

— Nieważne, ty jesteś malarzem!

— Bywam, teraz mam kryzys, nie jestem artystą, wypuszczam z siebie pseudointelektualny bełkot. Gubię się w tym, chyba jednak Söderberg miał rację... — Pablo wyglądał na zrezygnowanego.

Wanda podeszła do niego, przysiadła się na sofie.

— Że cała filozofia istnieje tylko i wyłącznie dzięki dwuznaczności języka i na niej żeruje? — spytała.

— Nie — odpowiedział ze smutkiem. — Że istnieje właściwie tylko jedna forma egzystencji godna człowieka. Jest nią beczynność. Ja popadłem w beczynność, ja się roztapiam w nicości.

— Jest ci tu źle? — spytała zaniepokojona.

— Jest mi tu za dobrze — uśmiechnął się i pocałował ją.

— To łap tę chwilę, nie zadręczaj się, że nie pracujesz. Tyle zawsze pracowałeś! Nie musisz być jak Dwurnik, który wzorował się na swoim ojcu — rzemieślniku, i codziennie wyznaczał sobie jakieś cele. Ty jesteś inny! — To mówiąc, rozczesywała mu palcami zmierzwiłone włosy.

— No jestem! Bo pracuję chaotycznie i zrywami, ale codziennie miałem jakieś pomysły, szuflady pełne szkiców rysunków. Kiedyś wyszedłbym do ogrodu i znalazłbym kawałek drewna, w którym zacząłbym rzeźbić! Ja łapałem fazy na lenistwo, wpadałem w jakieś ciągi prokrastynacji, napoczyznałem coś tylko po to, żeby nie kończyć

tego, co miałem do zrobienia. Wyskakiwały mi z głowy pomysły, a tu... Czuję się świetnie, ale i beznadziejnie zarazem. Jest mi tu dobrze, tylko ja nic nie naszkicowałem, nul, zero! Ja wstaję i myślę, że mam pójść na plażę, wycisnąć sok z pomarańczy, chociaż nigdy tego nie robiłem i uważałem to za stratę czasu. Ja nie myślę o formie, strukturze i przesłaniu, tylko o obiedzie i kolacji. Czy kupić wino w Mercadonie, czy jechać do innego sklepu? Zjeść tu czy w knajpie?

— Chcesz wracać? — zapytała z niepokojem.

— Nie, wpadnę do Manufaktury już tylko na chwilę — powiedział bezbarwnym głosem.

Poczuła, że upór ma sens, że warto się konsultować z ludźmi tak kompetentnymi i charyzmatycznymi jak doktor Konarski, ale i tak poprowadzić sprawy po swojemu. I wtedy Pablo dokończył zdanie:

— Spakujemy się, najlepiej wynajmę Węgiełka, oni są najlepsi w artystycznych transportach, no i zabierzemy Zoltara. Trzeba jakiś kąt dla niego w tej nowej manufakturze wygospodarować.

Inna kobieta załamałaby się, poddała, ale Wanda Nałęcka-Ludwig tylko na moment zacisnęła usta, po czym uśmiechnęła się do mężczyzny swojego życia. Przytuliła się do niego i powiedziała:

— Oczywiście, tak zrobimy.

44.

Stary musiał zapaść na policyjną chorobę dwubiegunową, pomyślał komisarz Jaskulski. Przecież cały czas zapewniał wiceministra Opiłka, że rozumie powagę sytuacji, i zgadzał się ze wszystkimi jego chorymi teoriami o zamachu, terrorystach. Jednocześnie komendant nie był przecież aż takim idiotą, bardziej go chyba udawał, i zdawał sobie sprawę z tego, że napad wyglądał na robotę jakichś amatorów, którym pomogło szczęście.

Owszem, kiedy doszło do skoku na bank przy Grójeckiej, nastąpiła awaria systemu, ale komisarz szybko odrzucił najprostszą i przy tym bardzo kuszącą hipotezę, że sprawcy skoordynowali atak elektroniczny z napadem. Jeśli byłby to atak, a nie awaria, tak

przekonywało niezależnie od siebie kilku poważnych speców od informatyki, to musiałyby za tym stać jakaś potężna grupa hakerska, a najpewniej organizacja działająca na rzecz wielkiego gangu, a najpewniej rządu. Anonymous, ruskie służby, Chińczycy? Absurd!

Anonymous i inne grupy hakerskie ograniczały się do ataków w sieci. Nie zajmowały się wspomaganiami napadów na bank, poza tym chętnie informowały o udanym ataku i wyjaśniały, dlaczego to zrobili. Potężny gang, służby? Nie dla takiej kasy! To były jakieś drobne... No właśnie, ile? Czy na pewno sto tysięcy? O takiej sumie mówił ten przedsiębiorca, który chciał wpłacić do banku pieniądze. Przejrzał jego dossier. Jakub Bartnik nie był aniołem, więc nie zdziwiłby się, gdyby tak naprawdę złodziej ukradł mu co najwyżej połowę tej sumy. A nawet jeśli byłoby to sto tysięcy? Dla takich pieniędzy nikt nie uruchamiałby hakerskiej maszyny. Zatem przypadek, zdecydowanie przypadek.

Media nakręcały histerię, najchętniej cytując tych ekspertów, którzy skłaniali się ku najbardziej absurdalnym wnioskom, a nawet jeśli byli powściągliwi, to i tak leady krzyczały: „Za napadem mogły stać najpotężniejsze organizacje! Rozmawiamy z ekspertem”. Co prawda ekspert mówił, że owszem, mogło tak być, ale jego zdaniem nie był to ani wywiad, ani poważna organizacja przestępcza.

Tyle że ten rozczarowujący fragment rozmowy umieszczano w ostatnim wersie. Ludzie zerkali na nagłówki, a dłuższe artykuły rzadko kiedy doczytywali do końca. Nic dziwnego, skoro w wielu serwisach była to konstrukcja szkatułkowa, trzeba było klikać w kolejne zdjęcia i infografiki oraz screeny z Google Maps oraz z relacjami świadków: „Bardzo się bałam, widziałem go z bliska!”. Na deser co bezczelniejsi dodawali fantastyczne teorie, podparte zdaniem, że informacja pochodzi z anonimowego źródła z Komendy Stołecznej.

Konkretów było mało, mimo że świadków mnóstwo, ale każdy miał swoją wersję. Napastnik był zamaskowany, tego wszyscy byli pewni, ale jedni uważali, że spod maski wystawały włosy kasztanowe, inni, że rude, dla wysokich był niski, dla niskich wysoki. Czapka miała wszystkie odcienie czerwieni, a nawet wydawała się purpurowa,

pomarańczowa i różowa. Porozumienie osiągnięto jeszcze tylko w kwestii bluzy, wszyscy byli pewni, była czarna!

Każdy ze świadków mówił co innego i każdy był pewien swego: na bank, na pewno, jestem o tym przekonany, jak Boga kocham, panie policjancie, panie władzo, proszę pana! I rower, z pewnością składak, stary, zabytkowy, z początku lat siedemdziesiątych, żaden z tych najpopularniejszych, karat albo wigry. Do tego, tak uważali eksperci od rowerów, w unikatowym, zielonkawym kolorze.

Przewertowano strony internetowe, allegra, oleiksy, dotarli do ludzi, którzy kupili takie rowery, i okazało się, że żadnego z nich nie mogło być wtedy w Warszawie. Świetnie, tylko dla prasy to było nic ważnego, dla przełożonych także, a już najmniej dla polityków. Dla nich liczyli się zatrzymani. Chętnie umiesciliby jakieś listy gończe, a skoro ich nie było, pracowano według logiki: brak dowodów jest dowodem na wszystko.

Dzisiaj podczas konferencji prasowej musiał się z tym wszystkim zmierzyć i co więcej, miał jeszcze dołożyć do pieca. Trudno, trzeba jechać po bandzie, żeby zbudować rozpoznawalność, stawać się szeryfem, którego potrzebują Polki i Polacy. Przystał więc ochoczo na pomysł zorganizowania konferencji, a nawet na coś więcej.

Wszedł do sali wypełnionej dziennikarzami, z których co drugi prowadził w sposób mniej lub bardziej profesjonalny transmisję. Były telewizje informacyjne, parę rozgłośni radiowych i oczywiście cała masa gazet mających swoje portale oraz internetowej drobnicy, która z dnia na dzień mogła zniknąć albo przy odrobinie szczęścia lub dotacji stać się wiodącą redakcją na rynku nowych mediów.

— Szanowni państwo! — zaczął, po czym zrobił pauzę, i tak jak prezydent spróbował się przyjrzeć wszystkim naraz i każdemu z osobna. Jak to często zdarzało się głowie państwa, starał się powiedzieć coś w taki sposób, by nic nie powiedzieć. Zrobił to oczywiście doniosłym głosem: — Dobro śledztwa sprawia, że nie mogę wiele ujawnić. Sprawa jest rozwojowa, badamy ślady oraz, za co bardzo dziękuję, liczne sygnały od Polek i Polaków. Wspólnie, szanowni państwo, zdusimy w zarodku coś, co wygląda jak zabawa, a może się przekształcić w coś znacznie groźniejszego. Rozważamy dwie wersje śledztwa, obie kierują naszą uwagę w stronę krajowych

skrajnych ugrupowań, które mają powiązania z europejskimi ruchami. Można śmiało powiedzieć, że mamy do czynienia z międzynarodówką bandytów, mogących z czasem eskalować swoje działania. Więcej nie mogę powiedzieć, dziękuję bardzo.

Komisarz Jaskulski wstał od stołu, a migawki aparatów i flesze rozstrzelały się, jakby to był koncert techno, a nie konferencja prasowa policji.

— Panie komisarzu, czy można mówić o zagrożeniu terroryzmem? — krzyknął niskim głosem popularny dziennikarz, który wysługiwał się stażystami i już od dawna nie jeździł na konferencje prasowe. Sprawa była jednak na tyle poważna, że postanowił się ogrzać w ogniu najgorętszego tematu. Nie musiał się przedstawiać, każdy wiedział, że to Tomasz Halama, który prowadził program „Bez tajemnic”.

Wydawało się, że Jaskulski po prostu wyjdzie, ale przystanął, odwrócił się i rzucił w kierunku gwiazdy telewizji:

— Panie redaktorze, to pytanie do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a może do Agencji Wywiadu.

Flesz i migawki przyśpieszyły, a przez dziesiątki głosów przebił się wysoki, przenikliwy głos nowej gwiazdy telewizji publicznej, która do tej pory znana była z bezkompromisowego rozprawiania się z politykami opozycji.

— Sandra Jarmuż, magazyn „Odtajnione”! — Ona nie miała jeszcze pozycji Halamy i czuła potrzebę przypomnienia, jak się nazywa i jaki program prowadzi. — Czy ta międzynarodówka bandytów, jak to określił pan komisarz, nie jest związana z lewicową partyzantką miejską? Ten odcisk dłoni to przecież symbol Czarnej Ręki! — powiedziała podniesionym, nieomal uroczystym głosem. — W dziewiętnastym wieku nazwę Mano Negra nosiła terrorystyczna organizacja hiszpańskich anarchistów, a pod koniec dwudziestego stulecia grupa rockowa francuskich lewaków. Jej lider Manu Chao nie kryje sympatii dla Zapatystowskiej Armii Wyzwolenia Narodowego! Oni mają możliwości i powiązania!

Po sali przebiegł szmer, który przerodził się w śmiech, bo Sandra Jarmuż nie była lubianą dziennikarką. Zresztą wielu uważało ją za

pracownicę działu promocji obecnego rządu, za to wszyscy, może z wyjątkiem takich tuzów jak Halama, zazdrościli jej zarobków.

— Stoi za nimi wywiad kubański. — Rozległ się niepowtarzalny, pełen uroku i szyderstwa głos Tomasza Halamy.

Może Halama nie zazdrościł Sandrze Jarmuż zarobków, ale na pewno czasu antenowego oraz możliwości, którymi były, jak szeptano, przecieki ze służb.

Komisarz Jarosław Jaskulski był już niemal w drzwiach, ale cofnął się, znów stanął na skraju stołu konferencyjnego i w końcu mógł wygłosić swoją przygotowaną wcześniej kwestię.

— Pani redaktor, apeluję do pani poczucia obywatelskiego obowiązku — powiedział podniosłym, zabarwionym nutką stanowczości głosem. — Proszę nie ujawniać szczegółów śledztwa!

— Ależ ja opieram się wyłącznie na materiałach, które ma każdy dziennikarz! — zaprotestowała.

— Proszę moje słowa potraktować nie jako prośbę, lecz ostrzeżenie! — rzucił Jaskulski i opuścił salę.

Zapanowało zamieszanie, flesze rozświetliły twarz Sandry Jarmuż, jakby nie była dziennikarką, ale gwiazdą z Hollywood. Tomasz Halama już wiedział to, co za chwilę zrozumieją inni, magazyn „Odtajnione” będzie dziś miał rekordową oglądalność.

*

Matylda Leśniewska wyłączyła telewizor. Nie miała wątpliwości, że to ustawka, za dużo wiedziała o Sandrze Jarmuż, przyjrzała się też CV komisarza. Jedno i drugie potrafiło się pięć po szczeblach kariery, czego ona nie chciała robić, dlatego patrzyła na nich z obrzydzeniem. A może chciała, ale nie potrafiła?

Pora sobie zdać sprawę, że miała w swoim dziennikarskim życiu tylko ten jeden jedyny strzał, od którego jej kariera się zaczęła, osiągając swój zenit, po czym zwinęła się jak kulka papieru, na filmach wyrywana z maszyn do pisania przez wielkich pisarzy i redaktorów, którym chwilowo nie idzie. Kulki lądują w koszu albo obok niego, a oni stukają w klawisze w poszukiwaniu tego złotego

zdania. Ona właśnie była taką zmiętą, wyrzuconą do śmietnika kulką papieru, nieudanym produktem mediów. Matka miała rację, powinna do niej pojechać, zająć się czymś lżejszym, a przynoszącym większe korzyści. Zarządzanie nieruchomościami może być nudne, ale ważniejsze jest to, co się robi w wolnym czasie i czy się ma na to pieniądze.

Już miała nacisnąć zieloną ikonkę na smartfonie, ale coś ją zatrzymało. Spróbuje raz jeszcze, napisze nowy list do tego wariata, który okradł bank.

45.

Zoltar przeszedł prawdziwą huśtawkę nastrojów, od euforii podczas stypy, poprzez załamanie, kiedy następnego dnia wszyscy go wyśmiali. Później były rozczarowujące wypadki związane ze skokiem na żoliborski bank, który okazał się snem na dopalaczach, wreszcie udana akcja przy Grójeckiej i dekonspiracja. Rambo, Olek i Hendrix chcieli mu pomóc, tylko nie bardzo wiedział dlaczego.

— Bo cię lubimy? — powiedział Olek z charakterystyczną intonacją stosowaną przez młodych, która czyniła ich wypowiedź pytającą, stwierdzającą i kpiącą zarazem.

— Sobie jaja robisz. — Zoltar doszedł do wniosku, że tym razem była to kpina. — Raczej nie byłem dla was miły. — Zdobył się na refleksję.

— No raczej — odparł Olek, zaś Rambo nadal milczał.

— Zatem...

— Wiesz, jak to jest, wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

— Rozumiem — odpowiedział Zoltar. Nałogowo czytał kiedyś Ludluma, czyli powieści Roberta Ludluma, które załyły Polskę na początku lat dziewięćdziesiątych. — Czytałem „Protokół Sigmy”!

— „Protokół Sigmy”? — zdziwił się Olek.

— No Ludlum przecież — teraz zdziwił się Zoltar, bo wydawało mu się, że chłopak jest odczytany, tymczasem Olek przynosił wzrok to na Zoltara, to na Rambo.

— Robert Ludlum, pisarz taki — włączył się Rambo i dodał: — Jak byłem młody, to chłonałem te książki, było kiedyś sporo lektur, po których chciało się zostać specjalsem, a nie Wiedźminem.

— Ale już nie Pancernym — zamyślił się Zoltar, po czym dodał: — Forsyth, Follet, Higgins, Ludlum, to była literatura... — Wypowiedział te nazwiska z namaszczeniem, bo właśnie tym autorom, a nie, z całym szacunkiem, Tokarczuk, choć fajnie, że to Polka zdobyła mistrzostwo świata w literaturze, dałby Nagrodę Nobla. — Ale dalej nie rozumiem. — Zoltar od swoich ulubionych autorów przeszedł do tego, co tu i teraz. — Czemu tak bardzo chcecie się policzyć z tym dupkiem deweloperem?

— Coś nam zabrał — powiedział sucho Hendrix. — Nie lubimy takich sukinsynów.

— Wolne żarty! — zaśmiał się Zoltar. — To byście należeli do ruchów miejskich, pisali petycje i tak dalej. Nic takiego mi się nie obilo o uszy, prawda? — Spojrzał na nich i nie otrzymawszy odpowiedzi, ciągnął: — No i najważniejsza kwestia, ja tracę wszystko, mogę grać va banque, nawet muszę! Wiecie, że się ukrywam, że nie mam się gdzie podziać, że to moja ostatnia przystań? Albo zrobię skok i się nachapię i wyzwolę, będę miał szmal na przeżycie i samodzielność, na to, by się ukrywać, gdzie chcę, albo mnie dopadną. Za długi, ZUS-y, śmusy, wszyscy: skarbówka, gangusy, u których się zapożyczyłem, i ci, którzy skupili moje długi. Miałem w opór wszystkiego, później miałem Manufakturę, a teraz nie mam nic. A wy? — Znowu spojrzał badawczo to na Olka, to na Rambo, to na Hendrixa. — Ty wszędzie możesz postawić kampera, masz jakąś rentę czy inną emeryturę, a ty wszędzie możesz stukać na komputerze, choćby w domu. A nawet jeśli masz mikrą chatę, to jakoś przeczekaś i znajdziecie z siostrą nową pracownię. Dobrzy jesteście, chyba czynsz was nie zabije, no chyba żebyście się uparli na jakiś nowoczesny biurowiec albo kamienicę w centrum. Wiem, że ze studiem nagrań będzie kłopot, ale macie dobrego udziałowca, no i znają was, startujecie z innego poziomu niż przed Manufakturą — zwrócił się do Hendrixa.

— Bo ja tu właśnie mam swój dom... — powiedział niepewnie Olek.

— No sorry, ale pierdolisz, młody — zaśmiał się gorzko Zoltar i wycelował w Olka palec. — Pablo to freak, ja jestem upierdliwym administratorem, tych dwoje w studiu nagrań też mają nierówno pod kopułą, Dziadek... — Machnął tylko ręką. — No i Rambo, facet w cholerę towarzyski. I byłbym zapomniał: Wanda — dodał, zaciskając dłonie w pięści. — Dama, co już nie tańczy sama, ale za to tylko z Pablem. I to jest dom? No sorry, młody, ale z tego zestawu to tylko Szarik to jakiś towarzyski konkret, no i twoja siostra, ale ją i tak masz w domu.

— Wiem, wiem. Sorry, ale to ty pieprzysz. Bo wy jesteście... — Głos ugrzązł Olkowi w gardle.

— No kim jesteście? — burknął Zoltar.

— Moją rodziną...

— No ja pierdołę! — Zoltar aż wykonał obrót. — Ale żeś sobie wybrał, chłopaku, rodzinę.

— Rodziny się nie wybiera, jeśli jest zła, można od niej odejść, zapomnieć, wyprzeć, ale jeśli jest może niedoskonała, ojciec się zapracowywał, mama była trochę za ostra, ale jednak to rodzina i życie mi ją zabrało, rozumiesz?

Zoltar nie do końca rozumiał, choć to pewne, że jemu przytrafiło się podobnie. Cały czas nie potrafił dopuścić do siebie prawdy, że sam wszystko przepieprzył, że gdyby Anka nie podzieliła majątku, to miałby rezerwę, z którą zrobiłby cuda, zarobiłby pieniądze, odegrałby się! Tak naprawdę to tęsknił za córką, ale bał się, że nie chce go znać, a nawet gdyby się z nim spotkała, to nie miałby jej nic ciekawego do powiedzenia, i ona jemu też.

— Tu nie było jak w bajce, ale miałem wokół siebie ludzi, niedoskonałych, ale ludzi. Nie jestem, jak myślisz, komputerowym pojebem, który wszystkie problemy rozwiązuje w sieci. Fakt, tkwię przed klawiaturą dziewięćdziesiąt procent czasu, ale dziesięć, niech będzie, że pięć, to jednak wy. Jesteś zrzędą, Dziadek nawija o lotniach, Hendrix i Ala żyją swoją muzyką, Pablo jest freakiem, Rambo milczkiem, ale w sumie to można z wami pogadać. A Wanda wcale nie jest taka, jak ją opisałeś. Może jest bogata, ale nie jest jakąś Carrington z Konstancina.

— A twoi koledzy?

— Koledzy? — skrzywił się Olek. — Byli, ale się skończyli. Jak studiowałem, to tak, ale jak uznałem, że mogę się sam rozwijać, że tracę czas na dojazdy, że nawet najfajniejsza uczelnia nie jest miejscem dla ludzi na wózkach, że nie pójdę w piątek na melanz, to odszedłem. To była krótka sensacja, w sumie niewiele to zainteresowało, a później prawie wszystkie kontakty się urwały. Ja bym chciał, żeby zostało, jak jest, naprawdę.

— To miejsce ma duszę, uważam, że każde wielkie studio je ma, albo tak, jak to było z Zeppelinami i Deep Purple, studio w samochodzie i jazda tam, gdzie dobry klimat. Ale ja bym nie chciał nigdzie jeździć. Wolę, żeby do mnie przyjeżdżali, nastawiłem się na to, więc chętnie bym się teraz zrewanżował — wyjaśnił Hendrix

— A ty? — Zoltar zwrócił się do Rambo.

— A ja? — Wzruszył ramionami. — Podobnie. Z armii odszedłem honorowo i bezpowrotnie, bo zwalono na nas pewną porażkę, do której nikt się nie chce przyznać. Bo jak się można przyznać do czegoś, czego oficjalnie nie było? — uśmiechnął się. — Elegancko mnie i paru innych uznano za niezdolnych do dalszej służby, przeniesiono na emeryturę, a tam... Niełatwo jest zacząć nowe życie, łatwiej jest spieprzyć wszystko to, co zostało ze starego. Rozwiodłem się, kupiłem kampera, oszczędzam na wyprawę, ale tak naprawdę rdzewieję. Popijam, tyję i boję się.

— Czego? — zdziwił się Zoltar.

— Codzienności, która mnie wykończy, jak wykończyła innych. Dlatego potrzebuję czegoś takiego, akcji, adrenaliny, jakiegoś sensu, a to, co chcecie zrobić, ma sens.

— A co chcemy zrobić? — zapytał Zoltar. — Bo ja się wyleczyłem ze skoku na bank.

— Chcemy znaleźć na dewelopera haka i go zastraszyć, a potem się zobaczy — powiedział z entuzjazmem Olek.

— Jechać z dziadem! — zapalił się Hendrix.

— To brzmi sensownie — uśmiechnął się Rambo. — Ale czy mamy jakiś plan?

— Mamy, choć... — Olek zawiesił głos. — Będzie to trochę skomplikowane. Nie wiem, czy wykonalne, musimy zrobić burzę mózgów.

Olek zaczął opowiadać. Jak się okazało, pomysł, jaki miał na nękanie Bielaka, nie tylko przypadł wszystkim do gustu, ale był też wykonalny.

46.

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Znowu wezwanie do starego. Pewnie w gabinecie czeka nie tylko on, ale i wiceminister Opilek i, nie daj Boże, do kompletu Trzmiel. Na szczęście nie był to żaden z nich, tylko facet pod siedemdziesiątkę, nieco kostyczny, łysy jak kolano, inny typ niż łysawy komendant Mariański, który miał nadwagę i ratował się fryzjerską pożyczką. Nie był elegantem, ale miał w sobie coś sportowego i jednocześnie...
Urzędowego?

Trzymał formę, ale nosił się nieco sztywno, poznał paru takich ludzi. Ale tego widział pierwszy raz, wiedział natomiast, że facet czuł się tu jak u siebie w domu. Tacy byli najgorsi, tyle że wtedy komendant był jak zmrożony, do bólu oficjalny i poruszał się jak cyborg, a teraz był swobodny, wręcz wyluzowany. Jakiś znajomy, tylko kto?

— Pan nadkomisarz Waław Jakółcewicz, były nadkomisarz — dodał.

— Wolę były major — uśmiechnął się Jakółcewicz i podał dłoń na powitanie.

Komendant wykrzywił twarz w uśmiechu. Widać było, że nie mógł zwrócić Jakółcewiczowi uwagi, choć podkreślenie przez Jakółcewicza przywiązania do służby z czasów słusznie minionych wyraźnie mu się nie spodobało. Teraz Jaskulski sobie przypomniał: Waław Jakółcewicz był szychą Milicji Obywatelskiej, filarem dochodzeniówki. Pracował też w policji, a po przejściu na emeryturę założył agencję ochrony.

— Dzień dobry, panie nadkomisarzu — przywitał się Jaskulski. Jakółcewicza ta demonstracja poglądów nieco rozbawiła.

— Nie ma pan poczucia humoru — powiedział z uśmiechem, który szybko zniknął z jego ust. — Ale nie przyszedłem tu dla towarzyskich żartów i niezobowiązującej atmosfery, z której od lat znane są gabinety kolejnych komendantów stołecznych. Ad rem, jestem współwłaścicielem i prezesem firmy świadczącej usługi w zakresie ochrony i monitoringu. — Mówiąc, otworzył leżący na biurku laptop i uruchomił go. — Jednemu z moich klientów przytrafiła się przykra historia. Jacyś intruzi dokonali najścia na jego dom, stało się w to w czasie jego nieobecności.

— Rozumiem, że zgłosił pan sprawę we właściwym dla tej dzielnicy komisariacie policji bądź zadzwonił pan na numer alarmowy 112?

Po słowach komisarza Jaskulskiego komendant lekko spanikował, jakby chciał powiedzieć: i ty, Brutusie, przeciwko mnie, a Jakołcewicz się zaśmiał.

— Albo się myliłem i ma pan poczucie humoru, albo pan chroni tyłek. To pierwsze doceniam, co do tego drugiego, to miałem nadzieję, że jesteśmy w gronie przyjaciół.

— Skoro tak, to zapytam pana majora po przyjacielsku. — Jaskulski postawił na słowie „major” mocny akcent. — Czemu właśnie ja zostałem pana przyjacielem?

— Dobrze, bardzo dobrze — zaśmiał się Jakołcewicz i dalej ciągnął pół żartem, pół serio: — Bo wychowałem wielu śledczych, pomogłem w rozwinięciu ich karier, a pan jest kolejnym dobrze zapowiadającym się funkcjonariuszem. Przyszedłem panu pomóc, w przeciwnym razie zrobiłbym tak, jak nakazują zasady i regulaminy. Powiedzmy, że siedziba Komendy Stołecznej — Pałac Mostowskich, to najbliższa mi placówka policji, więc przychodzę tu, by poinformować i przekazać materiały. Prawda, Damian? — zwrócił się po imieniu do komendanta, chcąc pokazać, że łączy ich stara znajomość. — Chce pan je zobaczyć od razu?

Jaskulski nie potrafił się oprzeć i po chwili wspólnie oglądali film.

— To obraz z ulicy, za chwilę pojawi się napastnik. — Szef ochrony Jakołcewicz był jak komentator sportowy, który komentuje retransmisję meczu, znając już jego wynik i przebieg.

Faktycznie w kadr wszedł człowiek średniego wzrostu, ubrany na czarno, w kominiarce na głowie, dobrze zbudowany, a może po prostu z lekką nadwagą. Przypakowany schab, pomyślał komisarz, i po chwili zmienił zdanie. Gość nie był typowym przyciężkawym koksem, bo z zadziwiającą lekkością sforsował ogrodzenie. Zrobił to nie tylko bardzo szybko, ale i stylowo, wręcz elegancko, bo wylądował, jakby był wyczynowym gimnastykiem. Niczym sportowiec, który walczy o medal na olimpiadzie, rozłożył szeroko ręce i brakowało tylko, by w ogrodzie czekało na niego jury, które przyzna noty za styl.

Przypadek czy celowe działanie, pomyślał Jaskulski, i w napięciu czekał, co będzie dalej. Sprężystego złodzieja — tak go sobie w myślach nazwał, przejęła kolejna kamera, a później, jak na transmisji z zawodów sportowych ogrodu, jeszcze ta wisząca nad drzwiami wejściowymi. Podeszedł do nich i otworzył je. Tak po prostu! Obraz z kolejnych kamer zapisał, jak przechodzi przez kolejne drzwi, jakby nie było tu żadnych zabezpieczeń. To, kurwa, jacyś geniusze, wstrząsnęła nim niepokojąca myśl, bo przecież było jasne, że ktoś musiał wyłączyć cały system. Po chwili zwątpienia przyszedł jednak moment triumfu.

— Wyłączyli wszystkie zabezpieczenia, zamki elektroniczne, system alarmowy, a zostawili kamery. Popelnili błąd! — powiedział, nie ukrywając entuzjazmu.

Myślał, że szef ochrony Jakołcewicz to podchwyci, tymczasem ta stara, łysa pała milczała. A co miał mówić gość, który przed policją pracował w milicji? Przecież oni nic nie potrafili, poza wyłapywaniem opozycji i pracy pod dyktando partii i SB. Tymczasem na ekranie ubrany na czarno typ w kominiarce wszedł do gabinetu, po czym zdjął mały plecak i odwrócił się w kierunku kamery.

Co za baran, zaśmiał się w duchu Jaskulski, jeszcze chwila i zdejmie kominiarkę. Nie zdjął, natomiast dalej wgapił się w kamerę, a może... Niemożliwe, że w kamerę, po prostu przyglądał się przedmiotowi, w którym ją zamontowano. Co tam mogło być? Nieważne, przecież tam zaraz pojedzie, zobaczy, nie będzie pytał tego zomowca. Tak, tak go będzie nazywał, zomowiec. Z miejsca poprawiło to Jaskulskiemu humor. A może pan prezes ma tam jakiś

obraz albo monitor z pornołem? Oczywiście był to żart, ale żartem nie było już to, że facet pomachał do kamery, a później stanął w postawie zasadniczej i podniósł w górę dłoń, jak byłby jakimś indiańskim wodzem na westernie.

Komisarz odwrócił się w kierunku Jakołcewicza i patrzył na niego triumfująco. On, śledczy z nowej, lepszej policji, gapił się na starego eksmilicjanta z wyższością, z którą patrzy na dzikusa biały podróżnik.

— Sądzi pan — uśmiechnął się do niego Jakołcewicz. — A ja panu mówię. Niewidzialna ręka to nasz znak, niewidzialna ręka to także ty!

Czuł, że dopiero teraz nastąpi kulminacja, bo skąd trzydziestoparolatek może o tym wiedzieć? O niewidzialnej ręce, o znaku, o misji. Nie dość, że dupek, to jeszcze gówniarz.

— Co to znaczy, o co chodzi?! — gorączkował się komisarz Jaskulski.

— Znaczy to, że ten, który zrobił skok, albo ktoś, kto tym skokiem kieruje, musi być pięćdziesiąt plus, a może i sześćdziesiąt. Ktoś bliżej mojego niż twojego wieku.

Twarz komisarza wołała o pomoc, nadal nic nie rozumiał, nadal myślał, że to jakiś żart. A to był dopiero początek. Było grubiej, niż można było przypuszczać. Nawet Jakołcewicz, który miał z niego polewkę, za chwilę sam nie będzie w stanie uwierzyć w to, co się wydarzy, choć widział ten materiał dziesiątki razy.

— Zaraz coś panu pokażę. — To mówiąc, wyjął z kieszeni telefon komórkowy, uruchomił YouTube'a i odpalił czarno-biały filmik.

Niezbyt zaawansowanej animacji, przedstawiającej rozbłyski, w których pojawiały się dłonie, towarzyszyły odgłosy depeszy wysyłanej za pomocą alfabetu Morse'a. Po kilku sekundach rozległ się męski głos: „Niewidzialna ręka spieszy z pomocą, niewidzialna ręka to ty! Za chwilę wiadomości niewidzialnych dla niewidzialnych”. Na animacji pojawił się napis „Niewidzialna ręka”.

— Żadna tam Mano Negra, tylko niewidzialna ręka.

Jakołcewicz wiedział, jaki będzie efekt, i spokojnie go obserwował. Patrzył na pewnego siebie elegancika, który występował przed telewizyjnymi kamerami jako lepsza twarz policji, i nie przypominał

Borewicza dwudziestego pierwszego wieku, jedynie świątecznego karpia, który łapie powietrze szeroko otwartym pyszczkiem.

— Który jesteś rocznik, młody? — Uznał, że to dobry moment, by przejść na ty, do tego na jego zasadach.

— Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty trzeci.

— Milenials — uśmiechnął się Jakołcewicz. — Jak przyszedłeś na świat, to niewidzialnej ręki nie było na antenie od trzech lat. To był taki program telewizyjny, który szedł przez piętnaście lat, a wziął się z akcji „Świata Młodych”. Co to jest „Świat Młodych” pewnie też nie wiesz, co?

Nie wiedział, choć jego twarz nie była już pyskiem karpia, przybrała raczej bliższe Jaskulskiemu oblicze szczupaka, który czai się do napaści na mniejszą rybę. Tyle że Jakołcewicz nie był mniejszą rybą, był starym sumem, który się dopiero rozkręcał.

— Ale co to jest „Tytus, Romek i A'Tomek” to mniej więcej wiesz?

Wiedział, ale to pytanie znów go zdeprymowało. Co w tym wszystkim robili Tytus, Romek i A'Tomek?

— Ich przygody były główną atrakcją „Świata Młodych”. Zanim się ukazały w książkach, drukowano je na ostatniej stronie pisma dla harcerzy i właśnie tam wymyślono akcję niewidzialnej ręki. Chodziło o anonimową pomoc starszym ludziom, domom dziecka, wszystkim potrzebującym. Takie działania z przyczajki, tacy dobrzy rozbójnicy, kapujesz?

Z trudem, ale kapował.

— W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym akcję z gazety do telewizji przeniósł Maciej Ziemiński i przez piętnaście lat leciała ta konspira. Muzyczka i czołówka miały, jak słyszałeś i widziałeś, coś ze szpiegowsko, podziemnego klimatu. Dzieciaki i młodzież to kręciło, sam byłem jednym z nich — zaśmiał się Jakołcewicz i stanął w takiej samej pozycji jak przestępca z filmu. — Niewidzialna ręka to także ty!

— Znasz ich, jesteś jednym z nich. — W głowie Jaskulskiego wszystko zaczynało się układać, sprawy wydawały się prostsze, dalsze działania przewidywalne, przesłuchać wszystkich podejrzanych!

Jakołcewicz, jakby czytał w jego myślach.

— Jeśli chciałbyś ich wszystkich przesłuchać, to poproś o dodatkowych ludzi, najlepiej jakieś dziesięć tysięcy, bo do końca akcji, czyli do stanu wojennego, przewinęło się przez niewidzialną rękę jakieś dwa miliony ludzi. Chyba nie dasz rady, bo to tak, jakbyś dzisiaj chciał przesłuchać wszystkich z puszkami WOŚP albo wszystkich skaterów, a może tych, co jeżdżą na elektrycznych hulajnogach.

Jaskulski zaliczył informacyjny nokdaun, ale Jakołcewicz, zamiast liczyć do ośmiu, nie przestawał go obijać.

— Tak na oko podejrzanym może być każdy, kto w tamtych latach oglądał telewizję i chodził do szkoły, ten z filmu jest za młody, ale w tej grupie muszą być ludzie pięćdziesiąt plus i raczej nie wygłupiałbym się z jakąś Mano Negra, lewactwem i innymi bajkami, od których staję twoim szefom. À propos, ta panienska z telewizji, Sandra Jarmuż, to ona sama to wymyśliła, razem to zrobiliście, czy ktoś wam to podrzucił?

Komisarz zmiął w ustach przekleństwo, a komendant udał, że nie słyszy, i o mało, niepytany, nie zaprzeczył, że nie było u niego w tej sprawie żadnego polityka, a już na pewno nie wiceministra Opiłka.

— Pokazałem to wam, żeby mieć pewność, że to się nie rozprzestrzeni jak gówno z wentylatora — powiedział Jakołcewicz. — Żadnego przecieku, żadnej pieprzonej Jarmuż, rozumiecie? Mój klient chciał w pierwszym odruchu zrobić aferę, a ja uważam, że trzeba to zignorować, bo przestępca chce rozgłosu, a my nie. — Spojrzał na nich tak, jakby nie minęło prawie trzydzieści lat od momentu, kiedy odszedł z policji.

Pokiwali głowami, jakby komendant był młodym policjantem ganianym przez majora Jakołcewicza, a Jaskulski chodził do podstawówki.

Nie wiedzieli, że niedaleko od nich w mieszkaniu na Muranowie Matylda Leśniewska montuje pierwszy odcinek programu, który jutro wrzuci na swój kanał na YouTube. Jeszcze nie miała pomysłu na jego nazwę, ale już wiedziała, jak się będzie nazywał debiutancki odcinek: „Niewidzialna ręka”.

47.

Kiedyś Pablo nazwałby to gniciem. Życie bez rzeźbienia, aktywności fizycznej, miasta... Taras, słońce, basen i przyjemne rozmowy, które być może ktoś przysłuchujący się z boku nazwałby pseudointelektualnym bełkotem. Pewnie sam by tak powiedział. Ale teraz siedział na sofie, a Wanda trzymała na jego kolanach głowę i recytowała:

Non sei in ritardo.

Non sei in anticipo.

Sei nel tuo tempo.

— Nie mówię po włosku, przecież wiesz. — Spojrzał na nią z wyrzutem.

— To znaczy — uśmiechnęła się przepraszająco — nie jesteś ani spóźniony, ani przed czasem. Jesteś w czasie odpowiednim — swoim. To włoski wiersz, widziałam go gdzieś na Fejsbuku, w którymś komentarzu, który zaczyna się od wersów:

*Qualcuno si è laureato all'età di 22 anni,
ma ha aspettato 5 anni prima di assicurarsi un buon lavoro.*

Qualcuno è diventato CEO a 25 anni ed è morto a 50.

Czyli: ktoś obronił dyplom, mając 22 lata, a zajęło mu 5 lat znalezienie dobrej pracy. Ktoś został prezesem, mając 25 lat, ale zmarł, mając 50. To jakby o was, o tobie i... O Zoltarze. — Pierwszy raz powiedziała Zoltar, zawsze mówiła o nim Zdzisław.

Tak, to było o nich. Zoltar miał świetny start, łykał dystans, wszystko mu wychodziło. Czegokolwiek dotknął, było sukcesem. Aż nagle nastąpił krach. A on piął się mozolnie w górę. Niby pięć lat nie znaczyło aż tak wiele, bo jak każdy zaczynał na studiach, ale jego koledzy szli jak burza, a on trochę wolniej. Miał coś powiedzieć, nie wiedział jeszcze co, za to ona miała już w głowie formułkę, pewne sprytne zdanie. Było furtką do przemowy, w której wspięłaby się na szczyty erystyki, tłumacząc w końcu, że czas tej przyjaźni minął. I w tym momencie zadzwonił telefon.

Dobijała się do niej Lidia Stanisławska-Monetti, koleżanka jeszcze ze studiów, designerka, która pomogła jej w wykańczaniu wnętrz, tych komercyjnych i także prywatnych. Bez niej nie poradziłaby sobie z tak szybkim załatwieniem hiszpańskich spraw. Odebrała.

— Widzieliście? — zaczęła Lidia bez ceregieli.

— Ale co?

— Przebój dnia!

— Jaki przebój?

— Wysyłam ci linka, obejrzyjcie, koniecznie razem!

Użyła linka i ustawiła telefon tak, by widzieli oboje.

— Lidia mówi, że musimy to coś zobaczyć.

Na ekranie pojawiła się kobieca twarz.

— Dzień dobry, nazywam się Matylda Leśniewska, to mój pierwszy wywiad z cyklu „Rozmowy Matyldy” na moim nowym kanale na YouTube.

Ukazała się plansza zatytułowana „Rozmowy Matyldy”, a kobieta rozpoczęła tyradę, że jest mnóstwo ważnych tematów, które są lekceważone, a warto się nad nimi pochylić.

— Jezuuu, mamy oglądać jakąś jutuberkę? — skrzywiła się. — Mogłaby lepiej zrobić włosy.

— I światło — dodał Pablo. — Nie znam jej.

— Ja pamiętam, dobrze się zapowiadała, ooo! — krzyknęła nagle. — Zobacz, zobacz!

Ale Pablo widział to co ona. Teraz kamera pokazywała w szerokim kadrze Leśniewską i człowieka w kominiarce.

— Moim rozmówcą jest pan X, jeden z ludzi, których część prasy obwołała Gangiem Czarnej Ręki!

— Dzień dobry, prasa i policja się mylą, nie jesteśmy żadną Mano Negra, po pierwsze, nie jesteśmy terrorystami, może nie działamy zgodnie z prawem, ale chcemy sprawiedliwości.

— Zaatakowaliście bank, to akt terroru!

— Broń była atrapą, a paralizator służył nam wyłącznie do samoobrony.

— Przed biznesmenem, który chciał wpłacić pieniądze? — spytała oskarżycielskim tonem.

— Pani redaktor... — Zoltar zaśmiał się, a modulator dźwięku zrobił z tego śmiech upiora. — Po pierwsze, nie trafiło na osobę uczciwą. Co prawda pan Bartnik wpłacał pieniądze z legalnej działalności gospodarczej, ale... Odpowiednie służby już dostały informacje na jego temat i będą nam wdzięczne. Kontrahenci i klienci tego „uczciwego” przedsiębiorcy także, podpowiadam tylko, że chodzi o dość prymitywne sposoby na zaniżanie wagi towaru i niezgodność norm. Od siebie dodam, że zarekwirowaliśmy pięćdziesiąt tysięcy złotych, które przekazujemy teraz pani redaktor jako wstępną transzę na rzecz osób poszkodowanych przez Jakuba Bartnika. Te środki z pewnością zabezpieczy policja, ale wyrokiem sądu, wcześniej czy później, trafią one na konta poszkodowanych. Chciałbym jeszcze tylko przypomnieć, że w mediach Bartnik skarżył się na to, że miał wpłacić sto tysięcy złotych...

— Dlaczego oblał pan kawą pana Roberta Trzmiela?

— To czysty przypadek, pani redaktor. Czy sądzi pani, że bym kogoś takiego rozpoznał? Uruchomił komórkę, interweniowałem, pochyliłem się i wtedy... To czysty przypadek, że zmarnowałem na niego kubek kawy! A swoją drogą trzeba być kompletnym błaznem i megalomanem, by uznać to za atak terrorystyczny! Przepraszam. — Zoltar znów się upiornie zaśmiał. — Przepraszam bardzo, błaznem to był Stańczyk, Trzmiel to zwykły pajac jest!

— A kim jesteście jak nie Mano Negra?

— Jesteśmy niewidzialną ręką, mamy zamiar anonimowo naprawiać błędy systemu, sięgać tam, gdzie nie sięga prawo. Tam, gdzie potrzebna jest sprawiedliwość. Będziemy informować o kolejnych akcjach. Dziękuję pani redaktor za rozmowę, od teraz będą za nas przemawiać czyny! Proszę, oto zapis naszej ostatniej akcji — powiedział, pokazując kartę pamięci. — Zgra to pani na swój dysk i wyemituje jako dowód, że nawet potężni biznesmeni nie mogą się czuć bezpieczni.

Zoltar wstał i wyszedł, niknąc w ciemnościach.

Teraz na ekranie była już tylko twarz Matyldy.

— To była rozmowa z panem X, jednym z liderów tajemniczego Gangu Niewidzialnej Ręki, a oto zapowiadany materiał. Widzowie zobaczyli zapis z wnętrza willi Bielaka, ale mocno skrócony. — X

powiedział mi, że eksplorował dom pewnego biznesmena i ma już pełne dossier jego przestępczych działań. Szczegóły wkrótce!

Dlaczego przyjaciółka Wandy kazała im to koniecznie oglądać? Zadzwonili do niej.

— Interesujące, prawda, a jeszcze ciekawszy jest ten biznesmen, do którego się włamali! Nie powiedzieli, kto to, ale ja wiem, urządziłam mu dom. To Adam Bielak, ten deweloper, który usunie Pabla z Manufaktury!

Robiło się ciekawie, podwójnie ciekawie, bo kiedy zaczęli oglądać materiał, to miał on kilkadziesiąt tysięcy wyświetleń. Teraz, po kilku minutach, przekroczył dwieście. Zajrzeli na strony gazet i portali informacyjnych, wszyscy umieszczali ten film. Rozmowa z tajemniczym panem X i relacja z domu Bielaka stawały się wiralem. Pewnie nie tylko Lidia Stanisławska-Monetti rozpoznała to wnętrze. Jeszcze chwila i wybuchnie prawdziwa bomba!

48.

Wszystko poszło tak, jak trzeba. Ich wjazd do willi Bielaka był świetnie przygotowany i równie dobrze przeprowadzony. Okazało się, że najlepsze, rzekomo niezawodne systemy alarmowe i monitorujące, założone przez formę WJ Security Agency, były do obejścia. Zamki, zabezpieczenia, szyfry... To wszystko dla kogoś tak genialnego jak Olek było betką.

Tego Rambo był pewien. Plan okazał się nieskomplikowany, w dowiezieniu i powrocie pomogły wciągnięte w sprawę Zuza i Ala, a Hendrix stał na czatach. Posługiwali się krótkofalówkami, telefony mieli wyłączone, żeby nie logować się do stacji bazowych. Na co dzień mogli z nich korzystać, bo Olek dzięki swoim hakerskim kontaktom ściągnął aplikację Anonymous Plus. Tak naprawdę był tylko jeden słaby punkt, zrobienie burzy w mediach, opracowanie strategii, stworzenie tożsamości grupy i wybranie osoby, która byłaby ich kontaktem ze światem.

Niemal wszyscy stawiali na tuzy dziennikarstwa. Niezrównanym kandydatem wydawał się Tomasz Halama, ale Zoltar zgłosił weto.

— On ma wielu wyznawców, ale i tylu samo zajadłych przeciwników, poza tym zrobił się z niego tłusty kot. To musi być ktoś świeży, ktoś, kto nie budzi kontrowersji i komu się chce. Osoba, której nie ośmieszają i nie zmarginalizują, bo jest z konkurencji.

— Ale ty, jak mi się zdaje, proponujesz tę pannę, jak jej tam, Matyldę Leśniewską, do której już pisałeś? — Głos Rambo wyrażał poważnie wątpliwości.

— I która mi odpisała!

— Która dziennikarka by nie odpisała do wariata, gdy ten zapowiada napad na bank, i to robi! — Hendrix wyraźnie trzymał stronę Rambo.

— A który dziennikarz nie upubliczniłby listu od Zoltara, gdyby ten nie odpisał? Prawie każdy z nich, mając taki list i próbując ponownie nawiązać kontakt po napadzie, uczepiłby się tego! Byłby serial! Nasz reporter zna tajemniczego napastnika, tylko u nas treść listu, prawda? — Ala była zupełnie innego zdania niż jej facet.

— I zwolniła się z pracy, bo miała dość miałkich tematów, a teraz będzie chciała się wykazać. Ma motywację, a do tego jest w stu procentach niezależna! — Zuzi pomysł z Matyldą także się spodobał.

— Olek ją przeświecił, prawda? — Zoltar wbił wzrok w komputerowego geniusza.

— A skąd wiesz? — Olek się zaczerwienił.

— Bo ty tak masz, zatem?

— No tak... Jest w porządku.

— Brak pracodawcy, redakcji, która by ją próbowała kontrolować... To mnie przekonuje, ale ona będzie miała zasięgi? — Rambo znowu dopadły wątpliwości.

— Jak pomożemy jej zrobić materiał — petardę, to się zrobi wiral i będzie to wszędzie latało. — Tym razem Hendrix zagrał na rzecz Matyldy. — Teraz wszyscy od wszystkich przepisują, wklejają filmiki, linkują. Papugują za konkurencją, robią to bez żenady, jak Bayer Full z cudzymi numerami. A jak będą mieli do dyspozycji coś, co jest niczyje...

To był decydujący argument, Matyldę wybrano ich nieoficjalną rzeczniczką prasową i kronikarką. Był tylko jeden drobny problem,

a raczej dwa. Kim tak naprawdę są i czy ona będzie chciała z nimi współpracować?

— Wszyscy uważają, że ten znak, który zostawiłeś na ścianie, ta odbita dłoń, to był jakiś przekaz, zrobiłeś to celowo? — spytał Hendrix.

— Nie...

— Czyli celowo, w takim razie dlaczego?

— Bo to mi się przyśniło... — wyznał Zoltar.

— No to nieźle, Freud mógłby się wypowiedzieć. — Zuza pokiwała głową.

— Z czymś mi się kojarzy, ale nie mogę sobie przypomnieć. — Widać było, że Zoltara męczyło natręctwo myśli.

— Nie ma takiej rzeczy, której nie znalazłoby się w internecie. — Olek klikał w klawiaturę, ale wychodziła najczęściej Czarna Ręka, na którą uparli się Sandra Jarmuż i politycy Naszej Polski, i Ręka Boga, bo Maradona i jego słynny gol w meczu z Anglią był zawsze na czasie.

— Jak się podpisałeś w mejlu do dziennikarki? Może coś podprogowo dałeś?

— Niewidzialny Desperat.

— Niewidzialny, desperat, ręka... — Wklikał Olek. — „Martwa ręka, czyli upadek Hrabiego Monte Christo”. Nie wiedziałem, że był ciąg dalszy „Hrabiego Monte Christo”, niewidzialna ręka rynku...

— Tak, tak, tak! — krzyknął Zoltar. — Niewidzialna ręka!

— Rynku? — zdziwił się Hendrix.

— Nie, po prostu „Niewidzialna Ręka”, był taki program w telewizji!

I Zoltar powiedział czwórce swoich wspólników mniej więcej to samo, co kilka dni później powiedział komisarzowi Jaskulskiemu major Jakołcewicz.

Spodobały im się i tamta idea, i nazwa: Gang Niewidzialnej Ręki!

Wybuchło prawdziwe szaleństwo. Całe miasto, cała Polska, a nawet zagranica, bo urywki filmiku pokazywano w telewizjach całego świata. W końcu nie co dzień się zdarza, żeby przestępcy nagrali włamanie, i to w dodatku nie z własnej kamery, ale z monitoringu, i na koniec się tym pochwalili.

Polskim czytelnikom spodobała się nazwa gangu. Filmiki z archiwalnymi fragmentami programu telewizyjnego, od którego gang przyjął imię, były rekordy popularności. Z księgarni znikła książka poświęcona niewidzialnej ręce, dziennikarze dobijali się do Wojciecha Zimińskiego, syna twórcy programu, Macieja, chcąc się dowiedzieć, co mógłby o tym wszystkim sądzić nieżyjący autor. Reporterzy poszukiwali żyjących jeszcze uczestników akcji, którzy w zależności od poglądów i podejścia do życia wyrażali oburzenie lub częściej zachwyty nad działalnością gangu.

Przez krótki, bardzo krótki czas zastanawiano się, co zrobi policja w sprawie oskarżeń wysuniętych przez pana X przeciwko Jakubowi Bartnikowi. Reakcja była błyskawiczna, dziennikarze zastanawiali się wręcz, jak to możliwe, że policja tak szybko zareagowała, miała pewność, że oskarżenia nie są wyssane z palca, ale zrozumieli, kiedy także do nich wysłano komplet materiałów obciążających nieuczciwego przedsiębiorcę. Sieć dosłownie została zalana tytułami: „Wyciekły maile Bartnika”, „Bohater z banku okazał się oszustem”, „Niewidzialna Ręka ręką sprawiedliwości”.

Adam Bielak wpadł w szal już wtedy, gdy na temat włamania do jego domu zaczęło huczeć. Gdy media ustaliły, o kogo chodzi, i dyskretnie wskazały na jego osobę, to nie pomogło straszenie prawnikami. Cała Polska wiedziała, że jego dom eksplorował Gang Niewidzialnej Ręki i że on, podobnie jak Bartnik, ma być zdemaskowany jako przestępca.

Zanim Jakołcewicz uświadomił go, że może być podsłuchiwany, Bielak powiedział wystarczająco dużo, by Gang Niewidzialnej Ręki miał satysfakcję, że napędził mu strachu i wyprowadził go z równowagi.

Olek ściągnął też z jego komputerów materiały, które znakomicie uzupełniały nagrania. Wiedzieli o nim wiele, znacznie więcej, niż początkowo przypuszczali. Adam Bielak był nie tylko cwaniakiem

i oszustem. Był prawdziwym gangsterem, ale by postawić go przed sądem, potrzebowali czegoś więcej.

Rambo opracował wstępny plan, w wyniku którego zdobyliby niezбитy dowód rzeczowy, ale żeby tego dokonać, potrzebowali pieniędzy, wsparcia organizacyjnego i ludzi. Niezbędne stały się wciągnięcie w spisek Dziadka Ikara oraz powrót z Hiszpanii Wandy i Pabla. To ostatnie wydarzyło się jeszcze tego samego dnia, w którym przyjaciółka Wandy rozpoznała wnętrza willi Bielaka.

50.

Zebrali się wszyscy w studiu nagraniowym, komórki zostawili na zewnątrz. Rambo zamknął je w lodówce i osobiście sprawdził, czy wszystko jest wyłączone, mikrofony, konsola, każde urządzenie elektryczne.

— To jakaś paranoja! — powiedziała Wanda. Rambo odpowiedział jej obojętnym spojrzeniem.

— Znałaś mecenasa Hamerskiego dość dobrze, chyba że jak zwykle prasa kłamie, co? — Ni stąd, ni zowąd Zoltar nie tylko skrócił dystans, ale i obcesowo przypomniał Wandzie o związku z Jakubem Hamerskim.

— Słucham? — Wanda niemal krzyknęła, słysząc taką impertynencję. Ledwie tolerowała tego gnojka, który, gdyby nie spryt żony, to doprowadziłby do bankructwa swoją rodzinę, a ten przeszedł z nią na ty w absolutnie obcesowy sposób.

Miała mu już coś powiedzieć, ale przypomniała sobie o radach doktora Konarskiego, żadnego Aleksandra Macedońskiego, oni są jak bliźniacy syjamscy, a nie jak węzeł gordyjski. Spojrzała na Pabla, ale zanim cokolwiek zrobił, żeby utemperować tego bezczelnego typa, odezwał się Olek

— Pani... — zaczął, po czym chrząknął i zaczął od nowa. — Wando... Sorry, ale jesteśmy umoczeni w taką sprawę, że trzeba skrócić dystans. Wiemy, że twój były facet był świetnym prawnikiem, ale Bielak go wyrolował. Władysław Rozłucki wcale nie jest spadkobiercą, tylko takim bezdomnym od redemptorysty.

— Pan Stanisław z Warszawy? — Wandę zatkało. — Przecież on nie żyje!

— I ten chyba także nie żyje, chociaż nie był bezdomnym i nie rozdawał limuzyn, tylko dziedziczył działki.

— Nie rozumiem — wtrącił się Pablo.

— Wiemy o przekrętach Bielaka, wiemy, co zrobił, żeby przejąć Manufakturę! Wiemy, bo... — Olek rozłożył ręce. — Bo jestem dobry w komputery, rozumiecie?

— Jesteś hakerem? — Wanda zmarszczyła brwi. — Wyciekły jego mejle?

— Tak, jestem hakerem, ale to nie z mejli wiem. Takich dowodów nie mamy.

— To skąd? — Rozległ się zgodny duet Wanda — Pablo.

— Z komórki. — Olek powiedział to tak, jakby Bielak miał biuro obok, a oni podsłuchiwali go jak babcie na starych filmach, przystawiając szklanekę do ściany.

— Ty masz jakiegoś cholernego Pegasusa? — jęknął Pablo. — No, nie gadaj!

Wanda też najwyraźniej nie dowierzała. Patrzyli na siebie, jakby się spodziewali, że są ofiarami jakiegoś żartu.

— Okej... — zaczęła Wanda. — Okej — powtórzyła, mrużąc oczy. — Zakładając, że jesteś w stanie podsłuchać rozmowę, to nie wierzę, że on mógłby o takich rzeczach rozmawiać przez telefon!

— Nie w zwykłej rozmowie, chociaż nie nazwałbym tego zwykłą rozmową, bo dostał szału i powiedział więcej, niż chciał — wyjaśnił Olek.

— Ale jak? — znów razem spytali Wanda i Pablo.

— Niewidzialna ręka... To właśnie my!

— Nieee, to jest jakaś niewyróbka — zaśmiał się Hendrix. — Wy macie jakiegoś dobrego dilerę, co?

— Być może — uśmiechnął się Olek. — Do tego też dojdziemy.

— Pisano o tym, ale to jakaś szajka, której przypisuje się także napad na bank przy Grójeckiej. — Wanda też nie wyglądała na przekonaną.

— Na Grójecką skok zrobił Zoltar, a w willi Bielaka był Rambo — wyjaśnił Olek. — Chcieliśmy mu tylko podokuczać, a okazało się, że

go na maksa wkurzyliśmy. Spotkali się ze swoją bandą, wyłączyli telefony, ale było za późno. Wystarczyło, że wiedzieliśmy, że to spotkanie kryzysowe, że to jego najbliższy krąg, i później podsłuchiwaliśmy każdą z tych osób. Od tego czasu w naszej pracowni jest prowadzony nasłuch. Słuchamy, nagrywamy, łączymy wątki. Nic innego nie robimy, pracujemy na zmiany nie tylko ja, ale także Zuza, Ala, Hendrix i Zoltar, a Rambo planuje akcję...

— Planuje akcję? — zdziwiła się Wanda.

— Jest byłym specjalem — wyjaśnił Olek, a Wanda i Pablo spojrzeli w róg studia, gdzie stał Rambo.

— Jaką akcję, znów chcecie zrobić coś nielegalnego? A poza tym, na czym polegał przekręt i jak mogli do tego przekonać Kubę?! — Wanda dalej nie dowierzała.

— Słyszeliście o nigeryjskich obłądnie bogatych księżciach uchodźcach, o bankierach chcących przelać pieniądze, o piramidach finansowych, amber goldach i innych cudach przynoszących niewiarygodne zyski? — spytał Olek.

— Tak, ale po co o tym mówisz? — Pablo słuchał spokojnie, choć Wanda nie potrafiła ukryć zniecierpliwienia.

— Bo tysiące, może nawet miliony ludzi wierzą w mniejsze lub większe wałki, oferty, promocje, garnki, kocyki i kołderki, oprocentowania. — Głos po Zoltarze i swoim bracie przejęła Zuza. — Tracą setki i tysiące złotych, czasem dorobek całego życia, bo wierzą, że zrobią dobry interes, że ktoś im da zarobić. W sytuacji, w której pojawia się wizja zysku, ludzie tracą instynkt samozachowawczy, opętuje ich paraliżujący optymizm. I coś takiego stało się ze skromnym emerytem Władysławem Rozłuckim i jego żoną Elwirą, bo dlaczegóż by nie? Nie dawali żadnego wkładu, a mieli dostać miliony! Przyszedł do nich piękny pan z telewizji, znany prawnik, i przyniósł ofertę. Dwie bańki za to, że odzyska dla nich spadek, o którym nie mieli pojęcia, ale w zamian za to przepisują akt własności.

— I zgodził się? — spytała Wanda.

— Nie, targowali się ostro, a mecenas przystał na trzy miliony — odpowiedział Olek.

— Gdzie był haczyk? — Wanda znów zmrużyła oczy.

— Oni nie byli spadkobiercami! — powiedział grobowym głosem Zoltar.

Wanda zerwała się z krzesła i ruszyła w kierunku Zoltara. Stała przed nim i zaczęła krzyczeć, kłując go palcem w pierś.

— Łżesz, alimenciarzu, Kuba nigdy nie brał udziału w przekrętach!

Twarz Zoltara zrobiła się purpurowa, odsunął się o pół kroku, odpychając od siebie dłoń z wysuniętym palcem. W tej samej chwili Pablo podszedł do Wandy i objął ją tak, by chronić ją przed Zoltarem, zresztą między nich wkroczył Rambo.

— Skąd wiesz, powiedziałeś jej? — ryknął Zoltar na Pabla.

— Nic nie mówiłem, przeczytała! Wiesz, ile jest o tobie w sieci?

— Zamknijcie się — przemówił nagle Rambo. — Zuza wyjaśnij.

— Zoltar mówi prawdę — powiedziała spokojnym głosem Zuza. — Ale nie jest tak, jak myślisz, on też był ofiarą oszustwa. Nie wiedział, że ich człowiek w archiwum urzędu stanu cywilnego preparuje dokumenty, układa historyjkę sięgającą osiemnastego wieku. Nikt o tym nie miał pojęcia: ani mecenas Hamerski, ani Rozłuccy. I on, i oni byli pionkami na szachownicy, a partię rozgrywał Bielak, który miał w ręku mocne figury. W jego teamie, oprócz archiwisty, byli również varsavianista oraz notariusz. To wszystko było perfekcyjnie spreparowane, mecenas Hamerski sądził, że ma dość łatwą, przyjemną sprawę, w której uszczęśliwia dwie strony. Bielak sprzedał mu piękną historię o tym, że spodobała mu się atrakcyjna działka. Jej status nie był do końca jasny, chcąc ją kupić, poprosił o pomoc autora kanonicznej pracy „Pionierzy warszawskiego przemysłu”, doktora Kazimierza Stanisławskiego, który rozwikłał tajemnicę, choć tak naprawdę utkał ją razem z archiwistą oraz szanowanym notariuszem Ignacym Kuchem. Archiwisty, który pracował w cieniu, nie widział na oczy i nie musiał znać, ale doktor Stanisławski i pan rejent Kuch! To byli gwaranci, zresztą bardzo dobrze opłaceni przez Bielaka. Cała ta trójka to jego stali współpracownicy od brudnej roboty. Mecenas Hamerski wchodził na koniec, cały na biało. Lubił błyszczeć, wierzył w swoją moc, przestał się zastanawiać nad tym, że kasuje ogromne pieniądze za nic. Po prostu racjonalizował sobie to w łatwy sposób: jestem gwiazdą, tyle kosztuję.

— Tak, Kuba był próżny... — przyznała niechętnie Wanda. — Ale nie zadawał się z prostytutkami, pił oszczędnie, nie brał ciężkich narkotyków — dodała niespodziewanie.

— To prawda, ale mimo swoich wad był jednak dobrym prawnikiem, który znalazł dziurę w całym, i to kosztowało go życie! — powiedział Zoltar, patrząc Wandzie w oczy. — A chcesz wiedzieć dlaczego?

Nie powiedziała nic, była wstrząśnięta, bo zrozumiała, że Hamerski został zamordowany, a do wyświeatlenia tej tajemnicy przyczynił się Zoltar, którego przed chwilą zwyzywała od kłamców i alimenciarzy.

— Bo zainteresował się, co się stało z tym facetem. Uznał, że taki dość prosty, starszy facet jak Władysław Rozłucki potrzebuje kogoś, kto pokieruje jego finansami. Zaraz się na mnie wydrzesz, że robię z niego hienę? — Pytając, zbliżył się do Wandy, która naprężyła się jak do skoku. — Nic z tego pani E-A, nie to chciałem powiedzieć! On się tym naprawdę przejął, chciał mu zwyczajnie po ludzku pomóc. Ale nie mógł. Facet wsiąkł, nie tylko dla prasy, nawet dla kogoś tak inteligentnego i radzącego sobie jak Hamerski. Bali się, że odkryje, że zaoszczędzili na Rozłuckim trzy miliony złotych, a przede wszystkim — jak tego dokonali. Tego już mecenas się nie dowiedział. Z podsłuchu możemy się domyślać, że był blisko.

Z Wandy zupełnie uszło powietrze, znów usiadła, spuściła głowę, po chwili uniosła ją i spojrzała na Zoltara.

— Przepraszam, nie powinnam tak mówić.

— Luz, jestem alimenciarzem, należało mi się. — Próbował zbagatelizować nieprzyjemne zdarzenie, ale przykrycie wstydu, który go palił, żartem kompletnie mu nie wyszło.

— Najprawdopodobniej to asystentka Bielaka rozpracowywała mecenasa. — Zuza przerwała żenującą ciszę. — To piękna kobieta, do tego niezwykle oddana Bielakowi, ktoś więcej niż kochanka. Nie obraź się, Wando, ale wiesz, jaki był... Najprawdopodobniej odurzyła go narkotykami, była też pigułka gwałtu, może być tak, że policja zinterpretuje to jako jego pomyłkę, próbę uwiedzenia jakiejś kobiety, która mogła niechcący przestawić szklanki...

Wanda słuchała tego z przerażeniem i wstrętem, wydawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem.

— Co może go udupić? — spytał Pablo.

— Raczej kto, to znaczy pewien zły chłopiec... — Rambo odkleił się od rogu studia i wyszedł na środek. — Otóż Rozłuccy mieli syna, dość wstrętnego gangstera, i to z nim najpierw rozmawiał. Trafiła kosa na kamień, obaj byli twardymi negocjatorami, obaj lubili pospidować, obaj nosili broń... Andrzej Rozłucki, pseudonim Nerwus, został zabity przez gangsterską konkurencję. Wszyscy są pewni, że chodziło o dzielenie rynku handlu twardymi narkotykami. Kulka kaliber 9 milimetrów, klasyczna parabelka, zakończyła jego życie. Pewnym zbiegiem okoliczności taki pistolet wisi na ścianie w gabinecie Bielaka.

— To może być zbieg okoliczności — niemal równocześnie powiedzieli Wanda i Pablo.

— Może tak, a może nie, ale jeśli dostanę w swoje ręce tę broń i przekażę ją ekspertowi... — Rambo położył dłonie na oparciu krzesła, na którym siedziała Wanda. — Stawiam wszystko, co mam, to znaczy mojego kampera, że nabój, który lekarz sądowy wyjął z ciała Andrzeja Rozłuckiego, będzie pochodził z pistoletu będącego ozdobą gabinetu Bielaka. Czy wchodzicie w tę nielegalną akcję?

— Zniszczmy tych skurwysynów — powiedziała stanowczym głosem Wanda. — Jeśli brakuje pieniędzy, to sfinansuję, co trzeba.

— Jak można pomóc, czego potrzebujemy? — spytał Pablo.

— Drobiazgów — uśmiechnął się Rambo. — Biura w centrum, krótkofalówek, lekarza, pasa startowego na wysokości co najmniej piętnastego piętra, tak jak biuro, także w centrum. Imprezy na placu Defilad, która odwróci uwagę, co najmniej dwóch lekarzy, którzy udzielą pomocy poza formalnym obiegiem, i... pilota lotni.

Wszyscy pomyśleli o jednej osobie.

— A co zrobimy, jeśli się nie zgodzi? — zapytał Hendrix.

— To będziemy go musieli zabić.

Rambo odpowiedział tak, że nikt poza nim nie wiedział, czy żartuje, czy mówi na poważnie. Nawet Szarik, który cicho zaskomlał i położył się na podłodze.

51.

Nie musieli mordować Dziadka Ikara, nie tylko po tym jak powiedzieli, że miałyby wykonać mocno nielegalny przelot, ale i w jakich warunkach by go miał wykonać. Rambo wymyślił, że musi się przedostać do biura Bielaka, do którego jedyne możliwe wejście było przez taras mieszczący się na piętnastym piętrze położonego w centrum Warszawy biurowca. Można to było robić, nalatując nad biurowiec dwuosobową parolotnią, która, żeby nie wzbudzić zamieszania, powinna lecieć tylko po zachodzie słońca. Jej lot nie mógł także być zbyt długi, więc pole startowe musiało być zlokalizowane na jednym z wysokich budynków mieszkalnych. Idealną lokalizacją był któryś z bloków Za Żelazną Bramą. Na ostatnim zebraniu organizacyjnym Rambo zapytał, czy ktoś z Gangu Niewidzialnej Ręki ma osobę godną zaufania, tam mieszkającą.

Jak marszałek sejmu, który zapytał posłów, czy zgadzają się pracować za darmo, mógł powiedzieć: „Nie widzę, nie słyszę”. W końcu odezwał się Zoltar:

— To skomplikowane.

— Co? — spytał Rambo.

— Dwa lokale, które są na tym osiedlu. — Odchrząknął, popił łykiem wody z butelki stojącej na stole, a na koniec zakasłał.

— Będiesz przemawiał? — spytała Zuza.

— Coś w tym stylu, to będzie tak jak z tym, no... — Szukał w pamięci. — No ze Słowackim. — Przypomniał sobie z ulgą, bo poczuł się jak w latach, kiedy chodził do szkoły i lekcje języka polskiego były zawsze ciężką próbą.

— Z Juliuszem? — dopytał Dziadek.

— Dokładnie z tym samym! — potwierdził Zoltar.

— Ale że co z tym Słowackim, że wielkim poetą był? — zapytała Wanda.

— No raczej... — potwierdził Hendrix, kiwając z powagą głową.

— Ale co to ma wspólnego ze studniówką? — zapytało zgodnie paru uczestników spotkania.

— Że Słowacki napisał... — Znów luka w pamięci, ciemna dziura niedouczenia, której nie rozświetliłyby nawet ostre słowa profesor Żukowskiej: „Nie nauczyłeś się, matole?”.

— „Kordiana”?

— „Balladynę”?

— „Hymn”?

— Że „Mazurka Dąbrowskiego”? — zdziwił się Hendrix.

— Hymn, hymn — wiersz taki — wyjaśnił Dziadek.

— „Fortepian Chopina” — palnął ktoś, po czym szybko dodał: — Nie, to Kasprowicz.

— „Beniowski”! — strzeliła Ala.

— No właśnie „Beniowski” — odetchnął z ulgą Zoltar, po czym zamilkł.

— I co ta studniówka miała wspólnego z „Beniowskim”? — Rambo wycedził przez zęby. — Na co nam te wszystkie dygresje z lekcji polskiego, weź się w garść, mamy mało czasu!

Zamiast się strapić, Zoltar zrobił rozanieloną minę.

— No właśnie o dygresje chodzi!

— „Beniowski” Słowackiego, poemat dygresyjny. — Pokiwał głową wszystkowiedzący Dziadek, po czym chrząknął i zaczął:

*Za panowania Króla Stanisława,
Mięszkał ubogi szlachcic na Podolu,
Wysoko potem go wyniosła sława...¹*

— Dość! — ryknął Rambo. — Mów, co się wtedy wydarzyło.

— Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy, studniówka jak studniówka, u piguł, znaczy się w Liceum Pielęgniarskim. Same laski, więc do poloneza trzeba było zaprosić chłopaków, no i ja z Pablem się załapaliśmy. Sama studniówka to klasyka gatunku, w której były obowiązujące w całym kraju stałe punkty programu. Polonez w sali gimnastycznej, przemówienie, kabaret, wszystko ma się rozumieć w szkole.

— W szkole? — zdziwił się Olek.

— No w szkole, inne czasy, trochę wytłumaczę, dlatego będzie parę dygresji — wyjaśnił Zoltar, z niepokojem patrząc na Rambo. Ten

jednak wolał udawać, że tego nie słyszy. — Studniówka w szkole — podjął Zoltar. — Tak miało być i basta, bo jak jakaś szkoła wyprowadzała imprezę poza jej budynek, to się robiła z tego gruba afera. W prasie pojawiały się interwencyjne, chłoszczące dyrekcję, ciało pedagogiczne, rodziców, ma się rozumieć uczniów, artykuły, donosy do kuratorium i instancji partyjnych, w dwóch słowach: oburzenie i zgorszenie. Do tego koszty i możliwości organizacyjne. Wtedy studniówka w lokalu kosztowała fortunę, a do tego nie za wiele było miejsc, by się wbić z taką imprezą. Nawet w mieście takim jak Warszawa wybór był niewielki. Siłą rzeczy dyskoteka i poczęstunek odbyły się w szkole i była to chyba większa frajda dla rodziców niż samych uczniów, którzy mogli popatrzeć sobie na wyrosnięte pociechy wijące się do muzyki granej z kolumny Vermona. Z jednej, bo druga walnęła miesiąc temu i nie było możliwości, żeby ją naprawić. Poczęstunek składkowy, nie było wtedy firm kateringowych, zorganizowany przez komitet rodzicielski, raczej skromny i bez frykasów, bo w sklepach były niedobory, mięso i wędliny wciąż jedynie na kartki. Na stołach leżały na domowych półmiskach wyszarpane z karteek i z tak zwanej sprzedaży po cenach umownych oraz z bazarów wędliny oraz wędzone na działkowych i wiejskich piecach kiełbasy i szynki. Do tego domowe ciasta, woda gazowana i niegazowana, termosy z kawą i herbatą, oranżada lub coca-cola. Żadnych soków pomarańczowych, bo takich nie było, co najwyżej cytroneta. I zero alkoholu, bo przecież w szkole się nie pije. I nie pali, chyba że w szatni albo w kiblu. Na studniówce można było się napić wódki skitranej w szatni albo w rezerwuarze, czasem trafiał się ciociosan, przeraźliwie aromatyczny, słodki bułgarski wermut. Pito raczej z umiarem i rozważą, żeby nie dać się złapać, a co najważniejsze, nie pokazać się ciału pedagogicznemu i rodzicom w stanie upojenia alkoholowego. Mniej roztropni byli niektórzy ojcowie, którzy wymknęli się spod kontroli matek, i po paru głębszych zażywali emocji palenia w toalecie oraz komentowali uroki uczennic i nauczycielek. Robiło się familiarnie, w pokoju nauczycielskim aktywiści z komitetu nauczycielskiego łamali koniaczkiem morale pedagogów. Ale uczniów średnio to obchodziło, byli pełnoletni,

a studniówka była tylko rozgrzewką, wstępem do inicjacji, w zależności od zaawansowania, alkoholowej, seksualnej, czasem pierwszego, całkiem legalnego, a nawet z wyduszonym przez rodzicielskie zęby błogosławieństwem, wyjścia na noc.

Zoltar ciągnął opowieść o tym, że przed 1990 rokiem *Warsaw by night* było pojęciem nie mniej abstrakcyjnym od demokracji socjalistycznej, jakości samochodów z FSO oraz czystości panującej w wagonach PKP. Więc zostawały prywatki, których wtedy jeszcze nikt nie nazywał domówkami.

Rambo zacisnął pięści tak mocno, że zbielały mu kostki, ale postanowił, że nie będzie przerywał, bo opowieść przedłuży się i będzie trwała bez końca. Zatem Zoltar ciągnął kombatanckie opowiadania dziesiętnastolatka z epoki słusznie już minionej.

Przed ewakuacją ze szkoły kieszenie palt i kurtek wypełniono wałówkami i ruszono na ustalone wcześniej punkty koncentracji alkoholu. W klasie Zoltara i Pabla była willa na Marymoncie, należąca do rodziców Patrycji Głowackiej. Dokładnie betonowy klocek przylegający do warsztatu samochodowego ojca Głowy, którego nikt by dzisiaj willą nie nazwał, tak jak nikt rozsądny nie powinien dzisiaj nazywać mieszkań od dewelopera apartamentami. Ważne, że impreza rozkręcała się prawidłowo, wraz z wypitymi butelkami alkoholu i coraz śmielszymi figurami układów tanecznych, które przechodziły w fazę godową.

Jedna ze śmielszych par nie tylko zaczęła się całować, ale i wymknęła się na górę, do pokoju zapewniającego intymność i nieskrępowane możliwości kopulacyjne. To był przełomowy moment imprezy, a raczej mógł być, bo ośmieleni tym przykładem chłopcy i dziewczęta lgnęli do siebie coraz mocniej, a wolne tańce były jedynymi wykonywanymi na parkiecie, niezależnie od tego, co leciało ze szpulowego magnetofonu Aria, podpiętego pod zestaw firmy Diora i kolumny Altus.

I wtedy do domu wkroczył starszy brat Patrycji, Sławek, i nie sam, bo z kolegami. I z kompletnego zaskoczenia, bo Sławek był w kamaszach, czyli w wojsku, i traf chciał, że właśnie tego dnia dostał pierwszą przepustkę, a w drodze z dworca obkoczył swoich najlepszych kumpli — Leszka i Marka. To nie byli źli chłopcy,

tłumaczyła potem Patrycja, tylko trochę pijani, a najbardziej trochę był szeregowy Sławomir Głowacki. Słowo „trochę” odnosiło się bardziej do określenia odległości, która ich dzieliła od granicy zwalania się na twarz, niż do stanu trzeźwości.

Niezależnie od toczonych później zawziętych sporów, czy bardziej pijani byli uczestnicy nieoficjalnej części studniówki, czy niespodziewani goście, także definicja słowa „gość” podlegała niekończącym się dyskusjom, bo w końcu Sławek przyszedł do swojego domu. Tak czy owak, wszystko zakończyło się dość poważnym nieporozumieniem.

Szeregowy z kolumny transportu jednostki budowlano-inżynierskiej w Łowiczu Sławomir Głowacki dopiero po wielu latach wyznał siostrze, że planował tylko dokończenie pijaństwa z kolegami, ale na widok tylu atrakcyjnych dziewcząt, tego dnia atrakcyjnych, bo później, kiedy był już trzeźwy, oglądając fotografię klasową, sam sobie się dziwił, podniecił się w sposób, w jaki może to dotknąć jedynie człowieka wypuszczonego z kryminału albo na pierwszą przepustkę z wojska.

Śmiało ruszył na parkiet, gdyż uważał, że obrońcy, a dokładnie kierowcy obrońców ojczyzny, należy się rekompensata za poniesione trudy i wyrzeczenia. Tańczący, choć może w innej sytuacji kronikarze powiedzieliby: obmacujący Sylwię Pietrzak Jacek Wielogórski, został poproszony przez Sławka o zmianę planów i ustąpienie miejsca.

— Spierdalaj, teraz ja — powiedział szeregowy Głowacki, szarpiąc za ramię cywila Wielogórskiego.

Jacek nie był jakimś szczególnym bohaterem, ale sytuacja nie pozostawiła mu wyboru. I nie chodziło o chęć zaprezentowania przed Sylwią postawy niezłomnego kawalera, ale o monstrualną wręcz frustrację i rozczarowanie, którego w tym momencie doświadczył. Ten taniec był już ostatnią prostą do pokoju Sławka, przedostatniego wolnego lokum, w którym bez krępacji można było uprawiać seks, czego był absolutnie pewien, bo to Sylwia szepnęła mu do ucha:

— Po tym tańcu idziemy na górę?

Odliczał każdą sekundę do końca piosenki „Zaopiekuj się mną” zespołu Rezerwat, walcząc równocześnie ze wzwodem, którego nie był w stanie ujarzmić nawet myślami o niezdanej maturze i ucieczce przed wojskiem do jakiejś szkoły policealnej. I wtedy ktoś go klepnął w ramię i kazał mu spierdalać. Był to żołnierz. Poznał go mimo munduru i włosów, które były przycięte niemal do samej skóry i były wspomnieniem po fryzurze wzorowanej na tych, które nosili muzycy grupy Papa Dance. Przyszedł po dziewczynę, z którą tańczył, i na dodatek był lokatorem pokoju, który Jacek upatrzył sobie ma misterium pierwszego seksu.

— Sam spierdalaj, i co w ogóle jest?! — wydarł się na Sławka, może zbyt wysokim głosem, ale na pewno wystarczająco głośno, by wyrazić zdecydowanie i pewność siebie.

— Co jest? Szelest! — Sławek bez zastanowienia wypluł z siebie wojskowy odzew. — Słuchaj się starego, bo dostaniesz blachę na czoło i się, kurwa, skończy, kocie jeden! — powiedział, mrużąc oczy i zaciskając pięści.

Sławek przed pójściem do wojska nie był jakimś łobuzem, który łapał agresora i wchodził w bójki. Pod wpływem armii stał się już innym człowiekiem, miśkiem, czyli żołnierzem przed przysięgą, którym poniewierały dziadki z fali, a później kotem, który miał niewiele lżej. To całe wojsko nie dało mu w dupę, nie sponiewierało go i nie poniżyło tak jak starsi stażem poborowi, więc teraz, kiedy przyjechał do domu, zobaczył salonik pełen lasek, które tańczyły z jakimiś leszczami, to poczuł, że one mu się po prostu należą.

Leszcze, które nawet nie były miškami czy kotami, winne mu są posłuszeństwo i szacunek, bo kim jak nie starym wojskiem był, stojąc przed nimi, mając do tego w organizmie pół litra wódki, a obok siebie dwóch kolegów z technikum samochodowego?

— No, no! — Jacek podskoczył jak kogucik i zaraz na jego czole wylądowała dłoń Sławka. Rozległ się plask, a chłopak zatoczył się i byłby upadł, gdyby nie podtrzymał go Zoltar.

— Patrzcie, jak się, kurwa, stare wojsko bawi z kotami. — Sławek zwrócił się do swoich kumpli, którzy nie byli jeszcze w wojsku i nie mieli pojęcia, że słowa te wypowiada właśnie kot, co jeszcze niedawno był miśkiem, czyli kimś z samego dna wojskowej

hierarchii. — Sadził się i zaliczył od starego blaszkę na czoło — powiedział, jakby był telewizyjnym komentatorem łyżwiarstwa figurowego, który wyjaśnia publiczności, że właśnie przed chwilą zawodnik wykonał prawidłowo najazd, a później wykręcił potrójnego axla i dołożył kombinację zakończoną salchowem.

Jacek już wiedział, że to, co się miało stać tego wieczora, nie stanie się, więc blaszka na czoło wywołała ból podwójny i uruchomiła mechanizm zemsty nieuchronnej i strasznej. Jakby był bohaterem powieści „Hrabia Monte Christo”, Edmundem Dantèsem, który zamiast wziąć ślub z piękną Mercedes, ląduje na czternaście lat w celi więzienia na wyspie If.

— Ty chuju! — ryknął i rzucił się na szeregowego, mając jako narzędzie zemsty pustą butelkę po wódce.

Gdyby butelka była pełna albo na czole kierowcy obrońców ojczyzny wylądowało denko, to efekt byłby co najmniej nokautujący, ale Jacek trafił samym środkiem pustej butelki, tam, gdzie szkło było najcieńsze. Pusta półlitrowka roztrzaskała się na głowie szeregowego, który w swej krótkiej wojskowej karierze doświadczył już gorszych rzeczy, przede wszystkim zaś braku solidarności i przyjaciół. Fala w wojsku była jak maszyna, z trybów której nie mógł się wyciągnąć nikt, kto był przynajmniej podoficerem. Ale ci nie byli tym zainteresowani, o ile dręczony żołnierz nie został kaleką albo nie odebrał sobie życia.

Szeregowy Głowacki był tylko lekko oszołomiony, przejawiał ochotę do życia i miał wsparcie ze strony dwójki swoich kolegów. Cała trójka rzuciła się na Jacka Wielogórskiego, a jego klasowi koledzy zachowali się, jakby napastnicy byli starym wojskiem, a oni sami kotami, którzy nie mogą wystąpić przeciwko starszyźnie.

I wtedy pojawił się on. Pablo. Nie tracił czasu na tłumaczenie, tylko wykonał kilka szybkich ruchów. Kombinacja ciosów i kopnięć zakończyła nie tylko atak szeregowego Głowackiego i jego kumpli, ale i studniówkę. Przynajmniej dla Pabla, bo siostra znokautowanego kierowcy obrońców polskich granic rzuciła się na niego z pięściami.

— Ty bandyto! — zawyła Patrycja Głowacka. — Wypierdalaj!

Zoltar próbował negocjować, ale Pablo uważał, że to nie ma sensu.

— Mamy za dwadzieścia minut nocny spod AWF-u, trzeba się pośpieszyć.

Pośpieszyli się, a razem z nimi Sylwia, ale już bez Jacka, bo dotarło do niej, co chciała zrobić. Wyparowało z niej pożądanie wywołane przez alkohol i atmosferę imprezy. Pojęła, że nie chciałyby robić tego pierwszy raz z Jackiem, tylko z tym silnym chłopakiem, Pablem. Powiedziała, że pojedą do niej Za Żelazną Bramę, starych nie ma, więc luz.

Dołączyła jeszcze Ilona, która czuła się odpowiedzialna za to zamieszanie, bo zaprosiła Zoltara, a ten ściągnął Pabla. Wskoczyli przy Gdańskiej do autobusu 606, pojechali Popiełuszki, która była wtedy jeszcze Stołeczną, przejechali przez rondo Babka, które nie było jeszcze rondem Radosława, i wysiedli na Jana Pawła II, choć na tabliczkach było wtedy Juliusza Marchlewskiego.

— To niebywałe, ile się zmieniło, na Jana Pawła nie było jeszcze sex shopów... — zamyślił się Dziadek, po czym stropiony faktem wyjawienia swoich preferencji zakupowych zmienił temat: — Andersa była wtedy Nowotki, a plac Bankowy nazywał się Dzierżyńskiego!

— Kończ to Zoltar. — Cierpliwość Rambo się wyczerpała. — Przeleciał ją, a potem był z tego kwas?

— Gorzej, nie zrobił nic, Sylwia bardzo na niego liczyła.

— Padł. — Rambo pokiwał głową. Sam miał studniówkę i wiele słyszał o innych. — Zdarza się.

— Padł później, tu wykazał się zbytnią aktywnością, złapał taką fazę, że wywalił za okno rubina.

— Kogo? — Rambo kompletnie nie wiedział, o co chodzi.

— Nie kogo, tylko co. — Z politowaniem popatrzył na niego Zoltar. — PESEL masz niski, znasz tylko sony, goldstary i panasoniki, a rubin to był radziecki telewizor. Kolorowy! — Zoltar podkreślił wagę słów, unosząc w górę palec wskazujący.

— Wyrzucił go przez okno?

— Dokładnie to przez drzwi balkonowe, za którymi nie ma balkonu. To taka specjalność bloków Za Żelazną Bramą. Są drzwi jak na balkon, ale nie ma balkonu, tylko barierka. Więc Pablo wypieprzył za tę barierkę kolorowy telewizor. Trochę sama była sobie winna, bo

jak jej powiedział, że chce zostać artystą, to go spytała, co będzie robił. Pablo na to, że performensy. Wtedy niewiele osób wiedziało, co to jest, zatem postanowił jej pokazać. Wziął w ręce telewizor i wywalił go z mieszkania, po czym powiedział, że był to performens „Telewizja kłamie”.

— Które to było piętro?

— Drugie, ale bez różnicy. Telewizor roztrzaskał się w drobny mak, radzieckie telewizory pięknie wybuchają. Pablo nie zrobił tego złośliwie, naprawdę sądził, że to, co zrobił, było fajne. Do dzisiaj mówi, że to był jego pierwszy performens i zarazem zderzenie z opinią publiczną, która w krytyczny sposób podchodzi do działań artysty. W pierwszej chwili zrobiło to wrażenie, ale od razu zrozumieliśmy, że to koniec dobrze zapowiadającej się imprezy. Najbardziej wkurzona była Sylwia, bo duma jej rodziców, kolorowy telewizor, poleciała za okno, no i nie było seksu, chociaż Pablo myślał, że zaimponuje jej nietuzinkowym działaniem artystycznym. Przelicytował, wystarczyło, żeby nic nie robił, bo była na niego napalona.

— Długo jeszcze? — Wanda miała dość tej historii i zerkała na Pabla z nadzieją, że w pewnym momencie krzyknie, że to wszystko nieprawda. Jego twarz nie wyrażała jednak oburzenia i złości, lecz wstyd i skruchę.

— A jak się skończyła ta impreza na Marymoncie? — Rambo mimo straty czasu postanowił jednak zaspokoić swoją ciekawość.

— Działo się tam jeszcze tyle, że wszyscy zapomnieli o tym drobnym incydencie z udziałem Pabla. — Zoltar wzruszył ramionami.

— A co? — Rambo był dociekliwy.

— Tych trzech, których położył Pablo, wstało, bawiono się dalej, muzyka grała, bardzo głośno grała, sąsiedzi wezwali milicję, do milicji wyszedł Sławek, w mundurze, a jakże! I powiedział, żeby białe pały spierdały. Pół godziny później przyjechało WSW, tak się wtedy Żandarmeria Wojskowa nazywała, Wojskowa Służba Wewnętrzna. Sławek uciekł do sąsiadów, do tych samych, którzy wezwali milicję. Ci na widok szeregowego spasowali, nawet im się głupio zrobiło, bo sąsiad był w wojsku, dostał tam w dupę i nie lubił pieczar, znaczy się

żandarmerii. Mieli co wspominać, a najbardziej jedna z par, która zaliczyła wtedy wpadkę. Dzieciak — zaśmiał się Zoltar. — Dzieciak ma teraz... — Policzył w myślach. — Trzydzieści dwa lata, pewnie się nazywa Studniówka, bo to dziewczyna jest, hahaha!

— A ten drugi adres? Tylko krótko, bo jak wszystko będzie szło w tym tempie, to przeniesiemy akcję na przyszły rok.

— Okej, dobrze, będę się streszczał — uspokajał Zoltar. — Słyszeliście o Łukaszu Stasiaku?

— Piłkarz? — zapytał niepewnie Rambo.

— Gorzej, pisarz.

— I?

— I jest tak, że tylko jeden z nas ma u niego przesrane, i tym kimś znów jest Pablo.

— Ty nic nie nawywijałeś?

— Ja? — Zoltar się uśmiechnął. — Nie dałem rady, chociaż nie powiem, bardzo się starałem. Startowaliśmy wszyscy do tej samej panny Danki Koleckiej. Fajna była, załapała się do radia i robiło to na nas wrażenie. Najbliżej miał Luke, to znaczy Stasiak, tak go nazywaliśmy, bo miał szmergla na punkcie „Gwiezdných wojen”. W zasadzie to był poza konkurencją, bo leciała na niego, w końcu ja byłem tylko początkującym biznesmenem, a Pablo jeszcze bardziej początkującym artystą. Byliśmy za mali, bo on wtedy miał swoje pięć minut, wydał książkę, i to z nim Danka chciała zrobić wywiad, a nie z którymś z nas. Byłoby pozamiatane, gdyby nie to, że Luke był na jakimś zakręcie, więc zanim się ogarnął, to Dankę zaliczył Pablo. Prowadzali się ze sobą, ja tylko zazdrościłem, ale Luke się po prostu wkurwił. Okazało się, że miał słaby refleks i jak już doszedł do wniosku, że Danką jest OK, to było po wszystkim. Popił sobie i startował do Pabla, ale skończyło się szybko i nawet bezboleśnie, tyle że wyłącznie, jeśli chodzi o ból fizyczny. Dupa, po tym jak go Pablo szybko usadził na ziemi, bolała trochę, ale ambicja...

— Po co mi o tym mówisz, to strata czasu! — zachnął się Rambo.

— Czeka, czekaj! — uśmiechnął się Zoltar. — To nie koniec historii! Ty tę dziewczynę znasz!

— Ja? — Rambo wskazał palcem na siebie.

— Ty! — Teraz to Zoltar wskazał palcem, a nawet przystawił go do piersi Rambo. — Wszyscy znacie, ona się teraz nazywa Danuta Paciorek!

— O kurwa... — westchnął Rambo, bo przed oczami stanęła mu postać wiceminister kultury, która trafiła do ministerstwa wprost z telewizji, gdzie prowadziła program „Kwadrans prawdy”. Nazywano go „Kwadranszem propagandy”.

— No dokładnie, o kurwa! — Zoltar pokiwał głową.

— Przecież nie jesteście tak starzy!

— My nie, ale ona tak! Zrobiła się z niej stetryczła smoczyca, która ma żal do całego świata, co ci będę opowiadał. Danuta Paciorek to kobieta mem!

Wanda słuchała tego z przerażeniem, bo wyznawała zasadę: opowiedz mi o swoich partnerach, a powiem ci, kim jesteś, a gdzieś na końcu tego łańcucha była właśnie ona.

— W takim razie... — zamyślił się Rambo.

— ...Są szanse na to, że Łukasz Luke Stasiak powinien być Pablowi wdzięczny za to, że go uratował przed życiową tragedią, chyba że...

— Chyba że co?

— Że Luke, któremu przez parę lat nie szło, może żałować, że Danuta Paciorek nie wspiera go, jak to czyni z pisarzami, których pamięta z dawnych czasów. Zapomniani artyści potrafią zaskakiwać, gdyby tak nie było, to dwór nie byłby pełen nieco zakurzonych nazwisk. Przyjaciele pani wiceminister mają się dobrze, jej kolega z rządu, minister edukacji, wciągnął na listę lektur powieść Mariana Stenzla „Jak zostałem Polakiem”. Wiesz, co to oznacza? — spytał retorycznie, po czym sam sobie odpowiedział: — Prestiż i poczucie bycia klasykiem oraz kasę za dodruki i wypożyczenia.

— Za to Pablo... — zaśmiał się Zoltar. — On jako ten, który ją rzucił po miesiącu...

Wanda, która nie przepadała za Zoltarem, teraz go wprost nienawidziła. Gdyby nie to, że mieli wspólnie wymierzyć sprawiedliwość, zadzwoniłaby na policję, do mafii albo do prasy, by ta żenująca postać na zawsze zniknęła z ich życia.

— *Hominem te esse memento!* — powiedział Pablo, patrząc jej w oczy. — Kiedy rzymski wódz odbywał triumf, stał za nim na

rydwanie niewolnik, który nie tylko trzymał nad jego głową wieniec, ale i szeptał słowa: „Pamiętaj, że jesteś tylko człowiekiem”. Poza tym doświadczenia, jeśli nie unikamy myślenia o nich, pomagają nam w dalszej drodze.

Wanda zapoznała się z doświadczeniami Pabla z jednych z wielu wcale nie największych warszawskich osiedli. Co kryją za sobą Ursynów, Bródno i Stegny?

52.

Upokorzyła ich wszystkich, wyśmiała Mano Negrę, dopuściła do głosu przestępców, zadzwiała z policji, partii Nasza Polska i z Sandry Jarmuż. Stali się memami, a ta banda — bohaterami. Staremu posiwiały resztki włosów, wiceminister Opilek się upił, a Trzmiel żądał aresztowania Matyldy Leśniewskiej. Udało się uniknąć skandalu. W ostatniej chwili zaryzykował całą karierę i wstrzymał wjazd czarnych na jej chatę.

W Naszej Polsce ma teraz przejebane, ale jeśli położy śledztwo, to zostanie emerytowanym bohaterem policji, już nie Borewiczem obecnej władzy, ale męczennikiem opozycji. Tak czy owak, będzie dobrze. Jedyne zagrożenie to Sandra Jarmuż, która już warowała pod oknami Leśniewskiej z ekipą i z gotowymi pytaniami. Miała wprawę w ich zadawaniu politykom i biznesmenom, na których poranne zatrzymanie przypadkiem trafiła, i to nie sama, ale z operatorem i dźwiękowcem.

Ale to nie było nic osobistego, taki *job*, praca jak praca, za to sprawę Leśniewskiej traktowała jako osobistą obrazę, na którą miała odpowiedzieć zemstą. I on jej wszystko spieprzył! Był o krok od zaciągnięcia jej do łóżka, a teraz stał się jej wrogiem numer jeden. Trudno, co zrobić? Wolał rozpracować Leśniewską w bardziej finezyjny sposób. Próbował grzecznie porozmawiać, ona wykręciła się chronieniem źródła informacji. Z bólem to uszanował, a teraz z jeszcze większym bólem jego ludzie i on sam warowali na zmianę pod jej domem, zakładali podsłuchy i śledzili po całym mieście. Wcześniej czy później przyniesie to efekty, był tego pewien.

VII

53.

4 MAJA

Do ponaddwustumetrowej wieży Pałacu Kultury i Nauki przyklejone są okrągła bryła Sali Kongresowej oraz cztery prostokąty mieszczące Muzeum Techniki, Pałac Młodzieży oraz teatry Dramatyczny i Studio. Obie sceny mają wejścia od strony placu Defilad, najsmutniejszego placu Warszawy, który defilady ma tylko w nazwie, bo czasy pierwszomajowych przemarszów i wieców skończyły się dawno temu. Po czasach słusznie minionych została trybuna honorowa, którą w burzliwym okresie transformacji i kapitalizmu walczącego otoczyły bazar, hale targowe i Cricoland, czyli wesołe miasteczko z okazałym, diabelskim młynem.

Warszawa miała swój London Eye, zanim to się stało modne po drugiej stronie kanału La Manche. Teraz są tam wielki parking oraz budowa Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Jakaś przyszłość jest, ale wieje niewymownym smutkiem, który wśród architektów, urbanistów, aktywistów miejskich i urzędników oraz zwykłych, stałych i przyjezdnych obywateli miasta stołecznego powoduje co jakiś czas wielkie wzmożenie planistyczno-intelektualne, kończące się rytualnym sporem: czy burzyć Pałac Kultury, czy też nie.

Na razie Pałac stoi, a teatry nie tylko grają, ale żywią i poją. Mają swoje kawiarnie, do których można wejść prosto z placu, bez kupowania biletów na spektakle. Oba są popularne, chociaż większą publiczność ma kawiarnia Kulturalna mieszcząca się w Dramatycznym.

Patrycja, barmanka z Kulturalnej, jak każda osoba pracująca w lokalu, przyzwyczajona była do dużego ruchu, ale tego dnia działo się coś szczególnego. Kłębilo się tak, jakby z placu Defilad miały

ruszać Manifa lub Parada Równości albo organizowano czytanie zakazanej sztuki. Była wtedy za młoda, nie mieszkała jeszcze w Warszawie, ale słyszała o tym, widziała zdjęcia, słuchała wspomnień, jak siedem lat temu aktorzy czytali sztukę „Golgota Picnic”, której wystawienia zakazano w Poznaniu.

Przyszli protestować starzy katole, była niezła imba, niestety, bez niej. Ale załapała się na „Klątwę” do Powszechnego, to już całkiem niedawno, jak zaczęła studia w 2017 roku. Też była awanturka, tyle że spektaklu nikt nie odwołał. Był grany, tylko naziole robili pikiety, race, ryki, gazy. Działo się. A co dzisiaj? Się okaże, ale na pewno nic z rzeczy, które tu zwykle się odbywają, nie był ten dzień i ta pora dnia.

Na pewno nie finał Wielkiej Orkiestry ani targi książki. WOŚP koncertował w styczniu, a targi robiono we wrześniu, poza tym był środek tygodnia. Coś jednak się kroilo, bo klienci Kulturalnej byli spoza stałej, przesiadującej tu grupy. Owszem, przyszło wielu znajomych, ale jeszcze więcej takich, którzy zjawili się tu pierwszy raz. Miała pamięć do twarzy to raz, a dwa, wielu z nich było trochę za starych jak na bywalców Kulturalnej.

Ci młodszy przyszli nieco inaczej ubrani, do tego wpatrywali się w menu, rozglądali po wnętrzu, które widzieli pewnie pierwszy raz. Inni zaś wcale się nie przejmowali zamówieniami, bo weszli do środka, żeby się schronić przed deszczem. Tylko co robili na placu Defilad, który poza paroma dniami w roku jest jedynie smutną przestrzenią, gdzie poza parkingiem i budową Muzeum Sztuki Nowoczesnej nie ma niczego, co by mogło być konkretnym celem?

Tędy się tylko przechodziło, w drodze do którejś z instytucji mieszczących się w Pałacu, na któryś z dworców kolejowych albo do stacji metra. Czasem latem jacyś desperaci się umawiali, ale nie o tej porze, wieczorem, i nie w takiej liczbie, żeby nagle, uciekając przed deszczem, wypełnić Kulturalną po brzegi. Dziwne, pomyślała, i w końcu spytała chłopaka, który zamawiał herbatę:

— Słuchaj, czy coś się dzisiaj zadzieje?

O tym samym myślał Marcin, który stał za barem położonej vis-à-vis Dramatycznego kawiarni Bar Studio. Ktoś powiedział, że ostatnio przyszło tyle ludzi, gdy był koncert na rzecz poparcia protestu

nauczycieli. Dziś też planowano jakiś protest, ale wszystko miało się zadziać za jakieś trzy kwadranse. Niespodziewanie zaczął się padać deszcz, więc ludzie, którzy się zbierali na dziedzińcu Pałacu, między Dramatycznym i Studium, rozeszli się po kawiarniach.

Wielu skryło się w podcieniach, między kolumnami, było ich więcej niż sto osób. A przecież ludzie lubili dobić na ostatnią chwilę, więc zanosilo się na to, że pewnie jeszcze pojawi się tu policja. Na razie był jeden patrol straży miejskiej, ale ci mieli wywalone na protesty, nie to co kulsony, którzy, jeśli było coś antyrządowego, a impreza nie została zgłoszona i zarejestrowana, dostawali piana. Ale dzisiaj warują na placu Piłsudskiego i w jego okolicach, tam odbywa się patriotyczny koncert, więc pewnie i oni będą mieli wywalone na to, co się zadzieje pod Pałacem. Tym bardziej że to chyba jakiś protest związany z deweloperką albo z zamknięciem któregoś studia nagrań.

54.

Megaparking przy placu Defilad wyznaczał środek środkowoeuropejskiej stolicy, dość poważnej stolicy, bo państwa należące do Unii Europejskiej, z dostępem do morza i paroma noblistami. I był czymś więcej niż jedynie parkingiem. Przystosowano go nie tylko do przyjęcia aut osobowych, ale furgonetek i autokarów. Stanowił nieformalny dworzec autobusowy, dalekobieżny dla największych pojazdów i lokalny dla małych busów. Miały tu też swoją przystań autokary wycieczkowe.

Hendrix i ludzie, z którymi był umówiony, nie mieli kłopotów z zajęciem kilku miejsc parkingowych. Siedzieli w autach, furgonetkach, autobusie i w ciężarówkach, czekając na godzinę zero, czyli pięćdziesiąt cztery minuty po zachodzie słońca, który następował czwartego maja o dwudziestą zero sześć. O tym, że jest właśnie ten dzień, poinformował ich Rambo.

— Zrobimy to wieczorem czwartego maja — powiedział powoli i bardzo wyraźnie, omiatając wzrokiem wszystkich zebranych. — Szczegóły akcji głównej znam na razie tylko ja. W odpowiednim

czasie zapoznam z jej szczegółami wydzieloną grupę: Dziadka i Zoltara. Pozostali pracować będą nad akcją dywersyjną, dezinformacyjną, odciągającą uwagę od głównych zadań.

Zrobił pauzę i rozejrzał się, jakby chciał się upewnić, że do każdego z nich te słowa dotarły i zostały zrozumiane.

— Zuza i Hendrix, zorganizujecie zamieszanie, które odwróci uwagę od kwartału ulic Emilii Plater, Złotej, Jana Pawła, Świętokrzyskiej. — Laserowym wskaźnikiem zakreślił wymienione ulice.

— Wanda wprowadzi was w temat. — Wskazał na niedawnego wroga Zoltara. — Ona i Olek są naszym sztabem, najlepiej zorganizowani i poukładani. Wanda prowadziła dziesiątki odpraw i kierowała zespołami ludzkimi, korporacje i armia są bardzo do siebie podobne. Obecności Olka nie muszą tłumaczyć, będzie pomagał koordynować działania, zapewni nam zdjęcie obserwacji elektronicznej, zwłaszcza monitoringu miejskiego.

Nikogo to nie dziwiło, nikt nie pytał, czemu oni, ale zanim Wanda zaczęła referować, Hendrix, jak zwykle on, musiał się wyrwać z pytaniem.

— Dlaczego akurat tego dnia?

— Od tego chciałam zacząć. — Wanda nabrała powietrza w płuca, żeby nie dołożyć do tego uwagi w stylu: nie wcinaj się. Dała mu jeszcze szansę, żeby się zorientował, że to odprawa, a nie pogawędka. — To będzie nasza miesięcznica!

— To będzie nasza miesięcznica? — Tym razem Hendrixa ubiegł Zoltar.

— Tak — odparła Wanda.

— Dlaczego? — spytali niemal wszyscy.

— Bo tak — uśmiechnęła się.

— Zoltar ma wszystko ponotowane w kapowniku. Wszystkie ważne daty związane z Manufakturą — powiedział Pablo. — Lecisz, Zoltar!

— Miasto przyznało ci lokal ósmego marca... — Tę datę znał na pamięć, podał ją, nim otworzył notes.

— W Dzień Kobiet — ucieszyła się Zuza.

— Remont zaczął się dziesiątego, prowizorycznie galeria ruszyła po wakacjach, to był drugi października. Remont skończył się dwa

lata później, jakoś w środku czerwca. Odbiór był dziesiątego lipca, pierwsza wystawa trzeciego września... — Zoltar przełożył kartkę w notatniku. — Pismo od prawników dostaliśmy trzy lata później, wrzesień, ale nie czwarty, tylko szósty. Decyzja sądu po naszym odwołaniu dwunastego lutego... Nic się nie klei!

— A musi się kleić? — Wanda uśmiechnęła się chłodno, jakby była drapieżnikiem. — Kto sprawdzi, że pierwszej sesji Zuza i Hendrix dokonali w nocy z czwartego na piątego jakiegoś tam miesiąca?

Zapadła cisza.

— No jak? — powtórzyła.

— Może na fejsie? — zapytał ostrożnie Dziadek Ikar, który coraz lepiej rozumiał, na czym polegają media społecznościowe.

— Na fejsie — powiedziała Wanda. — Zaraz po odprawie robicie wydarzenie: „Miesięcznica pierwszego nagrania w studiu Manufaktura Dźwięku”. Wrzucacie starą fotkę sprzed trzech lat, zapraszacie na okolicznościowe spotkanie. To się nazywa fakt medialny.

— No brawo — powiedziała z uznaniem Zuza.

— Okej i co z tej okazji robimy?

— Robicie zamieszanie, *flash mob*, Manifę, protest przeciwko utracie miejsca pracy, koncert, co chcecie. Macie wolną rękę, znacie się na tym, macie kontakty i pomysły. Trzeba zaplanować wydarzenie, które czwartego maja o dziewiątej wieczorem sprawi, że resztki policji z tego miasta skoncentrują na was uwagę.

— To ma być na nielegalu? — ożywił się Hendrix.

— Musi być, bo nawet jeśli miasto zdąży wam wydać zgodę na takie zgromadzenie, to policja na pewno nie.

— Dlaczego? — zdziwił się.

— Jest kilka powodów. Na pewno nie spodoba im się wieczór, poza tym tego dnia startuje nowe, cykliczne zgromadzenie.

— Jeszcze jedna miesięcznica? — zdziwiła się Matylda.

— Aż tak to nie, przynajmniej na razie. Rocznicowe tylko, na cześć Władysława z Gielniowa.

— Kto to, nie znam człowieka? — Hendrix nie wytrzymał.

— Patron Warszawy. — Dziadek Ikar jak zwykle wiedział wszystko.

— Pierwsze słyszę. — Zuza pokręciła głową. — Myślałam, że Wars i Sawa.

— W pewnym sensie tak, ale oni tak naprawdę, nie wiadomo, czy naprawdę, żyli, są równie bajkowi co syrenka i bazyli szek, a ten typ żył na pewno, bo był spowiednikiem księżnej Anny Mazowieckiej. Są na to papiery, poza tym jest błogosławiony. — Dziadek złapał fazę na gadatliwość i uprzedził Wandę, więc uznała, że on zrobi to najlepiej.

— Ja też jestem — zaskoczył wszystkich Hendrix.

Wszyscy mu się przyjrzeni z uwagą i niedowierzaniem.

— Co roku byłem, co tydzień nawet, zwłaszcza jak katecheta sprawdzał obecność i za wagary obcinał ocenę, ale nawet jak już nie chodziłem na msze, no to i tak, dla zwykłego fanu, chodziłem z jajkami na Wielkanoc do poświęcenia — wyjaśnił i widząc, że nie bardzo przekonał resztę, dodał: — Na każdej mszy ksiądz błogosławi i na święceniu jajek też! Czego nie trybisz, encyklopedio nasza? — zwrócił się do Dziadka Ikara.

— Kochany... — westchnął Dziadek. — Na Wielkanoc nie święci się ludzi, to znaczy wiernych, i nie jajka, tylko pokarmy. A błogosławiony to, jakby ci wytłumaczyć... To nie ten, którego się błogosławi w imię ojca i tak dalej, ale ten, którego oficjalnie zatwierdza Watykan. To się nazywa beatyfikacja, a nie błogosławieństwo! To cały proces, który Kościół wszczyna co najmniej pięć lat po śmierci kandydata...

— To taki prawie święty — włączyła się Wanda, która postanowiła uprościć i skrócić przekaz. — Urzędowo zatwierdzona przez Kościół osoba, nieżyjąca już osoba — podkreśliła. — Na dodatek która wyróżniała się swoją postawą i działalnością: cnoty, inspirowanie innych do modlitwy i oczywiście wysoko punktowana jest męczeńska śmierć.

— I pewnie cuda? — spytał Hendrix i po chwili poszerzył pytanie: — A ten zawodnik to jaki rekord nabił, że narobił sobie kościelnego fejmu?

— Był mocny w umartwianiu się — niespodziewanie włączył się Pablo. — Nosił włosiennicę, biczował się, wprowadzał polski język do Kościoła, pisał pieśni.

— Pisał pieśni... — zainteresowała się Zuza, po czym się roześmiała. — To Maleo zostanie błogosławionym za arkę Noego! Chociaż my byśmy go za co innego błogosławili!

— O tak! — Hendrix pokiwał głową. — Za Izrael i Kulturę, Armię, Moskwę i Houk.

— Przede wszystkim za Houk — podkreśliła Zuza. — Ale to było kiedyś, teraz opętał go demon świętego patriotyzmu, więc pewnie zagra na tym koncercie.

— To nie pogadanka o muzyce. — Wanda próbowała wprowadzić w spotkanie korporacyjne zasady, ale Zuza i Hendrix absolutnie nie przystawali do korporacyjnego porządku.

— OK! Wiem, że *Ordnung muss sein*. — Spojrzał na Wandę. — Ale lekką zajawkę na to złapałem, to jeszcze powiedzcie mi, czy za samą muzę dostał tego błogosławionego i czym to się różni od świętego?

— Zakresem kultu — powiedział Ikar, który wziął na siebie rolę edukatora. — Błogosławionego, czyli beatyfikowanego, czczą lokalnie, a świętego, znaczy się kanonizowanego, na całym świecie. Kwestia uznaniowa, którą określa Watykan, w przypadku beatyfikacji warunek minimum, jak powiedziała Wanda, to jeśli ktoś nie został męczennikiem, to musiał dokonać jakiegoś cudu. Jeśli ich było więcej, to jego lobbyści mogą się starać o kanonizację. Tyle z grubsza.

Widząc, że Hendrix zaraz wjedzie z nowym pytaniem, uprzedził je.

— Władysław z Gielniowa lewitował. — Znów do głosu doszedł Pablo.

— Latał? — zdziwił się Hendrix.

— Lewitował to trochę coś innego.

— A skąd ty takie rzeczy wiesz? Dostałeś po tym „Chrystusie-Krychowiaku” zlecenie na dizajn Kościoła? — Hendrix był rozbawiony.

— Coś w tym jest, rzeźba została dobrze przyjęta i Wanda namówiła mnie na cykl „Prawie wszyscy święci”. Prawie wszyscy, bo tylko ci bardziej oryginalni. Maria Egipcjanka, która była rozpustnicą, paru przestępców, Dyzma był złodziejem, Idzi bandytą, Fabiola bigamistką. Władysław z Gielniowa też mi pasuje, ale na razie nie wiem, jak obejść parę problemów technicznych związanych

z lewitacją. Dużo o nim czytałem, zainteresował mnie, zwłaszcza ostatnie chwile świadomego życia. W Wielki Piątek roku tysiąc pięćset piątego, w Świętej Anny przy Krakowskim Przedmieściu...

— Brałem tam ślub — wyrwał się Zoltar.

— Wiem! Byłem — przypomniał Pablo. — I właśnie tam Władysław z Gielniowa wpadł w ekstazę, a potem na oczach wiernych, wołając: Jezus, Jezus, uniósł się nad ambonę i lewitował nad nią, a potem upadł na ziemię, stracił przytomność i zmarł z czwartego na piątego maja.

— Długo lewitował? — spytał Olek.

— Moim zdaniem krótko, a tak dokładnie to wypadł, a jak wypadł, to pewnie krzyczał: o Jezuuu! — skwitował to Pablo.

— Ja bym raczej krzyknął: o kurwa! — strapił się Hendrix.

— Ale ty byś nie wszedł na ambonę głosić kazanie. A gdybyś wszedł i spadł, krzycząc to, co pewnie krzyknęłyby większość z nas, nie uznano by tego upadku za przerwana lewitację, tylko za wypadek, który się nadaje do Nagrody Darwina. To taki spis najgłupszych wypadków — wyjaśnił Pablo. — Na pewno jako muzyk rockowy, pod wpływem i z pentagramem na szyi, który spadł na łeb z ambony i się zabił, miałbyś poważne szanse na wygraną.

— Byłby fejm, zajebista promocja, tyle że to są nagrody pośmiertne, prawda?

Pablo kiwnął potakująco głową, a Hendrix pomyślał, że takie poświęcenie nie jest warte podbicia rynku. Wyobraził sobie, że Zuza, która na jego pośmiertnej płycie śpiewałaby chórki, związałaaby się po jego śmierci z jakimś innym muzykiem, na przykład z tym kurewsko zdolnym, przystojnym i vyhajpowanym klawiszowcu grupy Zoppot, który podrywał ją tak bezczelnie, że musiał mu parę rzeczy wyjaśnić.

— Straszylbym ich, kurwa, po nocach — burknął pod nosem.

— Co powiedziałaś? — zainteresował się Olek.

— Nic, refren do nowego numeru mi się ułożył — wyjaśnił.

— Możemy już wrócić do poważniejszych spraw? — Wanda po raz kolejny próbowała wprowadzić korporacyjny porządek. — Zatem! — Uniosła w górę palec, z pierścionkiem z dyskretnym brylantem oraz paznokciem poddanym perfekcyjnemu manikiurowi. —

O osiemnastej msza w Świątym Annie, a później procesja na plac Piłsudskiego i koncert „Prowadź nas, Władysławie, do pięknej Warszawy i niepodległej Polski”.

— Na plac Piłsudskiego? — zdziwiła się Zuza. — Przy samej Świątym Annie jest plac Zamkowy, to jest dobra miejscówka!

— Na plac Piłsudskiego, bo zmilitaryzowało go Ministerstwo Obrony Narodowej, i to ono decyduje, kto może tam przebywać, a kto nie. O dziewiętnastej zacznie się koncert, który potrwa dwie godziny, i będzie transmitowany przez telewizję.

— Co im tak odstrzeliło z tym Władysławem z Gielniowa? — spytał Zoltar. — Jakaś promocja, ktoś ma relikwie, które chce puścić w obieg?

— Bo chcą pokazać, że władze miasta zapomniały o swoim patronie — wyjaśniła Wanda. — Obecny prezydent trzyma się od Kościoła w bezpiecznej odległości, a jego kontrkandydat w kolejnych wyborach będzie tym dbającym o Kościół i jego dziedzictwo. Czysta polityka.

— Okej, rozumiem, ale czemu nasze zgromadzenie miałyby być nielegalne? Przecież nie będzie tam nic o religii ani o żadnym konkurencyjnym świętym?!

— Bo będą się tłumaczyć, że nie zabezpieczą tyłu zgromadzeń jednego dnia. O dziesiątej trzydzieści pięć jest duża przerwa, czyli protest nauczycieli pod ministerstwem na Szucha, w południe marsz gwiazdzisty na Urząd Rady Ministrów, idą z różnych stron pielęgniarki, lekarze i pacjenci.

— Pacjenci to w trumnach raczej — skwitował Zoltar, za co Wanda spiorunowała go wzrokiem nauczycielki, która patrzy na ucznia gadającego na lekcji.

— Po dniu, w którym będą dwie demonstracje, mają jeszcze ochronę całego rządu, wszystkich pallotynów i zabezpieczenie ruchu i porządku, bo wszyscy oni będą na mszy i koncercie. Przyjadą autokary z całej Polski, powiedzą, że nie da rady. Zresztą chodzi nam o zamieszanie, a nie o to, żeby wszystko było zgodnie z przepisami.

— A organizacja koncertu pod Pałacem? Teatr Studio raczej progresywny jest, daliby kawałek chodnika... — Nagle Hendrix poczuł, że można by zrobić naprawdę porządny koncert.

— Czas! Wszystko będzie improwizacją, w tydzień nie załatwi się profesjonalnego koncertu, teatr nie podpisze się pod taką amatorką, prawda? — spytała Wanda.

— To nie będzie amatorka! — Hendrix mocno zaprotestował.

— Dla mnie może być. — W końcu odezwał się Rambo. — Chcecie tu jakiś Jarocin czy inny Woodstock rozkręcać, a tu chodzi wyłącznie o to, żeby odwrócić uwagę od kwartału Emilii Plater, Złotej, Jana Pawła, Świętokrzyskiej. Powiedziałeś: pod Pałacem, to idealne miejsce! Pracujcie nad tą lokalizacją, mają być decybele i zamieszanie, które pomogą nie tylko w przeprowadzeniu akcji, ale i odwrócić bez strat własnych.

Przygotowali wszystko, to będzie zajebista impreza, nie tylko dla uczestników akcji, ale dla wszystkich. To będzie kawał wykurwistej sztuki!

55.

Gdyby ktoś podleciał dronem na osiedle Za Żelazną Bramą i zajrzał przez znajdujące się na piętnastym piętrze okno kawalerki należącej do pisarza Łukasza Stasiaka, to zaobserwowałby, że we wnętrzu siedzi trzech mężczyzn. Młodszy brodaczek wyglądał na zaciekawionego i zarazem lekko skonfundowanego bliżej nieokreślonymi okolicznościami. Drugi, podobnie jak pierwszy, ponad pięćdziesięcioletni typ, niedogolony na twarzy, za to z błyszczącą głacą, nerwowo stukał palcami o blat stolika. Trzeci, senior w tym towarzystwie, też brodaczek, niczym Święty Mikołaj, był tak spięty, że wyglądał jak kamienna figura.

Można by pomyśleć, że czekają na przyjazd pociągu, tyle że na piętnaste piętro nie dojeżdża żaden pociąg, co najwyżej winda. Na nią też nie czekali, po piętnaste piętro było ostatnim, a ich interesowała podróż w górę. Poza tym w poczekalniach nie pali się już papierosów, a na stoliku nie stoi radio CB.

— Dziadek, przestań jarać te szlugi — powiedział Zoltar do Ikara, który wyszarpnął się ze stuporu, wstał i sztywno jak ludzki automat podszedł do ściany szczytowej lokalu, by stanąć w otwartych

drzwiach czegoś, co nie było balkonem, tylko wyjściem w prawie pięćdziesięciometrową przepaść, od której oddzielała tylko metalowa barierka.

— Jeszcze dwa machy — powiedział Ikar, zapalając papierosa i opierając się delikatnie o barierkę. — Teoretycznie wszystko sobie wyliczyłem, wszystko się zgadza, tylko...

— Tylko co? — zapytał trzeci z nich, jedyny w miarę wyluzowany brodaty pięćdziesięciolatek przy kości, ubrany w dzinsy i koszulkę z postacią z serialu „Mandalorian”. — Zapomniałeś o paru szczegółach, że po drodze są trzy wielkie wieżowce: Metropolitan, Warsaw Financial Center i Interconti?

— To mam obcykane, panie pisarzu. — Dziadek Ikar rzucił spojrzenie, które miało pokazać gospodarzowi lokalu, Łukaszowi Stasiakowi, że jest całkowicie wyluzowany. — Ja wiem, co mam robić! — powiedział stanowczym głosem, próbując grać chojraka, który nic innego nie robi, tylko każdą wolną chwilę spędza na przedniej zabawie, jaką jest podróżowanie parolotnią między dachami wieżowców. — Mnie się rozchodzi, chłopaku, o to! — Uderzył dłonią w żelazną barierkę, która oddzielała go od przepaści. — Co prawda Gomułka to jeszcze nie Gierek, nie było takich fuszerek. Strop, z którego wykonana została barierka...

— I jeszcze zapytaj mnie jak inni, czy kiedyś taka barierka się urwała i czy jakiś klient nie poszybował z nią w dół. Otóż nie! — Łukasz Stasiak, którego kumple nazywali Lukiem, podniósł się z fotela i wypracowanym przez lata ruchem minął zwisający z sufitu model Sokoła Millenium z „Gwiezdných wojen”. — I blok też się nie złoży, sprawdzali kotwy i mocowania, a do tego go ocieplili. I całe szczęście, bo jak mieszkali tu moi dziadkowie, to zimą było tak, że można było żyć bez lodówki. Dogrzewało się gazem, fajerki chodziły dwadzieścia cztery na dwadzieścia cztery. I to nie jest wielka płyta, bo wtedy jeszcze nie było wielkiej płyty. Konkurs na projekt rozpisano w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym pierwszym roku.

— Tak, to nie wielka płyta, to monolityczny beton wylewany — powiedział ze znanstwem Dziadek. — Ale nie masz racji, wielka płyta już była, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym zbudowano z niej domy na Jelonkach.

— Ty, cholera, wszystko wiesz. A z jaką prędkością latał Sokół Millennium? — Młodszy z brodaczy wskazał na model statku kosmicznego.

— To trudne do ustalenia, pojawia się wiele nieścisłości, bo nie do końca wiadomo, czy jeden przecinek pięć to na pewno prędkość światła i czy Sokół Millennium osiągał ją z hipernapędem, czy też nie. Poza tym w epizodzie czwartym Han Solo mówi, że leci na Kessel z prędkością pięciu parseków, w a końcu to nie prędkość, ale odległość, prawda? Do tego nie wiadomo, co dokładnie oznacza parsek, bo parsek „Gwiezdných wojen” nie jest tożsamy z parsekiem Ziemi, prawda?

Luke wyglądał jak zahipnotyzowany.

— Nasz parsek to odległość, w której paralaksa roczna położenia naszej planety widzianej prostopadle do płaszczyzny orbity wynosi jedną sekundę łuku. Tak dokładnie jest, ale u nas w galaktyce, a nie tam — ciągnął Dziadek, a Luke wyglądał, jakby był robotem z „Gwiezdných wojen”, któremu siadły podzespoły i zawiesił się z szeroko otwartymi ustami. — No serio, tak właśnie jest.

— Paralaksa — wysapał.

— Tak, paralaksa — z pełną ekscytacją odpowiedział Dziadek Ikar. — Zjawisko pozornej zmiany położenia obiektu na sferze niebieskiej.

— W życiu nie słyszałem o paralaksie!

— Tak? — Ikar był wyraźnie rozczarowany, że ktoś, kto interesuje się „Gwiezdnymi wojnami”, chodzi w koszulce z Mandalorianinem, ma na ścianie filmowy plakat, a pod sufitem model Sokoła Millennium, może nie znać pojęć astronomicznych. — No to bez paralaksy... — Ikar uniósł palec w górę i wyrecytował: — Można też opisać parsek bardziej konkretnie, podając liczby, wychodząc od au, czyli jednostki astronomicznej.

— A ile to jest? — Luke słuchał jak urzeczony.

— To sto czterdzieści dziewięć milionów pięćset dziewięćdziesiąt siedem tysięcy osiemset siedemdziesiąt kilometrów — powiedział to z taką łatwością, z jaką przeciętny Polak potrafi podać datę swoich urodzin, a bardziej wyrobiony rok, w którym odbyła się bitwa pod Grunwaldem. — I siedemset metrów — dodał, kiedy Luke i Zoltar byli

przekonani, że to koniec. — Powiniennem podać w metrach, ale tak chyba łatwiej, praktyczniej, prawda?

— Ty jesteś astronomem? — zapytał ostrożnie brodac.

— Skąd? — Dziadek Ikar machnął ręką. — Tylko trochę kiedyś o tym czytałem.

— Aha, tylko trochę...

— Emerytem zasadniczo jestem, trochę na paralotni latam.

Luke wyglądał na zrezygnowanego. Będą tu siedzieć jeszcze godzinę, podczas której ten stary kosmita, bo to musiał być kosmita, odtworzy z pamięci książkę telefoniczną, powie z pamięci i pewnie od tyłu, bo normalnie to zbyt proste, „Pana Tadeusza”, a na koniec na tej swojej paralotni wykona między blokami beczkę i odleci jak E.T. w filmie Spielberga.

Na Zoltarze nie robiło to wszystko wrażenia, poznał zbyt dobrze bohatera dzisiejszego wieczoru, by cokolwiek go dziwiło. Jedyne, co go w tej chwili interesowało, to utrzymanie pozycji drugiego. Ludzie marzą o awansie, a on modlił się, by wszystko pozostało, jak jest, by miał bezpieczną i najmiłszą jego zdaniem posadę, jaka może być, drugiego w kolejce do tronu. Być takim księciem Harrym to zajebista sprawa, nic nie musisz, a jak ci się pchają za bardzo do życia, to się wypisujesz z rodziny i jeszcze ci się coś za to należy, bo nie wypada, żeby rojals żył z zasiłku. Zresztą po co się obrażał, nic prawie nie robił, od czasu do czasu pojechał coś otworzyć, przeciąć wstęgę albo się pokazać. Piękna sprawa, ale wcześniej... Tak, wcześniej latał na helikopterach, do tego na wojnie. I tu Zoltar wrócił do punktu wyjścia, do konieczności zajęcia miejsca za sterami...

Przez większość czasu, w którym Rambo, Wanda i Olek planowali akcję, Zoltar nie miał przydziału, był taktyczną rezerwą sztabu, z jednej strony nieco go to niepokoiło, było to jak syndrom nieudanego seksu grupowego, czyli zostać pominiętym, z drugiej zaś Rambo tłumaczył mu, że jest niezwykle uniwersalnym członkiem zespołu, który może zastąpić praktycznie każdego. Raz włączał go do zespołu ewakuacyjnego, raz do sztabu, innym razem jako czujkę w lokalu Za Żelazną Bramą. Inny poczułby się jak piąte koło u wozu, ale Zoltar wszystko sobie zracjonalizował: jest zawodnikiem uniwersalnym, którego trener może ustawić na każdej pozycji. Im

dalej w las, tym bardziej rosła nadzieja Zoltara, że nie zastąpi nikogo, że pozostanie w rezerwie do samego końca. Było tak tylko do czasu, który przyniósł, mówiąc językiem optymistów i kozaków, „nowe wyzwania”, a realistów — „katastrofę wywołaną przez gadulstwo”.

— Zoltar! — zaczął niezwykle dziarsko Rambo, jakby wpadł na jakiś superpomysł. — Słyszałem, że kiedyś latałeś na paralotni?

Od razu pomyślał, że zostanie koordynatorem powietrznej części akcji, kimś, kto pokieruje desantem na biuro dewelopera.

— Kiedyś, dawno, miałem taką zajawkę, ćwierć wieku temu latałem, nawet kurs szybowcowy zacząłem, na licencję pilota miałem zdawać, bo... — Tu pękła bańka cudownych wspomnień. — Awionetkę miałem kupić.

— Dobry byłeś?

— Bardzo dobry! — odpowiedział bez mrugnięcia okiem, dziarsko i nieświadom konsekwencji.

— To świetnie, ale musisz być jeszcze lepszy! Odbędziesz razem z Dziadkiem kilka lotów doszkalających.

— Po co? — Do Zoltara docierało, że wpadł w pułapkę, którą sam na siebie zastawił.

— Żebyśmy mieli w zespole rezerwowego pilota.

W pierwszej chwili go to ubodło, bo kto dziś pamięta podpułkownika Zenona Jankowskiego? Nikt, za to każdy zna majora Mirosława Hermaszewskiego! To Hermaszewski jako jedyny Polak poleciał w kosmos, a Jankowski, mimo że starszy stopniem, był tylko jego rezerwowym. Po chwili jednak się uspokoił, rezerwowy to najlepsza fucha, mnóstwo miłych funkcji reprezentacyjnych i zero odpowiedzialności! I w istocie tak było. Zoltar usłyszał, że najważniejsze to pilnować Dziadka i nie dać mu zrobić jakiegś krzywdy, bo inaczej będzie musiał za niego polecieć.

I na tym się koncentrował, a nie na tych paru doszkalających lotach. Te szły dobrze, latał na luzie, bo lubił, pewnie, gdyby wszystko, co miał, nie złożyło się jak domek z kart, miałby dziś nie tylko licencję pilota, ale i swój własny samolot, może nawet odrzutowiec!

Piękny sen przerwany przez chwilową zapaść finansową, która błyskawicznie przerodziła się w bankructwo. Jeden błędny ruch, jedna chwila i...

— Dziadek, odejź lepiej od tej barierki! — zawołał szczerze przejęty.

W końcu, gdyby dziadyga wypadł z piętnastego piętra, to nawet gdyby jakimś cudem przeżył, to i tak on, Zoltar, jako drugi, rezerwowy pilot, musiałby zająć jego miejsce w paralołtni. Spojrzał na zegarek, do godziny zero pozostało czterdzieści pięć minut. I równo, jak w zegarku, rozległ się dzwonek do drzwi. To na pewno był Rambo, on był punktualny co do sekundy. Jako główny wykonawca przybył na miejsce koncentracji, a Zoltar ma zjechać na dół i pospacerować, czyli według rozkazów Rambo patrolować okolicę.

56.

Zoltar czuł obawę, a momentami, w których zdawał sobie sprawę, że Dziadkowi może się coś stać, pętał go strach. Ale w końcu co się miało stać? Szlugów nie palił, raczej nie pił, zawsze wymawiał się skoda, zbliżającymi się lotami i co najważniejsze, nigdy nie używał argumentu, że ma wątle zdrowie. Stary, dobrze zakonserwowany pierdziel, którego nie trafi szlag, jakiś zawał, wylew czy coś w tym stylu. Tak gasił swoje powracające stany lękowe Zoltar, natomiast główny zainteresowany się nie bał. On miał tremę. Trema była tym, co nie dawało mu osiągnąć w lotniarskich i paralołtniarskich zawodach. Był weteranem tego sportu, pięknie latał klasyczną lotnią, bezkonkurencyjnie szybował i niedościgle kręcił akrobacje zarówno na zwykłym paragłajcie, jak i z silnikiem, na sprzęcie wysokiej klasy i gorszej jakości. W środowisku był autorytetem, nazywano go Mistrzem. Mistrzem, który zrezygnował z medali.

Bo od pewnego czasu wszystko, co najpiękniejsze, robił mimochodem, dla przyjemności. Konkurencja, start w zawodach, świadomość, że bierze udział w wyścigu lub punktowanym pokazie, spalała go na popiół. Mistrz treningów, dobrych rad, niebywałych

trików, które objaśniał młodszym kolegom, dusza towarzystwa, wyluzowany i otoczony mgiełką legendarnej przeszłości, w szrankach gubił się tak bardzo, że od lat przybywał na zawody i pokazy jedynie w celach towarzyskich. Szanowano go za to, bo kiedyś zdobywał medale i mistrzostwa, ale coś w nim pękło. Miał przerwę, po której wrócił do punktowanego latania, i kompletnie zawiódł. Wtedy po raz pierwszy trema zjadła Mistrza Ikara.

Dał sobie spokój z zawodami, podtrzymując autorytet w sposób inny niż punktowane loty, nie dając się dusić tremie i niepokojom.

Aż do tego wieczoru, kiedy od jego działania coś zależało, a grupa ludzi czekała na perfekcyjny przelot, w którym będzie się liczyła precyzja jak podczas zawodów mistrzowskich. Wiedział, że zbliża się lot, który będzie najważniejszym w jego życiu, ważniejszym od medalowych przelotów, od sfilmowanych przed laty akrobacji, które sięgnęły rekordowych wyświetleń na YouTube. Opisywano je komentarzem: *Amazing skills of a Polish paraglider from the 70s!* Było to ważniejsze nawet od legendarnego przelotu z mistrzostw świata w Meksyku, kiedy po tragicznej, choć pięknej, bo poniesionej w powietrznym wirze śmierci jednego z kolegów poprowadził grupowy lot, podczas którego uczczono poległego wypuszczeniem chmury kwiatnych płatków... To, co najważniejsze w życiu, które prawie pół wieku temu podporządkował lataniu, miało się wydarzyć dzisiaj.

Do pewnego momentu było nawet dobrze. Gdy ten zabawny literat Luke zapytał go o prędkość, z którą latał w „Gwiezdnym wojnach” Sokół Millennium, to nawet się wyluzował, ale gdy Zoltar wyszedł, Dziadek poczuł się niepewnie. Obecność Rambo go paraliżowała, był wojskowym i dowódcą akcji, kimś, kto pilnował reguł i obowiązków, a Jan Dębicki, lat siedemdziesiąt i spory plus, od zawsze z obowiązkami miał kłopoty. Jedyne, co mu naprawdę w życiu wyszło, to latanie. I właśnie dzisiaj mógł wszystko zaprzepaścić, jednocześnie ponosząc kolejną z wielu życiowych porażek.

Urodził się jako geniusz, nie było co do tego wątpliwości. Nauka czegokolwiek, zapamiętywanie wszystkiego jak leci było cudem podarowanym mu przez naturę i jednocześnie przekleństwem. Łatwość, z jaką przyswajał szkolne wiadomości, powodowała, że nie

miał nawyku uczenia się, uniwersalność zaś była grobem specjalizacji. Zdecyduj się na coś, zacznij się uczyć, wybierz swój cel w życiu, mędzono mu każdego dnia w domu, w szkole i na spotkaniach w ramach preorientacji zawodowej. I w końcu wybrał: rock and roll oraz latanie. Problem polegał na tym, że do muzyki kompletnie nie miał słuchu, a do latania — zdrowia. Marzenia o Szkole Orłąt i karierze Micka Jaggera lub Briana Jonesa prysły jak mydlana bańka.

Poszedł więc na studia matematyczne, które dzięki jego geniuszowi pozwalały mu wygospodarować mnóstwo czasu na słuchanie Radia Luxembourg. Ciągnął studia na niezłych ocenach, choć powinien być studentem wybitnym, ale nie interesowała go wybitność, tylko uniknięcie służby wojskowej, co gwarantowały zwykłe trójki. I wszystko poszłoby, jak trzeba, gdyby nie zdecydował się na indywidualny tok studiów. Był matematycznym geniuszem, więc pewnie coś takiego by mu się należało, o ile przyłożyłby się do nauki i poinformował o tym uczelnię. Niestety, wykładowcy, rektor oraz instancja najwyższa, czyli panie z dziekanatu, nie mieli o tym najmniejszego pojęcia. Cudem bujał się przez niemal prawie całe studia, aż jego krucha studencka szalupa rozbiła się o skałę Studium Wojskowego.

Pojawił się tam na zajęciach, choć nie musiał, gdyby tylko nie zawieruszyła mu się teczka z badaniami lekarskimi, które skompletowała jego zapobiegliwa matka — pielęgniarka. Zawieruszyła się, a może o niej zapomniał, wszystko jedno. Człowiek, który miał pamięć absolutną, absolutnie zapominał o otaczających go drobiazgach i wszelkich obowiązkach, poczynając od dwóch różnych skarpetek, a na kasowaniu biletów w komunikacji miejskiej i pilnowaniu każdego rodzaju dokumentów i zaświadczeń kończąc, ma się rozumieć także medycznych.

Dlatego poszedł na komisję wojskową bez dokumentów świadczących o tym, że znajomi lekarze jego rodzicielki wiedzieli, z jakim zestawem schorzeń otrzymałby, i to w cuglach, kategorię C. Zamiast tego przyznano mu kategorię A. Oznaczało to, że w czasie studiów nie mógł jak chorowici zasilić zajęć dla siostr PCK, lecz

musiał uczęszczać na zajęcia dla bażantów, jak w Ludowym Wojsku Polskim nazywano podchorążych.

Pojawił się na zajęciach Studium Wojskowego pełen szczerych chęci, bo nawet największych pacyfistów kręci broń palna. Większość z nich aż się rwie do pociągnięcia za cyngiel, rzecz jasna, na strzelnicy, a nie na polu walki, i Janek Dębicki nie był pod tym względem wyjątkiem. Tak po prawdzie to właśnie dlatego zawieruszyła mu się ta teczka z dokumentami, opracował bowiem chytry plan, że ze swoimi ułomnościami ujawni się dopiero później. Konkretnie to po zajęciach na strzelnicy, ćwiczeniach na lotnisku Bemowo i wakacyjnym obozie, który starsze roczniki wyjątkowo zachwalały. Planował, że pobawi się w Czterech Pancernych, i jak przyjdzie co do czego, czyli roczna podchorążówka po skończonych studiach, wyciągnie swojego asa z rękawa.

Wszystko ułożyło się inaczej. Przede wszystkim nie był już Janem, Jankiem też nie, tylko Johnem i tak samo jak Beatles nazwiskiem Lennon nosił długie włosy. Nie był hipisem, był po prostu Beatlesem, co w roku 1966 nie mieściło się w normach przyjętych przez uczelnie wyższe, a już w szczególności przez kierownictwo Studium Wojskowego.

Na sam jego widok major Nowak wyrzucił go z zajęć i nie pomogło tłumaczenie, że solidaryzuje się z amerykańską młodzieżą uchylającą się przed służbą wojskową w Wietnamie.

— Wy mi tutaj, student, nie pierdolcie o pacyfizmie, bo my mamy bronić ludowej ojczyzny przed imperialistami, więc wasz pacyfizm jest nam na chuj potrzebny! — usłyszał Janek-John.

Udał się więc na skargę do komendanta studium pułkownika Błaszczyka, o którym krążyły legendy, że zamiast generalskiego awansu zesłano go na uczelnię, bo podczas ćwiczeń przeprowadził śmiały manewr oskrzydlający batalionem czołgów. Pewnie by te manewry wygrał, bo wjechałby na tyły wroga jak sam Żukow albo Rokossowski, ale czołgi jeden po drugim zaczęły grzęznąć w bagnistym terenie. A jeden na zawsze. Załoga się uratowała, ale nowiutki T-55 utonął. Kilka czołgów przedarło się i wjechało do kwatery głównej wroga.

Gdyby to była wojna, to sztab zostałby rozstrzelany z czołgowych dział, ale po pierwsze, nie on miał wygrać tę symulację wojny, scenariusz był zupełnie inny, a po drugie, niecodziennie topi się czołg. No i jak mówią klasycy wojskowości, wyjebali go, dając kopa w górę. Awans z podpułkownika na pułkownika był ostatnim w jego karierze i wężyki mógł sobie zobaczyć już tylko w terrarium, a nie na otoku czapki, a lampasy nie na generalskich spodniach, tylko na dresie. Zamiast dowódcą dywizji został komendantem Studium Wojskowego.

Beatles z Warszawy zakładał, że osoba skrzywdzona przez armię zrozumie go i uchroni przed szykanami majora Nowaka, który jego zdaniem użył wobec niego języka niegodnego oficera. Miał już ułożoną całą przemowę, ale nie powiedział ani słowa. Pułkownik Błaszczuk zrobił się na jego widok purpurowy na twarzy, zupełnie jak ojciec Janka-Johna, kiedy dostał wylewu i w parę godzin zakończył swoje czterdziestoparoletnie życie.

Widząc purpurowe oblicze komendanta Studium Wojskowego, chciał nawet coś zrobić, wezwać pomoc, szykować się na interwencję medyczną, w końcu był synem pielęgniarki, ale pułkownik nie padł twarzą na biurko, tylko poderwał się energicznie i ryknął:

— Wypierdalać mi z tymi włosami. Albo się ostrzyżecie, albo nie macie tu czego szukać!

Przekaz był prosty, poniedziałek, dzień zajęty od a do zet przez studium stał się dniem wolnym. Jakoś to załatwi, odwoła się, w najgorszym wypadku poszuka teczki z dokumentacją medyczną. Wszystko to uznał za nieporozumienie i zapomniał o tym, podobnie — jak mu się wydawało — Studium Wojskowe zapomniało o jego skromnej osobie.

W końcu co najwyżej powtórzy rok. Do tej pory zawsze, mimo kłopotów, udawało mu się to, z reguły po ostatecznych szturmach w trakcie kolejnych kampanii wrześniowych. Tracił wrzesień, za to maj i czerwiec należały do niego. Do tej pory jednak mierzył się z asystentami, doktorami, czasem z profesorami, a finalnie z paniami z dziekanatu. Tym razem jednak miał za przeciwnika potęgę drugiej armii Układu Warszawskiego.

Nie przykładął większej wagi do korespondencji, jedyne listy, które go interesowały, mogły nadejść z zagranicy. Wciąż miał nadzieję, że odpiszą mu wytwornie płytowe, do których pisał prośby o przysyłanie materiałów. Czasem coś podsyłali, pocztówki, foldery, ale nie płyty. No i na listy z Gdańska lub Olsztyna też czekał, bo tam mieszkały i uczyły się sympatyczne dziewczyny, które poznał na Mazurach. Jedna z nich nawet kiedyś przyjechała do Warszawy, co mogło się skończyć piękną przygodą, gdyby nie to, że matka wróciła wcześniej ze szpitala. Za to wizyta wojskowych listonoszy zakończyła się tak, jak to zakładali ich szefowie. Dostał do ręki bilet do wojska. Na 13 kwietnia 1967 roku! To był jakiś ponury żart. W tym dniu miał się odbyć koncert The Rolling Stones, na który wdzięczny pacjent matki załatwił mu bilet!

W ten sposób został jednodniowym dezenterem. Taki miał zamiar, spóźnić się o jeden dzień, kto to zauważy? Ale stało się inaczej. Wyszło jakoś tak, że wkręcił się na imprezę z Jaggerem i spółką. O tym, w jaki sposób Janek-John dostał się na party, podczas którego, jak pisano później w biografii zespołu, Stonesi przepijali swoje warszawskie honorarium, krążyły legendy, a on się na nie załapał! Może dlatego, że wyglądał jak jeden z nich, a przynajmniej jak ktoś z Zachodu? Może nawet ktoś pomylił go z Lennonem albo innym z Beatlesów? A prawda, jak to bywa, była banalna. Wszedł wejściem kuchennym, bo ojciec jego koleżanki z podstawówki był w Europejskim kucharzem. Najważniejsze, że ten i ów, który próbował dołączyć do tej pijatyki, a został wystawiony za drzwi, widział go, gdy przepijał do Briana Jonesa.

Do jednostki dojechał tydzień później, bo nie miał czasu. Służbę wojskową ciężko było pogodzić z nowymi obowiązkami, jakim było kilkudniowe panowanie na firmamencie towarzyskim. Został prawdziwą gwiazdą, niemal szóstym Stonesem, na cześć którego specjalnie organizowano prywatki i spotkania w knajpach.

Jego wyczyn pobił nawet to, co wydarzyło się dwa lata wcześniej. Wtedy osiągnięciem paczki Wojtka Manna i Marysi Szablowskiej było ściągnięcie na prywatkę Animalsów! Gościć Animalsów na prywatce to był sztos, ale być gościem Stonesów, a do tego wyjść z imprezy w czarnej błyszczącej marynarce i kolorowym szalu, w których Mick

wystąpił na scenie w Sali Kongresowej, to już był prawdziwy kosmos, coś na miarę lotu Gagarina. Były zatem powody, by się spóźnić do jednostki.

Ludowe Wojsko Polskie, jak każde wojsko, nie lubiło spóźnialskich poborowych, a do tego takich, których pod jednostkę przywoził furmanką chłop, co wyciągnął pijaniusieńkiego rekruta z przydrożnego rowu. Woźnica pewnie by poniechał udzielania pomocy, gdyby tylko zauważył, że osobnik ma długie włosy. Nie zauważył, bo przyjaciele, którzy udzielili Johnowi ostatniej cywilnej posługi, nie tylko upili go do nieprzytomności, wsadzili do odpowiedniego pociągu, ale i mimo wiosennej pogody, dla jego bezpieczeństwa, nałożyli mu na głowę czapkę.

W jednostce to, co było pod czapką, ostatecznie przepełniło czarę goryczy. Zginąłyby marnie, bo mściwa, wkurzona do granic możliwości kadra oficerska wydała go na pastwę kadry podoficerskiej, a ta fali. Szczęście w nieszczęściu troglodyci, którzy się na nim wyżywali, przesadzili i już po paru minutach pobytu na sali wylądował na izbie chorych, gdzie łapiduch po opatrzeniu przepisałby mu trzy dni chodzenia w trampkach.

Tym razem jednak sprawa oparła się o szpital. Tam jakiś przytomny lekarz szybko zdiagnozował problem jako psychiczny i John, zanim matka zdążyła odtworzyć zgubioną przez syna dokumentację medyczną i użyć wszystkich znajomości, by interweniować, apelować, załatwiać, był już na oddziale psychiatrycznym, gdzie szybko, dla dobra wszystkich, a zwłaszcza wojska, bo trup w koszarach zawsze był sprawą kłopotliwą, z odpowiednim zestawem papierów określanych potocznie jako żółte, odesłano go do domu. Łysego, pokiereszowanego, ale wolnego od wojska. Jesienią powtórnie przyjęto go na studia.

Długo nie postudiował. Ciążyły mu geniusz i gen niesubordynacji odziedziczony po ojcu, a resztki dyscypliny wyparowały wraz z otrzymaniem zaświadczenia od psychiatry. Mniej utalentowani i bardziej od niego leniwi koledzy, którzy nie mieli matek pielęgniarek i otrzymali w Wojskowej Komendzie Uzuppełnień kategorię A, potrafili ze strachu przed wojskiem wykrzesać z siebie

pokłady pracowitości i kreatywności, które przepychały ich przez studia, a niekiedy z rozpedu dawały doktoraty.

PRL nie był krajem dla ludzi takich jak Janek-John, a już na pewno nie w marcu 1968 roku i nie z image Beatlesa, do którego powrócił. I z fizjonomią, którą poprawił mu kontakt jego nosa z wojskową falą. W marcu 1968 ormowcy i milicjanci tłukli go jako Żyda i syjonistę, esbecy uznali za wywrotowca, jedni i drudzy zgodnie dokładali mu za włosy i kolorowe ciuchy.

Tak stał się polityczny i po raz kolejny opuścił mury uczelni. Prawie na zawsze. Ale zanim wrócił, utrzymywał się z korepetycji z matematyki i fizyki oraz pisania prac magisterskich. Szło mu nieźle, zarabiał. Jego klienci mieli dobre recenzje od promotorów, ale w Polsce Ludowej, żeby nie mieć kłopotów, potrzebne były etat albo renta inwalidzka. Starał się o rentę, ale dostał etat. Jakaś dobra dusza poleciła go inżynierom z politechniki i tak został pracownikiem MEL-u, czyli Wydziału Mechanicznego Energetyki i Lotnictwa.

W czasach, w których kalkulatory wciąż robiły wielkie wrażenie, a jedynym komputerem była wielka jak stodoła Odra, jego umiejętność mnożenia, dzielenia, zapamiętywania danych i kojarzenia faktów zastępowała w warsztatach wydziału narzędzia, które dzisiaj dawały komputer osobisty, komórka i wyszukiwarka internetowa. Namawiano go na studia, na to, żeby zrobił papier, ale na co mu papier?

Do tego nie używał notesu. Wszystko pamiętał, mnożył i dzielił w pamięci, świetnie grał w szachy i brydża, mógł nie patrzeć na szachownicę i dawać mata nawet dobrym szachistom, i to w symultanie, a w brydżu pamiętał wszystkie karty. Im szybsza była gra, tym był mocniejszy. Nie musiał myśleć, po prostu pamiętał, wiedział, czuł. Poza tym na MEL-u nie tylko poznał ludzi takich jak on, zakochanych w lotnictwie, ale i czyniących z uczucia platonicznego sprawę jak najbardziej fizyczną, namacalną.

Został lotniarzem, konstruował i latał. Żył tym tak intensywnie, że nawet nie zauważył, kiedy założył rodzinę, później jeszcze jedną, a na koniec został sam. Niezupełnie sam, bo z kolegami lotniarzami był częścią gangu, który miał dziś popełnić przestępstwo szlachetne

i uświęcone, od którego powodzenia zależał nie tylko los małej społeczności, ale i sprawiedliwość. Dziadek Ikar, mimo pewnych życiowych pomyłek, uważał, że nie ma spraw ważniejszych, oczywiście poza lataniem, niż prawo i sprawiedliwość, więc poczucie odpowiedzialności miażdżyło go i paliło żywym ogniem. Był roztrzęsiony i coraz częściej chodził do łazienki i zażywał krople miętowe.

57.

Pod pałac schodziło się coraz więcej ludzi. Widać było, że ten *mob* będzie miał wzięcie. Wśród zebranych pojawiali się też znajomi, muzycy, aktywiści i kumple oraz niezrzeszeni, ani ze świata sztuki, ani niewalczący wyczynowo z systemem. Po prostu dotarło do nich, że za friko zagra tu parę bandów związanych z zamykanym studiem nagrań. Takie *farewell party* i protest w jednym, rozsądny sposób na rozpoczęcie wieczoru, który następował po długim weekendzie. *After party* po wolnym poniedziałku uświęconym obchodami rocznicy trzeciomajowej Konstytucji.

Pozdrawiali się wzajemnie, witali mniej lub bardziej wylewnie; do Hendrixa podszedł chłopak z czarną, opadającą na twarz grzywą, w ramonesce wrzuconej na gołe ciało, czarnych rurkach i założonych na gołe stopy lakierkach, i zbił z nim piątkę. Zuza się zdziwiła. Nie znała człowieka, ale ten się uśmiechał jak stary kumpel.

— Co to za pokemon? Nie lubię takich typów — skrzywiła się.

— Zbastuj, proszę, to Głos, człowiek petarda, gościnnie zapoda na wokalu — wyjaśnił Hendrix. — Może nawet niegościnnie — dodał po chwili.

— A ty?

— No wiesz, ja... — uśmiechnął się. — Jestem wokalistą charyzmatycznym, jak Kazik, Muniek i setki raperów. Tu trzeba kogoś z konkretnym pierdolnięciem.

— I on je ma.

— Ma, dlatego ma ksywkę Głos, bo on może nie wygląda, ale głos ma wykurwisty — powiedział Hendrix z lekkim smutkiem w głosie.

Godzina zero się zbliżała. Deszcz przestał padać, więc show powinien się zacząć, tymczasem nie było tu żadnej sceny. Ktoś był pewien, wręcz zakładał się, że scena będzie na dachu Teatru Studio. Inny przyznał mu rację, ale tylko w połowie, bo, owszem, na dachu teatru, ale Dramatycznego. Nie było innej opcji, bo gdyby miało się coś zadziać, to byłyby scena i przede wszystkim nagłośnienie. Tego się nie robi ad hoc, w pięć minut.

Kiedy ten i ów zaczynał wątpić, a inny twierdził, że ktoś niedawno był na jednym z górnych pięter Pałacu i nie widział z wysokości, żeby się coś działo na jednym bądź drugim teatralnym dachu, pod wieżowiec wjechał stary, krótki autobus miejski.

Mercedes, jakiego nie ma już na europejskich ulicach, miał tylko dwa wejścia, taki większy minibus. Pojazd miał za to wzmocniony dach, do którego przymocowane było coś w rodzaju małej sceny. Autobusik zatrzymał się, a kierowca włączył światła awaryjne. Wtedy stało się coś, co ogląda się tylko na filmach o komandosach i relacjach z wyścigów Formuły Jeden. Grupa ludzi, niczym specjaliści, sprawnie weszła na dach, wręcz wskoczyła. Widać było, że mają w tym wprawę. Później, jak mechanicy najlepszych stajni wyścigowych, zaczęli w szalonym tempie przekazywać sobie narzędzia, elementy nagłośnienia oraz instrumenty. W tym samym czasie podjechały dwie platformy ciężarowe, z których zdjęto plandeki i oczom zgromadzonych ukazały się kolejne kolumny nagłośnienia.

— A jak się podłączą do prądu? — zapytał przytomnie jeden ze zgromadzonych i po chwili już wiedział. W okolicach pojazdów, które miały spełniać funkcję sceny, zaterkotały silniki spalinowych generatorów prądu. Organizatorzy pomyśleli o wszystkim!

Część sprzętu pożyczili za friko znajomi, resztę sfinansowała Wanda, o której Hendrix powiedział, że ma taki rozmach i głowę, że byłaby w stanie zorganizować światową trasę dużego bandu, oczywiście gdyby tylko chciała się bawić w takie rzeczy i nie robiła innych biznesów.

W mniej niż w kwadrans zaimprovizowana scena była gotowa, a na jej środku, przed umieszczonym na statywie mikrofonem, stał Hendrix z zarzuconą na plecy gitarą.

— *Gunter lieben glauben globen.* — Zaczął występ niemieckim nic nieznaczącym bełkotem, zapożyczonym z numerów grup Def Leppard i Offspring. — Zaraz odciszmy tę ulicę i całe miasto. Dowiedcie się, kto tu urzęduje! Typ, który dzięki swojej bezczelności i przekrętom zabiera nam studio, jutro będzie chciał zabrać nasze miasto!

Tłum zaczął skandować znane ze stadionów i antyrządowych demonstracji hasło: „Wypierdalaj, wypierdalaj!”. Nie o ten efekt chodziło Hendrixowi, przekaz miał być pozytywny, czasem trzeba pomyśleć o PR, więc przerzucił sprawnie gitarę z pleców do przodu, dał znać kapeli i szybko odliczył: — *Uno, due, tres, quarto!*

Huknęły gitary, samplery i perkusja, całkiem spora grupa widzów wydała odgłos radości, ręce skoczyły w górę, ktoś zaczął tańczyć, kilku punków poszło w pogo. Jakaś dziewczyna tańczyła, jakby została żywcem wyciągnięta z kadrów filmu Woodstock.

Kawałek rozkręcał się transowo, muzycy jechali jak potężna maszyna. Rozpędzali się, jakby byli starą lokomotywą, która z każdą sekundą nabiera tempa składu superszybkiego TGV.

58.

Olek i Wanda śledzili wszystko na ekranie monitorów ustawionych w przerobionym na sztab mieszkaniu. Wanda wynajęła ten lokal w centrum Warszawy i prawie o nim zapomniała, najem jej się kończył, bo rezygnowała z tego miejsca, i od paru miesięcy stało puste. Tak, nawet jej zdarzało się na czymś tracić, ale tego dnia wszystkie poniesione na to miejsce wydatki miały się zwrócić, i to z nawiązką.

Zorganizowanie tam sztabu było prawdziwym wyzwaniem. Na filmach wystarczy jeden laptop, ale Olek potrzebował więcej mocy obliczeniowej, wszystkich swoich komputerów i przede wszystkim monitorów, które przywieźli z Manufaktury specjalnie wynajętą furgonetką. Olek gubił pogoń w sieci, zaprzęgając moc serwerów z całego świata.

Musieli być w centrum, bo nie mogli używać komórek, nie chcieli się logować w sieci, przede wszystkim nie mogła sobie na to pozwolić grupa uderzeniowa, czyli Dziadek Ikar i Rambo. Kontakt z nimi utrzymywali za pomocą CB, którego zasięg był w mieście mocno ograniczony. Porozumiewali się bez słów, po prostu swoim własnym morsem, sekwencją szumów. Mieli o określonych godzinach potwierdzać, czy są gotowi, czy nie, a Olek dać sygnał, że zablokował monitoring.

Monitoring ochrony jeszcze pracował i dzięki niemu widzieli, jak pod Pałacem zbiera się tłum, jak Zuza odbiera skuter z parkingu, mieli także podgląd do mieszkania Luke'a. Wszystko szło zgodnie z planem, zresztą i bez kamer było wiadomo, że akcja posuwa się naprzód. Przez otwarte okna słyszeli start koncertu, a od czasu do czasu, w ustalonych porach, na umówionym kanale CB, dawali sobie znać, że wszystko jest OK.

Załoga z kawalerki Za Żelazną Bramą szykowała się do startu. W mieszkaniu rozległ się dzwonek do drzwi. Sygnał był umówiony, dwa naciśnięcia, po nich pauza i znów dwa, na koniec jeszcze jedno, a później wszystko od nowa. Mimo to Rambo chwycił za beretę i podszedł do drzwi, ale nie wyjrzał przez judasz, tylko sprawdził obraz z kamery, która monitorowała korytarz. Stał na nim Zoltar, kręcąc się nerwowo, jakby to on miał za pół godziny włączyć na dach i startować z niego w kierunku biurowca.

Rambo kiwnął ręką na Luke'a, a ten otworzył drzwi.

— Wszystko gra? — spytał na dzień dobry.

— Tak — odparł Rambo.

— To dobrze, bardzo dobrze — westchnął Zoltar, ale tak na wszelki wypadek postanowił się upewnić, czy z Dziadkiem wszystko w porządku.

— Nie widzę Dziadka — powiedział nieco zdenerwowany, bo nie zobaczył w mieszkaniu pilota, którego był dublerem.

— Poszedł, pozwól, że zacytuję: odcedzić kartofelki — uspokoił go Rambo. — Jest już w pełnym rynsztunku, nawet założył kask.

— Jestem, jestem — odezwał się z łazienki Dziadek Ikar.

Zoltar odetchnął z ulgą, ale w tym momencie zza drzwi łazienki dobiegł nieartykułowany odgłos, na wpół przekleństwo, na wpół

okrzyk strachu i niemal równocześnie huk.

Ruszyli do drzwi, ale te były zamknięte, więc Rambo błyskawicznie wyjął je z zawiasów. Obraz, który zastali w łazience, był przerażający. Dziadek leżał na podłodze, z głowy leciała mu krew, a z umywalki zostały resztki porcelany.

— Poślizgnąłem się — wybełkotał Dziadek, uśmiechnął się przeprasząco, po czym zemdłał.

Kiedy Rambo udzielał mu pierwszej pomocy, odzyskał przytomność. Nie wyglądał jednak najlepiej, a jeszcze gorzej mówił.

— Ślisko, rozlała się woda — wybełkotał.

Luke chciał powiedzieć, że znów się leje z kolanka i że właśnie jutro, najdalej pojutrze przychodzi hydraulik, ale ugryzł się w język. W tej samej chwili Dziadek Ikar zwymiotował. Sprawa stała się jasna, pilot numer jeden zdradzał objawy wstrząśnienia mózgu.

Zoltar, widząc, co się dzieje, wycofywał się w kierunku drzwi, ale kiedy już dotykał dłonią klamki, usłyszał słowa, które były wyrokiem:

— Pilot numer dwa, pełna gotowość!

— Potwierdzam — odpowiedział z typową dla skazańców werwą i optymizmem.

59.

Zuza brała udział w podsłuchach, nagrała i opisała wiele ważnych rozmów, wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, jak wiele pracy włożyła, ale chciała wziąć bezpośredni udział w akcji. Rambo zaproponował jej to w zaskakujący sposób.

— Chyba świetnie sobie radzisz na rowerze? — zapytał.

Przytaknęła.

— I prowadzisz samochód... — dodał Rambo.

— Bez tego by mnie nie było — wyrwał się Olek. — Świetnie prowadzi, nawet długie trasy!

— Też z nią jechałem, pewnie powozi — pochwalił Dziadek.

— Ale w automacie jeździsz, dajesz radę z manuałem? — wtrącił się Zoltar.

— Daję — ucięła Zuza, która w końcu zabrała głos na swój temat. — Tyle że pewnie nie chodzi ci ani o rower, ani o samochód?

Kiwnął głową, że ma rację, po czym założył ręce na piersiach i wyjaśnił:

— Tak, nie chodzi ani o rower, ani o samochód, przydałabyś się jako kierowca motoru... — Zuza skrzywiła się. — Lub skutera.

— No wiesz, Rambo... — zamyśliła się. — Odpowiem ci jak Einstein, którego zapytano, czy umie grać na skrzypcach. Odparł, że nie wie, bo nigdy nie próbował. Ja też nie wiem.

— Okej... — Rambo nie do końca spodziewał się takiej odpowiedzi. Sądził, że Zuza będzie bardziej entuzjastycznie nastawiona do jazdy skuterem.

— A co bym miała zrobić?

— Pomóc mi w ewakuacji.

— Wywieźć cię?! — krzyknęła, bo przeraziła ją myśl, że będzie uciekała z Rambo na tylnym siedzeniu.

— Nie, nie, nie! — Rambo zamachał rękoma, jakby kierował ruchem i kazał kierowcy natychmiast i zdecydowanie się zatrzymać. — W moim, to znaczy w naszym planie — poprawił się, chcąc wzbudzić przekonanie, że każdy dołożył do planu coś więcej niż tylko potakiwanie i zgodę. — W naszym planie przyjedziesz na miejsce akcji, a podczas ewakuacji to już ja będę siedział za kierownicą. Teraz jesteś spokojniejsza?

Była, ta informacja wyraźnie ją odprężyła, poczuła się nawet podekscytowana.

— Ale będę musiała potrenować, prawda? — upewniła się.

— Tak, oczywiście, nie ma żadnej akcji bez treningu, to podstawa!

Zuza radziła sobie całkiem nieźle. Żeby się lepiej przygotować, rzucili się, to znaczy przede wszystkim kolekcjonerka dała pieniądze na skuter, legalny, ze wszystkimi papierami. Oczywiście na akcję miała pojechać skradzionym sprzętem, w rudej peruce, kasku z Myszka Miki i w pomarańczowej kurtce, tak żeby świadkowie zapamiętali nie to, jaką ma sylwetkę i wystające spod kasku fragmenty twarzy, ale nic nieznaczące szczegóły.

— Co to jest? — zapytała, kiedy Rambo zdjął ze skutera pokrowiec.

— Skuter BMW — odparł.

— To jest jakiś pojazd z „Gwiezdných wojen”! — powiedziała, patrząc na kanciastą, grafitowo-pomarańczową konstrukcję. — Moja yamaha wygląda... Jakoś normalniej!

— I jest elektryczny, ale tak poza tym wszystko tak samo. Wiesz, że to nie jest skomplikowane. Skuter zostawię na parkingu parę ulic dalej, zaprowadzę go tam. Będziesz miała pół godziny na odebranie pojazdu, wszystko jest analogowe — uśmiechnął się. — Parkingowy siedzi w kiosku, nie ma monitoringu. Dajesz kwitek, zresztą uprzedzę, że po skuter przyjedzie siostra. Zapłacisz, pan wpisze w kajet, wyjedziesz i będziesz miała kilkaset metrów do przejechania. Wszystko tak samo, tylko oszczędniej z manetką, bo to diabeł, daje do setki w sześć sekund.

Faktycznie maszyna była ciężka. Piekielnie ciężka jak na motorower, który nie wymagał prawa jazdy na jednośląd, tylko zwykłego na samochód. Ponad ćwierć tony z pasażerką to nie było mało, ale prowadził się świetnie, więc pierwszy szok szybko minął. Uspokoila się. To, co było do zrobienia, to żadna filozofia, najprostsze zadanie ze wszystkich. Podjechać na czas pod biurowiec, poczekać na Rambo, a kiedy ten wyjdzie ze środka, oddać mu kierownicę, zająć miejsce z tyłu i podziwiać, jak jeździ.

Bo jeździł świetnie. To, jak kręcił ósemki i potrafił dodać gazu tym elektrycznym skuterem, wprowadzić go w kontrolowany uślizg i wyrwać w przód, robiło wrażenie. Złapała się na tym, że bardzo chciała się przytulić do niego, jak dziewczyny z włoskich filmów, a on ruszyłyby z nią ulicami Warszawy... Tak, marzyła o tym. Facet, który na początku budził jej niechęć, coraz bardziej jej się podobał.

W dniu akcji Zuza bardzo się denerwowała. Kiedy jechała tramwajem, miała wrażenie, że wszyscy wiedzą, co będzie dzisiaj robić. Patrzą na nią, szukając potwierdzenia, że wypchany plecak skrywa kask, że w środku są jeszcze peruka, kurtka i czapka, żeby raz jeszcze się przebrać. Zdawało jej się, że starsza pani, która siedziała przed nią, zaraz się odwróci i zapyta: „Co tam wiesz moje dziecko, do czego ci to wszystko?”.

Wszystko poszło jak po maśle. Podeszła do kiosku, pokazała bilet, sympatyczny pan odhaczył zapłatę i wyjazd maszyny w zeszycie. Włączyła elektryczny silnik, bezszelestnie wyjechała z parkingu,

dojechała Twardą do Prostej. Było zielone światło, więc błyskawicznie znalazła się na rondzie ONZ, przejechała przez nie, aż na rogu Świętokrzyskiej i Emilii Plater zatrzymało ją czerwone światło. Kiedy ruszała, usłyszała muzyczny wybuch, który rozległ się po drugiej stronie Pałacu. To znaczyło, że Hendrix i spółka zaczęli koncert.

Akcja szła zgodnie z planem, przynajmniej taką miała nadzieję, bo przecież najważniejsze powinno się rozegrać na niebie. Nic nie wiedziała o upadku Dziadka, nie miała pojęcia, że lotnia, którą wypatrzyła między domami, była pilotowana przez Zoltara.

60.

Muzyczna maszyna się rozpędzała. Z początku było tylko głośno i buntowniczo, a później muzycy i realizator zaczęli się odnajdować w chaosie ulicznego grania.

Ten numer to petarda! — pomyślał Krzysztof Bras, znany krytyk muzyczny, który do tej pory nie przepadał za twórczością duetu O'ba.

Uważał ich za przechajpowanych, że nikt by o nich nie usłyszał, gdyby nie wspólny projekt z Pablem Pisarskim. Szum się zrobił, mała moda, wszyscy chcieli tam nagrywać, kiedyś popularność budowało się dłużej. A może nie był obiektywny, bo drażniła go ksywka Hendrix? Jimi był tylko jeden, poza tym ten typ grał zupełnie inaczej, oszczędniej, a krytyk lubił gęsto.

Podobała mu się za to basistka Ala, ale trudno mu było określić, czy bardziej jako instrumentalistka, czy jako kobieta. Był przez ostatnie miesiące sam i pewnie zżerała go zazdrość, że Hendrix ma przy sobie konkretną dziewczynę. W końcu zrozumiał, co mu wcześniej nie pasowało! W ogóle nie był zwolennikiem duetów, mody, którą rozpoczęli White Stripes, a później sypnęło kolejnymi. The Kills, The Black Keys, Royal Blood, fajne bandy, ale uważał, że na żywo składy powinny być co najmniej trzyosobowe, święta trójca, sekcja złożona z basu i perkusji oraz gitara to podstawa! Klawisze czy samplery też mile widziane, i już się robi najmniej

czterooosobowa kapela, brzmienie jest pełniejsze, a tu, pod Pałacem Kultury, działał już pełen skład, do którego dopięły się jeszcze dęciaki!

— Zajebiste! — nie potrafił się opanować, by jak to krytyk nie podzielić się recenzją ze słuchaczami. — Za-je-bis-te — krzyknął do dziewczyny, która bujała się obok niego.

— Na żywo są wykurwiści! — odpowiedziała, a jemu zrobiło się na przemian miło i przykro. Miło, bo nawiązał kontakt z fajną panną, przykro, bo w recenzji, którą postanowił napisać, nie mógł użyć zwrotu „na żywo brzmią wykurwiście”. Pisanie do poważnych, mainstreamowych mediów miało swoje plusy, ale miało też minusy. Może jednak założyć vloga?

— Chciałabyś wystąpić w moim vlogu — krzyknął do młodej, atrakcyjnej sąsiadki.

— Chyba ty w moim, gdybym miała — zaśmiała się. — Ale na insta mam prawie sto tysięcy viewerów, Alternatyvka, śledzisz mnie może? A ty jak się nazywasz?

Jak się nazywasz?! Jest jednym z najbardziej wpływowych dziennikarzy piszących o muzyce, zapraszają go do telewizji, mówi o Lady Gadze podczas Super Bowl i o nowej Metallice, bo pytali się go w śniadaniówce, czy Metallica skończyła się po „Kill’Em All”. Tłumaczył, kim jest Nick Cave, że to nie tylko autor czołówki do „Peaky Blinders”. Pisał książki, robił wywiady z gwiazdami i realizował dokumenty. Trochę go zatkało, nawet myślał, że to żart taki, identyczny jak ten, który zrobił Wojtek Szczęsny, gdy grał w Arsenalu i na trening wpadł David Beckham. Podali sobie piątki, a Szczęsny powiedział:

— Jestem Wojtek, a ty jak się nazywasz?

— Krzysiek Bras — rzucił dziewczynie, sądząc, że pozna go po nazwisku.

— Bras? — ucieszyła się. — Fajna ksywka, choć nieco dęta, hahaha. — Bras jakoś wcześniej nie wpadł, że jego nazwisko może się kojarzyć ze słowem „bras” i instrumentami dętymi. — W ogóle fajny jesteś, zrobię nagranie na insta story, powiesz coś?

Poczuł się jak dziaders, ale nagrał się, a później razem z dziewczyną wrzeszczał w stronę policji, by ta się odpiardoliła,

i gwizdał na każdy komunikat o tym, że zgromadzenie jest nielegalne i należy się rozejść. Znowu poczuł się jak w Jarocinie, do którego pojechał, gdy miał piętnaście lat, wykorzystując nieporozumienie i kiepski przepływ informacji między rodzicami i dziadkami. Nie było jeszcze komórek, a dziadkowie mieszkali na wsi i wcale nie mieli telefonu. Jedni myśleli, że jest u drugich, a on był na festiwalu.

Uciekając do Jarocina latem 1993 roku, był pewien, że dokonuje przełomu w swoim życiu. I tak było, bo nagle znalazł się w środku zadymy, która wybuchła podczas koncertu grupy Smar SW. Działo się, ledwo uciekł przed policją, do dzisiaj krążą o tej zadymie legendy, tym większe, że ludzie nie pamiętają, że straty, które wyniosły prawie pół miliarda złotych, to po denominacji tylko pięćdziesiąt tysięcy. Dzisiaj nie spodziewał się niczego szczególnego, trafił na koncert pod Pałacem przypadkiem i nie miał pojęcia, że zaczyna się nie tylko nowy etap w jego karierze krytyka muzycznego, ale i w życiu osobistym.

61.

Wszystko zaczęło się od krzyku, który przy odrobinie dobrej woli zaprzyjaźniony ornitolog mógłby nazwać krzykiem orła. Luke, stojąc w swoich drzwiach z barierką, mówił potem, że słyszał klasyczne „kurwaaa”, zaś sam zainteresowany utrzymywał, że wydał z siebie okrzyk indiańskiego wojownika. Rambo zachowywał na ten temat taktowne milczenie, wykręcając się tym, że nie zdradza się kulis akcji.

Faktem niezbitym było, że zaczęło się nieciekawie. Niby wiatr dobrze powiał, napełniło się skrzydło, elektryczny silnik poszedł pełną mocą. Rambo trzymał się jakiejś barierki i w końcu dał sygnał. Ruszyli, odbili się od gzymsu i poszli w dół, to było jasne od początku, ale bardziej, niż się spodziewali.

Słaby początek, ale to nie była wina Zoltara, bo tak naprawdę kierował Rambo. To on naprowadzał ich nad cel i nawet jemu nie było łatwo, najpierw cały czas próbując się wznieść na wysokość

ponad siedemdziesięciu metrów, bo na takiej był ich punkt zrzutu. Paralotnia musiała minąć z prawej strony czarną wieżę Metropolitana, a później wziąć kolejny ciasny skręt przy Warsaw Financial Center.

— Przejmij kierowanie — nakazał Rambo, kiedy minęli wieżowiec na rogu Świętokrzyskiej i Emilii Plater. — Zwalniaj, nalatuj!

Zoltarowi szło całkiem dobrze, minął, choć chyba nieco zbyt blisko, ścianę hotelu Intercontinental, ale jednocześnie zwolnili tak, że prawie stanęli nad celem. Wtedy Rambo zobaczył, jak drzwi na taras otwierają się i pojawia się błysk zapalniczki. Ktoś wyszedł zapalić, cholerni prawnicy, pracują po godzinach! To był ten najślabszy punkt akcji, po godzinach urzędnicy z sąsiedniego biura wchodzili na taras, który był częścią wspólną dla najemców.

— Nieee, jeszcze nie — ryknął do ucha Zoltara. — Odchodź na drugi krąg.

Zoltar wpadł w panikę, chyba jak każdy, kto po dziesiątym kwietnia roku pamiętnego prowadziłby jakikolwiek statek powietrzny i usłyszałby taką komendę.

Paralotnią szarpnęło. Wydawało się, że wiatr i ciasno wykonany skręt zwichrują skrzydło, które zwinie się, stracą powierzchnię nośną i wpadną w korkociąg, z którego nie wyciągną ich żadne cuda. Zafurkotało, silnik ryknął i nie spadli na ziemię, za to nieomal rozbili się o fasadę Żagła, potężnego, ponadpięćdziesięciopiętrowego wieżowca stojącego przy Złotej 44.

W tym samym momencie od strony Pałacu gruchnęła rockowa salwa, musieli odpalić na cały regulator soundsystemy stojące bliżej Emilii Plater. Pewnie za chwilę policja zacznie robić z nimi porządek, ale zanim to się stanie, mogą bezkarnie latać i nikt, nawet mieszkańcy kosztujących miliony apartamentów w Żaglu, nie zauważy, jak przelatują obok ich okien.

Wzbili się, zrobili obrót nad Złotymi Tarasami. Budowla, która z dołu, zwłaszcza w dzień, niekoniecznie musiała się podobać, widziana z góry, rozświetlona i po zachodzie słońca, wyglądała całkiem dobrze. Na razie nikt nie zwracał na nich uwagi, wszyscy byli odwróceny w kierunku Pałacu, spod którego dochodziła potężna muzyka. Teraz to, co prezentował Hendrix i jego goście, brzmiało jak

Rammstein, ale współpracujący z sekcją dętą i chórkim wspartym o żeńskie głosy. Kawał roboty wykonywała Ala, która miała świetny wokal i była basistką prawie tak samo dobrą jak grająca w Pochwalonych Tekla.

Pod sceną, którą stanowiły stary autobus i ciężarówka, bawiło się już ponad tysiąc osób. Zbiegli się nie tylko fani kapel i muzyków, którzy się ogłaszali na fejsie, ale i ludzie krążący wieczorem po Śródmieściu. Jednych przyciągnęły odgłosy muzyki, innych SMS-y od znajomych i informacje z mediów społecznościowych. Niespodziewanie pojawiła się cała japońska wycieczka, która wypatrzyła koncert z tarasu hotelu przy ulicy Widok, i grupki turystów z Metropolu, Polonii i Novotelu, przez wielu warszawiaków wciąż nazywanego po staremu: Forum. Elektryczny silnik paralotni sprawiał, że lecieli niemal bezszelestnie, ale Zoltar i Rambo nie słyszeli muzyki, koncentrowali się na locie, który wchodził w decydującą fazę.

— Nadleć nad drugi koniec tarasu! — ryknął Rambo i Zoltar wykonał w powietrzu zakręt, który o mało nie zakończył się beczką.

Dla lotników walczących w bitwie o Anglię wykonywana podczas powrotu do bazy beczka była symbolem triumfu, informacją o strąceniu kolejnego szwabskiego Huna, ale dla nich był to przedsiónek katastrofy. Zoltar ponownie wzniósł się na wyżyny swoich możliwości i po raz kolejny opanował paralotnię, która nie pierwszy raz tego wieczoru dosłownie o grubość lakieru minęła budynek. Nie było czasu na choćby chwilę relaksu po manewrze, który uratował życie Zoltarowi i Rambo, bo Żagiel i biurowiec, nad którego dach mieli nadlecieć, dzieliło nieco ponad sto metrów. To było jak w rajdzie Monte Carlo, gdzie kierowcy jechali serpentynami.

Zoltar pociągnął za linki, zredukował moc i nadleciał nad dach wieżowca, w którym urzędował deweloper. Wyhamował i Rambo wypiął się z upręży, po czym zeskoczył.

Nie wszystko poszło zgodnie z planem. Trafili w taras, ale lądowania nie można było nazwać miękkim. Potłukł się i miał wrażenie, że nocny portier i facet z kancelarii prawnej Guess & Cozie, którzy wyszli na fajkę, musieli go słyszeć. Na wszelki wypadek

pozbiarał się i skrył pod oknem. Odczekał dłuższą chwilę, aż portier albo pójdzie do toalety, albo ruszy na obchód, albo...

— Panie mecenasie, poczęstuje pan? — usłyszał niski głos.

— Ależ oczywiście, panie Robercie!

Cholera, mało na niego nie weszli. Prawnik spacerował sobie z papierosem, pewnie chciał zobaczyć, co się dzieje w okolicach Pałacu.

— Znów jakiś koncert dzisiaj, panie mecenasie? — zapytał portier.

— Właśnie nie wiem, o co chodzi. Ta szopka na placu Teatralnym już się chyba skończyła, dalej widać snopy świateł, ale teraz muzyka dochodzi spod Pałacu i raczej inna niż ta z tego festynu. To nie przypomina żadnego z tych, którzy tam grali. Coś dziwnego, sprawdzę w internecie.

To była szansa. Nacisnął gruszkę CB radia w umówiony sposób i po chwili na sprzęcie w mieszkaniu literata Luke'a powinno się rozlec podwójne szusz, po pauzie potrójne, a po kolejnej raz jeszcze podwójne. Czekał w napięciu i kiedy już się bał, że wszystko poszło nie tak, że prawnik z portierem skończą palić, usłyszał charakterystyczny rytm, który nie tylko w Warszawie wszyscy, którzy interesują się futbolem, nazywają Legią.

Błyskawicznie włożył wytrych do zamka, otworzył drzwi i wszedł do kancelarii. W normalnych warunkach powinien się rozlec dźwięk alarmu, ale nic takiego się nie stało. Zgodnie z sygnałem podanym przez radio CB Olek wyłączył wszystkie systemy, które stanowiły dla niego problem. Genialny haker nie tylko położył monitoring, ale i instalację alarmową.

Gdyby wylądował po drugiej stronie tarasu, miałby szybki dostęp do biur Bielaka, ale teraz musiał albo przemknąć przez kancelarię prawną, albo przez wspólną recepcję. Wybrał to drugie, bo skoro jakiś prawnik fajczył, to być może dwóch innych, którzy rzucili palenie albo nigdy go nie zaczęli, siedziało w kancelarii.

Wszedł do kancelarii, ale minął salę konferencyjną i ruszył do recepcji, w której z jednej strony był pomarańczowy tygrys, logo kancelarii prawnej G&C, a z drugiej — ścianka ze znakami firm należących do Bielaka. Za oknem żarzyły się ogniki papierosów

mecenasa i portiera oraz poświata smartfonów, z których starali się dowiedzieć, kto robi hałas po drugiej stronie Pałacu.

Był już przy drzwiach, przyłożył kartę, dzięki zabiegom Olka otwierającą teraz wszystkie drzwi, i przyłgnął do ściany, bo ledwie drzwi do biura się zamknęły, to otworzyły się te prowadzące na taras. Nasłuchiwał, czy nie ma tu jakiegoś pracusia od Bielaka i czy portier albo prawnik, z którymi o mało się nie minął, nie usłyszeli, jak wpada do biura i jak zamykają się za nim drzwi. Słyszał wracających z tarasu palaczy, prowadzących jakąś ożywioną dyskusję, jak mu się wydawało, o sporcie. Odetchnął z ulgą, którą przerwał głos recepcjonisty:

— Halo, halo!

Nie wsłuchiwał się już w zbliżające się kroki. Wykonał kilka susów w głąb biura Bielaka i przypominając sobie rozkład pomieszczeń, wskoczył do damskiej toalety. Jeśli portier wpadnie na pomysł zrobienia obchodu, będzie go musiał kulturalnie uciszyć.

Udało się, bo z kancelarii prawnej wyszła jakaś kobieta. Usłyszał, jak mówi, że na dzisiaj kończy, co mecenas skwitował, że jest szczęściarą, bo on i dwóch innych prawników, niejaki Kowalczyk i Matecki, muszą jeszcze posiedzieć co najmniej godzinę. Miał więc mnóstwo szczęścia. Prawniczka wyszła tuż po nim, a w kancelarii było jeszcze dwóch ludzi.

Teraz szybko, do gabinetu Bielaka. Tu, o czym wiedział, nie wystarczała karta magnetyczna, musiał jeszcze popracować wytrychem, w czym na szczęście był dobry. Ale nie tym razem. Szło jak po grudzie, musiał zrobić krótką przerwę, żeby opanować zdenerwowanie i się skoncentrować.

Podziałało, zamek ustąpił, Rambo wszedł do środka i szybko zrobił to, po co tu przyszedł. Zdjął ze ściany zabytkowe parabellum, które było ozdobą gabinetu Bielaka, zawiesił kopię, po czym pobuszował trochę po gabinecie i sekretariacie. Wszystko było przygotowane, działania, które podjął, jasne jak słońce, bo opracowane na podstawie podsłuchów i podglądu. Teraz czekała go ewakuacja stanowiąca najtrudniejszy element akcji.

Kancelaria prawna i biura Bielaka opasywały, każde po połowie, ostatnie, piętnaste piętro wieżowca. Łączyły je wspólne paradne

wejście z portiernią oraz te skromniejsze, techniczne, przez które się tylko wychodziło. Właśnie tamtędy wyszedł, korzystając z przycisku wyzwalającego drzwi. Ruszył do holu z dwoma windami, ale nie skorzystał z żadnej z nich, tylko z klatki schodowej. Na każdym z pięter, także na tych ostatnich, pracowali fanatycy sportu, przemierzający schody w górę i w dół. Rozgrzewka przed siłownią, a często jedyna aktywność w ciągu dnia, ale za to jaka! Kilkadziesiąt metrów w górę i w dół, tak pożądane przez sportowe zegarki i aplikacje kroki, piętra i kalorie.

Dał radę tylko dwu piętróm. Czuł, że kostka mu puchnie, więc wrócił do korytarza i wcisnął przycisk wind. Zapamiętał, że jedzie z piętra, które zajmowały aż cztery instytucje. Wybrał sobie biuro rachunkowe, i tego się będzie trzymał, wychodząc.

Zanim przyjechała winda, wyciągnął z plecaka sportową torbę, czerwoną bejsbolówkę i garnitur oraz wieszak i pokrowiec. Zdjął z głowy kominiarkę i schował ją do plecaka. Z bocznej kieszeni plecaka wyjął zestaw do charakteryzacji, szybko dokleił sobie wąsy, z kieszeni wydobył okulary zerówki. Założył je na nos, wreszcie pociągnął w dół daszek czapki. Garnitur umieścił na wieszaku, wsadził do pokrowca i zasunął zamek. Okazał się okrutnie wygnieciony, ale jego zadaniem było tylko wypełnienie worka, bo Rambo teraz grał rolę faceta z jednego z dziesiątek biur, który po całym dniu pracy leci na siłownię.

Dokończył przebieranek w windzie. Kiedy stanęła na parterze, postarał się dziarskim krokiem iść przez główny hol biurowca. Tam czekała go kolejna chwila prawdy i próba nerwów. Ale musiało mu się udać. Skoro wmieszał się kiedyś w tłum talibów przebrany za afgańską kobietę, to tym bardziej teraz da radę.

Pomachał przyjacielsko do ochroniarzy na portierni. Byli zaaferowani, wisieli na telefonach i gestykulowali zajadle. W końcu padł monitoring, uśmiechnął się w myślach. Karta nie zadziałała, czyżby Olek nie był aż tak genialny?

— Pan precyzyjnie się bokiem, mamy jakąś awarię — wyjaśnił jeden z ochroniarzy.

Zatem Olek był geniuszem i poszło mu nawet za dobrze. Wyłączył nie tylko monitoring, ale i bramkę na dole. Rambo podziękował,

pożyczył dobrej nocy i wyszedł z budynku. Dopiero teraz mógł sobie pozwolić na luksus, by syknąć z bólu. Zeskakując, potłukł się niemiłosiernie, czuł, że puchnie mu lewa kostka, że ma stłuczony łokieć i pewnie pękniętych parę żeber. No i chuj, w Iraku dostał postrzał i jakoś dotarł, gdzie trzeba. Zacisnął zęby i wyszedł na ulicę.

62.

Koncert pod Pałacem Kultury był już tylko albo aż sztuką dla sztuki, bo akcja została zakończona. Zgubił się też główny wątek, czyli obrona Studia Manufaktura PAB. Grano, i to nad wyraz dobrze, cieszą się życiem i atmosferą, którą daje wieczorem duże miasto, a przy okazji protestowano dosłownie przeciwko wszystkiemu, co było do oprostowania: rządowi, ustawie antyaborcyjnej, religii w szkołach, a nawet obchodom święta błogosławionego Władysława z Gielniowa, które wokalista grupy mY nazwał nowym kultem smoleńskim, bo facet po prostu wypadł z ambony, i robi się ze zwykłej imby celebry.

Jeszcze w czasie koncertu bloger z portalu PP — Prawa Polska, zmieniał zdanie. Od entuzjazmu, bo deweloper: to rzecz oczywista, działał wspólnie i w porozumieniu z władzami miasta oraz sądami, których reforma postępuje stanowczo zbyt wolno, po końcowe: miasto dopuściło do ohydnych ataku na postać błogosławionego Władysława z Gielniowa i cały polski Kościół katolicki, jeszcze trochę i ta lewacka banda będzie chciała ściągać z cokołów pomniki największego z Polaków, Świętego Jana Pawła II.

Odnótował też ze zgorszeniem, że o godzinie 21.37 zamiast chwili refleksji rozpoczął się występ grupy Misio, której wokalista Arkadiusz Jakubik, odtwórca jednej z ról głównych w filmie „Kler”, jest jednym z symboli bezpardonowej walki z Kościołem, czyli de facto z Polską. Występ wcale nie zaczął się o papieskiej godzinie, ale właśnie o 21.37 bloger Antoni Pieczara zrobił zdjęcie zegarka, którego cyferblat ustawił na tle sceny.

Zdania nie zmieniali użytkownicy portalu Lewą Marsz, czego dowodem był końcowy komunikat wydany przez młodego posła

Frania Wiśniewskiego:

— Mieliśmy do czynienia z radosną emanacją braku przyzwolenia społecznego na działania mrocznego kapitalizmu.

— Nie wiadomo, jak długo będzie trwał ten karnawał muzyki niezależnej, który zasługuje na stałe miejsce w kalendarzu warszawskich imprez. Dla mnie może trwać bez końca — na gorąco skomentował krytyk muzyczny Krzysztof Bras, który jako jeden z wielu prowadził z wydarzenia transmisję na Fejsbuku.

Relacji, transmisji i komentarzy były tysiące, impreza rozlała się poza plac Defilad, muzyka z koncertu, także dzięki transmisji na koncie fejsbukowym Studia Manufaktura PAB, osiągnęła dziesiątki tysięcy wyświetleń. Mieszkańcy odległych dzielnic Warszawy pytali, jak długo to jeszcze potrwa i czy zdążą? Ktoś napisał, jakby był Owsiakiem, że do końca świata i jeszcze jeden dzień dłużej, a ktoś mocniej stąpający po ziemi, że do czasu jak kulsony zagaszą imprezę. I wykrakał, zaraz po tym komentarzu zupełnie nagle nastąpiła cisza, a z dziesiątków gardeł rozległo się wołanie:

— Pały idą!

63.

Po desancie Rambo Zoltar poczuł się lżejszy, swobodniejszy. Nie chodziło wyłącznie o to, że lotnia była teraz łatwiejsza w sterowaniu, bo Rambo jak na swoje nieco ponad metr siedemdziesiąt ważył tyle, że musiałyby boksować w wadze ciężkiej. Po prostu zadanie, które go czekało, wydawało się być lekkie, łatwe i przyjemne.

Coś go podkusiło i wziął szeroki łuk, zrobił małą rundkę nad Dworcem Centralnym, popatrzył na światła wieżowców, na drugi brzeg Wisły i kopuły Złotych Tarasów. To było jak narkotyk, więc podkręcił obroty i nadleciał nad plac Defilad. Spojrzał z góry na koncert i kiedy widział wszystko jak na dłoni, muzyka nagle przestała grać. Zrozumiał, że stało się coś nieprzewidzianego, a po chwili z wysokości trzydziestu metrów, bo taki miał pułap lotu, zobaczył, jak policja rusza pacyfikować nielegalne zgromadzenie.

Włączył się w nim dzwonek alarmowy, który wyrwał go z beztróskiego snu. On, lotniarz w środku wielkiego miasta, był jeszcze bardziej nielegalny niż muzycy! Wziął kurs na Dworzec Centralny, mijając wieżę Pałacu z lewej strony, i wtedy powiało. Do tego wpadł w jakiś słup ciepłego powietrza, poszedł w niekontrolowany sposób w górę, lotnia niebezpiecznie zbliżyła się do podarunku Stalina i Zoltarowi przypomniał się kawał, z którego zaśmiewano się w Warszawie po tragedii nowojorskiego World Trade Center. Dwóch pijaczków obalało na placu Defilad wino i przyglądało się lotniarzowi, ten został zniesiony przez podmuch wiatru na budynek i rozmaślił się na ścianie jak mucha.

— Widziałeś? — zapytał pijaczek, przekazując koledze butelkę.

— No — odparł ten drugi, pociągając łyk wina. — Jaki kraj, tacy terroryści.

Niewiele brakowało, a tego wieczoru miałby szansę stać się nieszczęsnym pilotem ze starego dowcipu. Niewiele też brakowało, by zapomniał, co ma jeszcze zrobić. Z opóźnieniem sięgnął do plecaka i wypuścił wielką biało-czerwoną wstęgę, która zaczęła się za nim ciągnąć. Wyglądał jak patriotyczny orzeł, wieńczący swym lotem nie łobuzerski koncert pod Pałacem, lecz piękny wieczór, pełen bogoojczyźnianych uniesień spektakl na placu Piłsudskiego i obchodzone wczoraj święto Konstytucji 3 maja.

Frunął i frunął, bez trosk, swobodny, pozdrawiany przez nielicznych warszawiaków, turystów i koncertowych pielgrzymów, którzy przybyli na patetyczny spektakl poświęcony patronowi stolicy. Przez wszystkich tych, którzy w majowy wieczór zadarli głowy w górę i zobaczyli widok biało-czerwonej wstęgi ciągnącej się na niebie za parolotniarzem.

Jeszcze parę minut i wyląduje na skraju Pola Mokotowskiego, gdzie mieli na niego czekać Pablo i Szarik.

64.

Dwie pieczenie na jednym ogniu... Czasem tak się udaje, pomyślał komisarz Jaskulski, warując pod domem Matyldy Leśniewskiej. To

było warowanie w całkiem miłej atmosferze, bo perfumy siedzącej obok niego Sandry Jarmuż wydzielały atrakcyjniejszą woń niż mocno już przechodzona choinka zapachowa, zwisająca smutno z lusterka wstecznego.

Żadna choinka Wunder-Baum nie mogła dać tego, co obiecywały perfumy marki Carolina Herrera Good Girl, których używała dziennikarka. Jeszcze tylko pół godziny i koniec wachty, odwiezie ją do domu i nie będzie sobą, jeśli nie wejdzie z nią na drinka i nie wyjdzie rano. Niekoniecznie po śniadaniu, chyba że będzie nalegała i będzie tego warta.

VIII

65.

Pablo czuł się ze swoją funkcją trochę do bani. Umiał się bić, był wciąż sprawny, ale zabrakło dla niego miejsca w oddziale szturmowym. Nie latał na paralotni, nie potrafił się wspinać i włamywać, więc w końcu Rambo uznał, że będzie kierowcą głównej grupy ewakuacyjnej. Dostał przydział na zgarnięcie Dziadka Ikara, mającego nadlecieć od strony Batorego i wylądować jak najbliżej skrzyżowania z ulicą Świętego Andrzeja Boboli.

Samochód był, podobnie jak skuter, kradziony, ale całkowicie bezpieczny. Rambo zlecił Olkowi znalezienie ludzi, którzy afiszują się posiadaniem potrzebnego im sprzętu i są właśnie na wakacjach. Łatwo nie będzie, krzywił się facet, który potrafił wyłączyć monitoring w mieście, i faktycznie szukał dość długo, ale znalazł, co trzeba. Elektrycznym skuterem BMW mogli się spokojnie poruszać do połowy maja, a toyotą land cruiser trzy dni. Tyle wystarczyło. To auto nie było najszybsze na świecie, ale gwarantowało pakowny bagażnik na paralotnię i wszystkie graty włącznie z tymi najważniejszymi: silnikiem i Dziadkiem Ikarem.

W misji, co odebrał jako wyróżnienie, towarzyszył mu Szarik. Gdyby przyszło co do czego, potrafiłby pomóc, ale przede wszystkim był doskonałym kamuflażem. Pole Mokotowskie nawiedzały tłumy psiarzy.

Komórkę wyłączył i wyjął z niej baterię jeszcze po drugiej stronie Wisły. Miał ją uruchomić po przejęciu Dziadka. Lądowanie starego pajaca na paralotni, który będzie ciągnął za sobą biało-czerwoną flagę, nie wywoła potężnej afery, chyba że się napatoczy policja. Ale kto by chciał ścigać starego patriotę?

Nie pojawili się, w końcu ktoś musiał pilnować artystycznego wiecu na placu Piłsudskiego, a później rozganiać koncert pod

Pałacem. Przyjechali za to pikapem jacyś faceci i stanęli tuż obok niego. Zrzucili swoje graty na piknik, który miał się odbyć w weekend, i po półgodzinie odjechali. I w samą porę! Zaraz godzina zero.

Wyszedł z samochodu i już wiedział, że jeśli się nie pospieszy, to godzina zero może być dla Dziadka Ikara ostatnią w jego życiu.

66.

Muzycy dający koncert pod Pałacem huknęli ze zdwojoną mocą. Tak zaplanowali Hendrix i Ala i nie wprowadzali w to pozostałych muzyków. Czad miał być taki, by przyciągać uwagę, nie tylko słuchaczy, ale także całej Warszawy i co za tym idzie – policji. W kulminacyjnym momencie Rambo, jeśli pomyślnie wylądował na tarasie, powinien przeniknąć do pomieszczeń biurowych, już pozbawionych monitoringu. Jeśli Olek zrobił wszystko jak należy, a na pewno zrobił, bo brat Zuzy jest geniuszem. Później Rambo zbiegnie do Zuzy na dół i zmieni ją przy kierownicy, ona będzie tylko pasażerką.

Czas się zbliżał, więc Zuza założyła kask. Wtedy usłyszała głos:

— Laleczko, nie zasłaniaj twarzy, no pokaż się, fajna dupa z ciebie chyba, nie? — Przekaz i modulowany przez alkohol tembr głosu nie wróżyły niczego dobrego. Odwróciła się i zobaczyła czterech cwaniaków idących od strony pobliskiego sklepu.

— Może ryj ma słaby, ale nogi za to niezłe. Może to robić w kasku, nawet w worku na głowie, jeśli umie. — Popisał się wyrafinowanym dowcipem drugi z koleś, podobnie jak pierwszy z podgolonym łbem, zaczesaną do góry, wzmocnioną żelem grzywką i tatuażem na szyi. Szedł krokiem marynarza, w lewej ręce niósł torbę z piwem, prawą wykonywał obsceniczne gesty tuż przy otwartych ustach.

— Maks! — zaśmiał się trzeci. — W worku to cię tak nie obsłuży, chyba że sam na ręcznym pojedziesz, hahaha!!!

Śmiali się wszyscy trzej, a czwarty milczał. Wyglądał na ich lidera, ubrany był trochę lepiej, w szpanerskie buty sportowe Dolce & Gabbana i błyszczącą kurtkę, która także pochodziła z kolekcji

zaprojektowanej przez dwóch włoskich gejów. Zawsze się zastanawiała, jak tacy macho, lubiący wyrażać pogardę wobec osób heteronienormatywnych, mogli nosić te wszystkie ciuchy i gadzety wymyślone przez, ich zdaniem, śmieszne cioty? W tych wszystkich kurtkach, spodniach i butach od Dolce & Gabbana oraz Versace, obwieszeni złotem i z zegarkami jak spodki wyglądali groteskowo, ale czuli się wyśmienicie.

Ten był jakiś inny, co dawało nadzieję. Stonowany, spokojny. Napakowany brunet, typ w sam raz na okładkę jednego z dziesiątek pornoromansów, w których czytelniczki odnajdywały najskrytsze marzenia, jakim był maksymalnie wyuzdany seks z czułym, tylko czasem używającym przemocy gangsterem, któremu gwałt można wybaczyć, bo co to za gwałt, jeśli odbywa się w private jecie albo na jachcie? Na końcu bohaterki powieści zawsze były zadowolone.

Facet przyłożył palec do ust, jakby chciał im pokazać, że mają się zamknąć.

— Bardzo cię przepraszam, koledzy trochę wyposzczeni, bez oglądy, no sorry! — Skłonił się grzecznie. — Fajna dziewczyna jesteś, widać, że wiesz, co i jak, a oni tak... Obcesowo. — Zakończył zdanie dość wyszukany słowem.

— Okej, nie ma sprawy — odpowiedziała.

— No nie ma — uśmiechnął się i wydawało się, że chce już odejść.

Zrobił dwa kroki w tył, po czym się odwrócił, zlustrował jej sylwetkę, jakby była kłaczą wystawioną na aukcji w Janowie Podlaskiem, wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalniczkę. Podpalił, zaciągnął się.

— Wiesz co... — powiedział między jednym a drugim machem. — Ale może być sprawa, bo oni, chociaż proste chłopaki, to jednak mają rację. To może być dobry wieczór... — Zniżył głos, pewnie w jego mniemaniu seksownie i intrygująco, po czym usłyszała dźwięk, jaki wydaje otwierany z pilota samochód, i w tej samej chwili mignęły światła czarnej beemy.

— Zostaw ten skuter, chodź ze mną, będzie dobrze — mruzczał, zbliżając się do niej. Nazywam się Norbert, możesz mi mówić Norbi. A jak ty się nazywasz, piękna?

Może jakby była jakąś wytipsowaną, zesmażoną w solarce blacharą, to poczułaby motyle w brzuchu, mrowienie albo... Tak, popularne książki dla pań pełne były bezpośrednich określeń damskiego podniecenia, dlatego nie czytała tego chłamu i ktoś taki jak Norbi nie robił na niej najmniejszego wrażenia. Wprost przeciwnie.

— No to jak? — zapytał. — Muszę cię jakoś zapraszać?

Nie powiedziała nic. Wiedziała, że na pustej ulicy każda odpowiedź była zła, a brak odpowiedzi był jedynym, co jej pozostało. Grą na czas.

— Skoro tak, to ja cię ładnie proszę — uśmiechnął się krzywo, przytrzymał papierosa w ustach i chciał ją chwycić za prawą rękę. Wtedy ona wyjęła z kieszeni gaz i psiknęła mu w oczy.

Gangsta elegant zawył i skulił się, a Zuza wskoczyła na skuter.

— Zajebcie kurwę! — wydarł się Norbi, który kręcił się po ulicy jak kura bez głowy.

Za chwilę, jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, wyjdzie z budynku Rambo, a ona była najważniejszą, bo jedyną osobą w jego łańcuchu ewakuacji. Nie miała jednak wyboru, wsiadła na skuter i ruszyła, słysząc za sobą kroki i mało zachęcające do zmiany decyzji słowa:

— Stój, kurwo, bo cię zajebię.

Ci chłopcy nie byli mistrzami negocjacji, a ona — mistrzynią skutera. Przyśpieszyła zbyt mocno, zarzuciło ją, ale przypadkiem wykonała ostry skręt o sto osiemdziesiąt stopni. Nagle znalazła się twarzą w twarz z dwoma troglodytami, bo trzeci podnosił z klęczek Norbiego, który nie doceniał samarytańskiej postawy kolegi, rekomendując mu inne rozwiązanie i czyniąc to w sposób niezwykle bezpośredni.

— Odpierdol się, idioto, łap tę kurwę! — Zachęcał do działania Maksa, który dał się poznać jako miłośnik czynności seksualnych w worku na głowie.

Minęła ich o centymetry i znalazła się w zaułku. Mogła teraz próbować uciec do garażu podziemnego, skuter zmieściłby się obok szlabanu, albo wjechać na chodnik i między blokiem oraz hotelem uciec na Emilii Plater. Mogłaby, ale nie chciała. Stała i czekała na

Rambo, znów udało jej się minąć gangusów i teraz mogła śmignąć w kierunku Jana Pawła. W tej chwili z budynku, mocno utykając, wyszedł Rambo.

— Uciekaj! — krzyknął.

Ruszyła, ale nie uciekła, znów minęła jednego z napastników, wykręciła kółko i patrzyła, co będzie dalej, gotowa zabrać Rambo. Coraz bardziej kulał, miał na ramieniu sportową torbę, a w rękach pokrowiec z garniturem i kask.

— Spierdalaj, gościu — warknął Maks, ruszając z drugim karkiem w kierunku Rambo, który stał jak jakiś manekin, wciąż mając założony plecak, trzymając w rękach kask i pokrowiec z garniturem. Nie wypuszczał niczego z dłoni, a kiedy byli blisko, nagle założył na głowę kask, po czym błyskawicznym ruchem uderzył z dyńki.

Zwykle takie uderzenia łamią nosy, ale w tym przypadku było inaczej. Przeciwnik Rambo był naprawdę niezły i wyprowadził cios. Był sprytny, ale nie dość sprytny. I za wolny. Chciał uderzyć Rambo w nos, ale minimalnie się spóźnił. Trafił, ale jak to w futbolu, gdzie między golem a strzałem w poprzeczkę jest poważna różnica, tak i w bijatyce, kiedy chce się trafić w nos, a cały impet idzie w kask.

Rambo schylił głowę i pięść zamiast na nosie wylądowała na kasku. Rozległ się trzask łamanych kości i wycie, co świadczyło o Maksie nawet nie najgorzej. Siła i dynamika ciosu musiały być naprawdę w porządku, skoro jego palce popękały jak przeterminowane słone paluszki. Impet uderzenia nieco wstrząsnął Rambo, ale nie na tyle, by dać się zaskoczyć, a może po prostu kolega pechowego boksera zapłacił cenę za gapiostwo. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach w pozycji bokserskiej, zapatrzył się na dramat kumpla i było zbyt późno, by zapobiec przyjęciu kopniaka w krocze.

Trzeci z typków patrzył na to wszystko z niedowierzaniem, bo gość, który sprawił, że jego ziomale kwiczeleli z bólu, nadal trzymał w ręku pokrowiec z ubraniem i nie zdjął plecaka, do tego jego ruchy były raczej oszczędne. O kurwa, co będzie, jak rzuci ten garnitur, zdejmie plecak i zagęści ruchy? — pomyślał całkiem przytomnie i podjął rozsądną decyzję o wycofaniu się na z góry upatrzone pozycje.

— Robert, na co czekasz, zajeb mu! — Norbi, który ledwo co patrzył na oczy, nie rezygnował z przewodzenia grupie, ale Robert już dawno podjął decyzję o trzymaniu się od człowieka demolki w bezpiecznej odległości.

Było to absolutnie rozsądne i ze wszech miar godne pochwały podejście do zaistniałej sytuacji, czego nie można było powiedzieć o dwójce policjantów, którzy pojawili się nie wiadomo skąd i ruszyli do Rambo.

— Stój! — krzyknął chłopak w policyjnym mundurze, na co otrzymał fangę w nos, aż furażerka spadła mu na ziemię.

Policjantka złapała za gaz, ale wykręcił jej rękę i po chwili miał w dłoniach ich pistolety. Wrzucił je do plecaka i wskoczył na siodełko skutera. Odjechali na bezpieczną odległość i Rambo na oczach dwójki policjantów gramolących się z ziemi położył na jezdni pistolety, wyjmując wcześniej magazynki i wyrzucając je kilkanaście metrów dalej. Wcisnął pokrowiec z garniturem do plecaka i klepnął Zużę w ramię.

— Jedź, zaraz przyjadą posiłki.

— Nie zamienimy się? — zapytała z nadzieją.

— Jedź, bo ja nie dam rady, mam parę rzeczy do sklejenia — westchnął. — No jedź!

Pojechali Jana Pawła w kierunku Żoliborza i kiedy dojeżdżali do ronda ONZ, nagle w cywilnym samochodzie zaświeciła się dyskoteka. Tajniacy byli blisko, więc Zuza nie dojechała do ronda. Wjechała na chodnik i zawróciła przez tory tramwajowe i przejście dla pieszych. Skuter miał piekielne przyśpieszenie, ale policjanci trzymali się blisko i też ścięli ulicę po przejściu dla pieszych. Jednak kiedy skręciła po chodniku w Śliską, nie dali rady, dla samochodów była to ślepa ulica. Pojechali więc dalej. Kolejna, Sienna, też nie miała połączenia z Jana Pawła, mogli skręcić dopiero w Złotą.

— Co dalej? — spytała Zuza i zwolniła.

Dobre pytanie! Rambo obejrzał się i już wiedział, że nie będzie łatwo na nie odpowiedzieć. Radiowóz podjechał na wstecznym, jeden z gliniarzy wysiadł i biegł w ich stronę, będzie przez radio kierował kolegą, który objedzie ślepe uliczki. Na pewno za chwilę

ściągną wszystkie policyjne auta, a jeśli odeprą atak Olka i znów zaczną działać monitoring?

— Skręć w lewo, między domy, i do Pańskiej!

Ruszyła, ale nie skręciła. Rambo nie wiedział, czy przeoczyła zjazd, czy zmieniła zdanie. Jechała do Twardej. Z tyłu mieli pieszego glinę, który już nakierował swojego partnera w samochodzie. Ich trasy przetną się na Twardej, ale w którym punkcie?

Zuza niebezpiecznie zwolniła, bo jeśli chciała uciekać do Siennej, to nie zdąży, gliniarz będzie szybszy. Dojechała do skrzyżowania i skręciła w lewo, a więc zostaje jej jeden wariant, pojechać w kierunku tajniaka i szybciej od niego skręcić w Sienną. Ale czy zdąży? Nie ma mowy, on już tam dojeżdżał, a ona się nie spieszyła. Nagle wymanewrowała, jakby chciała zawrócić, zwolniła i wjechała na chodnik i wtedy dała szpulę. Minęła się z gliniarskim autem, od którego oddzielał ją sznur aut zaparkowanych na chodniku. Ten jednak zawrócił bardzo szybko, był świetnym kierowcą. Obrócił na ręcznym i pruł za nimi.

Zuza zaskoczyła wszystkich: i Rambo, i goniącego ich policjanta, wjeżdżając na skwer na rogu Żelaznej i Twardej. Potem skoczyła między domy. Dobry ruch, ten w radiowozie nie miał już podpowiadacza, tamten drugi musiałby być Usainem Boltem, żeby ich dogonić, albo przynajmniej trzymać z nimi kontakt wzrokowy. Teraz sytuacja była już fifty-fifty, trzeba ryzykować, może ich zaszachować albo od Siennej, albo od Twardej. Postawiła na Twardą, zawróciła i wyjechała z powrotem na ulicę, z której zjechała między domy.

Jechała bardzo szybko, pruła do Srebrnej, później skręciła w Towarową i szybko w Kolejową, minęła osiedle 19. Dzielnica i wolskimi uliczkami jechała przed siebie.

— Stój! — krzyknął nagle i klepnął ją w ramię.

— Co robimy? — zapytała.

— Kradniemy samochód, dalsza jazda nie ma sensu, dojechaliliśmy do ściany!

— A nie lepiej pojechać moim?

— Masz gdzieś tu auto?

— Mieszkamy niedaleko, jesteś w stanie iść?

Nie mógł, więc schował się w krzakach, a Zuza podjechała jeszcze kawałek w stronę domu, zostawiła skuter między innymi jednośladami, a po dziesięciu minutach była w mieszkaniu. Szybko się przebrała, tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś zapamiętał jej rysopis, wzięła dla Rambo kolorową bluzę Olka, która mogła być na niego za duża, i czapkę z daszkiem. Dobierała te rzeczy z czułością, bo należały do jej brata, a miał je nosić facet, który jej się spodobał.

67.

Kiedy tylko faceci odjechali swoim pikapem, Pablo ruszył w kierunku tego, co po sobie zostawili, i z miejsca zaklął ze złości. Nic z tym nie zrobi, jedyne, co mu zostaje, to dać sygnał Dziadkowi. Stanął na skraju ulicy i kiedy ten nadleciał niczym wielki ptak, zaczął do niego machać rękami.

Robił to rozpaczliwie z pełną energią, ale najwyraźniej Dziadek inaczej odebrał jego intencje, bo wziął lekki wiraż i skręcił w prawo. Po chwili Pablo usłyszał trzask i zobaczył, jak z wielkiej reklamy, prosto z ust Klaudii Wąsowskiej, gwiazdy serialu „Dworek nad jeziorem marzeń”, wystają tyłek i nogi Dziadka oraz plecak z silnikiem i śmigłem. W dół, niczym zwrócona przez dziecko kaszka, spływają linki i czasza latającego skrzydła. Ruszyli wraz z Szarikiem biegiem, depcząc biało-czerwoną szarfę, która jak dywan prowadziła ich w kierunku katastrofy. Gdy już byli blisko, rozległ się odgłos rozdzierającego się banera i usta Klaudii Wąsowskiej pękły na pół, a Dziadek, obciążony plecakiem, runął w dół z wysokości trzech metrów.

Uderzył głucho o trawnik, wydając z siebie przeraźliwe i jednocześnie dziwnie znajome: „O kurwa jebana”. Żył, ale nie był Dziadkiem Ikarem. Pod banerem, którego montaż zakończyła przed paroma minutami ekipa z pikapa, leżał nieprzytomny Zoltar. Szarik lizał go po twarzy, a on tylko jęczał. Nie było czasu się zastanawiać, w ich kierunku biegli spacerowicze, jeszcze chwila i robi się afera, dwie chwile i wezwą pogotowie, trzy i z pobliskiego szpitala MSW przyjedzie karetka, trzy i pół — przybędzie także policja. Co jak co,

ale kilka telefonów informujących o katastrofie w ruchu powietrznym potrafi zmobilizować służby.

Zapakował do samochodu Zoltara, potem wrzucił paralogię i odjechał. Było po akcji, więc mógł zadzwonić do Wandy.

— Halo, kochanie — zaczął nerwowo. — Piesek złamał łapkę. Podpowiedz, gdzie jechać.

Dla Wandy był to sygnał, że Zoltar miał twarde lądowanie, ale skończyło się tylko na złamanej kończynie.

— Zaraz do ciebie oddzwonię, bardzo go boli?

— Nie bardzo, ale znajdź kogoś, i to szybko.

Jechał w kierunku pierwszego z adresów i miał nadzieję, że nic się nie zmieniło.

*

Zoltar pojękiwał, a w głowie Pabla pobrzmiwała rozmowa, którą odbyli w trakcie planowania akcji.

— Na koniec jeszcze jedna, bardzo ważna sprawa. Kto z was ma znajomości wśród lekarzy? Chodzi mi o ludzi sprawdzonych, najlepiej chirurgów, traumatologów, takich z doświadczeniem pracy w pogotowiu ratunkowym. Znaście kogoś? — zapytał Rambo.

— Na pogotowiu mnie znają, tylko ja nikogo nie pamiętam — zażartował Hendrix, a Rambo zrobił taką minę, że Ala szybko wzięła go za fraki i pociągnęła do wyjścia.

— Kto nie ma nic do powiedzenia, rozejść się! — zachęcił Rambo.

Spuścili głowy.

— Może nam być potrzebna pomoc medyczna, musimy mieć dwa punkty, na które zwieziemy rannych — rzuciła Wanda.

— Jakich, kurwa, rannych? — wyrwało mu się, bo jakoś do tego momentu nie myślał o żadnych rannych.

— Zawsze są jacyś ranni — ze spokojem odparł Rambo. — Kto oprócz mnie ma przeszkolenie medyczne? — Spojrzał badawczo. — Słucham? — Nie udzielili mu zadowalającej odpowiedzi, więc ciągnął, spacerując w lewo i prawo. — A jeśli to ja zostanę ranny albo zaginę w akcji?

Znów milczenie, które w końcu przerwała Wanda.

— Ty chyba znasz najlepszych medyków?

— Pewnie, ale tych najbardziej zaufanych mam poza Warszawą. Owszem, mógłbym ich tu ściągnąć, ale ja potrzebuję kogoś, kto jest w odległości kilkunastu minut od pola walki, to znaczy od miejsca akcji — poprawił się szybko Rambo. — Ma tam swój gabinet, a najlepiej salę operacyjną.

— Salę operacyjną... — Wanda pokręciła głową, a Pablo miał wrażenie, że bierze udział w jakimś filmie.

— No tak, będzie przelot parolotnią, desant, ewakuacja skuterem i samochodem... Znajdą się okazje do tego, by mieć kontuzjowanych, lekko rannych, a nawet wymagających zabiegów. Potrzebuję dwóch lokalizacji, głównej i rezerwowej. Macie jakiś pomysł?

— Mam — powiedziała po chwili milczenia Wanda.

— Blisko centrum, miejsca akcji i strefy lądowania?

— Blisko — westchnęła ciężko.

— Dobre zaplecze?

— Najlepsze, prowadzi zabiegi pod narkozą, radzi sobie. Świetny fachowiec.

— Zaufany? — drążył Rambo.

— Jak najbardziej. — Wanda znów westchnęła. — Nie ma bardziej zaufanych lekarzy.

— Ginekolog? — Skojarzył Pablo.

— Nie! Chirurg plastyczny! Będziesz mi teraz robił z tego powodu aferę? — powiedziała, trzymając się pod boki. — Czy teraz ci się mniej podobam?

— Nie, no skąd, po prostu... — Był naprawdę zmieszany.

— Po prostu dajcie spokój tym małżeńskim kłótniom i szukajcie drugiego lekarza — przerwał Rambo, po czym ugodowo dodał: — Świetny wybór!

— Jeśli uważasz, że znam ich więcej... — Wanda popatrzyła na niego tak, że powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza.

— Nie, nie, nie — powiedział w końcu. — Ja tylko myślę, czy ten mój lekarz...

— Wenerolog? — spytała Wanda.

— Tak, wenerolog! — odpowiedział i podał jej wizytówkę.

Wanda obejrzała ją i parsknęła śmiechem.

— Żartujesz!

Nie żartował, a Rambo uznał, że to dobry strzał, ale absolutnie rezerwowo.

Do punktu numer jeden były już tylko dwie przecznice i wtedy właśnie oddzwoniła Wanda.

68.

Zoltar ocknął się w samochodzie. Czuł, że nie było miejsca, które by go nie bolało, a przy próbie poruszenia prawą ręką zawył z bólu.

— Żyjesz! — powiedział z wyraźną ulgą w głosie Pablo. Tak jak to było umówione, to on odpowiadał za ewakuację zespołu powietrznego.

— Co się stało? — jęknął Zoltar. — Czy ja może...

Z czarnej skrzynki, czyli z obolałej głowy, wyświetliły się w jego pamięci fragmenty zapisu powietrznego rejsu. Ostry manewr, by minąć najpierw Cosmopolitan, a później Warsaw Financial Center i dosłownie o centymetry hotel Intercontinental i Żagiel Libeskinda. Wytracenie prędkości, okrzyk Rambo: „Teraz sterujesz”, nagłe szarpnięcie w górę, kiedy Rambo zeskoczył na taras, rundka nad placem Defilad i podmuch, który o mało go nie zepchnął na Pałac. Później lot nad Chałubińskiego, wtedy rozwinął biało-czerwoną flagę, a w zasadzie banderę, bo na białej części sztandaru był herb z koronowanym orłem.

Ludzie go pozdrawiali, znów czuł się ważny. Następnie przeciął Trasę Łazienkowską i Wawelską skręcił w Batorego i zobaczył Pabla z Szarikiem. Jeden machał rękoma jak wiatrakami, drugi szczeakał, myślał, że z radości.

Odprężył się, stracił nieco kontrolę nad paralołnią, a może się zagapił, bo billboard na drodze komplełnie go zaskoczył. Twarz aktorki znanej z serialu „Dworek nad jeziorem marzeń”, która reklamowała pastę, stawała się coraz większa, aż w końcu mógł odróżnić poszczególne śnieżnobiałe zęby, które prezentowała w kuszącym uśmiechu.

A później wszystko zgasło.

— Wyrznąłeś w baner reklamowy. Można powiedzieć, że rozpląszczyłeś się na nim jak mucha na ścianie. Na elastycznej ścianie. — Pablo zrobił pauzę, jakby chciał przemyśleć to, co powiedział. — To może jednak bardziej jak plemnik na prezerwatywie, gdyby nie to, że z pewnymi sukcesami udało ci się przebić na drugą stronę. No prawie jak Jim Morrison: *Break on through to the other side, yeah!* — Nawet dość udanie zaśpiewał refren piosenki grupy The Doors.

— Jak to mogłem przeoczyć, pamiętałem trasę na pamięć, Rambo ciągle robił mi sprawdziany?

— Bo byłeś, wyjątkowo tym razem, pilnym uczniem i wkułeś topografię terenu, a tu niespodzianka. W weekend ma się tu odbyć jakiś festyn, a jednym ze sponsorów jest producent pasty do zębów. Dziś wieczorem to zawiesili, dobrze, że wleciałeś centralnie w szczękę, zamortyzowała zderzenie, a pod spodem nie było betonu, tylko trawa. Farciarz jesteś. Lepiej powiedz, jak to się stało, że to ty poleciałeś, a nie Dziadek?

— Wywalił się w łazience i złapał wstrząs mózgu. Dokąd mnie wiesz?

— Na zabieg.

— Domyślam się, ale do kogo? — spytał słabym głosem Zoltar.

— Do weterynarza, a dokąd mam wieźć?

— Pojechało cię? — rozdarł się Zoltar.

— Nie, nie pojechało. Mieliśmy jechać do chirurga plastycznego, ale wezwali go do pacjentki, która po taniości robiła biust u konkurencji.

— Gówno mnie obchodzi, kto miał być! Ja nie chcę jechać do weterynarza!

Zoltar się darł, a Szarik sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, dlaczego człowiek może mieć coś przeciw wizycie u weterynarza. Pies Rambo reagował spokojnie i uwagi zachowywał tylko dla siebie, czego nie można było powiedzieć o Pablo.

— A gdzie cię mam wieźć, na ostry dyżur? Jako bezdomnego, ale czystego i dobrze ubranego i pachnącego?

— Powiesz im, że jestem niepełnosprawny umysłowo, że nie stykam, mam kłopoty z głową!

— To, że masz, to prawda, i to od pewnego czasu. Zastanów się lepiej, co byś narobił, przecież uznaliby cię za osobę zaginioną, zgłosiliby to na policję.

— Na policję, kurwa? Konfidenci!

— A gdzie? Nie ma biur osób zaginionych. Już zapomniałeś, że od lat nie korzystasz z państwowej służby zdrowia? Nawet do prywatnych szpitali nie chodzisz, tylko do zaprzyjaźnionych lekarzy!

— To mnie zawieź do jednego z nich!

— Ale żaden z nich nie ma rentgena, USG i stołu operacyjnego, a weterynarz, który prowadzi przychodnię z ostrym dyżurem, ma wszystko!

— Ja pierdolę... — jęknął Zoltar.

— W tym stanie to raczej ciebie może ktoś wypierdolić. Nie jęcz, tylko wbij sobie do głowy, że w dzisiejszych czasach najlepiej być psem, kotem albo świnką morską. Nawet jakbyś miał papiery okej, tobyś odczekał swoje na SOR-ze! Teraz nawet w prywatnych szpitalach są kolejki na ratunkowym.

— Ja pierdolę... — Zoltar powtórzył swoją mantrę homo sapiens wiezionego do weterynarza.

— Nie pierdol, Zoltar, nie pierdol! To supergość.

— Leczył cię?

— Nie mnie, tylko Laurę.

— Kogo?

— Sznaucerkę olbrzymkę. Odeszła, zanim się do mnie wprowadziłeś. Znakomicie o nią dbał, świetny fachowiec, da radę. Dobry weterynarz wyleczy człowieka, ale nie jestem pewien, czy lekarz od ludzi da sobie radę ze zwierzęciem. Wszystko będzie w porządku, zobaczysz!

— On leczy ludzi, tak na co dzień?

— Parę razy, jak byłem z Laurą, doradził mi, dał wskazania i lepiej się czułem po wizytach u niego niż u konowałów.

— Nastawiał ci złamaną rękę?

— Pracował kiedyś w zoo, szympans i goryl niewiele się różnią od człowieka.

— A co, u weterynarza przyjmą mnie bez kolejki, czy może przepuści mnie sympatyczna suczka ze zwichniętą łapką, a wejdem

zaraz po chomiku, którego wyciągnęli z odkurzacza? Przecież to ostry dyżur!

— Ale nie dzisiaj! Nie wszystkie apteki nocne pracują każdej nocy, nie wszystkie przychodnie weterynaryjne dyżurują stale dwadzieścia cztery na siedem. Przestań, do kurwy nędzy, panikować!

— Wal się, jakbym panikował, tobym nie wysadził Rambo tam, gdzie trzeba!

— A jesteś pewien, że nie spuściłeś go na ziemię?

Zoltar chciał mu przyłożyć, ale tylko zawył z bólu. Bicie kogoś ręką z otwartym złamaniem nie jest najlepszym pomysłem.

— Dokąd mnie wiesz? — zajęczał, kiedy ból w złamanej ręce nieco zelżał i pozwolił mu na wydawanie dźwięków.

— Już ci mówiłem, do weterynarza!

— Wiem — wystękał Zoltar. — Ale gdzie ten jebany Doktor Dolittle urzęduje?

— Na Zaciszu — odpowiedział spokojnie Pablo.

— Aha — mruknął Zoltar, który wiedział, gdzie jest Zacisze, ale nie miał pojęcia, gdzie w tej chwili jest. — Daleko jeszcze?

— Blisko, zjeżdżamy z Trasy Toruńskiej. — Pablo i Zoltar mieli taki PESEL, że dla nich most Grota i Trasa Armii Krajowej wciąż funkcjonowały jako Trasa Toruńska.

— Pośpiesz się, przecież wiem, jak potrafisz depnąć!

— Ale, po pierwsze, to nie nissan GTR, a po drugie, lepiej, żeby nie zatrzymała mnie policja. Powiem im, że wiozę połamane go koleżkę, a oni albo będą dobrymi samarytanami, włączą koguta i podholują nas na ostry dyżur, albo z ciekawości, bo policjanci często są ciekawscy, poproszą o dokumenty.

Pablo powiedział to, zachowując olimpijski spokój, co doprowadzało Zoltara do szewskiej pasji. Po zjeździe z trasy, kiedy kluczyli po ulicach, a następnie uliczkach Bródna, które z powodu budowy metra zmuszały do kolejnych, coraz ciaśniejszych zakrętów, Zoltar nie domagał się już szybszej jazdy. W końcu stanęli przed willą, przed którą czekał facet sprawiający wrażenie miłego biesiadnika, a nie kogoś, kto mu będzie składał rękę.

— Skąd, kurwa, wiedział, że ma dzisiaj pacjenta? — zajęczał Zoltar.

— Nie wie, że ma pacjenta, umówiliśmy się na wódkę, tak po prostu, po koleżeńsku.

— Ja pierdołę! — zajęczał Zoltar i nic już więcej nie powiedział, bo samochód stanął, a Pablo wyłączył silnik. Zatrzymali się przed domem jednorodzinny. Takim, jakich w okolicy były dziesiątki.

— To tu? — spytał nieufnie.

— Tak — odpowiedział Pablo i otworzył drzwi.

— Dokąd idziesz?

— Zadzwoń do drzwi i powiedz mojemu kumpłowi, lekarzowi weterynarii, Jerzemu Jeżewskiemu, że mam nie tylko połówkę, ale i pacjenta. On wie o twoich problemach, że ukrywasz się przed całym światem i masz na bakier z papierologią, więc mu wytłumaczę, że się u mnie w pracowni wyłożyłeś i jakoś trzeba ci pomóc.

Zoltar nie zdążył już nic powiedzieć, bo Pablo wysiadł z samochodu i walnął drzwiami. Po dwóch minutach wrócił w towarzystwie jowialnego mężczyzny ubranego w lekarski fartuch, między którego połam uwijał się średniej wielkości beżowy kundel. Zwierz zawarczał, na co Szarik obnażył kły.

— Piękny owczarek, ale nie wprowadzaj do środka, bo będzie awantura. Zostaw go w poczekalni albo w ogródku, bo, niestety, mój Cezar jest zazdrosny.

Dopiero po załatwieniu spraw związanych z canis familiaris i zduszeniu w zarodku konfliktu między psami weterynarz zainteresował się homo sapiens.

— Dobry wieczór, Pablo powiedział mi, że pan jest rozczarowany moją kliniką! — Zrobił strapioną minę i załamał ręce. — Pewnie sądził pan, że zabieg zostanie wykonany w Instytucie Weterynaryjnym SGGW? Przykro mi, że pana zawiodłem, ale mam swoje plusy! Nie sprawdzam, przynajmniej dzisiejszego wieczoru, dokumentów pacjenta. No i mam naprawdę dobre zaplecze. Wyposażenie prima sort. Gdyby NFZ miał coś takiego, to życie w Polsce porównywalibyśmy do tego w Katarze i w Norwegii. Przekona się pan, zapraszam do środka! — Weterynarz był w doskonałym nastroju, a jego pies, jakiś nad wyraz ruchliwy i towarzyski mieszaniec, w jeszcze lepszym.

— Poszedł mnie stąd! — zachrypiał Zoltar do psa, który od wążania nogawek przeszedł do próby kopulacji z nogą.

— Ojjoj, po co te nerwy? To mój asystent i może być trochę rozczarowany, że pacjent nie jest pacjentką, to znaczy miłą suczką, najlepiej bokserką. — Weterynarz zaniósł się śmiechem. — Tak, bokserką albo buldożycą, bo on może nie wygląda, ale jest z niego niezły perwers — powiedział to z pełną powagą, jakby mówił o człowieku. — Ale nie spotkaliśmy się tu po to, by rozmawiać o fantazjach seksualnych. Proszę do gabinetu!

Perwersyjny kundel położył pysk na brzegu krzesła, wydał z siebie tęskny jęk i przewrócił ślepiami. Zoltar skądś go znał, ale skąd? No tak, przecież on wyglądał jak pies z elementarza Falskiego. Był to wykapany As, przyjaciel dzieci.

— Ala ma Asa — powiedział Zoltar, siadając na kozetce i rozglądając się po gabinecie. Wyglądał lepiej niż szpitale dla ludzi, które zdążył poznać.

— Ala ma Asa, a As ma kutasa — powiedział lekarz, wbijając mu igłę i uśmiechając się niczym dobry wojak Szwejk.

Zoltar odpłynął. To, co podał mu jowialny weterynarz, przeniosło go w nowy, nieznanym wymiar.

— Jak się pan czuje...? — Weterynarz zawiesił głos. — Panie Rex? Nie, nie Rex, Zoltar! No przecież, że Zoltar, hahaha!

— Ależ jak najbardziej — odpowiedział rozanielonym głosem Zoltar.

— Tylko nie wiem, kogo mam wpisać, jaki gatunek. Na świnkę morską jest pan za duży, ale jako mastiff albo bullmastiff? — Weterynarz dobrze się bawił. — Miałem ostatnio takiego pieska, jeszcze większego niż pan. Doga arlekina!

— I co mu było? — włączył się Pablo.

— Ważne, że nic już nie jest! Jest szczęśliwy, biega po niebieskich łąkach — powiedział natchnionym, kapłańskim głosem weterynarz.

— Uśpił go pan? — Zoltar wpadł w panikę.

— Zdarza się, zdarza się. — Rozłożył ręce psi doktor. — W końcu my, ludzie, walczymy o prawo do eutanazji!

— Nie mówiłem ci, że psy mają lepiej? — zaśmiał się Pablo.

— Ale mnie pan nie uśpił? — zabełkotał wystraszony Zoltar.

I były to jego ostatnie słowa.

— Żyje? — upewnił się Pablo.

— Żyje, jasne, że żyje! — uspokoił go weterynarz. — A nawet jeśli nie, to miał miłą śmierć. Zdarza się, zdarza! Życie, mój drogi. Tylko trochę kłopotu by było. Nie wiem, jakbyśmy go zapisali na wizytę w krematorium dla zwierząt. Nie byłoby innego wyjścia, nie jest żółwiem, z którego byśmy zrobili zupę i popielniczkę, hahaha!

Lekarz weterynarii Jerzy Jeżewski miał specyficzne poczucie humoru.

I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

— Kto to, przecież żona z dziećmi na wczasach?

— No i nie mam dyżuru... Ale, cholera, ludzie się tym nie przejmują, a w sali operacyjnej się świeci.

Jeżewski podszedł do wideofonu, spojrzął na ekran i zaklął.

— Kurwa, pacjent!

— Co zrobimy?

— Nie wiem...

Dzwonek rozległ się po raz kolejny, a z ulicy dobiegło wołanie.

— Panie doktorze, to ja, sąsiad. Moja kotka rodzi, niech pan do mnie przyjdzie, proszę!

— On mi tu zaraz wjedzie z drzwiami!

Przez moment Jeżewski wyglądał na spanikowanego, ale szybko się uspokoił i podszedł do słuchawki domofonu.

— Panie Damianie kochany, jak się cieszę! Zaraz nadejdzie pomoc. Prowadzę zabieg, ale przyjdzie do pana doktor Paweł Malarski! — mówiąc to, spojrzął wymownie na Pabla.

— Kurwa, czyś ty oszalał!

— A jak cię miałem przedstawić? Rzeźbiarski, a może, kurwa, Matejko albo Fidiasz?

— Ale...

— Żadne ale, żadne ale! No, chyba że chcesz nastawiać mu kość, później go zszyć i założyć opatrunek? Okej, ja idę do rodzącej kotki, a ty sobie składaj Zoltara. Na pewno w internecie są jakieś filmiki, jak poskładać kolegę z otwartym złamaniem przedramienia. To jak?

— Powiedz, co mam robić?

— Bierz fartuch, rękawiczki, on tam wszystko przygotował jak u rodziny królewskiej. Masz tam tylko być i nie panikować, sprawa jest bezobsługowa. Kotki wiedzą, co robić, mają instynkt. Nie rób zamieszania, serwuj mądre miny, zostaw ją samą. Co parę minut sprawdzaj, jak przebiega poród. Może się kocić co dziesięć minut, ale może i co godzinę. Bywa, że przerwie poród na parę godzin, a nawet i dłużej. Jeśli tak się stanie, to wtedy wejdę ja, cały na biało. No dymaj do niego, bo mi się będzie tłukł po ulicy!

— A pępowina, mam ciąć czy wiązać?

— Ochujałeś? Kotka sama przegryza pępowinę. Jak zaczniesz zjadać łożysko, to nie rób afery, okej? Przede wszystkim masz pilnować pana Damiana, niech się nie denerwuje, wyluzuje i tak dalej. Chyba złapał lekką fazę, bo dziś jest czwarty maja, Damiana, kapujesz? Kapujesz, no dobra, to teraz wypierdziocha! Wypad, ja tu pacjenta poważnego mam, homo sapiens, do tego z naczelnych, żartów nie ma!

Po dwóch godzinach doktor Jeżewski zapukał do segmentu oddalonego od jego domu o niespełna trzydzieści metrów i zastał sytuację bankietową. Po oględzinach kotki i jej siedmiu młodych zabrał ze sobą doktora Pawła Malarskiego, którego gospodarz i jego imieninowi goście żegnali jak bohatera, choć ten ledwo stał na nogach.

— Rany boskie, jak ty wyglądasz?

— Pewnie jak świnia. On mi kazał pić po każdym urodzonym kocie!

— Zawsze miałeś mocną głowę!

— Ale nie zawsze piłem na setki! Czy on żyje? — zapytał Pablo resztką sił.

— Żyje, ale co to za życie — westchnął weterynarz. — Jeśli jest samotny i nie jest mańkutom, to będzie się musiał nauczyć walić konia lewą ręką.

Pablo spojrział na Jeżewskiego z przestraczem w oczach.

— Tylko przez jakiś czas — uspokoił go. — Wszystko da się złożyć, nawet końską nogę, można nawet chomika zacerować i będzie jak nowy. No co się tak patrzysz? Miałem pacjentów po spotkaniu z psem sąsiada albo po podróży w czeluści odkurzacza. Dzieci mają

różne pomysły, więc wypadek tego twojego kumpla raczej lajtowy. Tylko powiedz mi, dlaczego on nie ma ubezpieczenia i co w ogóle jest grane?

Pablo nie powiedział nic, tylko wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów spięty gumką.

— Stary, weź na wstrzymanie! — zaprotestował Jeżewski. — Wystarczyłoby tyle, co za wizytę z dużym zwierzęciem. A tak w ogóle to nie wezmę nic. Raz, że przyjacielska przysługa, a dwa... — Rozgadany weterynarz zaciął się na moment.

— A dwa, to co? — Pablo spojrział na niego z wysokości swoich ponad stu dziewięćdziesięciu centymetrów.

— Że jak robię za darmo, to nie jestem współnikiem. Co innego gdybym był prawnikiem, wtedy bym zażądał symbolicznego dolara, oglądałeś „Better Call Saul”?

69.

Tego właśnie było potrzeba komisarzowi Jaskulskiemu, dobrego seksu z młodą dziewczyną. Bo mimo niezwykłych osiągnięć i szalonej popularności, na którą inni pracowali latami, nowa gwiazda telewizji nie miała jeszcze trzydziestki. Wymagłowała go tak, że czuł się jak bohater filmu dla dorosłych, szkoda tylko że teraz spała, chociaż z drugiej strony, czy dałby radę ponownie?

— Słuchaj no, sierściuchu... — powiedziała, przeciągając palcem po jego owłosionej klatce piersiowej.

A więc nie spała!

— Masz może kajdanki? — powiedziała nagle, a on zamiast dać jej odpowiedź, błyskawicznie sięgnął do kurtki i wprawnym ruchem przykuł ją do metalowej ramy łóżka.

Jęknęła z rozkoszą i spojrziała na niego, stojącego nad nią w pełnej gotowości.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi. Gotowość nie zmalęła, patrzyła na niego tak, że udał, że to się nie dzieje, nikt późnym wieczorem nie dzwoni do jego drzwi, a jeśli tak, to musi być pomyłka. Po chwili jednak do dzwonka dołączyło łomotanie, ktoś

walił pięścią w drzwi z takim zapalem, że jeszcze trochę, a mimo solidnej budowy mogły się po prostu rozpaść albo razem z framugą wpaść do środka. Owinął się ręcznikiem i ruszył do przedpokoju, wyrzwał przez judasza i zobaczył swojego podwładnego, aspiranta Roberta Grzdacza.

— Zabiję go — zasyczał i otworzył drzwi.

— Mamy świadka, jest człowiek, który zna napastnika z Grójeckiej!

70.

Doktor Jeżewski był rozczarowany, bo kiedy jego kolega wpadał wieczorem, to zawsze była okazja do wypicia i pogadania, tymczasem Pablo ledwie trzymał się na nogach. Gorsze było to, że ledwie uwinął się z pacjentem ze złamaną ręką, przyjechał znajomy Pabla z jakimiś typami. Młodszy, zarośnięty, ze zwykłą brodą, podtrzymywał starszego, łysawego z siwym kucykiem i z mikołajową brodą.

— Co mu się stało?

— Wypił za dużo i wyjechał się jak miś — oświadczył młodszy z brodaczy.

— Jaki miś?

— No miś z reklamy Apartu — odparł Luke. — Z tej świątecznej, z Wieniawą, Lewą i tą trzecią, Radło.

— Z Sochą — poprawił go Jerzy Jeżewski, po czym chwycił się za głowę, bo po naprawianiu ofiary zderzenia z banerem reklamowym zajmował się teraz reklamą Apartu przed ostatniej gwiazdki, i to nawet nie reklamą, tylko jej parodią, w której upadek misia skomentowano dosadnie, dokładnie tak, jak to przed chwilą zrobił ten przerośnięty krasnolud. Weterynarz zmachał rękami i krzyknął:

— Ale jak to zrobił?!

— Nie wiemy, był w kiblu, tam się uspokajał kroplami miętowymi, ale przesadził, a ja czekam na hydraulika, bo cieknie trochę kolanko...

— Poślizgnął się? Jak upadł, na co?

— Bezpiecznie dość...

Jerzy Jeżewski westchnął z ulgą.

— Ale nie dla mojej umywalki, roztrzaskał ją w drobny mak — skrzywił się Luke.

— No to jakie bezpiecznie?

— Bo umywalka jest bliżej niż posadzka, mniejszy impet, nie nabrał takiej prędkości, jakby leciał na glebę. — Dla Luke'a było to wszystko całkowicie jasne. — Głowa jednak jest cała, bo kask zamortyzował uderzenie.

— Jaki, kurwa, kask? — Doktor nauk weterynaryjnych Jerzy Jeżewski miał wrażenie, że ktoś mu czegoś dosypał do kieliszka albo jadąc na rowerze w pełnym słońcu, nie zadbał o zakrycie głowy. — Czy mi się to wszystko śni? — wyjąkał.

— Kask, zwykły kask, no może nie zwykły, taki do... O właśnie ten, bo on był pilotem numer jeden, a pan właśnie złożył tego rezerwowego. — Luke nie dokończył, bo rozległ się dzwonek.

Jeżewski spodziewał się najgorszego, że pod domofonem stoi sąsiad i domaga się interwencji. Było jeszcze gorzej, na ekranie zobaczył twarz nieznanego osobnika, który powiedział:

— Hasło Ikar, czy tu Jerzy Jeż? Odbiór.

Po chwili na kozetce siedział facet ze zwichniętą kostką i połamanymi żebrami, którego czule głaskała po plecach drobna blondynka.

— Pablo, ja zaraz dzwonię po policję!

— Po jaką policję? — Pablo był już wyraźnie rozluźniony.

— Po polską, a po jaką? — odwarknął Jeżewski.

— No to całkowicie bez sensu, bo ten twój sąsiad to policjant!

W tym momencie rozległ się bełkot Dziadka:

— Zostawcie moje włosy, skurwysyny!

— Odzyskuje przytomność — skwitował to Luke. — Chyba będzie żył.

— Raczej wychodzi z zatrucia alkoholowego. — Jerzy Jeżewski przypomniał sobie o pacjencie, pochylił się nad nim, ale w tym momencie Dziadek wyprostował się gwałtownie, waląc go boleśnie w nos.

— Ożeż kurwa! — zawył.

— Tylko nie kurwa. Maja to porządna kobieta. Zofia, ja cię kocham, nie odchodź!

Po wygłoszeniu tych dramatycznych słów Dziadek znów opadł na stół, po czym wybełkotał.

— Ja was wszystkie kocham, podłe suki...

Patrzyli na niego z zainteresowaniem, w końcu odezwała się Zuza.

— On ma jakąś traumę związaną z kobietami.

— Ależ to odkrywcze. — Jerzy Jeżewski popatrzył na nią jak na okaz dwugłowego cielęcia. — A kto jej nie ma?

Rozległ się kolejny dzwonek.

— Kurwa, to na pewno mój Borewicz — syknął Jerzy Jeżewski. — Pablo, wstawaj!

— Powiedz temu pijakowi niech się wynosi, ja już nie mam siły pić — zajęczał Pablo.

— Ależ Wanda! To twoja Wanda! — wykrzyknął z radością Jeżewski.

Kilkanaście sekund później nie był już tak wesoły, siedział na swoim lekarskim krześle i patrzył na chłopaka na wózku, który wtoczył się do jego gabinetu za Wandą.

— Nie mówcie, że to mój kolejny pacjent...

— Jakby pan coś, jakoś — powiedział chłopak. — Czytałem, że jednak doktor weterynarii pracuje nad lekiem na glejaka. Dla ludzi, nie dla zwierząt.

— Wanda, o co tu chodzi?

— Ściśle tajne — uprzedził odpowiedź Rambo. — Dowie się pan we właściwym czasie.

— Dzieci, nie mścijcie się na tatusiu — jęknął przez sen Dziadek Ikar.

— Czy ja jestem w ukrytej kamerze? — Nie wiadomo który to już raz tego dnia Jerzy Jeżewski ukrył twarz w dłoniach. — Ja już tej nocy operowałem człowieka, wysyłałem do rodzącej kotki rzeźbiarza i mam tu bełkocącego dziada, który podobno pił wódkę w łazience w kasku na głowie. Tego tu — wskazał na Rambo — ze skręconą kostką już nie liczę.

Po raz kolejny tej nocy rozległ się dzwonek. Jerzy Jeżewski spojrział w ekran i się skrzywił.

— Policja, znaczy się mój sąsiad.

— Panie doktorze kochany, no gdzie się pan podziewa? Trzeba opić ten piękny poród. No i niech pan weźmie ze sobą doktora Malarskiego, bardzo go polubiliśmy!

Żeby podkreślić wagę swych słów, sąsiad policjant raz jeszcze nacisnął dzwonek. Cezar zaczął przeraźliwie szczebrać, podobnie jak biegający po ogródku Szarik. Wszystko to wyrwało ze snu Dziadka Ikara.

— Brian Jones, w końcu jesteś, obiecałeś, że wrócisz, chłopaku!

71.

Komisarz Jaskulski nie wie, jak to się stało, zadziała automatyka, na wpół ubrany biegł za aspirantem, dżinsy wciągnął na goły tyłek, skarpetki nie były mu potrzebne, bo wskoczył w adidas, T-shirt założył na schodach, kurtkę dopiero w samochodzie. Pojechali na sygnale, a po dziesięciu minutach byli w przy Opaczewskiej 8, gdzie mieściła się Komenda Rejonowa Policji Warszawa III. Tam czekał na niego dyżurny.

— Zgłosił się do nas Edward Jaśkowiak, miejscowy menel, znany policji, notowany za zakłócanie porządku, oddawanie moczu w miejscach publicznych. Był, nadal jest pijany, tak wiem, świadek niewiarygodny, ale przyprowadził rower, który odpowiada opisowi, proszę spojrzeć.

W pierwszej chwili Jaskulski miał ochotę opieprzyć dyżurnego z Ochoty za zawracanie dupy, bo wyciągnął go z łóżka! Zagryzł wargi i przez chwilę nie bardzo wiedział, co zrobić, podejść do roweru, który stał przy dyżurce, czy...

— Kurwa — jęknął na tyle głośno, że wszyscy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. — Kurwa! — powtórzył tym razem pewnie i szybko dodał: — Tak, on pasuje do opisu, to może być ten rower! — Po czym wyciągnął z kieszeni klucze do mieszkania i gestem przywołał do siebie aspiranta.

— Robert — szepnął mu na ucho. — Wał na sygnale do mnie do domu i... Rozepnij kajdanki pani redaktor.

— Co? — Aspirant Grzdacz wytrzeszczył oczy.

— Jajco — wysyczał Jaskulski. — Nie zadawaj głupich pytań, tylko wal na sygnale, bo zapomniałem wyłączyć żelazko, już! — ryknął na aspiranta, a ten nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje, pognął do wyjścia.

Dopiero teraz zbliżył się do roweru, kucnął przy nim i przypatrywał mu się z uwagą. To był kompletnie unikatowy składany rower marki Romet, model Czajka, w nietypowym, jasnozielonym kolorze. Zbliżył się ostrożnie, by nie zatrzeć śladów. Żeby lepiej widzieć szczegóły, włączył latarkę w komórce. Rower, jak na prawie pięćdziesięcioletni zabytek, był w dobrym stanie, lakier z pewnością oryginalny, bo gdzieś tam pojawiła się rdza, a napis Czajka był malowany z szablonu i lekko wytarty. Tak, z pewnością menel nie wyciągnął tego sprzętu z piwnicy i nie przemaalował go z najpopularniejszego pomarańczowego koloru. Nie był to też żaden ze składaków z tego okresu: wigry albo karat, który mógł udawać czajkę. Zbyt wiele zdjęć widział, żeby nie być tego pewnym.

— Gdzie jest zameldowany ten...

— Jaškowiak, Edward Jaškowiak — przypomniał dyżurny. — Mieszka niedaleko nas i niedaleko banku.

— Prowadźcie mnie do niego i zadzwońcie do stołecznej, potrzebuję techników, muszą zabrać i zbadać ten rower.

Jaškowiak siedział w poczekalni, w towarzystwie dwóch policjantów. Wyglądał zupełnie inaczej, niż się tego spodziewał komisarz. Był ubrany w garnitur. W pomięty i nieco wiszący na nim, ale czysty, czarny garnitur. Co prawda brązowe buty nie bardzo do tego pasowały, podobnie jak krawat typu saperka, jaki nosiło się ponad dwadzieścia lat temu. Żółty, założony do popielatej koszuli.

— Jaškowiak Edward, syn Edwarda — przedstawił się, jakby był na przesłuchaniu albo w więzieniu. — Bo świętej pamięci tacie też Edward było na imię — wyjaśnił, podchodząc do Jaskulskiego, który poczuł od niego woń alkoholu zmieszaną z ostrym zapachem płynu po goleniu. Typ się wypachnił i ogolił, o czym świadczyła nie tylko pozbawiona zarostu skóra, ale i liczne zacięcia, niektóre z nich zabezpieczone coraz rzadziej spotykaną metodą na papier toaletowy.

— Siedział pan?

— W życiu! — oburzył się. — Ja jestem uczciwy człowiek, panie komisarzu Jaskulski. Znam pana z telewizji — uśmiechnął się chytrze, po czym szybko dodał: — Skoro pan przyjechał, to nie ma w tym żadnego bajeru!

— Jakiego bajeru?

— Że dajecie za informację pięćdziesiąt tysięcy! — Edek zatrzepotał rżęsami.

Jaskulski nic nie powiedział, tylko zaprosił go do pokoju, który udostępnił mu koledzy z Opaczewskiej.

— Pięćdziesiąt tysięcy... — powiedział Jaskulski, przechadzając się po pokoju. — Pięćdziesiąt tysięcy — powtórzył, a Edek z satysfakcją pokiwał głową.

— Najpierw mówiliście dziesięć tysięcy — powiedział, pogardliwie wydymając wargi. — Ale później byliście konkretniejsi. — W jego głosie było coś w rodzaju pochwały. — Ale wydaje mi się, że tu może chodzić o dwadzieścia pięć tysięcy złotych, ale zaliczki, prawda?

— Ach tak! — Jaskulski pokiwał głową z uznaniem, a Edek szeroko się uśmiechnął, demonstrując uzębienie, w którym lewa dwójka występowała tylko w dwóch trzecich, a prawa czwórka już dawno opuściła jego szczękę.

— Wykonałem gest dobrej woli, przyprowadziłem dowód rzeczowy — powiedział pewnym głosem Edek.

— Tak, to się ceni, to bardzo ważne! Proszę mówić dalej, panie...

— Jaškowiak, Edward Jaškowiak — powiedział z dumą Edek.

— Proszę zatem mówić, panie Edwardzie, śmiało!

— Hehehe — zaśmiał się Edek. — Mówić to ja będę, ale najpierw muszę zobaczyć te dwadzieścia pięć tysięcy za rower!

— No tak, oczywiście, ma pan rację — zmitygował się Jaskulski. — Tylko, pan wybaczy, ale nie mam tych pieniędzy przy sobie!

— No pewnie, kto by nosił taką forszę w kieszeni? — zaśmiał się Edward Jaškowiak i cały zamienił się w słuch.

— Jak pan się domyśla, muszę się skontaktować z górą, z panem komendantem i z panem ministrem...

— Wystarczy z wiceministrem — uśmiechnął się Edek. — Bo pan wiceminister to kolega partyjny pana posła, można nawet powiedzieć, że jest jego podwładnym, bo przecież to poseł jest

wiceprzewodniczącym partii Nasza Polska. Bo ja się znam na polityce, panie komisarzy — powiedział to z taką pewnością siebie, jakby redaktor Halama dzwonił do niego przed każdym programem z prośbą o opinię.

— Tyle że ja nie mogę tak po prostu zadzwonić i powiedzieć: jest rower, a będzie więcej. Bo ja nie mam pewności, że to jest ten rower, a o to spyta mnie każdy z szefów! Co mam im powiedzieć, panie Edwardzie?

— Że jak on robił ten napad, to ja mu tego roweru pilnowałem! — wyjaśnił bez skrępowania Edek.

— Tak? A gdzie? — zainteresował się Jaskulski.

— A gdzie, to tego nie powiem, póki nie zobaczę pieniędzy! — Edward Jaškowiak wypowiedział te słowa w sposób zdecydowany i założył ręce, jakby chciał w ten sposób podkreślić, jak twardym jest negocjatorem.

— Okej. — Jaskulski przeciągnął palcami po brodzie. — Już wszystko wiem, dla mnie to jasne, zmieniam kwalifikację naszego spotkania ze szczerego, obywatelskiego, może nawet towarzyskiego. Bo miałem nadzieję, że nawiązujemy bliższe relacje, że wszystko przebiega w atmosferze zaufania, ale widzę, że to jednak współzależność śledczy — podejrzany. Koniec spotkania na Opaczewskiej, po przewiezieniu do Pałacu Mostowskich przesłucham cię, ale nie w charakterze świadka, lecz podejrzanego.

— Zadzwonię do „Sprawy dla reportera”, do redaktor Jaworowicz! Skandal z tego będzie, zobaczycie, niewdzięcznicy!

— Dzwonź sobie do adwokata, a ja dzwonię do prokuratora, który zatrzymanie przekwalifikuje w areszt tymczasowy.

Po chwili do pokoju weszło dwóch mundurowych. Edek szarpał się i krzychał: „Oszuści, złodzieje, ratunku”, ale funkcjonariusze byli bezwzględni i po kwadransie wysiadał z radiowozu na dziedzińcu Pałacu Mostowskich. Ekonom miał jednak rację i on mu szczerze wierzył, ale spacerzył się, kiedy w telewizji ogłosili, że premia za informację została podniesiona do dwudziestu pięciu tysięcy.

Policja odłączyła uczestników od prądu, a następnie, tym razem skutecznie, rozwiązała nielegalne zgromadzenie. Krzysztof Bras stawiał opór, bo stawiała go Alternatyvka, razem z którą zapakowano go do suki i odwieziono na Wilczą.

— Teraz już wiem, kim jesteś — powiedziała mu w samochodzie. — Starszy brat cię słucha i wujek się jara twoją książką o Jarocinie. Myślałam, że ty bumer i dziad jesteś, a z ciebie w porzo gość!

Przetrzymali ich trochę i wypuścili, ale nie poszli do domu, stali wraz z innymi pod komisariatem, póki nie wypuszczono organizatorów i uczestników koncertu. Prawnicy przyjechali szybko, prasa była już od dawna, więc poszło dość sprawnie. W sieci pojawiły się dziesiątki nagrań, jak bohaterowie koncertu pod Pałacem wychodzą z komisariatu. Oklaski, owacje, serie ośmiogwiazdkowych pozdrowień dla władz, po prostu wydarzenie, jakby piłkarze wracali do Polski z jakimś medalem, a nie ze skopanymi tyłkami.

Bras zabrał Alternatyvkę do domu, gdzie kochali się i sprzeczali o to, przy jakiej muzyce mają to robić. W końcu stanęło na Davidzie Bowie i płycie „Station to Station”. Krzysztof Bras nie miał pojęcia, że właśnie na Instagramie Alternatyvka pobiła rekord polubień, a komentujący nie mogli wyjść z podziwu, że pokazała się z Brasem, który wywołał komentarze: „O kurwa, on jeszcze żyje!” i „Wypadł lepiej niż w tych sztywniackich występach w tv i radiu!”. „Będą z niego ludzie” — skomentowała Nika@03, a ZiggyXD odpisał jej: „Jak pożyje sto lat XD”.

73.

Kiedy wypuszczono z dołka Alę i Hendrixa, a reszta doszła do siebie po szaleństwach nocy, Gang Niewidzialnej Ręki spotkał się w Manufakturze.

Rambo spojrzął po swojej dziewięcioosobowej drużynie i przemówił:

— Dziękuję wszystkim za udział w udanej akcji, za odwagę, profesjonalizm i umiejętność dostosowania się do zmiennych warunków i rozwiązywanie nieprzewidzianych sytuacji. Wstępne

straty własne wyniosły trzydzieści procent: trzy osoby ranne lub kontuzjowane, poległych zero, zaginionych w akcji zero. Dwie osoby wzięte do niewoli, ale już na wolności, co oznacza trzydzieści procent strat, ale nie są to starty bezpowrotne. Wkrótce każdy z nas będzie gotowy do akcji! Gratuluję, można palić i pić! — W końcu, po raz pierwszy, zobaczyli go z uśmiechem na twarzy.

Stuknęli się butelkami schłodzonego piwa. Każde z nich poczuło się jak na filmach o komandosach, którzy w mesie albo w koszarach świętują powodzenie akcji.

Nie pił tylko Dziadek Ikar. Wybaczone mu, co więcej, pocieszano, że gdyby to on leciał, a nie młodszy o dwadzieścia lat Zoltar, to pewnie by się całkiem połamał, został kaleką albo nawet zabił.

— Kiedyś piłem — powiedział zduszonym głosem. — Dużo piłem, bo miałem tremę i jak byłem na rauszu, to mi wszystko mijało, odchodziły stresy i lęki... Aż w końcu zacząłem się sypać, lekarz kazał rzucić picie, rzuciłem, ale nie potrafiłem już latać w zawodach. Trudno, ważniejsze było wyjście z korkociągu z alkoholem, byłem trzeźwy, starałem się, ale wtedy, na tej stypie... Namówiliście mnie, znów... Znów poczułem dziki zew, alkohol, beztroska, śpiew... No i trawka — dokończył, spuszczając ze wstydem wzrok. — No i teraz, kiedy miał być mój wielki dzień, byłem znów w delikatnym cugu, do tego poczułem tremę, bo to miał być mój najważniejszy lot w życiu...

— Podobno mówiłeś coś o Brianie Jonesie. — Hendrixowi zrobiło się żal Dziadka i zmienił temat.

— Bo ja go poznałem, wtedy na bankiecie w Europejskim. Wkręciłem się i jak żeśmy się rozstawali, to na pożegnanie powiedzieliśmy sobie z Brianem, że musimy się jeszcze kiedyś spotkać. No i byłem na wszystkich kolejnych koncertach Stonesów w Polsce, ale już nie wkręciłem się na żaden bankiet, może dlatego, że i tak bym nie spotkał Briana. Dwa lata po występie w Warszawie odszedł z zespołu, a niedługo po tym utopił się w swoim basenie.

— A te kobiety, Zofia i Maja, mówiłeś o nich — włączyła się Wanda.

— I o dzieciach, że... — zaczęła Zuza, ale Hendrix nie dał jej dokończyć.

— No dobrze, dajmy już spokój, nie grillujmy seniora — przerwał Hendrix.

— Nie grillujmy seniora? — oburzyła się Wanda. — A może powinniśmy ciebie?

— Lepiej zobaczymy, co o nas piszą — zaproponował Olek.

— No właśnie, co piszą i mówią. Mają jakieś zdjęcia? Raportuj! — podchwycił Rambo.

— Prasa jak zwykle jest podzielona, internauci także. Wielu widziało lotniarza lecącego nad Warszawą, a komentarze są rozstrzelone — od „Piękny gest patrioty”, „Śmiałek uczcił 516. rocznicę śmierci patrona Warszawy, błogosławionego Władysława z Gielniowa” i „Władze miasta nie pamiętały, ale na szczęście mamy rząd i odważnych patriotów” po „Nieodpowiedzialny parolotniarz wleciał do miasta”, „Kiedy patriotyzm szumi w głowie” oraz „O krok od tragedii. Kim był szaleniec z flagą?”. Komentarzy się domyślcie, a artykuły i wpisy ilustrują zdjęcia, oczywiście przelot Zoltara przebija fotki z kościoła i koncertu. Jest też parę filmików, wszystkie słabej jakości. Są dwa artykuły o wandalach, którzy zniszczyli baner na Polu Mokotowskim, i trochę wpisów na ten temat, ale w żadnym z nich nie ma łączenia tego zdarzenia z przelotem. Są wpisy w stylu: niezły wieczór, typ na lotni przeleciał przez miasto albo ten: wybili zęby gwieździe „Dworku nad jeziorem marzeń”!

— A kiedy przemówi nasza gwiazda? — spytała Zuza.

— Matylda powie, gdy będzie miała o czym. Po południu oddaję parabellum do ekspertyzy, zbadają i wrzucą na tak zwany bęben, czyli do Automatycznego Systemu Identyfikacji Broni ARSENAŁ. Wszystkie pociski i łuski, które znaleziono na miejscu przestępstwa, są w Krajowym Zbioru Łusek i Pocisków w Zbiorach Broni i Amunicji. Wyniki będziemy mieli szybko i nie pytajcie, jak to załatwię, to wiedza zupełnie wam niepotrzebna — uśmiechnął się Rambo.

74.

Wieści rozchodzą się szybko, najszybciej te złe. Ekonomista podszedł do szafy i wyciągnął z niej plastikową torbę, w której była butelka po wódce. Nie byle jaka, jedyna, na której facet w peruce

i okularach, który się do nich przykleił na skwerku, zostawił odciski palców.

Założył rękawiczki i jeszcze raz spojrzął pod światło i uśmiechnął się. Piękne odciski, odciski faceta, który postawił na nogi całą policję, gościa z Gangu Niewidzialnej Ręki!

— Wyrzucę śmieci po drodze — powiedział żonie, z czego się ucieszyła, bo mimo nałogu dbał o dom, nie lubił, gdy było brudno. Tylko na zakupy strach go było puszczać, bo zawsze coś odjął z listy albo kupował mniejsze opakowania i porcje, żeby starczyło na alkohol.

Ekonomista, po drodze, wszedł do wózkarni i tam za rurą ciepłowniczą schował butelkę zawiniętą w reklamówkę. Dopiero wtedy wziął worek ze śmieciami i wyszedł z klatki schodowej. Zanim doszedł do śmietnika, usłyszał jęknięcie syreny, z kilku punktów zaświeciły się niebieskie koguty. Stanął i czekał. Przyjechali po niego szybciej, niż myślał. Zuchy!

— Czy mogę wyrzucić śmieci? — spytał policjanta po cywilu.

— Zrobimy to za pana, prosimy z nami. — Wziął od niego worek, który pewnie przeszukają papierek po papierku, to samo zrobią z mieszkaniem Edka i jego własnym. Byliby gapami, gdyby tego nie zrobili.

75.

Siedzieli naprzeciwko siebie, Jaskulski i Ekonomista.

— Waldemar Irański... Zatem nie jest pan Ekonomistą? — Jaskulski pokiwał głową i zrobił kwaśną minę.

— W pewnym sensie jestem — uśmiechnął się. — Skończyłem ekonomikę i długo pracowałem w wydziale do walki przestępczością gospodarczą.

— Kapitan czy komisarz? — zapytał, pamiętając, że było to ważne dla Jakołcewicza.

— Emeryt Waldemar Irański, po prostu. — Wzruszył ramionami. — Za to, że jestem emerytem, dostaję teraz pieniądze.

Jaskulski pokiwał głową, bez zrozumienia, bo była to sytuacja, której nie mógł pojąć. Wyszło, jak wyszło, Edek szybko powiedział, z kim pije wódkę. Nie przypuszczałby, że człowiek, z którym wyprowadzał psy i przesiadywał na skwerze, jest byłym oficerem milicji, a potem policji. Głupio wyszło. Nie dlatego, żeby miał skrupuły przed zatrzymaniem byłego gliny, tylko dlatego, że o tym nie wiedział.

— Niczego pan nie zauważył... — Jaskulski nie po raz pierwszy powtarzał te słowa, tym razem jednak nie pytał, ale stwierdzał.

— Ja nie wyczułem przestępcy, tak jak pan się nie zorientował, że idzie po psa. A gdybym nie był psem, tylko bandytą, jak oni? Może by była druga Magdalenka?

— Może... — odparł Jaskulski, z trudem zachowując spokój, bo resortowy emeryt nie musiał porównywać jego wpadki do tego, co się stało podczas nieudanej akcji antyterrorystów w podwarszawskiej Magdalence.

— Czy mogę już sobie pójść, jestem bardzo zmęczony?

Nie wyglądał na zmęczonego, chyba że męczył go kac. Jemu to nie grozi, bycie zgorzkniałym, emerytowanym psem, który pójdzie teraz do domu i pierwsze, co zrobi, to zajrzy do barku. Może dlatego był do niego wrogo nastawiony, a może pożegnano się z nim jakoś niemiło i ma żal do resortu? Zajrzy do jego papierów, na razie ważniejsze są wyniki badań roweru, może będzie tam jakiś dobry odcisk? No i jest jeszcze jeden rower, elektryczny, pewnie go porzucił po drodze. Może się odnajdzie, cuda się zdarzają.

76.

Kancelaria Hamerski i Wspólnicy nie zmieniła nazwy, choć jej założyciel Managing Partner i główny udziałowiec już nie żył. Młode, utalentowane, a jednak sieroty po pryncypale chciały zachować nazwę z szacunku dla starszego kolegi i przewodnika, ale także po to, by mieć za sobą nośny brand. Byli nieźli, ale przecież każdy z nich był w cieniu Jakuba Hamerskiego. To, czego

potrzebowali, to ciągłość, którą podkreśliłaby jakaś spektakularna sprawa.

Nadzieja zakiełkowała, kiedy w kancelarii pojawił się kurier z całym stosem dokumentów oraz tajemniczym pudełkiem.

W liście do nich zaadresowanym anonimowy nadawca informował, że jest pracownikiem jednej z firm należących do Adama Bielaka, człowieka, który przyłożył rękę do śmierci ich patrona, w pudełku zaś znajduje się dowód rzeczowy związany z inną zbrodnią, w którą zaplątany jest Bielak. Anonimowy nadawca zawiadamiał, że wkrótce zwróci się do nich po pomoc prawną pani Matylda Leśniewska, niezależna dziennikarka, z którą kontaktuje się Gang Niewidzialnej Ręki. Ich interesy są zbieżne, więc warto, by udzielili jej pomocy prawnej. Anonim informował również o tym, że kopie dokumentów przekaże także policji, podał też listę biegłych sądowych, ekspertów z zakresu balistyki i kryminologii, którzy powinni zbadać przedmiot wysłany do kancelarii.

Brzmiało to sensacyjnie, ale dokumenty naprawdę przedstawiały wielką wartość, choć sposób ich pozyskania mógł budzić poważne wątpliwości. Tego samego dnia zgłosiła się do nich Matylda Leśniewska, z którą odbyli wiele owocnych rozmów. Równie ciekawe było spotkanie z ekspertami badającymi broń, bo w paczce znajdował się zabytkowy pistolet Parabellum. Informator był pewien, że przeprowadzenie wyniku prac ekspertów przez Automatyczny System Identyfikacji Broni ARSENAŁ wykaże, że tej właśnie broni użyto podczas porachunków gangsterskich, które doprowadziły do śmierci Andrzeja Rozłuckiego pseudonim Nerwus.

Gotowało się od kilku dni. Matylda Leśniewska podgrzewała atmosferę, informując o niezbitych dowodach, które istnieją i pogrążą znanego biznesmena, tego samego, do którego domu włamał się Gang Niewidzialnej Ręki. Dziennikarka udawała, że nie wie, o kogo chodzi, ale przecież w sieci przekazywano sobie informacje o tym, że owym biznesmenem jest Adam Bielak.

Media waliły subtelnie, tytułując go Adamem B., głównym udziałowcem Varsovia Nova Investment, co było równie wielką łamigłówką jak przed laty informacje o kłopotach prawych Przemysława W., syna byłego prezydenta Polski, czy porucznika

Mirosława H., syna kosmonauty. Bielak grzmiał i zapowiadał konferencję prasową, groził pozwem dziennikarce, a jego prawnicy straszili kancelarię Hamerskiego postępowaniem dyscyplinarnym za działania wobec ich klienta, które miały ich zdaniem znamiona nękania. W odpowiedzi na te zarzuty, w swoim kolejnym wystąpieniu, Matylda Leśniewska postawiła Bielakowi szereg trudnych pytań:

— Z kim zaczął negocjacje w sprawie kupna Manufaktury WYROBÓW ŻELAZNYCH Fishermana i Rozłuckiego?

— Co go łączyło z nieżyjącym gangsterem Andrzejem Rozłuckim pseudonim Nerwus?

— Czy jest posiadaczem zabytkowej broni model Parabellumpistole P08?

— Dlaczego państwo Rozłuccy nie utrzymują kontaktów ze swoimi bliskimi, dawnymi sąsiadami i dalszą rodziną? Czy nie wydaje mu się dziwne, że z wywiadów, których udzielili drogą internetową, ich wypowiedzi nie przystają do języka, jakim się posługiwali przed wyjazdem z Warszawy?

Atmosfera wokół Adama Bielaka zaczęła gęstnieć, w końcu zwołał wielką konferencję prasową, na której miał wszystkiemu zaprzeczyć i przekazać swój egzemplarz parabellum do badania balistycznego. Była to zasłona dymna, bo albo się zorientował, że pistolet podmieniono, i ten, który wisiał u niego na ścianie, był zupełnie inną bronią, albo miał cynk z policji, albo po prostu liczba zarzutów była tak wielka, że nie wytrzymał ciśnienia.

— Okazał się nielojalnym fiutem — podsumowała zupełnie nie w swoim stylu Wanda, kiedy oglądali w telewizji zdjęcia z zatrzymania jego asystentki, a później grupy przekupionych przez niego ekspertów.

O tej samej godzinie policja zapukała do drzwi archiwisty z urzędu stanu cywilnego, varsavianisty doktora Kazimierza Stanisławskiego, oraz notariusza Ignacego Kucha.

Policja poinformowała o tym podczas konferencji prasowej, starając się scedować sukces na komisarza Jaskulskiego, odbierając tym samym zasługi Matyldzie Leśniewskiej i kancelarii Hamerski

i Wspólnicy. Sprawa była na tyle poważna, że na konferencji pojawił się osobiście komendant stołeczny.

— A kto to jest? — wykrzyknął na jego widok Rambo.

— Niemożliwe! — Pokręcił głową Pablo.

— Jak niemożliwe, przecież to on! Widziałem go tylko przez okno, ale to on!

— Wiem, że to on. Chodzi o to, że niemożliwe jest wypicie takiej ilości wódki! — Kręcił głową Pablo, który jako doktor weterynarii Paweł Malarski opijał z sąsiadem Jerzego Jeżewskiego, komendantem stołecznym Damianem Mariańskim, udane porody kotków.

— A ta lalka, to kto jest, może też ma kotki? — zainteresował się Hendrix, pokazując palcem Sandrę Jarmuż, która zadawała pierwsze pytanie na konferencji. Ala dała mu za to po głowie, a Hendrix tłumaczył się, że nie ogląda telewizji, więc tylko tak się zapytał, kim jest ta naburmuszona panna.

Była naburmuszona i zła, bo wszyscy dostali więcej niż ona. Leśniewska miała milionowe odsłony i chciały z nią współpracować wszystkie redakcje, Jaskulski miał te same dokumenty co ona i uchronił tyłek przed blamażem, jakim było nierozwiązanie sprawy Gangu Niewidzialnej Ręki. Kancelaria Hamerski i Wspólnicy pokazała, że istnieje życie po życiu. A Sandra Jarmuż miała tylko jedno poranne zatrzymanie! Krzyczała ze złości, że policja wjechała do czterech mieszkań naraz, a ona mogła wybrać tylko jedno z tych miejsc. Na nic zdały się pocieszenia ze strony komisarza Jaskulskiego, dyszała zemstą i szybko doszła do wniosku, że największą ulgę przyniesie jej dokuczenie jakiejś kobiecie.

EPILOG

Nastroje były minorowe. Kto by pomyślał, że takie będą w chwili, w której Manufaktura wróciła do miasta, czyli do Pabla i jego Republiki Marzeń? Zapomnieli o tej nazwie i pewnie nie dane im będą marzenia o nowych planach. Ich problem był znacznie poważniejszy niż planowanie nagrań, wystaw i nowych projektów. Siedzieli w willi Wandy, której piwnica miała nowego lokatora: Zoltara.

— Dlaczego to przed nami ukrywałeś? — Wanda wprost dyszała ze złości, naraziłeś nas wszystkich!

— Skąd mogłem przypuszczać? — bagatelizował sprawę.

— Skąd mogłeś przypuszczać, że prasa nie zainteresuje się dziennikarką, która ma taki *come back* i kontakt z najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Polsce, że jest rzeczniczką prasową Gangu Niewidzialnej Ręki?! — Wanda nerwowo chodziła po salonie, do którego tylko z okazji wizyty przyjaciół Pabla wpuściła Zoltara. — Kompletne zaskoczenie, że pierwsza lepsza bździągwa...

— Jarmuż, Sandra Jarmuż — życzliwie podpowiedział Hendrix, co spotkało się z karcącym spojrzeniem Ali.

— Wszystko jedno, jakie warzywo, bo nawet warzywo mogło do tego dojść, pokazała w swoim „Kwadransie prawdy” reportaż „Kim jest Matylda Leśniewska”! Otóż pochodzi z rozbitej rodziny, bo ojciec uciekł z domu, tak jak uciekł przed całym światem, bo był bankrutem i hochsztaplerem.

— Wypraszam sobie! — zaprotestował Zoltar. — Bankrutem tak, ale nie hochsztaplerem!

— A oscylator pożyczkowy? — Wanda uniosła do góry brwi. — Czy ty wierzyłeś, że oddasz pieniądze, które pożyczyłeś?

— Miałem taki zamiar!

— I co teraz? — Wanda jeszcze nie skończyła. — Teraz wszędzie są twoje zdjęcia!

- Ale sprzed ponad dwudziestu lat...
- Może i tak, ale Jarmuż to słaba dziennikarka, za to inni... — westchnął Pablo. — Dzwonił do mnie Tomasz Halama, chciałby porozmawiać o tobie, bo podobno razem chodziliśmy do szkoły... Zepchnąłem to na przyszły tydzień.
- Natychmiast wyjeżdżasz! — krzyknęła Wanda.
- Ale dokąd, jak?
- Do Hiszpanii, tam też jest manufaktura Pabla. Rambo weźmie Zoltara kamperem, a reszta poleci samolotem, wszystkim wam należy się trochę odpoczynku!
- Ja mogę prowadzić z Rambo na zmianę — wtrącił się Pablo.
- Zuza pojedzie jako drugi kierowca, a ty zostajesz w Warszawie i udzielisz wywiadu Hamerskiemu. Ja też zostaję, ktoś cię musi pilnować!

I tak doszło do nieoczekiwanej zmiany miejsc. Okazało się, że Wanda Nałęcka-Ludwig zbudowała Zoltarowi piękny dom za granicą, ale w końcu dopięła swego, choć nieco okrężną drogą. Ma Pabla na wyłączność, choć nie ma gwarancji, że na zawsze.

Można by zakończyć tę opowieść, że żyli długo i szczęśliwie, a może nawet wygodnie i spokojnie, ale jeśli ktoś już raz przystąpi do Gangu Niewidzialnej Ręki, to raczej nie ma co się przywiązywać do słów „wygodnie” i „spokojnie”, lecz raczej mieć na uwadze, że szybko zastąpią je „awantura” i „niepokój”.

Warszawa — Bukowina — Monte Pego
jesień 2020 — wiosna 2023

O Autorze

Grzegorz Kalinowski – wciąż młody bumer (rocznik 1966), kiedyś reporter, bywało, że także wojenny; telewizyjny sportsman – komentator finałów Ligi Mistrzów i Pucharu Polski, realizator teledysków i radiowy Pan od Muzyki, a dawno temu licealny psor od historii. Specjalizuje się w kryminale i sensacji historycznej (nominacje i nagrody Złoty Pocisk, Wielkiego Kalibru i Festiwalu Kryminalna Warszawa). Tym razem postanowił stworzyć komedię sensacyjną.

¹ Fragment za <https://lektury.gov.pl/czytaj/beniowski>

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2023
© Copyright by Grzegorz Kalinowski, 2023

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora
Redakcja: Adrianna Michalewska
Korekta: Joanna Dzik

Projekt okładki i ilustracje: Grzegorz Araszewski / garasz.pl
Zdjęcie autora: © Maciej Zienkiewicz Photography

Producenci wydawniczy:
Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz



Lira Publishing Sp. z o.o.
al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa
www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:    